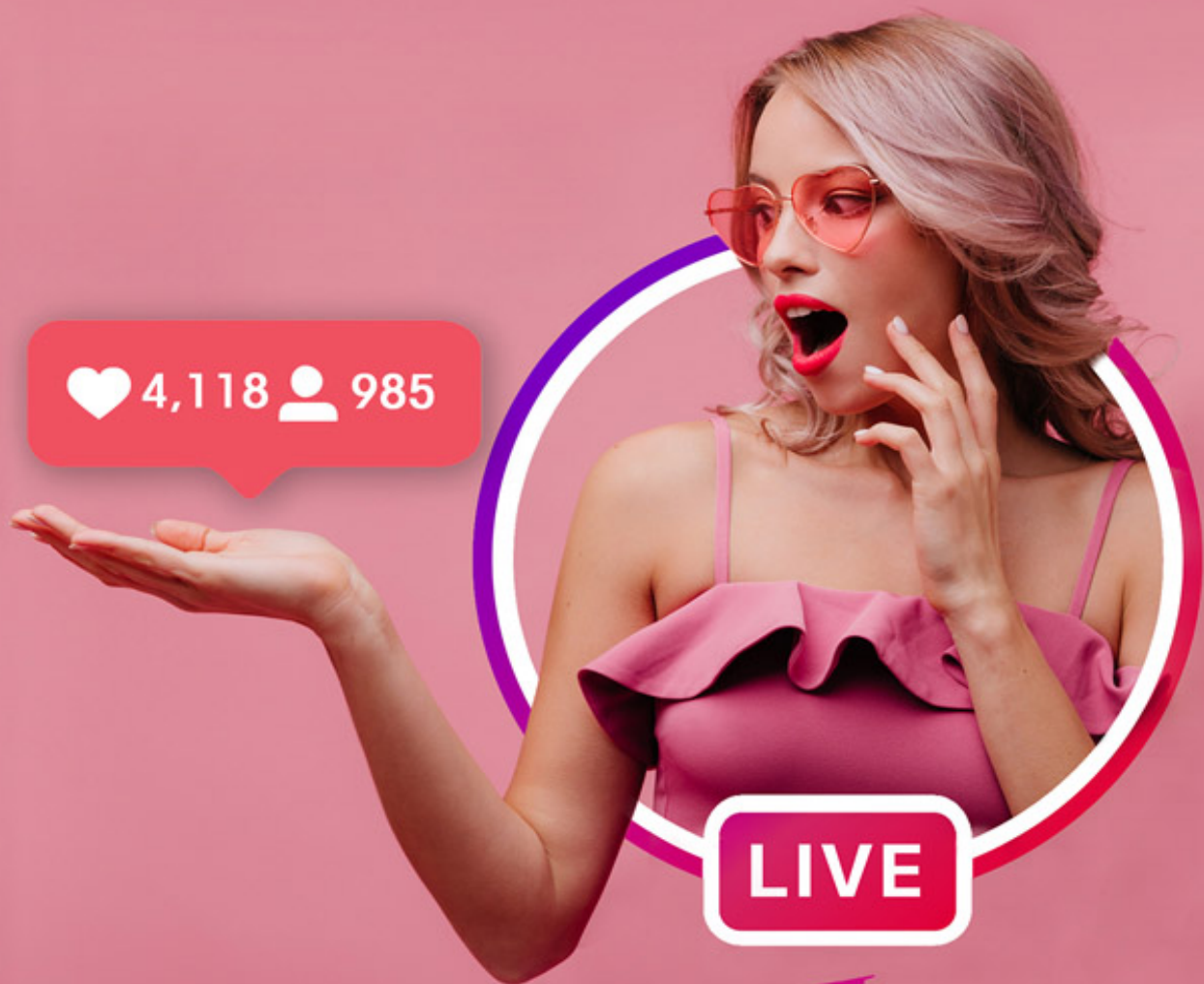


TOMASZ WANDZEL

♥ 4,118 👤 985



LIVE

DOZWOLONE OD LAT 18

BLANKA L.

Sława, pieniądze i seks

LIND&CO

TOMASZ WANDZEL

Blanka L

Sława, pieniądze i seks

LIND&CO

LIND&CO

@lindcopl

e-mail: info@lindco.se

Tytuł oryginału:

Blanka L – Sława, pieniądze i seks

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Lind&Co Polska sp. z o o.

Wydanie I, 2023

Projekt okładki: Marlena Sychowska

Copyright © dla tej edycji:

Wydawnictwo Lind&Co Polska sp. z o o, Gdańsk, 2023

ISBN 978-83-67494-86-1

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

[Waterbear Graphics](#)

SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział pierwszy.

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty.

Rozdział piąty.

Rozdział szósty.

Rozdział siódmy.

Rozdział ósmy.

Rozdział dziewiąty.

Epilog

Polecamy również

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Każda historia, tak samo jak ludzkie życie ma początek i koniec. Jednak czasami lepiej opowiedzieć coś od środka, oszczędzając innym zbędnej paplaniny. A to o swoim dzieciństwie i straniu w pieluchy, a to o opluwaniu rodziców znieprawioną kaszką, która według agencji reklamowych ma być tą najlepszą na świecie. Zaczniemy więc od tego, że w dość krótkim czasie musiałem zdobyć pół miliona. Tak bajońskiej sumy nie można po prostu zarobić uczciwą pracą. Szczęśliwcy, którzy jakimś cudem tego dokonali, przy okazji dorobili się garbu na plecach, artretyzmu, krótkowzroczności, miażdżycy i wielu innych bonusów, jakie niesie ze sobą starość. Ja nie miałem tyle czasu, dlatego moje przedsięwzięcia musiały bardzo szybko przynieść plon stokrotny. Przeczytałem to w Biblii, gdy przygotowywałem się do I Komunii Świętej i mi się spodobało, choć teraz moje relacje z Najwyższym znacznie się rozluźniły i nie są już tak zażyłe jak w pierwszych latach podstawówki. Z długiej listy pomysłów wykreślałem kolejno wszystkie, których szansa powodzenia była mniejsza niż trafienie szóstki w totka lub główna wygrana w jakimś teleturnieju. W końcu został ten jeden. Najbardziej szalony, kreatywny i obiecujący. I wcale nie był nim napad na Narodowy Bank Polski! Tym genialnym pomysłem było spisanie prawdziwej biografii jednej z największych celebrytek ostatnich kilku lat, a Blanka Lipiec z pewnością do takich należała. Na pierwszy, drugi, a nawet i trzeci rzut oka plan nie miał prawa się udać. Jak zwykły chłopak z warszawskiej Pragi mógł poznać sekrety gwiazdy tego formatu? Jednak ja, choć sam byłem zwykłym jopkiem, miałem wyjątkową damę w rękawie, która bywało, że zmieniała się w prawdziwego asa, a czasami nawet jokera. Była nią moja siostra, którą od kilkunastu miesięcy pracowała jako osobista asystentka Blanki Lipiec. Jak Ola zdobyła tę robotę, tego nie wiedziałem. I szczerze mówiąc, ta wiedza nie była mi do niczego potrzebna. Najważniejsze, że siostra stała się moim osobowym źródłem informacji, jak wywiad nazywał mało istotnych szpicli. Oczywiście nie miała świadomości, iż przekazując mi mniej lub bardziej pikantne szczegóły z życia swojej chlebobawczyni, podcina gałąź, na której Blanka uwiła sobie wygodne gniazdko. Tym samym przyczyniając się do jej upadku. Zbieranie materiału szło na tyle sprawnie, że po kilku miesiącach, mogłem śmiało przystąpić do kreślenia życiorysu ofiary. Jednak wydarzenia pewnej nocy sprawiły, że tempo prac przyśpieszyło, jak inflacja drenująca portfele Polaków, a ja byłem niczym Dione dla Saturna, blisko, ale nie za blisko, by nie wzbudzać podejrzeń.

Noc z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia była dla mnie, podobnie jak dla wielu innych trudniących się przewozem osób, jedną z najbardziej pracowitych w roku. Nie traktowałem tego jednak w kategoriach etatowej roboty. Wszak byłem jeszcze studentem dziennikarstwa. Tylko czasami dorabiałem jako znieprawiony przez korporacyjnych taksówkarzy, a uwielbiany przez chytrych warszawiaków uberowicz. Parałem się tym od pięciu lat, czyli od chwili, gdy po twardych negocjacjach, w jednym z gnieźnieńskich komisów, stałem się szczęśliwym posiadaczem golfa czwórki z dwa tysiące szóstego, w kolorze butelkowej zieleni.

Historia pojazdu przedstawiona przez pana Jurka miała w sobie tyle magii, że połknąłem ją jak ryba haczyk. Samochód miał pochodzić od nauczycielki wychowania fizycznego z Berlina, która mieszkała zaledwie pięćset metrów od szkoły, więc auta używała wyłącznie do robienia cotygodniowych zakupów, w oddalonym o pięć kilometrów hipermarkecie. Dodatkowo była niepalącą, bezdzietną starą panną, dzięki czemu wnętrze golfa pachniało nowością, a lakier pokryty odpowiednią warstwą wosku błyszczał się i mienił jak bombka na choince. Jednym słowem, samochód wyglądał prawie jak z salonu. Kluczowe było oczywiście słowo „prawie”, bo do dzisiaj nie udało mi się logicznie wyjaśnić tych siedemdziesięciu tysięcy przebiegu, mimo zastosowania różnych działań matematycznych. Podobnie jak niemal wypolerowanych na błysk tarcz hamulcowych, mogących robić za lustro łazienkowe i lekko skrzywionej podłużnicy. Wszystko to dowodziło, że golfik miał swoje słodko-gorzkie tajemnice, o których wiedział jedynie on. Wspomniane deficyty ujawniły się dopiero po kilku tygodniach, więc wizyta

w komisie i reklamowanie zakupu nie miały sensu. Zdawałem sobie sprawę, że w odpowiedzi na swoje żale, usłyszę coś w stylu: »widziały gały, co brały, a teraz spierdalaj, bo psami poszczuję«.

Dlatego, zamiast wycieczki do pierwszej stolicy naszego pięknego kraju, pojechałem do kumpla z podstawówki. Michał, w przeciwieństwie do mnie, nie miał magisterskich aspiracji. Wolał jak najszybciej odciąć rodzicielsko-finansową pępowinę i na własnych nogach ruszyć w dorosłość. Wynajął garaż na Żoliborzu i otworzył warsztat samochodowy. Po roku przeniósł się do większego, a trzy lata później kupił działkę w Jankach i uruchomił serwis z prawdziwego zdarzenia.

Kiedy zajechałem, Michał z ciekawością kilka razy obszedł samochód. Z każdym kolejnym okrążeniem jego mina stawała się coraz bardziej marsowa, a zmarszczka na czole pogłębiała się niczym przekop Mierzei Wiślanej.

– Dobra, wprowadzę to cacko na kanał i zobaczymy, co mu dolega – oznajmił, wyciągając dłoń po kluczyki.

– Tylko bądź ostrożny – poprosiłem pół żartem, pół serio. Kwadrans później znałem już diagnozę.

– Ty to jednak jesteś potrójny baran – mruknął Michał, wyczołgując się z kanału.

– Jak to potrójny?

– Po pierwsze z nazwiska, po drugie o ile mnie pamięć nie myli, twoim znakiem zodiaku jest baran – wyliczał kumpel – a po trzecie tylko baran mógł kupić coś takiego – dodał, uderzając otwartą dłonią o dach auta. Chociaż słowa kolegi zabolowały jak borowanie bez znieczulenia, to postanowiłem ich nie komentować.

– Sam tego Niemca kupowałeś, czy jakaś równie barania dusza ci pomagała? – rzucił, nie przestając pastwić się nade mną psychicznie.

– Jeśli pytasz, czy Ola maczała w tym palce, to muszę cię rozczarować.

– Nie obraż się, ale twoja siostra wygląda mi na tę bardziej bystrą połowę waszego baraniego duetu – oświadczył, patrząc na mnie z politowaniem, którego nawet nie próbował maskować.

– Sam – przyznałem, z pokorą przelykając usłyszane obelgi.

– W takim razie, używając terminologii medycznej, powiem, że pacjent będzie żył – zaczął, przechodząc do meritum – a moim zdaniem nawet dociągnie do trzydziestki – dodał, niczym wróżbita Maciej. – Uratowało cię tylko to, że kupiłeś Volkswagena. Gdybyś nie daj Boże, sprawił sobie francuza lub włocha, to nawet reanimacja by mu nie pomogła. Masz szczęście, że trafił ci się Niemiec. Kulawy, bo kulawy, ale Niemiec – podsumował, informując, że golf będzie do odbioru za trzy dni. Posiadanie własnego wozu, łącznie z naprawami, kosztowało mnie wszystkie finansowe prezenty z osiemnastki plus to, co zarobiłem, smażąc flądry, mintaje i morszczuki w lokalu należącym do przyjaciela rodziny, który w Łebie prowadził niewielki pensjonat. W sezonie był także właścicielem smażalni ryb, prosto z zamrażarki. Choć reklama przed wejściem gwarantowała ryby prosto z Bałtyku.

Pobyt nad morzem zapadł mi w pamięci nie tylko z powodu szorowania patelni, które Magda Gessler z miejsca wypierdoliłaby na złom, przy okazji wrzeszcząc: „Dlaczego, do kurwy nędzy, wy trujecie ludzi?“, przy czym kurwę i nędzę dodałem dla zobrazowania syfu, kiły i mogiły panujących w kuchni. O dziwo, jednak do lokalu waliły tłumy. Prawie jak na otwarcie Castoramy, gdzie w ramach promocji można było zgarnąć gratisowe wiadro, a to jak wiadomo, zawsze się przyda. Tak więc znajomy rodziców zacierał ręce, osobiście rozlewał piwo z beczki, zgodnie z nadmorską tradycją chrzczone wodą, bynajmniej nieświęconą, a w myślach liczył kasę. Ja zapierdalałem jak renifer Świętego Mikołaja przed gwiazdką, a po dziesięciu godzinach w ramach relaksu posuwałem córkę mojego szefa. Wiem, wiem, zabawiając się z Iwonką grzeszyłem, i to w ten najgorszy z możliwych sposobów. Wszak jedno z nieoficjalnych przykazań nieformalnego kodeksu pracy mówiło, pracownik nie powinien bzykać żony swojego dobroczyńcy ani żadnej z córek, które jego są. Usprawiedliwiał mnie tylko fakt, że to sama Iwonka wparowała mi do łóżka. A dokładniej rzecz biorąc pewnej nocy, kiedy po zamknięciu lokalu razem sprzątaaliśmy kuchnię, podeszła do zlewu, przy którym szorowałem patelnię, uklękła przede mną, wprawnym ruchem rozpięła mi rozporek i nim zorientowałem się w sytuacji; mój miękki fiut zniknął w jej, od kilku dni już, pełnoletnich ustach. Na efekty tych poczynań nie musiałem długo czekać.

– Wiesz, że od dawna miałam na to ochotę – wymruczała, wysuwając sztywnego penisa z ust i przejeżdżając zwinnym językiem od jąder po samą żołądź, a następnie jeszcze mocniej zaciskając wargi na kutasie.

Doznanie było tak głębokie, że patelnia, którą wciąż trzymałem w dłoniach z głośnym brzdękiem upadła na podłogę. Na Iwonce hałas nie zrobił żadnego wrażenia. Wciąż rytmicznie pracowała ustami, a jej zielone oczy, okolone nienaturalnie długimi rzęsami wyzywająco patrzyły w moje. Zapatrzonej w tę zieleń, aż miałem ochotę zanucić: »Przez twe oczy, twe oczy zielone, oszalałem«, ale z moich rozchylonych ust wydobywały się jedynie jęki rozkoszy. Wyznanie dziewczyny, że od dawna zamierzała się ze mną zabawić, polechtało moje męskie ego, bo pracowałem zaledwie od czterech dni. Nie ukrywam, że ja też popatrywałem na nią z zainteresowaniem, podszytym nicią erotyzmu, ale ona była córką szefa, a ja jedynie sezonowym pracownikiem, więc choć czasy niewolnictwa, segregacji rasowej i klasowej były tak odległe, jak początki radia i telewizji, to moja przyzwoitsza część charakteru kazała poskromić grzeszne myśli. Jednak, gdy Iwonka przejęła inicjatywę, a chuja w usta, wszystkie moralne blokady diabli wzięli i wywieźli do piekła. Kiedy Iwonka wyssała ze mnie wszystko, wliczając w to połowę moich sił witalnych, zrzuciła luźne szorty i kładąc się na białce, który normalnie służył do rozbijania kotletów i panierowania ryb, gestem szczupłej dłoni o długich czerwonych paznokciach, zaprosiła mnie między swoje rozchylone uda.

– O kurwa, jak ja to uwielbiam – wymruczała, gdy koniuszkiem języka dotknąłem jej śliskiej, nabrzmiałej lechtaczki.

Dopiero następnego nocy na tym samym białce zerżnąłem ją po raz pierwszy. Odtąd co dwa lub trzy dni najukochańsza córeczka tatusia, oczko w głowie mamusi, wyprawiała ze mną takie harce, że te sześć tygodni spędzone w Łebie, wyedukowały mnie bardziej niż cztery lata liceum.

Mając już samochód, przystąpiłem do realizacji swojego kolejnego ambitnego planu, czyli zostałem dojną krową Ubera. Określenie to lansowane przede wszystkim przez konkurencję miało tyle wspólnego z prawdą, co zapewnienie producenta, że w jego parówkach znajdziemy sto procent mięsa. Z mojego punktu widzenia robota była spoko, zarobki były spoko i klienci też byli spoko. Dla tych ostatnich byłem, i jestem, pewnym zaskoczeniem. Po pierwsze rozmawiam z nimi i to w dodatku płynną polszczyzną. Po drugie inaczej niż znaczna część pozostałych uberowców nie muszę korzystać z nawigacji, aby zawieźć kogoś z Dworca Centralnego na Kaktusową. Miało to odzwierciedlenie nie tylko w relacjach interpersonalnych na linii kierowca–pasażer, ale też w napiwkach, o ile klient płacił gotówką. Jednak nawet bez nich nie miałem prawa narzekać. Kilkadziesiąt popołudniowych czy nocnych kursów, pozwalało mi zaspokoić wszystkie potrzeby dwudziestoczteroletka, mieszkającego z rodzicami i korzystającego z państwowej, bezpłatnej edukacji na Uniwersytecie Warszawskim. Gdybym miał żonę, dziecko i kredyt na kawalerkę, musiałbym zapieprzać jak dziki osioł. Wiedziałem, że kiedyś będę się musiał z tym wszystkim zmierzyć, ale na razie korzystałem z życia na własnych zasadach. Dopinałem magisterkę i wozilem ludzi golfem, który za dwa lata osiągnie pełnoletność. W międzyczasie cichutko, jak mysz pod miotłą albo wyszkolony komandos, realizowałem perfidny plan, którego zwieńczeniem miała być moja sława, wielkie pieniądze i koniec Blanki Lipiec, jednej z najbardziej znanych celebrytek.

Przejdźmy jednak do pamiętnej nocy. Jak już wspominałem na początku, noc sylwestrowa była dla mnie tym, czym pierwszy listopada dla producentów zniczy, chryzantem i wszelkich innych, kiczowatych ozdób nagrobkowych, na których widok zmarli, gdyby mogli przewracaliby się w grobach lub jeśli zostali skremowani, przesypywali w urnach. Nie inaczej było kilka dni temu, gdy przyszło nam pożegnać rok dwa tysiące dwudziesty pierwszy i powitać dwa tysiące dwudziesty drugi. W przeciwieństwie do pamiętnego sylwestra Anno Domini dwa tysiące dwadzieścia, kiedy Polska jak długa i szeroka przebywała w areszcie domowym, a jedyną rozrywką dla mas była kiepska imitacja tradycyjnego sylwestra w Zakopanem, który z powodów sanitarnych został przeniesiony do Ostródy. Tym razem kochana telewizja stanęła na wysokości zadania. Wyjechała w Zakopanem scenę, jakiej najstarsi górale nie widzieli, zaprosiła Jasona Derulo, który za wyśpiewanie kilku numerów skasował tyle, ile kosztowało roczne utrzymanie telefonu zaufania dla młodzieży, wiecznie żywą Marylę, barona disco polo w osobie Zenka oraz Sławomira, którego jedyna znana piosenka ma podobno stać się hymnem Zakopca. Dodatkowo Prezes, po konsultacji z kotem, na tę jedną noc pozwolił otworzyć kluby taneczne i dyskoteki. Wszystko po to, aby Polacy mogli w doskonałych, niekoniecznie trzeźwych nastrojach przywitać nowy rok i nowy Polski Ład.

Mnie niestety nie było dane szaleć na parkiecie. Powody były dwa. Po pierwsze moja dziewczyna, Kaśka, na dwa dni przed Wigilią przestała być moją dziewczyną. Wersja oficjalna to odkrycie w moim telefonie Tindera. Faktyczny

powód zakończenia naszej relacji był jednak zupełnie inny. Podzieliła nas pandemia. Podczas gdy ja przyjąłem dwie dawki, ona nie akceptowała szczepionek, a tym samym również zaszczepionych. Drugi powód, dla którego nie spędzałem sylwestrowej nocy na balu czy domówce, był bardziej prozaiczny, wołałem kręcić kasę za kierownicą mojego golfa. Na miasto wyruszyłem tuż przed dziewiętnastą, bo z rozpoznania, jakie wykonałem na kilka dni przed sylwestrem, wynikało, że zorganizowane imprezy zaczynają się przeważnie o dwudziestej. Dodatkowo sprzyjała mi pogoda. Lało jak w czerwcu, temperatura była listopadowa, a ja brałem zlecenie za zleceniem. Dopiero około dwudziestej trzeciej mogłem opróżnić na Orleniu pęcherz i napęczyć żołądek bułką z pieczarkami. Żegnając się z sympatyczną kasjerką, zaopatrzyłem się jeszcze w dwie puszki coli i tak wyekwipowany pojechałem nad Wisłę. Usiadłem na schodkach i popijając zimny napój, obserwowałem jak niebo nad stolicą, robi się tęczeowe od fajerwerków.

Kiedy o piątej wróciłem do domu, byłem wyeksploatowany jak łóżko w produkcjach porno. Miałem właśnie wpakować się pod kołdrę, gdy zadzwoniła Ola.

– Co jest, siostra? – zapytałem, rozpinając guzik od spodni.

– Olek, mam problem – usłyszałem spanikowany głos bliźniaczki, a moje palce natychmiast przestały majstrować przy rozporoku.

– To znaczy? – rzuciłem, wiedząc, że Ola i kłopoty są jak dwie skarpetki z tej samej pary.

– Wracałyśmy z Blanką z imprezy i miałyśmy wypadek – zaczęła. Już samo zestawienie słów: powrót, impreza, Blanka i wypadek, nie wróżyło niczego dobrego.

– Coś wam się stało?

– Właściwie nie, ale ten koleś, w którego wjechała Blanka, wezwał policję.

– Gdzie jesteście? – zapytałem, wypadając z mieszkania. Pokonując po cztery schody na raz, zbiegłem na parter i w tempie, którego nie powstydziliby się sam Usain Bolt, pędziłem do samochodu.

– Przy Wiatraku.

– Dobra, będę za pięć minut – zapewniłem.

W rzeczywistości dojazd do ronda Wiatraczna, które z punktu zasad ruchu drogowego nie było typowym rondem, zajął mi tylko trzy minuty. Gdyby to był zwykły poranek, jechałbym najkrócej kwadrans. Po drodze starałem się unikać patrzenia na szybkościomierz, bo gdyby teraz jakiś zabłąkany patrol zatrzymał mnie za przekroczenie prędkości, to z pewnością byłbym jednym z pierwszych kierowców mogących się pochwalić mandatem z nowego taryfikatora.

Zaparkowałem za różowym lexusem, włączyłem światła awaryjne i wysiadłem z auta. Gdy spojrzałem za siebie, dostrzegłem w oddali pulsujące niebieskie punkty radiowozu.

– Dobrze, że jesteś – zawołała roztrzęsiona Ola, biegnąc w moją stronę.

Kilka metrów dalej Blanka, ubrana w różową suknię rodem z bajki o Kopciuszku, konwersowała właśnie z łysiejącym jegomościem o widocznej nadwadze.

– Kurwa, ile razy mam ci, pierdolony złamasie, powtarzać, że światło było zielone – wrzeszczała na mężczyznę. Kiedy Ola stanęła przede mną, poczułem to, na co alkomat reaguje przeciągłym piskiem.

– Ile wypitaś?

– Tylko kilka drinków – przyznała skruszona.

– A Blanka? – drążyłem.

– Ona trochę więcej.

– No to macie przejebane – stwierdziłem, obchodząc luksusowego SUV-a, którego przód zaparkował na tylnej kanapie czarnego citroëna.

– Może ja pomogę w wyjaśnieniu sytuacji? – zaproponowałem, stając między Blanką a wystraszonym właścicielem francuza.

– A ciebie kto kurwa prosił o pomoc? – warknęła Blanka.

– To przecież Olek – wtrąciła siostra.

Fakt, że Blanka mnie nie rozpoznała, źle świadczył o jej zdolności pojmowania otaczającego ją świata.

– Dzień dobry, aspirant Piotr Wilczyński i starszy aspirant Mieszko Kowalski – usłyszałem za sobą i zrozumiałem, że pierwszy stycznia dwa tysiące dwudziestego drugiego roku dla kilku osób nie będzie dobrym dniem, a moja obecność w tym miejscu jest już właściwie zbędna. Mimo to zostałem, chyba głównie ze względu na siostrę. Stałem na chodniku i z ciekawością przygodnego przechodnia obserwowałem rozwój sytuacji.

– Ta pani – zaczął kierowca citroëna, wskazując na Blankę – wjechała w bok mojego samochodu.

– Ciebie chyba, dziadku, popierdoliło – przerwała bezceremonialnie Blanka – ty, kurwa miałeś czerwone, a ja miałam zielone – oznajmiła, przedstawiając w jednym zdaniu swoją wersję wydarzeń.

– Spokojnie, spokojnie, zaraz wszystko wyjaśnimy – przerwał zdecydowanym tonem jeden z policjantów.

– Najpierw poproszę o dokumenty – zwrócił się do Blanki drugi funkcjonariusz, podczas gdy ten pierwszy legitymował mężczyznę. Kiedy Blanka wygrzebała z różowej torebki dowód osobisty i prawo jazdy, funkcjonariusz zmarszczył nos i uniósł brwi.

– Czy pani coś piła? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Czy ja coś piłam? – Blanka mechanicznie powtórzyła pytanie.

– Tak – potwierdził policjant.

Blanka wytrzeźwiała w jednej chwili, ale było to wyłącznie wytrzeźwienie mentalne. Fizycznie wciąż była naprana w trzy dupy.

– Proszę pójść z nami do radiowozu, sprawdzimy alkomatem zawartość alkoholu w wydychanym powietrzu – polecił policjant i wskazał opla zaparkowanego za moim golfem z napisem POLICJA.

– Tego jeszcze nie grali, żebym z psami do budy chodziła – wycedziła Blanka i ostentacyjnie usiadła za kierownicą swojego lexusa.

– Mieszko, skocz po alkomat – poprosił kolegę policjant sprawdzający dokumenty Blanki.

Gdy chwilę później celebrytka posłusznie nabrała powietrza i zaczęła dmuchać w ustnik, policjanci spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Alkomat wskazał jeden i pół promila, a to oznacza, że po pierwsze zatrzymuję pani prawo jazdy, po drugie nakładam dziesięć punktów karnych, a po trzecie kieruję do sądu wniosek o ukaranie grzywną – zakomunikował policjant.

– Piłam – przyznała Blanka, z rozbrajającą szczerością – ale z wynikiem to bym polemizowała – dodała tym samym nonszalanckim, bezczelnym tonem. – Nadal jednak nie dowiedziałam się od panów, kto odpowiada za spowodowanie wypadku – zauważyła, sięgając do kamerki samochodowej. Wyjęła z niej kartę pamięci i wręczyła policjantowi.

– Tym, oczywiście, także się zajmiemy – zapewnił funkcjonariusz.

– Mam tylko nadzieję, że z taką samą gorliwością, z jaką podeszliście do sprawdzenia wydolności moich płuc – rzuciła sarkastycznie.

Policjant, który trzymał kartę pamięci i dokumenty Blanki odszedł do radiowozu, a Blanka w tym czasie wyciągnęła z torebki różowy smartfon i ku kompletnemu zaskoczeniu wszystkich obecnych, zaczęła nagrywać live'a.

– Dzień dobry, kochani, w nowym dwa tysiące dwudziestym drugim roku – zaszczebiotała wesoło, poprawiając odruchowo niesforny platynowy kosmyk, opadający jej na czoło – dla mnie zaczął się on wyjątkowo chujowo. Wracając z imprezy sylwestrowej na rondzie Wiatraczna, jakiś kutas wymusił pierwszeństwo. Nie zdążyłam wyhamować i jebnęłam rzęcha – opisała zdarzenie w prostych żołnierskich słowach. Chcąc zobrazować swoją opowieść, wysiadła z samochodu, przeszła na jego przód i pokazała powstałe uszkodzenia.

– Co ona robi? – zapytał policjanta zdezorientowany właściciel citroëna.

– Nic, co może panu zaszkodzić – zapewnił funkcjonariusz i z ironicznym uśmiechem obserwował poczynania Blanki.

– Jak widzicie cały przód mojego różowego cukiereczka do wymiany, a wszystko przez jednego buca, który nie odróżnia światła zielonego od czerwonego – lamentowała Blanka. Zamierzała jeszcze coś powiedzieć, ale widząc idącego od strony radiowozu policjanta, przesłała do kamery kilka buziaków i zakończyła nagrywanie.

– Niestety, pani Blanko, w sprawie kolizji wszystko wskazuje na pani niewinność – przyznał mundurowy, z kiepsko skrywanym zawodem w głosie – pozwoliłem sobie przekopiować nagranie – dodał, oddając Blance kartę pamięci.

– Czyli nie stracę prawa jazdy?

– W tej kwestii nic się nie zmienia. Jazda pod wpływem alkoholu skutkuje odebraniem uprawnień do kierowania pojazdami mechanicznymi – wyrecytował funkcjonariusz.

– To jest, kurwa, jakaś paranoja! Przecież to ten kretyn – Blanka wskazała na kierującego Citroënem – jest winny, a nie ja.

– Tak, ale to pani jechała pod wpływem alkoholu – przypomniał policjant – a tak między nami proponuję, aby skontaktowała się pani ze swoim prawnikiem – dodał, wręczając jej pokwitowanie zatrzymania prawa jazdy.

Blanka, traktując radę policjanta jak światło w tunelu natychmiast zadzwoniła do adwokata, a ten zjawił się po kwadransie.

– To mamy niezły bigos – oznajmił, gdy zapoznał się z sytuacją.

– Jarek, ty mi tu nie pierdol o bigosie, jak jakiś Makłowicz, tylko wyciągnij mnie z tego gówna. – Rozkazujący ton Blanki oznaczał, że nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

– To nie będzie takie łatwe – oświadczył adwokat – o ile spowodowanie kolizji odpada, to jazda po pijanemu zostaje. Za to grozi ci do trzydziestu tysięcy grzywny.

– Ty, chyba kurwa żartujesz? – przerwała Blanka, patrząc na prawnika szeroko otwartymi oczami.

– Niestety, masz pecha, bo od dzisiaj obowiązuje nowy taryfikator – wyjaśnił mężczyzna, rozkładając bezradnie ręce.

– A co z prawem jazdy?

– Stracisz je na pewien czas i będziesz musiała ponownie zdać egzamin.

– To jest już zupełnie pojebane. Nie dość, że mam zapłacić trzydzieści tysięcy, to jeszcze każą mi robić maślane oczy do jakiegoś obleśnego egzaminatora!

– Blanka, takie są przepisy – powtórzył adwokat – natomiast co do grzywny, to te trzydzieści tysięcy są kwotą maksymalną, więc nie jest powiedziane, że tyle zapłacisz.

– Marna pociecha – prychnęła Blanka, zapalając papierosa – ja potrzebuję prawka, aby jeździć na nagrania – dodała, zaciągając się głęboko.

– O prawku na kilka miesięcy możesz zapomnieć, więc lepiej poszukaj sobie kierowcy, albo przesiądź się na taksówkę – poradził prawnik – a teraz zajmij się odholowaniem samochodu do warsztatu, bo jeszcze dostaniesz mandat za blokowanie jezdni niesprawnym pojazdem.

– Teraz, to mogą mnie w dupę pocałować – odcięła się Blanka, usiadła za kierownicą lexusa i uruchomiła silnik.

– W takim stanie ani ty, ani samochód nie dacie rady jechać – powiedziałem, podchodząc do uchylonych drzwi.

– A masz, kurwa, lepszy pomysł, chłopczyku?

– Tak, najpierw zepchniemy tę różową landrynkę na chodnik, później zadzwonię do mojego kumpla. Wtedy on przyjedzie z lawetą i odholuje auto do warsztatu, a na koniec odwiozę cię swoją miętówką, gdzie tylko będziesz chciała – zaproponowałem.

Blanka zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– Plan jest w porządku – powiedziała wreszcie – mam tylko jedną uwagę. Nigdy więcej nie mów na mojego lexusa landrynka. Bo po pierwsze to nie landrynka, a cukiereczek. A po drugie tylko ja mogę go tak nazywać – zastrzegła, podając mi kluczyki.

Pół godziny później przyjechał pracownik z serwisu Michała, i odholował cukiereczka do warsztatu, a ja zabrałem obie dziewczyny i ruszyłem w kierunku Wilanowa, gdzie mieszkała Blanka. Potem odwiołem siostrę na Ursynów i dopiero około dziewiątej wróciłem do domu. Mamie, która krzątała się po kuchni, opowiedziałem w kilku zdaniach o wypadku, ale ta nie była zaskoczona moimi rewelacjami.

– Synku, od dwóch godzin wszystkie portale plotkarskie piszą o najnowszym wybruku Blanki Lipiec – oznajmiła, podsuwając mi pod nos swój telefon – popatrz, nawet ty się załapałeś na jedno ze zdjęć – dodała z pewną dumą.

Ja jednak nie klaskałem uszami z radości, że oto trafiłem na łamy portali, które każdego dnia wchodziły z butami w życie gwiazd i gwiazdeczek. Po pierwsze nie byłem żadnym celebrytą, a po drugie ceniłem sobie prywatność w stopniu, w jakim szwajcarskie banki chronią dane swoich klientów. Oczywiście Blanka Lipiec była jedną z jaśniejszych gwiazd na firmamencie polskiego show-biznesu. Nic więc dziwnego, że jej nazwisko generowało ruch w sieci nawet wtedy, gdy została przyłapana na kupowaniu kapusty. A co dopiero jazda po pijaku oraz przemycane aluzje, że to ona spowodowała wypadek. News z miejsca zdarzenia, choć ukazał się zaledwie godzinę wcześniej, miał już ponad pół miliona odsłon, a podejrzewałem, że do końca dnia przekroczy dwa miliony.

– Chcesz śniadanie albo kawę? – zapytała matka, wyrывая mnie z zadumy nad potęgą Internetu.

– Nie, dzięki. Jestem tak padnięty, że idę spać – odpowiedziałem i wyszedłem z kuchni. Przewornie wyłączyłem smartfon i zasnąłem snem górnik po skończonej szychcie.

Kiedy dziesięć godzin później otworzyłem oczy i uruchomiłem telefon, ten aż się zagrzał od wiadomości i nieodebranych połączeń. Tych ostatnich najwięcej było od Oli. Pozostałych numerów nie znałem, ale miałem przecucie, że w jakiś jeszcze niezrozumiały dla mnie sposób, wiązały się z porannymi wydarzeniami. Wiedziałem, że zaraz wszyscy dostaną info o mojej dostępności i zaczną dzwonić. Pierwsza była Ola.

– Czemu masz wyłączony telefon? – naskoczyła na mnie, gdy tylko odebrałem połączenie.

– Bo spałem? – odparłem, celowo używając formy pytającej.

– Ale już nie śpisz?

– Skoro rozmawiamy to chyba nie – oznajmiłem, nie kryjąc ironii.

– Zrobiła się afera – oświadczyła Ola.

– Nie da się ukryć, że Blanka będzie przez najbliższe kilka dni bardziej popularna od Kaczyńskiego, Morawieckiego i Tuska razem wziętych – potwierdziłem, przeciągając się w pościeli.

– Olek, ty sobie żartujesz, a to jest poważna sprawa.

– Wiem, ale co ja ci poradzę, że twoja szefowa postanowiła zaszaleć.

– Jechałyśmy bardzo ostrożnie, to ten typ w nas wjechał.

– Może i tak, ale to nie typ miał półtora promila w wydychanym powietrzu – przypomniałem.

– Wiem, wiem. Nie musisz tego wypominać – burknęła niezadowolona Ola.

– Nie wypominam, tylko stwierdzam fakt – zauważyłem, wstając z łóżka i podchodząc do okna.

– Słuchaj, poszukuję kierowcy dla Blanki i pomyślałam o tobie – powiedziała siostra, zmieniając temat.

W pierwszej chwili pomyślałem, że jeszcze nie wytrzeźwiała, ale przecież od wypadku minęło kilkanaście godzin, więc alkohol musiał już wyparować z jej organizmu, niczym komunijne pieniądze z dziecięcych skarbonki. Kolejna myśl kazała mi przypuszczać, że Ola zdążyła już uzupełnić brakujący poziom promili. Przecież pomyśl, abym stał się kierowcą jednej z najbardziej rozpoznawalnych celebrytek, nie mógł się zrodzić w trzeźwym umyśle, tym bardziej że uważałem swoją siostrę za inteligentną i mądrą babkę. Świadczył o tym choćby fakt, że od ponad roku była asystentką Blanki Lipiec, a to nazwisko znała połowa Polaków. Telewizyjny reality show prowadzony przez Blankę przyciągał przed telewizory miliony widzów. Przez jednych uwielbiana, przez innych znienawidzona. Z pewnością miała jednak charyzmę i własny, niekonwencjonalny, a czasami kontrowersyjny i szokujący styl.

– To ma być żart? – upewniłem się, przysiadając na parapecie i obserwując krople deszczu, uprawiające wyścigi na szybie.

– Nie, po prostu szukamy z Blanką kierowcy i zarekomendowałam jej ciebie.

– Chyba będzie lepiej, jeśli dacie ogłoszenie do urzędu pracy albo niech Blanka na swoim Instagramie ogłosi casting na kierowcę, bo ja się do wożenia takiej gwiazdy nie nadaję.

– Olek, my szukamy kogoś opanowanego, dyskretnego, kulturalnego, cierpliwego, a moim zdaniem ty spełniasz wszystkie te warunki.

– No z tą cierpliwością to masz rację, bo chyba tylko anioł mógłby wytrzymać z Blanką w jednym samochodzie – stwierdziłem, nie kryjąc rozbawienia. Jednak siostrze nie było do śmiechu.

– Olek ty jej nie znasz. Blanka nie jest taka, jak kreują ją media.

– I raczej nie chcę tego zmieniać i jej poznawać – wtrąciłem, nie zamierzając ciągnąć dłużej tej rozmowy, zwłaszcza że co chwilę odzywał się w słuchawce sygnał połączenia oczekującego.

– Ola, bardzo dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam – uciałem ostro – a teraz już muszę kończyć, bo mam na linii drugą rozmowę – dodałem znacznie łagodniejszym tonem i rozłączyłem się.

Numer, z którego od kilku minut ktoś próbował się do mnie dodzwonić, nie figurował w moich kontaktach. Gdyby dzwoniło w ciągu tygodnia, to obstawiałbym fotowoltaikę, ale był Nowy Rok, więc ta opcja nie wchodziła w grę.

– Tak, słucham? – powiedziałem, starając się, aby mój głos zabrzmiał neutralnie.

– Czy rozmawiam z panem Aleksandrem Baran? – usłyszałem przyjemny dziewczęcy głos. Jednak już sam fakt, że rozmówczyni nie odmieniła mojego nazwiska, podziałał na mnie jak Biedroń na Rydyzka.

– Tak, przy telefonie.

– Dzwonię z portalu o gwiazdach. Był pan rano na miejscu wypadku Blanki Lipiec, czy może pan opowiedzieć naszym czytelnikom przebieg zdarzenia?

– Skąd, pani, ma mój numer telefonu? – rzuciłem z wściekłością porównywalną do tej, jaką widziałem u niemieckich skoczków narciarskich po nieudanym skoku.

– Od swojego przełożonego.

– To niech mu pani powie, że jeśli otrzymam jeszcze jeden podobny telefon, to poproszę Putina, aby napuścił swoich hakerów na waszą stronę – zagroziłem i przerwałem połączenie. Następnie zadzwoniłem do Oli.

– Wiedziałaś, że przemyślisz sprawę i oddzwonisz – oznajmiła na powitanie.

– Możesz mi powiedzieć skąd jakiś pierdolony serwis o gwiazdach, zdobył mój numer?

– A dzwonił do ciebie?

– Gdyby nie dzwonił, to bym nie pytał! – wyrzuciłem, rewidując w myślach opinię o inteligencji swojej siostry. Jedyne co ją usprawiedliwiała to alkohol, stres i Nowy Rok.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznała szczerze – ale mam nadzieję, że nic im nie powiedziałaś?

– Nawet gdybym powiedział wszystko, co wiem, to reputacja Blanki bardziej by już nie ucierpiała – stwierdziłem – a co do roboty szofera, to zdania nie zmieniłem – dodałem i bez pożegnania zakończyłem połączenie.

Nie zamierzając odbierać podobnych telefonów, zablokowałem wszystkie nieznanne numery i poszedłem coś zjeść. Kiedy przed zaśnięciem z ciekawości przejrzałem wpisy o porannym wypadku, wszystkie miały po kilkaset tysięcy wyświetleń, a kilka z nich dobijało do trzech milionów. Propozycja Oli była cholernie kusząca, otwierała przede mną nowe możliwości rozpracowywania Blanki. W końcu to barmani i taksówkarze byli najczęściej wybierani na powierników ludzkich smutków, a szofer to prawie jak taksówkarz. Kto wie, może nawet, mógłbym liczyć na gorący romans. Ta ostatnia opcja była jednak mało prawdopodobna z dwóch powodów. Po pierwsze, Blanka choć atrakcyjna, zupełnie mnie nie kręciła. Gdy kiedyś powiedziałem o tym Oli, ta spojrzała na mnie tak, jakbym nagle zmienił orientację. Po drugie dzieliły nas cztery lata, a ja wyznawałem zasadę, że nie chodzę do łóżka z kobietami starszymi ode mnie. Co prawda raz, czy dwa reguła ta została złamana, ale tylko dlatego, że użytkownicy Tindera postanowiły odjąć sobie kilka lat. Jednak największą przeszkodą, na drodze do świetlanej kariery szofera Blanki Lipiec, był fakt, że dzieło, nad którym pracowałem od kilku miesięcy niczym średniowieczny skryba, miało zostać wydane w formule Galla Anonima, czyli pod pseudonimem. To z kolei, wymagało odsunięcia od siebie jakichkolwiek podejrzeń, że miałem coś wspólnego z powstaniem tego paszkwilu. Bo tak najpewniej zostanie on nazwany, przez jego bohaterkę. Nie trudno się domyślić, że spiskowców będzie poszukiwała w swoim otoczeniu, a kierowca z miejsca wzbudziłby podejrzenia. Operacja pokazania światu prawdziwego oblicza Blanki, choć brudna i śmierdząca, musiała zostać przeprowadzona w białych rękawiczkach. Dlatego, bycie jej kierowcą, byłoby jak położenie łba na katowskim pieńku.

Moje twarde postanowienie o wożeniu ludzi, a nie rozkapryśzonej gwiazdy przetrwało zaledwie kilkanaście godzin. Wszystko za sprawą Henryka Sobieskiego, który wraz z żoną wybrał się do Świątyni Opatrzności Bożej na niedzielną mszę. Kiedy po zakończeniu nabożeństwa wyjeżdżał z parkingu na aleję Rzeczypospolitej, jego

siedemdziesięciopięcioletnie oczy nie zauważyły zielonego golfa. Mój refleks, wyćwiczony w miejskiej dżungli tym razem zdał się na nic. Zaparkowałem na bagażniku fiata punto z taką siłą, że przód mojego golfa wyglądał jak aluminiowa puszka po spotkaniu ze zbieraczem metali kolorowych. Na szczęście jechałem sam, a państwo Sobiescy, mimo iż oboje po siedemdziesiątce wyszli z wypadku bez szwanku. Tym razem obeszło się bez niebieskich mundurów. Pan Henryk rozumiał swój błąd, podpisał oświadczenie sprawcy i rozstaliśmy się, kalkulując w myślach, czy nasze kochane autka będą jeszcze kiedyś mogły mknąć radośnie stołecznymi ulicami. W przypadku fiata było to całkiem możliwe, bo punto odpało, a pan Henryk nie robiąc sobie nic z uszkodzonego tyłu, odjechał do syna na niedzielny obiad. Ja natomiast musiałem ponownie skorzystać z usług lawety.

Gdy tym razem zadzwoniłem do Michała, prosząc o pomoc, ten nie krył zaskoczenia. Co więcej, osobiście przyjechał z pomocą.

– Musiałeś zadrzeć z Najwyższym, skoro nawet opatrność Boża cię opuściła – zawyrokował, spoglądając najpierw na gmach świątyni, a później *en face* na rannego golfa.

– I co, doktorku, pacjent będzie żył? – zażartowałem, choć nawet jako laik motoryzacyjny, dla którego wszystko, co pod maską było jedną wielką zagadką, wiedziałem, że uszkodzenia są poważne.

– Jak znajdziemy kilku dawców, którzy użyczą odpowiednią ilość części zamiennych to tak – odpowiedział po dłuższej chwili zastanowienia – jednak z finansowego punktu widzenia to nie będzie rentowna inwestycja – dodał, przesyłając tym samym zawołowaną sugestię, że najwyższy czas kupić coś nowego.

– Na razie odholujemy go do ciebie, a ja przemyślę sprawę – zdecydowałem, próbując grać twardego chłopaka z miasta.

Wspólnymi siłami zapakowaliśmy auto na lawetę i wyruszyliśmy do Janek. Czterdzieści minut wystarczyło, aby odświeżyć wspomnienia z podstawówki oraz zaktualizować informacje o dawnych znajomych. Kiedy dotarliśmy do serwisu, ustawiliśmy golfa obok cukiereczka Blanki, widok był żenujący, głównie za sprawą wszechobecnego różu.

– Takiego sobie kup – rzucił Michał, wskazując na lexusa – będziesz wtedy jak prawdziwy baron – dodał z nutką ironii.

– Kolor mi nie odpowiada – przyznałem zgodnie z prawdą – a poza tym ja już jestem baronem, tylko bez O – zauważyłem i chcąc uniknąć kontynuowania tego tematu, szybko się pożegnałem.

Idąc w stronę bramy wjazdowej, odpałem aplikację i zamówiłem Ubera. Z dostępnych kierowców wybrałem Władimira, jeżdżącego szarą škodą fabią, gdyż tylko on spełniał moje aktualne możliwości finansowe. Władimir zjawił się po czterech minutach, jego auto wyglądało na młodsze, niż było w rzeczywistości, a on sam okazał się bardzo rozmownym chłopakiem ze Lwowa. Chociaż wybrałem płatność kartą, to wysiadając przed apartamentowcem, w którym Ola kupiła mikromieszkanie, zostawiłem na siedzeniu banknot z pierwszym uznawanym władcą Polski i ruszyłem na rozmowę o pracę, która w obecnej chwili była mi potrzebna jak śnieg góralom.

Siostra nie wydawała się zaskoczona moją wizytą, ba! Miałem dziwne przeczucie, że była na nią przygotowana.

– Wiedziałam, że jesteś mądrym facetem i gdy się z tym prześpisz, to zmienisz zdanie, dlatego robota wciąż na ciebie czeka.

– Dobra, możemy porozmawiać – zgodziłem się, postanawiając przemilczeć wypadki ostatnich dwóch godzin – ale mam pewne warunki – zastrzegłem, podchodząc do ekspresu, aby zrobić sobie kawę.

– Warunki? – Ola zaskoczona moją postawą uniosła wysoko perfekcyjnie wyregulowane brwi.

– Tak, mam pewne warunki – potwierdziłem, zabierając z podstawki kubek z aromatycznym cappuccino.

– Olek, ty to mnie zadziwiasz. Dostajesz szansę, o jakiej inni mogą tylko pomarzyć i jeszcze kręcisz nosem. Grymasisz jak rozpuszczony bachor.

– Kręcę nosem, bo nie jestem jednym z tych, którzy śnią po nocach o byciu szoferem Blanki Lipiec.

– Co do warunków, to musisz o nich porozmawiać z Blanką – zakomunikowała Ola – bo to ona będzie ci płacić – dodała, sądząc, że chodzi mi wyłącznie o kasę.

– Żaden problem, chętnie przedyskutuję z nią tę kwestię.

– Będzie u mnie za godzinę, więc jeśli nie masz teraz żadnych kursów, to możesz poczekać.

– Chwilowo zostałem wyautowany – przyznałem, wiedząc, że wcześniej czy później i tak będę musiał wypowiadać się z wypadku pod Świątynią Opatrzności.

– To znaczy? – Ola ponownie uniosła brwi w geście zdumienia.

– Używając terminologii Blanki, stary buc wymusił na mnie dzisiaj pierwszeństwo – oznajmiłem, przeprasząc w myślach pana Henryka.

– Jak widzisz, nieszczęścia chodzą parami – podsumowała siostra. Jeśli tym stwierdzeniem chciała mnie pocieszyć, to osiągnęła efekt odwrotny do zamierzonego.

– Tyle, że ja byłem trzeźwy jak niemowlę po urodzeniu, a Blanka jak jego tatuś po imprezie pępkowej.

– Mam tylko jedną prośbę, nie wspominaj Blance o wypadku – poprosiła Ola.

– O wypadku, czy o tym, że waliło od niej jak z gorzelni? – zapytałem, chcąc się upewnić, co siostra miała na myśli.

– O jednym i drugim – stwierdziła, dodając, że tak będzie lepiej.

Już chciałem zapytać dla kogo będzie lepiej, ale przeszkodził mi dzwonek domofonu.

– A ona nie miała być za godzinę? – rzuciłem, spoglądając pytająco na drzwi.

– U Blanki czas to pojęcie względne – wyszeptała Ola i poszła otworzyć.

Negocjacje, jakie zaczęły się kilka minut później, dotyczyły czterech punktów, z których najbardziej sporny okazał się właściwie tylko jeden. Moje oczekiwania finansowe na poziomie dwudziestu złotych za godzinę Blanka zbyła stwierdzeniem, że da mi nawet dwadzieścia pięć. Nie miała też nic przeciwko temu, abym to ja decydował jaka muzyka będzie towarzyszyć nam podczas jazdy. Pewne opory pojawiły się przy warunku o niepaleniu w aucie, ale i on został zaakceptowany. Tym bardziej że Blanka wdrażała w życie noworoczne postanowienie, o rzuceniu palenia. Jednak, gdy wspomniałem, że nie będę kierowcą różowego cukiereczka i musi załatwić auto w mniej oczekiwanej kolorze, Blanka stanęła okoniem.

– Jako mała dziewczynka marzyłam, że kiedyś będę miała różowy samochód – zaczęła, patrząc na mnie tak, jakbym właśnie chciał pozbawić ją całego majątku, a przy okazji wymordować połowę jej rodziny.

„Za dużo telewizji i lalki Barbie” – pomyślałem, ale nie odważyłem się powiedzieć tego na głos.

– Dlatego, gdy tylko serwis upora się z naprawą, będziemy jeździli cukiereczkiem – zakomunikowała i chcąc zaznaczyć swoją determinację, uderzyła pięścią w stół.

– Dobrze, będzie tak, jak mówisz – skapitulowałem.

Jednak biorąc pod uwagę, że było trzy do jednego dla mnie, uważałem się za wygranego. Poza tym liczyłem na to, że okres pandemii, problemy z chińskimi częściami i moje osobiste wstawiennictwo u Michała, gdzie samochód miał być naprawiany, odsunie w czasie termin oddania auta.

Wracając na piechotę do domu, zastanawiałem się, czy decyzja, jaką podjąłem, była słuszna. Z finansowego punktu widzenia – na pewno tak. Miałem stabilną, choć tylko czasową pracę. Jednak fakt, że zostałem szoferem Blanki Lipiec, trochę mnie przytłaczał. Dodatkowo fakt, że zawdzięczałem to Oli, a nie swojemu doświadczeniu czy urokowi osobistemu martwił mnie najbardziej. Istniało bowiem ryzyko, że jeśli z jakiegoś powodu Blanka nie będzie ze mnie zadowolona, to może się to negatywnie odbić na jej współpracy z Olą, a tego bym nie chciał. Opierając się na tym, co kreowały media, a Blanka sporo im w tym pomagała, postrzegałem ją jako stukniętą babę, której celem było uwolnienie kobiet z jarzma męskiej dominacji, a przy okazji zarobienie małej fortuny. Rzecz jasna nie widziałem w tym niczego złego, ale osobiście byłem zdania, że współczesne kobiety są już dostatecznie wyzwolone.

Matka, na wiadomość, że będę kierowcą Blanki, wpadła w derwiszowski trans zachwytu i nawet ojciec miał problemy z uspokojeniem jej podniecenia.

– Mój syn będzie woził Blankę Lipiec – powtarzała jak mantrę, nawet wtedy, gdy wieczorem poszła umyć zęby.

Ja z kolei zachodziłem w głowę, czym będę tę Blankę woził. Rano musiałem odebrać od ubezpieczyciela samochód zastępczy, ale nie miałem pojęcia, jaki to będzie wóz. Co prawda Blanka poinformowała, że przedstawiła swojemu agentowi wymagania, ale oczekiwania to jedno, a rzeczywistość to drugie. Zaspiając, powtarzałem w kółko: „byłe nie różowy, byłe nie różowy”.

Kiedy rankiem zjawiłem się w wyznaczonym serwisie czekała mnie miła niespodzianka. Po pierwsze mogłem wybrać spośród trzech aut, a po drugie żadne z nich nie było różowe. Ostatecznie zdecydowałem się na czarne BMW X2. Samochód był kompaktowy, zwinny, a jednocześnie dynamiczny. Dzięki temu doskonale sprawdzał się zarówno w mieście, jak i na trasie. Blanka nie do końca była zadowolona z mojego wyboru.

– Jakiś taki mały i czarny – marudziła, kiedy pojechałem zaprezentować jej nowe-tymczasowe auto.

– W porównaniu do twojego lexusa, to nie zmieścisz w nim tygodniowego zatowarowania dla Żabki – przyznałem – ale za to wszędzie nim zaparkujesz – dodałem. Nie omieszkalem też nawiązać do koloru, oznajmiając, że teraz paparazzi, chcąc ją wysledzić, będą musieli używać Pegasusa.

– Czego używać? – spytała, nie rozumiejąc, o czym mówię.

– Takiego oprogramowania szpiegującego – wyjaśniłem i w kilku zdaniach opisałem najnowszą aferę.

– Jakoś o tym nie słyszałam – bąknęła i natychmiast zmieniła temat, informując, że pierwszy dłuższy wyjazd jest zaplanowany na piątek, a celem podróży będzie Poznań.

Fakt, że Blanka zupełnie nie orientowała się w sytuacji polityczno-gospodarczej uświadomił mi, że jest oderwana od rzeczywistości, bardziej, niż do tej pory sądziłem. Jednak biorąc pod uwagę, że koncentrowała się na uwalnianiu kobiet z kajdan męskiej zależności i reklamowaniu wszystkiego, począwszy od książek, a na ubraniach, perfumach i dietetycznym żarciu kończąc, wcale mnie to nie dziwiło.

Kiedy zaparkowałem na miejscu, gdzie przez poprzednie kilka lat parkował zielony golf, wzbudziłem zainteresowanie sąsiadów. Jeden z nich ośmielił się nawet zapytać, ile mnie ta fura kosztowała. Wiedząc, że typ jest przeciwnikiem szczepionek, oświadczyłem, szczerząc zęby w uśmiechu, że wygrałem w loterii szczepionkowej, czym natychmiast i ostatecznie straciłem w oczach pana Sikorskiego wszelki szacunek. Mając to w głębokim poważaniu, popędziłem do mieszkania, aby coś zjeść i zaproponować mamie przejażdżkę tymczasowym samochodem Lipiec. Tego dnia nastrój mojej rodzicielki był jednak daleki od ekstazy sprzed kilkunastu godzin. Siedząc przy stole z kalkulatorem, klęła tak, że miałem wrażenie, iż bierze udział w konkursie na największą ilość przekleństw wypowiedzianych na minutę.

– Co się dzieje? – zapytałem, przysiadając na wolnym krześle.

– To się, kurwa, dzieje, że przez ten jebany Polski Ład mam wypłatę mniejszą o pięćset złotych – wrzasnęła, ciskając kalkulatorem o blat.

Urządzenie ruchem ślizgowym pokonało długość stołu, po czym z gracją godną Piotra Żyły podchodzącego do lądowania, spadło na podłogę.

– Ale, jak to możliwe?

– Właśnie tego, kochany synku, nie wie nikt. Dzwoniłam do szkoły, a tam mi powiedziano, że wszyscy nauczyciele dostali mniej niż zwykle. Podobno coś się komuś w rządzie popierdoliło i zamiast być lepiej będzie jak zwykle – rzuciła, tłumiąc w sobie wściekłość – jedyny plus jest taki, że za trzy lata idę na emeryturę – dodała, podchodząc do kuchenki, na której stał garnek z parującą zupą.

– Kalafiorowa? – zapytałem, pociągając nosem.

– Tak, twoja ulubiona – potwierdziła.

Blanka zgodnie z ustaleniami czekała już pod swoim blokiem. Jej długi różowy płaszcz skupiał na sobie uwagę każdego przechodnia.

„Gdyby była naga, nie wzbudzałaby takiej sensacji” – pomyślałem, zatrzymując się tuż przy krawężniku.

– Mam nadzieję, że nie jestem za późno? – zapytałem, spoglądając na zegarek.

– Spokojnie, to ja wyszłam trochę wcześniej – uspokoiła mnie.

„No tak, względne poczucie czasu” – przypomniałem sobie słowa Oli. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, słuchając, jak spiker w radiu opowiadał o przypadającym na dziś Dniu Dziwaka.

– Ja, drodzy słuchacze, mam hopla na punkcie ostrzenia noży. Posiadam kilka kamieni o różnych gradacjach i gdy chcę się odstresować, idę do garażu ostrzyć noże. Jeśli wy też macie jakieś dziwne pasje, zadzwoniecie i się pochwalcie – zachęcił radiowiec. Blanka natychmiast wyjęła z różowej torebki iPhone'a w tym samym kolorze i wybrała numer.

– Cześć, tu Blanka Lipiec, moim dziwactwem jest kolor różowy i pewnie dlatego wszystko wokół mnie musi być różowe. Na świat również patrzę przez różowe okulary – wyrecytowała wystudiowanym, opanowanym głosem.

– Jak było? – zapytała, kładąc smartfon na stojaku między siedzeniami.

– Dla mnie zbyt różowe – wyznałem szczerze.

– Bo takie właśnie miało być – stwierdziła wyraźnie zadowolona ze swojego występu. Nie minęło nawet dziesięć minut, a wypowiedź Blanki usłyszało kilka milionów Polaków. Chwilę później rozdzwonił się jej telefon i przez kolejne pół godziny odbierała gratulacje. Skończyła dopiero tuż po ósmej.

– Możemy tego posłuchać? – poprosiłem, wskazując na radio.

– A co to będzie?

– Rozmowa z Barbarą Nowak, krakowską kurator oświaty – wyjaśniłem.

– Czy to ta sama, która zabroniła uczniom oglądać *Dziady*? – zapytała Blanka, wprawiając mnie w osłupienie. Fakt, że kojarzyła Barbarę Nowak z konkretnym wydarzeniem, oznaczał, że jednak nie była tak oderwana od rzeczywistości jak pierwotnie zakładałem.

– Ta sama – potwierdziłem. Przez kolejne kilkanaście minut słuchaliśmy wywiadu, a kiedy ten się skończył, Blanka przymknęła oczy i oparła głowę o zagłówek. Pomyślałem, że chce się zdrzemnąć, więc ściszyłem radio.

– Mam nadzieję, że gdy moje dzieci zaczną chodzić do szkoły, to takich kurwatorek już nie będzie na tym świecie – wyszeptła. Chęć posiadania potomstwa zabrzmiała w ustach Blanki niedorzecznie. Ona, która wielokrotnie przyznawała, że na matkę, a szczególnie Polkę, zupełnie się nie nadaje, nagle w zaciszu samochodu wyznaje, że marzy o dzieciach.

– No dobra, trzeba tej babie pokazać, gdzie jej miejsce – wycodziła, sięgając po swój smartfon.

– Pozwolisz, że na chwileczkę wyłączę? – poprosiła tak grzecznie, jakbyśmy jechali nie jej, ale moim samochodem.

– Dzień dobry, kochane kobiety i dziewczyny – zaszczebotała, posyłając do kamery głośnego buziaka – mamy dziś piątek, piąteczek i choć to środek pierwszego w nowym roku długiego weekendu ja jestem w pracy. Właśnie jadę do Poznania, dopiąć pewien projekt, ale o tym, innym razem. Teraz chciałabym skupić się na czymś, co przed chwilą wstrząsnęło mną mocniej niż widok prawie gołego Korwina, maszerującego do sklepu. Czy wiecie kochane, kto to jest Barbara Nowak? Jeśli nie, to wygooglujcie sobie, nie zapominając podpowiedzieć wujkowi Google, że chodzi wam o kuratorkę z Krakowa. Otóż, ta pani udzieliła przed chwilą wywiadu w Zetce, wychwalając pod niebiosa korzyści, jakie daje Lex Czarnek. Wiecie, że zasadniczo to politykę, polityków i ich pomysły mam tam, gdzie lubię się czasem poklepać, aby nie nabawić się cellulitu. A tak przy okazji, skoro już o nim wspomniałam, to koniecznie wypróbujcie ten krem, o którym opowiadałam przed sylwestrem. Jak zwykle link podam w komentarzu. Ale, wracając do pani Barbary N. z krakowskiego kuratorium, to zbulwersowała mnie jedną swoją wypowiedzią. Nie chodzi bynajmniej o zmiany zawarte w Lex Czarnek, bo na edukacji się nie znam. Oburzyło mnie natomiast stwierdzenie, że szczepienia to eksperyment medyczny. Jak osoba, która z medycyną ma tyle wspólnego, co ja z załogowymi lotami w kosmos, śmie wypowiadać takie opinie i to w dodatku na antenie ogólnopolskiego radia? Mam tylko nadzieję, że ktoś, kto ma nie tylko władzę, ale i odwagę podejmie odpowiednie kroki. Wiem, że może tym razem brzmiałam jak mądra napompowana głowa, ale to, co usłyszałam, zwyczajnie mnie wkurwiło, a przecież wiecie, że jak mnie coś wkurwi, to nie trzymam języka za zębami. Tak więc trzymajcie się ciepło, dbajcie o siebie, a wieczorkiem zapraszam na wielki test maskary, która podobno jest zajebista. Tak więc widzimy się wieczorem – przypomniała i zakończyła transmisję.

– I jak wypadłam? – spytała, włączając radio. Zdziwiony prośbą o kolejną ocenę występu, zerknąłem w jej stronę. W dużych, niebieskich oczach rysowała się prośba o uznanie. Była tak autentyczna, że przez moment nie wiedziałem, jak powinienem zareagować.

– Spójrz na komentarze, to się przekonasz – zaproponowałem, unikając jednoznacznej odpowiedzi.

– Chciałabym poznać twoją opinię – nie ustępowała – wszystkie te komentarze, choć zapewne są szczerze, piszą ludzie, którzy w ogóle mnie nie znają – wyjaśniła.

– Ja też cię nie znam, ale skoro nalegasz, to powiem, że po pierwsze zafundowałaś pani Basi darmową kąpiel w rzece hejtu...

– Sama się baba prosiła – wtrąciła Blanka.

– ... masz rację – potwierdziłem i ponownie podjąłem przerwany wątek – a po drugie różowy rządzi – wskazałem na jej strój, składający się wyłącznie z ubrań w tym kolorze i uniosłem kciuk w geście zwycięstwa.

Gdy dojechaliliśmy do Poznania, zbliżała się dziesiąta. Dotarcie do celu zajęło nam jednak kolejne pół godziny.

– No, to teraz możesz pozwiedzać miasto, kupić świętomarcińskie rogalce albo zapolować na Pokemony – oznajmiła Blanka, zakładając na twarz maseczkę, która oczywiście była w kolorze różowym.

– Skąd wiesz, że bawię się w łapanie Pokémonów? – bąknąłem kompletnie zaskoczony.

– Nie zapominaj, że pracuję z twoją siostrą – roześmiała się, wysiadła z auta i lekkim krokiem ruszyła do drzwi nowoczesnego biurowca, w którym miała spotkanie.

„Już ja tej Oli pokażę” – pomyślałem, odpalając aplikację i sprawdzając, czy w okolicy są jakieś ciekawe stwory. Kiedy zobaczyłem, że zupełnie niedaleko zabląkał się Tapu Lele, uznałem to za dość intrygujący zbieg okoliczności. Po pierwsze Tapu Lele był różowy, po drugie reprezentował typ psychiczno-baśniowy, a po trzecie posiadał ukrytą zdolność telepatii. Jednym słowem trochę przypominał Blanke, choć wizualnie, nie licząc wszechobecnego różu, wcale nie był do niej podobny. Oceniając, że mam dość spore szanse, wysiadłem i jak na zafiksowanego łowcę Pokémonów przystało, wyruszyłem na polowanie.

Kiedy, kilka godzin później, wracaliśmy do Warszawy, Blanka wydawała się dziwnie nieobecna. Przypuszczałem, że ma to związek ze spotkaniem. Może jej urok osobisty tym razem nie zadziałał jak szwajcarski zegarek i nie osiągnęła tego, na co liczyła. Od Oli wiedziałem, że Blanka nie potrafi przegrywać. Porażki były dla niej gorsze niż najostrzejsza krytyka i hejt razem wzięte. To, co mówili o niej inni, miała głęboko w dupie, ale osobiste czy zawodowe niepowodzenia rozpamiętywała bardzo długo. Kilka razy próbowałem zagaić przyjacielską rozmowę, ale gdy moje starania okazały się mizerniejsze od dokonania Syzyfa, skapitulowałem i skupiłem myśli na planowaniu wieczoru. Najciekawszym, a jednocześnie podniecającym pomysłem, było poderwanie jakiejś laski na Tinderze, co w Warszawie było łatwiejsze niż znalezienie czynnej Żabki w niedzielny poranek. Więc gdy tylko odwiozłem Blanke do domu, pojechałem na najbliższy parking, aby w spokoju przejrzeć dostępne kandydatki. W pewnej chwili zorientowałem się, że na tylnym siedzeniu leży kartonowa teczka, której Blanka zapomniała zabrać. Mogłem włożyć ją do schowka i oddać dopiero następnego dnia albo odwieźć, i tym samym zasłużyć na tytuł oddanego pracownika. Po krótkiej chwili zastanowienia wybrałem pochwałę przełożonej i objeżdżając rondo, wróciłem pod apartamentowiec. Zgodnie z wymogami nowoczesnego *savoir-vivre*, najpierw wykonałem telefon, ale Blanka albo nie raczyła, albo nie mogła odebrać. Wtedy korzystając z uprzejmości nastolatki wyprowadzającej psa na spacer, wślizgnąłem się do apartamentowca. W tempie kuriera dotarłem do drzwi z numerem dwanaście i nacisnąłem dzwonek. Jednak, ku mojemu zdumieniu, nikt nie otwierał. Już wyciągałem dłoń, by zadzwonić ponownie, gdy poczułem, że ktoś chwytą mnie za ramię. Wystraszony spojrzałem za siebie i doznałem jeszcze większego szoku. Tuż za mną stała niska zasuszonej staruszka, ubrana na czarno. Jej pomarszczona twarz przypominała oblicza czarownic z książeczek dla dzieci.

– Pan tam nie wchodzi, bo stamtąd jeszcze nikt nie wyszedł żywy – ostrzegła szeptem przypominającym skrzypienie zardzewiałych zawiasów.

„Co to za wiedźma” – pomyślałem i już byłem gotów wykonać znak krzyża, gdy powstrzymał mnie znajomy głos.

– Pani Wando, proszę iść do siebie i nie rozpowiadać tych bredni – rozkazała Blanka, piorunując staruszkę takim spojrzeniem, że ta, choć już była mała, skurczyła się jeszcze bardziej i bez słowa podreptała do uchylonych drzwi, zlokalizowanych naprzeciw mieszkania Blanki.

– A, ty co tutaj robisz? – tym razem to ja poczułem na sobie nieprzyjemny wzrok.

– Zapomniałaś w samochodzie, więc postanowiłem odnieść – wyjąkałem, wskazując na trzymaną pod pachą teczkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po kilku dniach pracy jako szofer jednej z celebrytek doszedłem do wniosku, że praca nie była specjalnie wymagająca. Musiałem tylko wozić Blankę tam gdzie chciała, kiedy chciała i z kim chciała. Wbrew krążącemu plotkom, Blanka ani nie grała nałogowo w kasynie, choć co kilka dni lubiła zostawić tam równowartość moich dziennych zarobków, ani nie zmieniała facetów jak podpasek w trakcie okresu. Chociaż przyrównanie relacji damsko-męskich do menstruacji, było mocno kontrowersyjne i wzbudzało skrajne reakcje, nawet wśród samych kobiet, to Blanka używała tego porównania tak często, jak prezenter pogody określał: temperatura, chmury i wiatr. Co więcej, była jego autorką. Tak więc, oprócz wożenia gwiazdy z miejsca A do miejsca B, miałem sporo czasu wolnego. Mogłem zatem podgonić pisanie magisterki, bo moja promotorka podczas każdego naszego spotkania online powtarzała:

– Panie Aleksandrze, w takim tempie, prędzej pokonamy pandemię, niż pan napisze i obroni pracę magisterską.
– Oby słowa Pani Profesor były prorocze – kwitowałem każdą taką przepowiednię, choć osobiście uważałem, że koronawirus zostanie z nami na zawsze, tylko jego forma będzie bezobjawowa, jak o swojej dyspozycji sportowej powiedział Piotr Żyła.

Poza przygotowaniem się do uzyskania tytułu magistra, a tym samym dołączenia do elitarnego grona kilku milionów Polaków, mogących wykazać się wyższym wykształceniem, realizowałem swój tajny plan. Wydobyć Blanki Lipiec z kokonu medialnego fałszu, traktowałem tak poważnie, jak Amerykanie pierwszy lot na księżyc. Podobnie jak oni, musiałem ukrywać swoje zamiary przed światem, aby osoba, którą zamierzałem złożyć na ołtarzu własnej sławy, dowiedziała się o wszystkim na samym końcu. Miało to trochę przypominać historyjkę o zdradzonym mężu, który zazwyczaj jako ostatni dowiaduje się o niewierności swojej połowicy. Pozostawało jeszcze zorganizowanie zasłony dymnej, za którą mogłaby się ukryć Ola, bo będąc prawą ręką, prawym okiem i prawym uchem Blanki, znalazłaby się automatycznie na szczycie listy podejrzanych o zdradę. Jednak, tym szczegółem na razie nie zwracałem sobie głowy. Ważniejsze było wyciągnięcie od siostry sekretów naszej szefowej.

Wszystkie pilnie strzeżone tajemnice, wyciągałem od Olki, która ufając mi bardziej niż pasażerowie pilotowi uszkodzonego samolotu, który miał awaryjnie lądować, bez żadnych oporów i z najdrobniejszymi szczegółami raczyła mnie takimi historiami, za które Plotek, Pudelek, Pomponik i inne podobne serwisy gotowe byłyby mnie ozłocić. Gdybym tylko stał się tajnym donosicielem tych portali, to za jedną pikantną historię z Blanką w roli głównej, mógłbym przez tydzień wylegiwać się na Zanzibarze, a takich historyjek znałem dziesiątki. Czasami rzeczywiście nachodziły mnie szalone myśli, aby sprzedać któryś z sekrecików, ale wtedy zawsze jakiś wewnętrzny głos przypominał, że celem jest pół bańki, a nie jakieś marne tysiące. Poza tym, słyszałem w głowie ostrzeżenie, które siostra wygłaszała za każdym razem, gdy kończyła kolejną mniej lub bardziej pikantną historyjkę, w której Blanka grała pierwsze skrzypce.

– Olek, jeśli cokolwiek z tego, co ci teraz powiedziałam, wyjdzie poza mury tego pokoju, to osobiście obetnę ci jaja – zapowiadała głosem tak spokojnym, jakby mówiła o przycinaniu róż w ogrodzie albo formowaniu żywopłotu, a nie pozbawieniu mnie narzędzia zdolnego podtrzymać nie tylko istnienie naszego rodu, ale przede wszystkim ludzkiego gatunku.

Co prawda jeszcze nie myślałem o przekazaniu swoich genów kolejnemu pokoleniu, ale jak to zwykła mówić mojej świętej pamięci babcia: »na wszystko jest czas, więc po co się srasz«. – Takich i podobnych powiedzonek babcia miała pod dostatkiem.

Groźba kastracji skutecznie torpedowała pokusę napisania do któregoś z portali o gwiazdach. Nie powstrzymywała mnie jednak przed robieniem notatek. Dzięki czemu twardy dysk mojego laptopa dla wielu osób

mógł być wart więcej niż skrzynka e-mailowa Michała Dworczyka. A od kiedy zostałem kierowcą Blanki, jego wartość mogły przebić tylko jaja Fabergé lub złoty pociąg, o którym wszyscy słyszeli, ale nikt go jeszcze nie znalazł.

Kilkadziesiąt minut, które średnio w ciągu dnia spędzałem z Blanką w samochodzie, dostarczało mi mnóstwo ciekawych, a czasami wręcz szokujących informacji. Tak było w niedzielę, gdy Ola, Blanka i ja wybraliśmy się do kina Atlantic na *Benedette*. Kiedy po seansie odwoziłem dziewczyny do mieszkania siostry, wywiązała się dyskusja o filmie. Ja właściwie nie brałem w niej udziału. Może raz, czy dwa wtrąciłem jakąś uwagę. Nagle, Blanka ze zwykłą dla siebie swobodą i szczerością przyznała, że kiedyś sama miała erotyczny epizod z kobietą. Po tym wyznaniu w aucie zapanowało niezręczne milczenie. Chcąc je przerwać, postanowiłem zapytać ją, jak wspomina to doświadczenie, ale siedząca za mną Ola, jakby coś przeczując, uszczypnęła mnie w kark. Na szczęście w głośnikach rozległ się głos Sanah, śpiewającej o kolońskiej i szlugach, który rozładował napięcie.

– Wiecie, że to piosenka o mnie? – roześmiała się Blanka. – Naprawdę, nie żartuję – oświadczyła, widząc moje uniesione w zdziwieniu brwi. – Tylko posłuchaj – poprosiła, przekręcając potencjometr.

»Ta kolońska i szlugi, z tobą lipiec był długi« – usłyszałem i mimowolnie rozciągnąłem usta w uśmiechu. Jechaliśmy więc przez rozświetloną Warszawę śpiewając na cały głos o Netfixie, TVN-ie, Barbie, Kenie, o lofcie na Grochowie, robocie w Microsofcie i nożu w plecach. Wesoła atmosfera zatarła kontrowersyjne wyznanie Blanki, która przecież, choć nie zmieniała facetów jak podpasek, to jednak była w kilku związkach. Aktualnie z tego, co udało mi się dowiedzieć od siostry, próbowała wyleczyć się z ostatniego faceta. A zdaniem Blanki Lipiec najlepsze lekarstwo na nieudany związek to samotność. Potwierdzało to teorię, że mężczyźni i kobiety są z zupełnie innych planet. Blanka była sama już od kilku miesięcy, a ja, choć od rozstania z Kaśką minęły zaledwie trzy tygodnie już przeczesałem Tindera, jak pilarze Puszcę Białowieską, patrząc, co by tu zerznąć.

– Najpierw odwieziemy Blankę – zarządziła nagle siostra.

Nasza szefowa nie protestowała, więc na skrzyżowaniu skręciłem w ulicę Rozbrat i pomknęliśmy w kierunku Wilanowa. Przeczynałem, że pomysł siostry miał jakieś drugie dno. Zagadka wyjaśniła się zaraz po tym, jak za Blanką zamknęły się drzwi apartamentowca, w którym mieszkała.

– Rozumiesz, braciszku, że nasza umowa o obcinaniu jajek dotyczy też tego, co usłyszysz w tym samochodzie.

– Nie jestem takim idiotą, jakby mogło wskazywać nazwisko – zapewniłem.

– To dobrze, bo jak widzisz nasza celebrytka, ma tajemnice, o których nawet ja nie wiem.

– Bycie lesbijką to raczej nie jest powód do dumy – wszedłem Oli w słowo – chociaż jakby tak popatrzeć na ludzi z show-biznesu, to coraz więcej z nich zdradza swoje prawdziwe, od dawna ukrywane orientacje – dodałem.

– To pewnie znak czasu i zmian – przyznała siostra – ale wyobraź sobie, że pracuję dla Blanki już ponad rok, a jeszcze nigdy nie byłam w jej mieszkaniu.

– Nie wiesz, jak ona mieszka? – szczerze się zdziwiłem. Rozumiałem, że niektóre gwiazdy chroniły swoje domowe zacisze, nie pozwalając, aby media publikowały zdjęcia ich sypialni, kuchni, garderoby, czy łazienki. Jednak Ola należała do kręgu osób, którym Blanka ufała, a mimo to nie pokazała jej swojego mieszkania.

– Wiedzieć wiem, bo mi opowiedziała, ale nigdy tam nie byłam. Zawsze spotykamy się u mnie albo gdzieś na mieście, ale nigdy u niej.

– To rzeczywiście bardzo dziwne – przyznałem, zastanawiając się, jakie to tajemnice Blanka Lipiec może skrywać w swoim mieszkaniu. Oczywiście wybujałej wyobraźni widziałem już kilka trupów w szafie, pokój zabaw, żywcem wyjęty z sagi o Christianie Greyu i garderobę wielkości kawalerki wypełnionej ubraniami w różowym kolorze. Wtedy, nagle przypomniałem sobie starszą panią i jej ostrzeżenie. Mimowolnie zadrżałem, jakby w aucie padło ogrzewanie.

– Pamiętaj, braciszku, morda w kubeł, bo inaczej ciach-ciach! – przypomniała Ola, wysiadając przed swoim apartamentowcem.

– Ty, mi lepiej przypomnij, o której mam jutro po ciebie przyjechać – poprosiłem, ignorując jej groźbę.

– O ósmej dwadzieścia, zapominalski baranie – odpowiedziała, posyłając mi szeroki uśmiech – radzę ci się wyspać, bo w poniedziałek mamy największy kociół – dodała i weszła do budynku.

Rzeczywiście, nie żartowała, mówiąc, że następny dzień będzie ciężki. Nawet jeżdżąc Uberem nie przypomniałem sobie, abym w ciągu trzech godzin zrobił tyle kilometrów po stolicy, co w to poniedziałkowe przedpołudnie.

– W weekend jedziemy do Zakopanego – zakomunikowała Blanka po powrocie z jednego ze spotkań.

– Ale sylwester to był dziesięć dni temu – przypomniałem, sądząc, że wyjazd pod Tatry to żart.

– Jedziemy na skoki – rzuciła Ola, posyłając mi mordercze spojrzenie, a ton jej głosu nie pozostawiał złudzeń, że przypominanie Blance sylwestra nie jest najlepszym pomysłem. Zamierzałem właśnie zaszerwować jakiś dowcip na rozluźnienie, gdy Blanka zasłuchana w radiowe wiadomości przyłożyła do ust palec wskazujący.

„Cholera, ona nawet lakier do paznokci ma w takim samym kolorze jak szminkę” – pomyślałem, wpatrując się w różowy paznokieć, który perfekcyjnie współgrał z kolorem jej warg.

– Będą mówili o Żulczyku – wyszeptała, wskazując podbródkiem radio.

– Jak się właśnie dowiedzieliśmy, Sąd Okręgowy w Warszawie postanowił umorzyć sprawę pisarza, Jakuba Żulczyka, oskarżonego o znieważenie prezydenta Andrzeja Dudy – oznajmił spiker – według sądu oskarżony swoim zachowaniem nie popełnił przestępstwa, a co za tym idzie, nie można mu przypisać odpowiedzialności karnej. Nie stanowi bowiem przestępstwa czyn, którego szkodliwość społeczna jest znikoma, uzasadnił wyrok sędziego Tomasz Grochowicz – zakończył dziennikarz i przeszedł do kolejnych wiadomości.

– Zadzwoń do Żulczyka i zaproś go do najbliższej *Patelni* – poprosiła Blanka, odwracając twarz do siedzącej z tyłu Oli. Dla wielu osób tytuł autorskiego reality show prowadzonego przez Blankę mylnie kojarzył się z programem kulinarnym. Tytułowa patelnia była wyłącznie metaforą i miała niewiele wspólnego z kuchnią. Podobno, sama prowadząca wpadła na tak, moim zdaniem, kiczowatą nazwę, łącząc swoje nazwisko, z tym że w lipcu bywają dni gorące jak przysłowiowa patelnia. W ten sposób narodził się program, który Blanka traktowała jak własne dziecko i sama decydowała o wszystkim, począwszy od zapraszanych gości, po dekorację studia, a ta była oczywiście różowa. Na szczęście ktoś mądry przekonał Blankę, aby zastosować kilka odcieni różu, dzięki czemu całość nie wyglądała monotonna niczym ciągnące się kilometrami pola kwitnącego rzepaku. Już sam początek programu, gdy Blanka przedstawiała gości, których zamierzała usmażyć na tytułowej patelni, dawał przedsmak, uczyty, w jakiej publiczność i telewizzowie będą brali udział.

– Spróbuj – zapewniła Ola – jednak wiesz, że z Żulczykiem może być ciężko – dodała, na co Blanka tylko smutno skinęła głową.

– Wiem, ale zrób, co możesz – poprosiła.

Dwie godziny później okazało się, że dobre chęci mojej siostry w połączeniu z jej zapałem i upartością to za mało, aby Jakub Żulczyk zechciał wystąpić w programie i dał się usmażyć, jak schabowy na niedzielny obiad.

– No nic, mówi się kurwa i żyje się dalej – podsumowała Blanka, używając jednego ze swoich ulubionych, autorskich wyrażen.

Oli przelknęła tę gorzką pigułkę porażki, przyszło trudniej niż Blance. Może dlatego, że siostra od zawsze była cholernie ambitna i każde, nawet najmniejsze niepowodzenie traktowała jak osobisty dramat, mogący zaważyć na jej przyszłości. Z kolei Blanka podchodziła zarówno do życia, jak i świata w sposób typowy dla Amerykanów. Cieszyła się z sukcesów, a porażki rozpamiętywała wyłącznie w samotności i zawsze miała odwagę powiedzieć to, co myśli. Dlatego właśnie budziła tak skrajne emocje. Dla jednych była kimś w rodzaju guru, a dla innych wcieleniem czarownicy odprowadzającej czary nad kobietami, które za ich przyczyną przestawały być grzecznymi żonami. Obserwując ją, teraz już z całkiem bliska zadawałem sobie pytanie, czy w pozie, jaką prezentowała, więcej było autentyczności, czy wyrachowanej manipulacji? Przecież wiele razy potrafiła zrzucić medialną skorupę i być przeciętną dziewczyną przed trzydziestką.

– Jutro spróbuję jeszcze raz – nie ustępowała Ola, zaciskając swoje małe dłonie w pięści.

– Opuść sobie – rzuciła lekceważącym tonem Blanka skrolując smartfon – zamiast tego skontaktuj się z tym gościem, który wczoraj do mnie napisał. Myślę, że to też się sprzeda, bo ludzie lubią być inspirowani – dodała, i zmęczonym ruchem odłożyła telefon do kieszonki między siedzeniami.

Dojeżdżaliśmy właśnie pod apartamentowiec Oli, skąd Blanka miała zabrać prezenty od sponsorów.

– Teraz już wiem, po co był ci potrzebny ten różowy dostawczak – mruknąłem, kiedy po piętnastu minutach skończyliśmy noszenie toreb i pudeł.

– Olek, zaczynam cię lubić, więc nie spierdól tego głupimi uwagami – przestrzegła mnie Blanka, wkładając do bagażnika ostatni z kartonów.

– Postaram się – obiecałem, otwierając jej drzwi, niczym dżentelmen z angielskich filmów. Ten gest wyraźnie ją zaskoczył, a nawet speszył. Spojrzała na mnie tak, jakby chciała powiedzieć coś w stylu: »Mam, kurwa, dwie ręce, więc sama potrafię sobie drzwi otworzyć«. Jednak po chwili jej wzrok złagodniał, a usta rozciągnęły się w lekkim uśmiechu.

– Bardzo dziękuję – powiedziała cichym, prawie melodyjnym głosem i wsiadła do samochodu.

– To gdzie teraz? – zapytałem, zapalając silnik.

– Do mnie – poleciała – no, chyba że masz jakiś inny, lepszy pomysł – dodała po chwili zastanowienia.

Nie miałem. A może po prostu nie byłem przygotowany na taki scenariusz.

– To może kawa? – zaproponowałem pierwszą rzecz jaka przyszła mi do głowy.

– Odważny jesteś – przyznała, z nieskrywanym podziwem.

Zaskoczony tym, co właśnie usłyszałem, odwróciłem głowę i napotkałem figlarne spojrzenie niebieskich oczu, które w połączeniu z lekko drwiącym uśmieszkiem, upodabniało jej twarz do buzi małej psotnej dziewczynki. Może dlatego pomyślałem, że jej słowa o mojej odwadze były rodzajem żartu. Dla mnie wypicie kawy z Blanką Lipiec nie było bohaterskim czynem, więc nie wiedziałem, dlaczego ona przedstawia to w takich kategoriach.

– Wiesz, że jutro nasze zdjęcia ukażą się we wszystkich kolorowych pisemkach i portalach, a ty staniesz się kolejnym tamponem Blanki L.? – kontynuowała, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Jeśli chciała mi uświadomić konsekwencje ukryte w małej filizance, to zrobiła to po mistrzowsku. Wizja przedstawiona przez Blankę podziałała na mnie jak studnia lodowa po wyjściu z sauny. Nie zamierzałem być bohaterem jednego dnia, o którym internauci zapomną, gdy tylko wybije północ. Co prawda już w paru serwisach zobaczyłem swoje zdjęcie wraz z adnotacją: »nowy kierowca Blanki L.« a kilka następnych snuło krótkie rozważania, czy aby na pewno tylko kierowca? Jednak z braku dowodów nikt nie ciągnął dalej tego wątku. Pojawienie się z nią w kawiarni mogło podziałać na paparazzich jak świeża krew rannego jelenia na psy myśliwskie, a tego wolałem uniknąć.

– W takim razie, skoro mamy dbać o twoją reputację, to pojedźmy do ciebie i wypijmy kawę w domowym zaciszu – zaproponowałem, mając nadzieję, że tym sposobem zobaczę mieszkanie Blanki.

– Nie mam w domu ani kawy, ani ekspresu – ucięła, rozwalając w pięć sekund mój perfekcyjnie przygotowany plan.

– To może kawa na wynos. Znam Orlen, z najlepszym ekspresem w Wawie. Weźmiemy sobie flat white i wypijemy w samochodzie albo pod mostem Siekierowskim, albo w jakiejś ciemnej bramie na Pradze – podsunąłem.

– Pomysł kreatywny, miejscówki też niczego sobie – przyznała – ale może innym razem. Pozwól, że dzisiaj pokażę ci, jak smakuje prawdziwa kawa – dodała, wbijając do nawigacji adres ulubionej kawiarni.

Kawa, mimo iż kosztowała prawie dwie dychy za kubek, w moim przekonaniu, nie była warta swojej ceny, ale Blanka miała na ten temat inne zdanie.

– Mówisz tak, bo przyzwyczyłeś się do tego czegoś, co serwują na stacjach benzynowych, knajpach z szybkim żarciem i kawiarniach sieciowych. Tutaj dostajesz ziarna prawdziwej arabiki – zachwycała się, wciągając w nos aromat z taką wprawą, jakby to był biały proszek.

Dla mnie kawa była za ciepka i za mocna. Jednak obserwując Blankę, nie miałem wątpliwości, że jej smakuje. Delektowała się każdym łykiem, podczas gdy ja opróżniałem kubek w tempie spóźnionego kuriera.

– Wiem, wiem, popełniłem świętokradztwo – przyznałem, podchwytując naganne spojrzenie Blanki. Chciała coś odpowiedzieć, ale akurat wtedy zadzwonił jej telefon. Ostrożnym ruchem odstawiła kubek, przesunęła kciukiem zieloną słuchawkę i przyłożyła różowego iPhone'a do ucha.

– Tak, Jarku – odezwała się zmęczonym głosem.

Śluchała w skupieniu, tylko co pewien czas wtrącając jakąś uwagę. Nie przerywając rozmowy, dała mi znak, abym ruszył.

Uruchomiłem silnik i włączyłem się w sznur samochodów, zmierzających do centrum. Wnioskując po tym, co mówiła, domyśliłem się, że dzwoni adwokat. Sprawa, o jakiej rozmawiali, była dla mnie oczywista. Wyrażenia w stylu »pierdolony egzamin« i »pojebane przepisy« mówiły wszystko.

– Nie dość, że będę miała chujowy wieczór, to jeszcze kawa mi wystygła – rzuciła, kończąc rozmowę i chowając telefon do torebki. Teraz była tą Blanką, którą jedni uwielbiali, a drudzy gnoili. Zdecydowaną, drapieżną i nieustępliwą.

– Nie myślałaś, aby znaleźć sobie pseudonim artystyczny? – zapytałem, hamując przed skrzyżowaniem.

– Ciekawe jaki? Może różowa pantera?

– Czemu nie, pasuje do ciebie jak ulał – zgodziłem się.

– Tylko niestety jest już zajęty, a poza tym lubię swoje imię i nazwisko – ucięła, sięgając po kubek. Teraz piła z wyraźną niechęcią i po kilku łykach odstawiła kawę.

Gdy dotarliśmy pod jej mieszkanie, było po osiemnastej. Aby ułatwić sobie zadanie noszenia paczek, zaparkowałem tuż przy wejściu do apartamentowca. Obładowany pierwszą partią toreb i pudeł, ruszyłem schodami na pierwsze piętro.

– Zostaw je tutaj przed drzwiami – poprosiła Blanka, szukając w torebce kluczy do mieszkania.

– Wniose ci je do środka – zaproponowałem, licząc, że jeśli nie kawa, to może paczki staną się przepustką do miejsca, które ewidentnie kryło jakąś tajemnicę. Przecież gdyby Blanka nie miała nic do ukrycia, to zaprosiłaby Olkę do siebie, a jednak nawet moja siostra nie dostała tego zaszczytu.

– Nie trzeba, sama sobie poradzę.

– Ale to naprawdę żaden problem – zapewniłem, obdarzając ją nienaturalnie szerokim uśmiechem. Podobne widziałem tylko u aktorów reklamujących pasty do zębów.

– Olek, kiedy byłeś u laryngologa? – zapytała, nagle zupełnie zmieniając temat.

– U laryngologa? – powtórzyłem za nią, a w następnej chwili zrozumiałem, że pytanie było uzasadnione i mój śnieżnobiały, szeroki na kilkanaście centymetrów uśmiech przygał.

– Tak, u laryngologa, to taki specjalista od uszu – wyjaśniła cierpliwie.

– Aluzja dotarła! – zakomunikowałem tonem żołnierza, meldującego dowódcy wykonanie zadania.

– Bardzo mnie to cieszy – przyznała zadowolona – ale na przyszłość, aby uniknąć podobnych sytuacji, pamiętaj, że do tego mieszkania – mówiąc to, pokazała na białe drzwi z geometrycznymi przetłoczeniami – poza mną może wejść tylko hydraulik, elektryk i ekipa remontowa – wyliczała – a ty jesteś moim kierowcą, więc proszę postaw tutaj paczki i idź po kolejne – powtórzyła prośbę.

Postawiłem pakunki na podłodze, z której unosiła się delikatna woń jakiegoś detergentu i odszedłem w kierunku schodów. Kiedy wróciłem z pozostałymi prezentami, które przez kilka następnych dni Blanka miała reklamować na swoim Instagramie, poprzednie pakunki zniknęły, a ona sama stała przed drzwiami, wpatrując się w ekran telefonu.

– O której mam jutro przyjechać?

– O dziesiątej – zarządziła, dodając, że po tak ciężkim dniu musi się porządnie wyspać.

Wróciłem do samochodu, ale zamiast natychmiast odjechać, siedziałem, bębniąc palcami po obitej skórą kierownicy. Zastanawiałem się co zrobić z resztą dnia, który, był jeszcze dość młody, choć za oknem panowały już polskie styczniowe ciemności. Z wielu opcji wybrałem tę najprostszą i najprzyjemniejszą. Postanowiłem miło spędzić wieczór. Sięgnąłem do kieszeni po smartfon, odpaliłem Tindera i zacząłem polowanie. W radiu niejaka Sara James, śpiewała o tym, że nikt nie będzie czuł się sam, bo w ramionach utuli go dobry świat. Wsłuchany w słowa polsko-angielskiej piosenki miałem wrażenie, że podobne utwory śpiewały już wszystkie poprzednie młodociane gwiazdy, reprezentujące nasz kraj w konkursie Eurowizji. Moje rozmyślenia o jakości polskiej muzyki rozrywkowej, połączone z selekcją, której właśnie dokonywałem na platformie uciech, jak niektórzy określali Tindera, przerwał dzwonek telefonu. Pełen nadziei nacisnąłem guzik na kierownicy. Wnętrze auta wypełnił głos Blanki.

– Zepsuł ci się samochód?

– Nie, musiałem odpisać na wiadomość – skłamałem, spoglądając na pierwsze piętro apartamentowca. Większość okien była ciemna, ale w kilku środkowych paliło się światło. W jednym z nich zobaczyłem kobiecą postać. Przytłumione światło było zbyt słabe, abym rozpoznał w niej Blankę, ale w pozostałych oknach nikogo nie było, więc to musiała być ona.

– Brakuje mi jednej torby. Mógłbyś sprawdzić, czy jest w bagażniku, albo za moim siedzeniem – poprosiła.

Ponieważ byłem pewien, że w bagażniku niczego nie zostawiłem, zapaliłem górne światło i zerknąłem za siebie. Rzeczywiście na podłodze za siedzeniem pasażera stała niewielka papierowa torba.

– Tak, jest za siedzeniem – potwierdziłem – przynieść ci ją teraz?

– Nie, odbiorę ją jutro – stwierdziła i życząc mi dobrej nocy, zakończyła połączenie.

„Na pewno będzie dobra” – pomyślałem, tworząc niezobowiązującą parę z Beatą, platynową blondynką, o dużych niebieskich oczach i zmysłowych, różowych ustach. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że dziewczyna jest bardzo podobna do Blanki, a nawet ich imiona zaczynają się tą samą literą. Było to o tyle dziwne, że moja pracodawczyni, choć szalała za nią mnóstwo facetów, mnie zupełnie nie pociągała. Bezsprzecznie była atrakcyjną kobietą, mającą wszystko, co kręciło samców, ale nie pasowała do mojego towarzyskiego światopoglądu, w którym to zawsze facet musiał mieć więcej lat, nawet jeśli relacja damsko-męska miała charakter jednorazowej, spontanicznej przygody. Dlatego już sam fakt, że Blanka była ode mnie starsza o cztery lata skutecznie blokował wszystkie erotyczne fantazje. Dla Oli był to kolejny powód, bym to właśnie ja został kierowcą Blanki.

– Ty przynajmniej będziesz myślał tylko o tym, jak przewieźć jej dupę z miejsca A do miejsca B, a nie jak tę dupę przelecieć – powiedziała bez ogródek.

Mimo to, teraz z jakiegoś niezrozumiałego powodu umówiłem się z dziewczyną, która, choć nie była sobowtórem Blanki, to pod wieloma względami ją przypominała. Pocieszeniem był fakt, że para stworzona przez Tindera, przypominała tę z czajnika, była gorąca, mocna i ulotna, a właśnie tego oczekiwała większość użytkowników serwisu. Po kilku wiadomościach, które wymieniłem z Beatą, pomyślałem, że nazwisko Konkretna, idealnie by do niej pasowało. Już pierwsza wiadomość dobitnie mi to uświadomiła.

– Masz wolną chatę? – zapytała bez ogródek.

– Chaty nie, ale mam wygodną brykę – odpisałem.

– Pewnie passat taty lub dziadka?

– Nie, BMW X2.

– Fajny, ale trochę mały.

– Podobno nie liczy się wielkość, ale technika – napisałem, zastanawiając się, czy dziewczyna zakuka grę słów.

– No dobra to sprawdźmy tę technikę – zaproponowała, a w następnej wiadomości przesłała link do map Google z zaznaczoną lokalizacją.

Spodobało mi się, że dziewczyna była rzeczowa. Nie próbowała grać uroczej, romantycznej istotki, poszukującej na Tinderze miłości swojego życia. Miała ochotę na krótką, szybką przygodę, jednorazowy strzał, jak niektórzy określali przygodny seks. Upewniwszy się, że dwupak truskawkowych durexów nie wyparował z kieszeni kurtki, pojechałem pod wskazany adres.

Spotkanie nie odbiegało od standardów przyjętych na Tinderze. Najpierw kawa i krótka rozmowa, a potem pół godziny uciech cielesnych, z których obie strony były zadowolone. Dla Beaty seks w aucie był tym, co tygrysy lubią najbardziej. Nawet mimo dość ograniczonej przestrzeni, jaką oferowała iks dwójka, udało się przetestować kilka dość karkołomnych pozycji, łącznie z moją ulubioną liczbą 69.

– Gdzie cię odwieźć? – zapytałem, gdy wyjechaliśmy z Lasu Kabackiego, który był niemym świadkiem naszych igraszek.

– Wyrzuć mnie przy Złotych Tarasach, dalej sobie poradzę – zapewniła dziewczyna.

Wysiadając przed najbardziej rozpoznawalną galerią handlową w stolicy, cmoknęła mnie na pożegnanie w policzek i poradziła, abym następnym razem zaopatrzył się w gumki o smaku pomarańczy, bo takie lubi najbardziej. Zapewniłem, że będę pamiętał, choć wątpiłem, czy będzie jakiś kolejny raz. Dla mnie cipka każdej

panienki z Tindera była jak mityczna rzeka Heraklita, w którą dwa razy się nie wchodzi. Odprowadziłem wzrokiem znikającą w obrotowych drzwiach Beatę i odjechałem. Jakby na potwierdzenie moich przemyśleń, w radiu, Kora swoim charakterystycznym wokalem śpiewała, że nic dwa razy się nie zdarza. Jadąc przez jak zwykle zakorkowaną stolicę, czułem się na maksa odprężony. Kilkadziesiąt minut spędzone z Beatą uznałem nie tylko za stosunkowo udane, ale i przyjemne, bo dziewczyna nie dość, że potrafiła i lubiła się pieprzyć, to jeszcze umiała sensownie rozmawiać, a z tym u lasek poznanych na Tinderze bywało różnie. Część już po wszystkich zachowywała się tak, jakby orgazm obudził w nich wyrzuty sumienia. Nagle z napalonych kocic wychodziły szare, wystraszone myszki, dla których seks z poznanym na Tinderze facetem, o którym nie wiedziały nic, nie licząc jego imienia, a i to nie zawsze było prawdziwe, był czymś nie do pomyślenia. Beata należała do grupy kobiet, które nie odczuwały ani wstydu, ani skrępowania. Takie dziewczyny lubiłem najbardziej. W końcu ochota na seks to coś tak naturalnego, jak sen, jedzenie, czy picie. Różnica polegała jedynie na tym, że bez seksu można było przeżyć dłużej niż bez jedzenia, picia i snu. Nie wymagało to również wchodzenia w jakąś głębszą i długotrwałą relację.

W końcu jak to mawiała moja babcia: »aby napić się mleka, nie trzeba kupować krowy«.

Gdy następnego ranka, punktualnie o dziesiątej przyjechałem po Blankę, ta jak zwykle już czekała przed apartamentowcem. Tym razem miała na sobie jeansy, dopasowaną kurtkę, sięgającą bioder i kozaki z wysoką cholewą na niskim obcasie, wszystko oczywiście w kolorze oczojebnego różu.

– Dzień dobry, szefowo! – zagadnąłem wesoło, gdy zajęła swoje miejsce.

– Cześć – rzuciła, marszcząc brwi, co nie było dobrą wróżbą.

„Ooo, Blanka chyba wstała lewą nogą” – pomyślałem, obserwując w lusterku jej minę.

– Jeśli jeszcze raz wytniesz mi taki numer, to wypierdolę cię na zбитy pysk i nawet w tym twoim cholernym Uberze nie będą cię chcieli zatrudnić! – wrzasnęła nagle tak głośno, że błony bębenkowe w moich uszach jęknęły z bólu.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedziałem, siłąc się na spokój. Jednocześnie zacisnąłem palce na kierownicy, bo inaczej mógłbym ją udusić. Fakt, że byłem jej kierowcą, nie znaczył, że mogła traktować mnie jak śmiecia. Gdyby nie to, że Blanka publicznie piętnowała jakiegokolwiek narkotyki, to pomyślałbym, że przed wyjściem z domu wciągnęła zbyt dużo białego proszku. Jej zachowanie dawało wiele do myślenia. Poza tym, Ola słowem nie wspominała, że Blanka miewa napady szału.

– I ty się jeszcze pytasz, o co mi chodzi – przedrzeźniała mnie, a jej oczy ciskały gromami z szybkością kałasznikowa.

– Gdybym wiedział, to bym nie pytał.

– Pierdoliłeś się w moim samochodzie z jakąś wywłoką – tym razem nie krzyczała, ale cedziła słowa z taką nienawiścią, jakbym wyrządził jej fizyczną krzywdę.

– A więc o to chodzi – przewróciłem oczami, próbując zbagatelizować sprawę.

– Tak, baranie, właśnie o to chodzi.

– Tylko nie po nazwisku proszę – ostrzegłem, zamierzając bronić rodzinnego honoru.

– Tym razem nie piję do twojej rodziny, tylko zachowania – wyjaśniła cierpliwie choć nadal była nabzdyczona.

– A skąd wiesz, że pozwoliłem sobie na wykorzystanie służbowego samochodu do celów, że tak ujmę towarzysko-prywatnych? – zapytałem, mając niemiłe uczucie, że prawdopodobnie w aucie jest zainstalowany podsłuch, ukryta kamera, albo inne dziadostwo szpiegujące każdy mój ruch. Inwigilacja była ostatnią rzeczą, o jaką podejrzewałem Blankę, ale do cholery skądś musiała wiedzieć o igraszkach z poprzedniego wieczoru.

– Zapach, baranie. Zapach – oznajmiła i teatralnie pociągnęła nosem. Poszedłem za jej przykładem, ale nie wyczułem niczego podejrzanego.

– Ani ja, ani Ola nie używamy takich gównianych perfum – wyjaśniła.

– Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy – ukorzyłem się, jak przystało na winowajcę, ale dla Blanki to nie był koniec sprawy.

– Kolejna zasada, którą powinienes sobie, dzbanie, wbić do tego twojego baraniego łba, jest następująca – mówiąc to, wycelowała we mnie palec wskazujący – w moim samochodzie – ciągnęła i, dla podkreślenia prawa

własności, uderzyła otwartą dłoń w deskę rozdzielczą – są tylko dwie opcje: albo ja będę pieprzyć kogoś, albo ktoś będzie pieprzył mnie – zakomunikowała, patrząc mi głęboko w oczy. Jej spojrzenie było tak natarchywe, że po kilku sekundach nie wytrzymałem i skapitulowałem, skupiając wzrok na mężczyźnie, który wyprowadzał na spacer śmiesznego, chudego psa, o pociągłej mordzie i wysoko uniesionych szpiczastych uszach.

– Jeśli to ma być taka zawołowana propozycja, to sorry, ale nie jestem zainteresowany – wypaliłem bez zastanowienia. Blanka tylko się uśmiechnęła.

– Spokojnie, kozaku, ty też nie jesteś w moim typie – odgryzła się.

„A to wredna konfidentka” – pomyślałem o Oli. Była jedyną osobą, z którą rozmawiałem o Blance i tylko ona wiedziała, że nasza wspólna szefowa nie kręci mnie jako kobieta. Skoro więc Blanka знаła moją opinię na temat swojej atrakcyjności seksualnej, to źródłem tej wiedzy mogła być wyłącznie moja kochana siostra bliźniaczka, która niczym najgorszy szpicel opowiadała Blance, wszystko to, co jej mówiłem. Nagle poczułem, że wzbiera we mnie złość. Co prawda wiedziałem o solidarności jainików, łączącej podobno wszystkie kobiety, ale do kurwy nędzy! Jest moją siostrą! W dodatku bliźniaczką! Więc w naszym przypadku więzy krwi powinny znaczyć więcej niż cykle menstruacyjne, a jednak tak nie było.

– Co tak siedzisz, jak Kondrat na sraczu w *Dniu świra*? – głos Blanki wyrwał mnie z rozmyślań o relacjach rodzinnych – za pół godziny muszę być w studiu – dodała, zapinając pas bezpieczeństwa.

Jechaliśmy w milczeniu, słuchając jak Grzegorz Hyży wyśpiewuje swoje marzenia o byciu królem nocy. Blanka skrolowała smartfon, a ja rozmyślałem nad zemstą na Oli. Nagle piosenka dobiegła końca, a spiker autentycznie zawiedzionym głosem oznajmił, że Kamil Stoch doznał kontuzji i nie wystąpi na zawodach w Zakopanem.

– O, kurwa – jęknęła Blanka – najpierw ty robisz sobie z mojego samochodu darmową dupczarnię, a teraz jeszcze Kamil ma kontuzję. Bardziej chujowo ten dzień nie mógł się zacząć.

– Spokojnie, mamy jeszcze kilka asów w rękawie – przypomniałem.

– Chciałeś raczej powiedzieć, że jopków, bo na króla to teraz żaden z nich nie wygląda – stwierdziła Blanka i przez resztę drogi z najdrobniejszymi szczegółami opowiadała mi o początkach i sukcesach Stocha, Kubackiego i Żyły.

Słuchając jej, byłem autentycznie zaskoczony. Zupełnie nie podejrzewałem Blanki o tak silne zainteresowanie skokami narciarskimi.

– I co, opadła kopara? – rzuciła, gdy dojechaliśmy na miejsce.

– Opadła – przyznałem – ale zaraz się podniesie – dodałem, nie chcąc, aby poczuła pełną satysfakcję.

– Nie wątpię, nie wątpię. U facetów szczęki bardzo szybko się podnoszą – mruknęła, wysiadając z samochodu. Kręcąc prowokacyjnie pośladkami, ruszyła przez parking. Patrząc za nią, miałem nieodparte wrażenie, że ona ciągle gra.

– Tylko dobrze go wywietrz, a później zapraszam na kawę do swojej garderoby – zawołała, spoglądając na mnie przez ramię i nasuwając na twarz różową maseczkę, weszła do budynku, który bardziej przypominał magazyn niż studio nagrań.

„Te baby to jednak mają nos” – pomyślałem, otwierając wszystkie drzwi iks dwójki, łącznie z bagażnikiem. Mijający mnie ludzie patrzyli z pewnym zdziwieniem, jakby wietrzenie auta w styczniu było czymś idiotycznym.

Kwadrans później zamknąłem samochód i poszedłem szukać garderoby, w której miała czekać na mnie gorąca kawa.

– Z góry przepraszam za jej jakość, ale oni mają tutaj wyłącznie ekspres, który służył jeszcze w Magdalence podczas obrad okrągłego stołu, a sama kawa to jakiś azjatycki wynalazek – skrzywiła się Blanka, wskazując stojący na stoliku kubek z logo stacji telewizyjnej.

– Jest całkiem dobra – pochwaliłem po upiciu kilku łyków.

– W takim razie cofam przeprosiny – rzuciła i otwierając szafę, mogącą pomieścić zapasy małego butiku zaczęła przesuwać wieszaki z ubraniami, rzecz jasna różowymi.

Patrząc, nie mogłem uwierzyć, że istnieje aż tyle odmian rózu i nawet zastanawiałem się, czy dla jaj nie kupić sobie różowej bluzy. Czasami widywałem facetów w takich wdziankach i nie było to coś odstręczającego. Moje

rozmyślenia o shoppingu przerwało wejście Oli.

– Cześć, siostrzyczko – przywitałem ją tak wylewnie, jakby trafiła szóstkę w totka, albo poprawnie odpowiedziała Hubertowi Urbańskiemu na dwanaście pytań, dołączając tym samym do elitarnego grona osób, które zdobyły główną nagrodę w *Milionerach*. Przytulając ją tak mocno, jak rozbitek koło ratunkowe, wysyczałem do ucha, że jest wredną zdrajczynią.

– Braciszku, wszystko w porządku? – zapytała z troską, ignorując inwektywę.

– Oczywiście, jest super. Mamy cudowny wtorek, życie jest piękne, ludzie są dobrzy, a ziemia okrągła – oznajmiłem głupkowato i radośnie.

– Znasz powód, dlaczego Olek różnie głupa? – zapytała Blankę, szukając u niej pomocy.

Ja z kolei zachodziłem w głowę, czy sformułowanie różnie głupa, było zakonspirowaną aluzją do wczorajszych przygód. Przecież gdy ja wietrzyłem samochód, Blanka mogła zadzwonić do Oli i zdać jej relację z wyczynów ukochanego braciszka.

– Nie mam różowego pojęcia, dlaczego teraz różnie głupa, ale, wczoraj w moim samochodzie różną jakąś głupią cipę, więc może w tym należy upatrywać powodów jego niezdrowego podniecenia.

– Proponuję, abys nagrała o tym live'a – wszedłem jej w słowo.

– A wiesz, że to nie taki głupi pomysł – podchwyciła Blanka, sięgając po różowego iPhone'a leżącego na toalecie wielkości kuchennej zabudowy w rezydencji Marka Zuckerberga.

– Przestańcie, bo oboje zachowujecie się jak dzieci – włączyła się do rozmowy Ola, patrząc to na mnie, to na Blankę.

– Masz rację, to trochę dziecinne – przyznała Blanka – a poza tym wyjaśniłam już Olkowi, jakie zasady panują w moim aucie, więc uważam sprawę za zamkniętą – ucieła i zabierając kilka wieszaków z ubraniami, zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu.

– Co to za teksty o zdrajczyni? – naskoczyła na mnie Ola.

– Jeśli ktoś jedzie na dwa fronty, to inaczej tego nazwać nie można, a ty spowiadasz się tej tam – wskazałem na drzwi, za którymi Blanka przymierzała kreacje do programu.

– Olek, gdybym wyznała Blance tylko dwadzieścia procent twoich grzeszków, to w życiu nie zostałbyś jej kierownicą. Chciała wiedzieć, czy może ci zaufać, czy nie będziesz próbował jej podrywać.

– Blanka d'Arc polskiego Instagrama się znalazła – zakpiłem. Chciałem jeszcze dodać, że na pilnowanie jej dziewictwa jest trochę za późno, ale właśnie wtedy w otwartych drzwiach stanął obiekt naszych rozważań, ubrany w skromną różową sukienkę bez żadnych ekstrawagancji. Musiałem przyznać, że w tej kiecce Blanka wyglądała nie jak celebrytka, ale dziewczyna z sąsiedztwa.

– Ja jestem gotowa, a wy? – rzuciła, spoglądając w naszą stronę.

– My też – zapewniła Ola i ruszyła za Blanką.

Usiadłem w najbardziej oddalonym rzędzie widowni i obserwowałem ostatnie przygotowania. Technicy poprawiali oświetlenie, zakładali Blance i jej gościom mikrofony, w tle grała jakaś muzyczka. Formuła programu była dość prosta. W każdym odcinku Blanka gościła dwie osoby. Pierwszą zawsze była jakaś rozpoznawalna gwiazda, a drugą ktoś mało znany, ale wyróżniający się czymś szczególnym. Tym razem jako gwiazda miał wystąpić aktor grający jedną z ról w filmie *Gierek*, który niebawem wchodził do kin. Natomiast nie miałem pojęcia, kim jest drugi z zaproszonych gości. Był to wysoki facet o brodzie koloru anielskich włosów, jakie matka zawsze obowiązkowo wieszała na choince, siedzący naprzeciw Blanki. Jego twarz wyróżniała się nie tylko oryginalną srebrną brodą, ale jeszcze czymś, czego w pierwszej chwili nie rozumiałem. Olśnienie nadeszło w momencie, gdy spojrzałem na jego oczy. To one miały w sobie coś dziwnego. Nagle technicy poprosili o ciszę, światła na widowni zostały przygaszone i rozpoczęło się nagranie.

– Dzień dobry, kochani, a właściwie dobry wieczór, bo jest już po dwudziestej pierwszej – zaczęła Blanka, posyłając do kamery naturalny, ciepły uśmiech. Od Oli wiedziałem, że to jedynie wystudiowana poza.

– Dzisiaj na mojej *Patelni* jak zwykle usmażę dwoje gości. Pierwszym będzie ten oto brodaty dżentelmen – wskazała spojrzeniem siedzącego naprzeciwko niej mężczyznę – pan Tomasz Wandzel nie boi się ani smażenia, ani

tym bardziej trudnych pytań, bo z nimi, jak powiedział mi jeszcze przed programem, ma do czynienia prawie każdego dnia. Dlatego, od razu podkrećcam palnik, a pierwsze pytanie będzie dotyczyło jego najnowszej powieści – zapowiedziała Blanka, podnosząc ze stolika książkę i pokazując ją do kamery.

Centralnym punktem okładki była ludzka czaszka. Fakt, że gość był pisarzem, specjalnie mnie nie zdziwił. Przecież ostatnimi czasy pisanie, podobnie jak morsowanie, stało się pewnego rodzaju modą, a dowodem na to byłem ja sam. Różnica polegała jednak na tym, że ja chciałem napisać coś, co będzie jak trzęsienie ziemi, huragan i tsunami razem wzięte. To właśnie z tego powodu wyciągałem od Oli wszystkie smakowite kąski z życia Blanki.

– Panie Tomaszu, jak to jest opisywać świat, gdy się go nie widzi? – usłyszałem pytanie i dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego oczy tego mężczyzny wydały mi się takie dziwne, jakby pozbawione życia i blasku.

– Tak jak u sporej części autorów widzących – odpowiedział mężczyzna, zaskakując nawet samą Blankę. – Wielu pisarzy otwarcie przyznaje, że podczas pisania muszą czasami zamknąć oczy, aby coś sobie wyobrazić, a dopiero później przelać to na papier. Jak widać, w pisaniu ogromną rolę odgrywa wyobraźnia, a ta jest czymś, czego moim zdaniem nie można wyćwiczyć. Oczywiście równie ważne jest opisywanie rzeczywistości w sposób bardziej plastyczny, pozwalający czytelnikowi zobaczyć miejsce akcji i bohaterów. Jednak w tym pomaga mi fakt, że wzrok straciłem, mając dwadzieścia trzy lata, a od tamtej pory świat aż tak bardzo się nie zmienił. Ludzie nadal mają dwie nogi, dwie ręce, głowę i tułów. Samochody wciąż poruszają się na czterech kołach, budynki mają okna i drzwi. Owszem zmieniła się moda, weszły nowe technologie, ale to są rzeczy, które mogą opisać mi osoby widzące.

Śluchając tego wywodu, zamknąłem oczy i spróbowałem coś sobie wyobrazić. Pierwszą wizją była wczorajsza przygoda w Lesie Kabackim, ale zamiast Beaty na tylnej kanapie leżała naga Blanka. Gwałtownie uniosłem powieki i aby pozbyć się tej wizji, kilka razy mocno potrząsnąłem głową.

Tymczasem pierwsza część programu zbliżała się do końca. Blanka podziękowała swojemu gościowi i zapowiedziała przerwę reklamową. Korzystając z okazji, wymknąłem się ze studia, aby wyskoczyć na najbliższy Orlen po normalną kawę i bułkę z pieczarkami. Ponieważ jak na złość klientów było wielu, a ruchy obsługującej mnie dziewczyny przypominały śpiącą królową, kupno kawy, buły i różowego energetyka, za którym przepadałem, trwało nie pięć minut, ale ponad kwadrans. W rezultacie nie zdążyłem na nagranie drugiej części.

– Wiele nie straciłeś. Wszystko to, o czym rozmawialiśmy, znajdziesz na Pudelku, Pomponiku i innych również prestiżowych portalach – pocieszyła mnie Blanka, kiedy odwoziłem ją do domu.

– Skąd wytrzasnąłeś tego niewidomego pisarza?

– Któraś z instagramowych fanek mi o nim wspomniała, więc uznałam, iż ktoś taki może być inspirującym przykładem dla innych, a resztą, czyli znalezieniem kontaktu, umówieniem na nagranie, zajęła się Ola.

– A jego książki naprawdę są takie ciekawe, jak mówiłaś podczas nagrania?

– Nie wiem, musisz zapytać siostrę. Przeczytałam tylko przygotowane przez nią streszczenie. Gdyby wierzyć w notatki, które mi dała, facet pisze dość ciekawie i ma nietuzinkowe pomysły, a dodatkowo nie ogranicza się do jednego wybranego gatunku. Napisał kilka kryminałów, kilka obyczajówek, ale też powieści historyczne.

„Czyli całą czarną robotę odpierdała ktoś inny, a ty tylko sobie siedzisz na sofie i pytania zadajesz” – pomyślałem, analizując odpowiedzi.

– Wiesz z boku, może to wyglądać tak, jakbym wszystko zrzuciła na Olę – odezwała się nagle Blanka, a ja poczułem zimny dreszcz przebiegający po plecach. Co prawda nie wierzyłem w te wszystkie bzdury o odczytywaniu cudzych myśli, ale to, co właśnie się stało, trudno było logicznie wyjaśnić.

– »Każdy ma swoje poletko do zaorania, a jak je zaorze, takie plony zbierze« – przytoczyłem jedną ze złotych myśli mojej nieżyjącej już babci.

– Sam to wymyśliłeś?

– Nie, moja babcia potrafiła na każdą okoliczność znaleźć jakieś przysłowie, więc sporo z nich zapamiętałem.

– To masz szczęście. Ja nie znałam swoich dziadków – przyznała smutno.

Przez moment sądziłem, że rozwinie historię swojej rodziny, ale ona tylko potrząsnęła głową, jakby chciała odpedzić niechciane myśli lub chwilę słabości. Znowu była tą opanowaną, pogodną i bezczelną Blanką Lipiec, czego dowód dała po przyjeździe pod jej apartamentowiec.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam o samochodzie – mówiąc to, pokazała palcami sprośny gest, naśladujący kopulację.

– Wiem, wiem, żadnego ruchanka, chyba że z twoim udziałem – przypomniałem, wiedząc, że wspominając o jej udziale, sporo ryzykuję.

Jednak Blanka nie zareagowała, wysiadła z auta i po chwili zniknęła w drzwiach budynku. Zamiast odjechać, siedziałem i tępyim spojrzeniem gapilem się w ogołocone z liści drzewo. Następnie przymknąłem powieki, a wyobraźnia podsunęła mi tę samą wizję, co podczas nagrania programu. Jednak teraz dałem upust swojej fantazji. Gdy wreszcie otworzyłem oczy, wiedziałem dwie rzeczy. Po pierwsze musiałem ostro zabrać się za pisanie powieści, tym bardziej że sekretów, o których fani i przeciwnicy Blanki chcieliby przeczytać miałem już tyle, że mógłbym nimi obdzielić kilku celebrytów i jeszcze by mi zostało. Po drugie postawiłem sobie za punkt męskiego honoru, a właściwie zranionego ego uwiedzenie tej różowej laleczki, jak pisały o Blance niektóre plotkarskie portale. Od Oli wiedziałem, że to określenie zupełnie Blance nie przeszkadzało. Może dlatego, że róż był jej znakiem firmowym. Trudno było znaleźć drugą celebrytkę, tak mocno zafiksowaną na kolorze, jak Blanka i to również było swego rodzaju tajemnicą. Dzięki temu wszystkim wyzwolonym kobietom oraz napalonym troglodytom róż kojarzył się wyłącznie z Blanką. Poderwanie i zaciągnięcie jej do łóżka wiązało się oczywiście ze złamaniem zasady o unikaniu erotycznych przygód ze starszymi kobietami, ale czego facet nie zrobi, aby udowodnić swoją samczą zajebistość? Poza tym, zasady zostały wymyślone po to, aby je naginać, a w razie potrzeby nawet łamać.

Wcielanie pomysłów w życie okazało się jednak trudniejsze niż układanie ich w głowie. Nie wiedzieć czemu w myślach wszystko wyglądało jak mieszkanie Perfekcyjnej Pani Domu, gdzie nawet zawartość kosza na śmieci wydawała się uporządkowana. Natomiast w rzeczywistości problemy piętrzyły się jak sterta pampersów w wielodzietnej rodzinie, zmotywowanej przez pięćset plus, do przekraczania kolejnych granic prokreacji. Pierwsza zagwozdzka nie dotyczyła jednak przekształcania pojedynczych notatek o Blance w całość, która miałaby ręce i nogi, bo to szło nawet całkiem sprawnie. Prawdziwy problem widziałem w pomysłach uwiedzenia Blanki, a odnosił się on do mojego wyglądu. Opierając się na tajnych oraz jawnych notatkach, traktujących o oficjalnych partnerach mojej szefowej, musiałem przyznać, że za chuja nie jestem do nich podobny. Większość z nich przypominała wyglądem szafy szerokie na metr i wysokie na dwa. Każdy obowiązkowo był opalonym brunetem o piwnych, ewentualnie szarych oczach. Czy więc ja, mierzący zaledwie sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, ważący siedemdziesiąt kilogramów niebieskooki blondyn o subtelnej opaleniznie, będącej efektem polskiego słońca mogłem konkurować z tymi włosko-arabskimi egzemplarzami? Logicznie rzecz ujmując, nie miałem żadnych szans. Mój pech nie polegał na tym, że byłem brzydki, bo na powodzenie wśród kobiet nie mogłem narzekać, ale na tym, że Blanka gustowała w modelach modyfikowanych genami z eksportu, a ja byłem wytworem rodzimej produkcji, bez żadnych obcych komponentów. Mimo teoretycznie przegranej pozycji postanowiłem zaatakować. Na moją korzyść przemawiał fakt, że obecnie Blanka była na męskim odwyku, więc nie musiałem konkurować z żadnym playboyem, a tylko przekonać lady in pink, że skoro już los, przypadek, sylwester, kierowca czarnego Citroëna i nowy taryfikator mandatów zrobili wszystko, aby nas ze sobą połączyć, to nie wolno nam zmarnować takiej szansy. Wiedziałem z doświadczenia, że dobry bajer to połowa sukcesu. Dotyczyło to zwłaszcza tych dziewczyn, które nie od razu chciały otwierać przede mną serce i rozkładać nogi. Tym bardziej zdecydowanym wystarczało moje zdjęcie profilowe na Tinderze. Skoro na tak bezwzględnej arenie rywalizacji potrafiłem sobie poradzić, to z Blanką, którą dzięki notatkom znałem niemal tak dobrze, jakbyśmy razem lepił babki w piaskownicy i leżakowali w przedszkolu na sąsiednich kocykach, tym bardziej miałem szanse wygrać. Trzeba było tylko zaplanować odpowiednią strategię. Zmianę wyglądu od razu odrzuciłem. Taki ruch byłby dla Blanki jak czerwone światło i grzechotki na przejeździe kolejowym. Od razu przejrzałaby moje zamiary, a do tego nie mogłem dopuścić. Należało więc działać w mniej oczywisty sposób. Takim wydawał się pokonanie Blanki jej własną bronią.

– Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie – wymruczałem, przeszukując notatki w poszukiwaniu informacji, jakie perfumy kręca Blankę najbardziej. Odpowiedź znalazłem po paru minutach, a po kilku kolejnych uświadomiłem sobie, że właśnie zaczynam najdroższą zabawę w swoim życiu, nie licząc oczywiście zakupu mojego golfa, który jak wynikało z ostatnich informacji otrzymanych od ubezpieczyciela, oczekiwał na kasację. Mając

w perspektywie spory zastrzyk gotówki, bez wyrzutów sumienia sprawdziłem, gdzie na cito kupię w Warszawie perfumy Noble VII Rock Rose wymyślone przez Clive'a Christiana, faceta, który zawodowo zajmował się projektowaniem wnętrz, zwłaszcza kuchennych. Okazało się, że choć flakonik tego feromonu, kosztował prawie tyle, co butelka oryginalnego wina z francuskiej Szampanii, mogę bez trudu go nabyć.

„Oto zalety mieszkania w stolicy” – pomyślałem, jadąc do najbliższej perfumerii.

Następnego ranka po wzięciu prysznic i umyciu włosów, stosując się ściśle do zaleceń, jakich udzieliła mi sympatyczna sprzedawczyni z perfumerii oraz kierując się oszczędnością, bo kupno perfum za prawie dwa tysiące miało niewiele wspólnego z rozsądkiem, zaaplikowałem drogocenny płyn na przeguby dłoni, szyję i włosy. Odczekałem kwadrans i tak uzbrojony pojechałem po Blankę. Jak przypuszczałem, od razu rozpoznała ulubiony zapach i spojrzała na mnie pytająco.

– Zgodnie z obietnicą byłem grzeczny i żadnego bzykanka w autku nie było.

– No, ja myślę, bo na takiego co lubi i dziewczynki i chłopców to mi nie wyglądasz.

– Wiem, że obecnie jest moda na różnorodność, ale ja w tych sprawach jestem mało postępowy – przyznałem, robiąc zawstydzoną minę.

– Ale na perfumach widzę, że się znasz?

– Nie, to prezent od byłej dziewczyny – skłamałem.

– To musiała być jakaś dziana starsza pani – zażartowała Blanka, rozsiadając się wygodnie w fotelu i zapinając pas. Zauważyłem, że obecność ulubionego zapachu, nawet jeśli pachniał nim tylko kierowca z czystego przypadku, a nie umięśniony olbrzym, bardzo jej odpowiadała.

– Wręcz przeciwnie, była młoda, ale fakt, że gdyby jej tatuś chciał, to mógłby spać na materacu wypchanym forsą.

– A ona chętnie korzystała z krwawicy tatusia – dokończyła Blanka, wchodząc mi w słowo.

– Coś w tym stylu – potwierdziłem, a nie chcąc ciągnąć zmyślonej na poczekaniu historyjki, zmieniłem temat.

– Dokąd dziś szefową zawieźć?

– Dzisiaj, bawidamku bogatych pańienek, musimy pojechać w dwa miejsca – odparła, podając mi adres jakiegoś wydawnictwa, które chciało, aby stała się twarzą ich kampanii, promującej serię powieści pod wspólnym tytułem *Różowy Guziczek*. Już sam tytuł sugerował, że nie będą to książeczki dla przedszkolaków.

– Taka mało ambitna literatura – wyrwało mi się.

– Ale dochodowa, bo ludzie coraz częściej chcą się przy książce rozerwać. Choć na chwilę wejść w skórę bogatego, przystojnego biznesmena, albo uwodzicielskiej i wyzwolonej kobiety sukcesu – wyjaśniła, a słuchając tego, co mówi, nie sposób było odmówić jej racji.

– A nie myślałaś, sama coś napisać? – pytanie choć niewinne, miało na celu wysondowanie, czy Blanka, podobnie jak inni celebryci nie planuje wypłynięcia na szerokie wody gwiazdorskiej literatury. Jej odpowiedzią był głośny i szczery śmiech.

– Baranku – użyła określenia, którym raczyła mnie tylko wtedy, gdy miała naprawdę dobry humor – ja nie mam czasu na czytanie, a ty, mi mówisz o pisaniu. Poza tym, niby o czym miałabym napisać książkę?

– Bo ja wiem, może jakiś ognisty biurowy romans, albo jeszcze lepiej swoją biografię – podsunąłem – ludzie lubią czytać o życiu znanych osobowości – dodałem, parkując przed budynkiem, gdzie mieściło się wydawnictwo.

– O mnie to już wszystko napisano w Pudelkach, Pomponikach i innych podobnych miejscach – oświadczyła i wysiadła z samochodu.

„I tu się mylisz, kotku” – pomyślałem, przykładając przegub dłoni do nosa. Perfumy, chociaż zmieniły intensywność i zapach, wciąż były doskonale wyczuwalne.

Minęło zaledwie pięć minut od wejścia Blanki do wydawnictwa, gdy zadzwoniła Ola. Już jej pierwsze słowa sprawiły, że poczułem nieprzyjemne swędzenie w okolicach krocza.

– Co ty kurwa wyprawiasz! Chcesz, żebym ci naprawdę obcięła jaja? – wrzasnęła z taką siłą, że aż odsunąłem telefon od ucha.

– Co tym razem przeszkadza naszej gwiazdździe? – mruknąłem, choć doskonale wiedziałem, o czym przed chwilą Blanka prawdopodobnie rozmawiała z Olką.

– Nie udawaj głupiego! Tylko tobie powiedziałam o jej ulubionych męskich perfumach.

– A, to o to chodzi! – udałem zaskoczonego i sprzedałem jej tę samą bajeczkę co Blance. Jednak siostra znała mnie od urodzenia, więc nie kupiła historyjki o lasce, mającej bogatego ojczulka.

– Takie dyrdymały to możesz sprzedawać naiwnym studentkom pierwszego roku dziennikarstwa – rzuciła kpiąco.

– Dziękuję za radę, może skorzystam – wszedłem jej w słowo.

– Nie wiem, co ci się roi w tym twoim łbie, ale od dzisiaj koniec naszych rozmów o Blance – oświadczyła i przerwała połączenie.

„Teraz, droga siostrzyczko, nie jesteś mi już potrzebna” – pomyślałem z satysfakcją.

Blanka wróciła w jeszcze lepszym nastroju, co mogło oznaczać sukces w rozmowach z wydawnictwem. Jednak nie zdradziła żadnych szczegółów, a ja nie zamierzałem dopytywać. W końcu byłem wyłącznie kierowcą.

– Gdzie teraz? – zapytałem usłużnie.

– Najpierw do radia – poleciła, podając adres jednej z lokalnych stacji radiowych – a później do Arkadii, gdzie jesteśmy umówieni z Olą na kawę – dodała, wyjaśniając, że trzeba omówić szczegóły wyjazdu do Zakopanego.

– Myślałem, że skoro Stoch ma kontuzję, a Kubacki i Wąsik koronawirusa, to nie jedziemy.

– Spokojnie są jeszcze Żyła, Kot, Wolny, Pilch i inne orły, którym warto kibicować.

– Niby tak – przyznałem, zapinając pas bezpieczeństwa i uruchamiając silnik – ale ostatnio jakby ktoś podciął im skrzydła – dodałem z lekką ironią.

Miałem już ruszyć, gdy tuż przed maską przejechała czarna terenowa toyota. Odniosłem wrażenie, że już kilka razy w ostatnich dniach widziałem podobny samochód. Czy był to tylko zbieg okoliczności? Przecież czarnych terenówek z Kraju Kwitnącej Wiśni jeździło sporo po Warszawie. Kierowca toyoty spojrział w naszą stronę, a właściwie skupił uwagę wyłącznie na Blance. Wtedy dotarło do mnie, że o żadnym przypadku nie może być mowy. Potwierdzenie tych domysłów znalazłem na twarzy Blanki, która w jednej chwili stała się blada jak papier. Co więcej, nawet jej różowe usta nagle straciły blask. Szeroko otwartymi oczami, w których emocje zmieniały się jak szkiełka w kalejdoskopie, patrzyła przed siebie. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby w czyimś spojrzeniu przez chwilę tak krótką, jak mrugnięcie, odmalowała się złość, strach, zaskoczenie i wstręt. To nie była Blanka, jaką znałem. Ta drapieżna lwica wyglądała teraz jak mała zaszczuta myszka, mająca przed sobą głodnego kocura, a za sobą betonową ścianę. Przeniosłem wzrok na toyotę, chcąc zobaczyć, kim był człowiek, który potrafił doprowadzić Blankę do takiego stanu, ale terenówka ruszyła z takim impetem, że nawet nie zarejestrowałem pierwszych liter tablicy rejestracyjnej.

– Wszystko dobrze? – zapytałem, spoglądając z troską na swoją szefową, która ewidentnie wciąż była w głębokim szoku.

– Nic, kurwa, nie jest dobrze – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obecność czarnej toyoty uznałem za kolejną zagadkę, której rozwiązanie mogło przynieść jeszcze więcej ciekawych informacji o Blance, a tych byłem głodny jak kopalnia Turów węgla. Już sam fakt, że kierowca terenówki potrafił wkurwić i przestraszyć Blanę, niemal w tej samej chwili, wskazywał na silne powiązania między tą dwójką. Niestety na pomoc Oli nie mogłem już liczyć. Co prawda, gdy następnego dnia po kolacji z rodzicami, z okazji imienin taty, odwoziłem ją do domu, spróbowałem załagodzić aferę z perfumami i tym samym wkraść się ponownie w jej łaski, ale siostra była nieugięta. Tym razem bardzo spokojnie, powtórzyła mi tylko to, co wykrzyczała poprzedniego dnia przez telefon. Dodając jeszcze, że teraz żałuje naszych rozmów.

– Powinnaś więc pójść do spowiedzi – wypaliłem bez zastanowienia. Ola, która nasiąknęła pewnymi przekonaniem swojej szefowej, jak gąbka wodą, spojrzała na mnie wzrokiem, pozbawionym siostrzanej serdeczności.

– Przecież wiesz, że tylko żartowałem – oznajmiłem, chcąc uniknąć kolejnej kłótni.

– Mam nadzieję, bo tak szybko, jak zostałaś kierowcą Blanki, możesz przestać nim być – ostrzegła.

Groźba, choć wypowiedziana ostrym tonem, była równie realna, co obietnica zrobienia z Polski lidera w produkcji samochodów elektrycznych. Jednak, aby nie zaognić naszych relacji, postanowiłem przemilczeć swoje przemyślenia. O czarną toyotę musiałem jednak zapytać.

– Jaka czarna toyota? – Ola zmarszczyła idealnie wymodelowane brwi.

– Duża, terenowa, z przyciemnianymi tylnymi szybami – opisałem, wiedząc, że podanie modelu nic jej nie powie.

– A może koleś zwyczajnie rozpoznał Blanę i dlatego tak się gapił? – zasugerowała siostra, po chwili namysłu.

– Istnieje taka ewentualność – przyznałem niechętnie, choć w to wyjaśnienie wierzyłem równie mocno, jak w zapewnienia premiera, że po obniżeniu podatku VAT, od lutego litr benzyny będzie kosztował mniej niż pięć złotych – tylko w takim razie, dlaczego Blanka patrzyła na niego, jakby był jej pierwszym chłopakiem, który ożenił się z jej najlepszą przyjaciółką? – dodałem, chcąc uzmysłwić siostrze zachowanie Blanki.

– Myślę, braciszku, że przesadzasz – zbyła moją troskę o szefową, a ja nie ciągnąłem dłużej tego tematu, wiedząc, że i tak niczego się od niej nie dowiem.

Do Zakopanego wyruszyliśmy w piątek. Początkowo miała z nami jechać również Ola, ale ostatecznie musiała zostać w Warszawie, aby dopiąć na ostatni guzik wyjazd Blanki na Dominikanę, gdzie różowa panterka, jak zacząłem nazywać ją w myślach, zamierzała spędzić dwa tygodnie, wygrzewając się na gorącym piasku, popijając drinki z palemką i racząc swoje fanki filmikami z raju na ziemi, jak nazwał wyspę Krzysiek Kolumb, który jako pierwszy białas pięć wieków temu zawędrował w tamte okolice. Niestety ani ja, ani nawet Ola nie dostąpiliśmy zaszczytu towarzyszenia naszej celebrytce w podróży, na którą mogli sobie pozwolić jedynie mniej lub bardziej obrzydliwie bogaci celebryci, cwaniacy i szejkwowie lub zaprawieni w wyszukiwaniu tanich lotów maniacy podróźowania, wymagający, aby nazywać ich globtroterami. Pominięcie mojej osoby uznałem za coś bezsprzecznie oczywistego. W końcu byłem wyłącznie szoferem. Nie potrafiłem jednak zrozumieć, dlaczego nie zabierała Oli? Przecież na każdym kroku powtarzała, że jest niezastąpiona. Siostra nie wyglądała na specjalnie zmartwioną, a nawet próbowała szukać pozytywów, w tej moim zdaniem upokarzającej sytuacji. Kiedy zadzwoniłem do niej w czwartek i powiedziałem, co myślę o Blance, siostra najpierw zaczęła jej bronić, ale widząc, że jej argumenty kończą się jak masło w marcecie po trzy dziewięćdziesiąt dziewięć, za sztukę przy zakupie pięciu, obrała inną taktykę i spokojnie stwierdziła:

– Przecież wiesz, że nie znoszę latać samolotem, a tam leci się prawie dwanaście godzin.

– Oła, ja to nawet byłbym skłonny przez pół drogi rzygać, żeby tylko na własne oczy zobaczyć te piaszczyste plaże, zanurzyć się w krystalicznej wodzie i spróbować świeżego kokosa.

– I właśnie to nas od siebie różni – skwitowała i nie ciągnęła już tematu Dominikany.

Ja także. Tym bardziej że miałem do niej znacznie ważniejszą sprawę. Wiedząc, że sporo ryzykuję, ponownie poruszyłem temat czarnej toyoty, którą od czasu naszej ostatniej rozmowy kilka razy widziałem w lusterku wstecznym. Co prawda typ nie próbował konfrontacji maska w maskę, jak na parkingu przed wydawnictwem, ale swoją obecnością sygnalizował, że zawsze jest w pobliżu, niczym dobry anioł stróż. Oła milczała przez chwilę, co w jej przypadku oznaczało, że właśnie toczy wewnętrzną walkę.

– Jeśli ktoś ma zamiar wpakować Blance kulkę w łeb, to wołałbym o tym wiedzieć, bo wystarczy, że źle wyceluje i w gazetach pojawi się nekrolog kierowcy Blanki L. – przedstawiłem siostrze zmaterializowaną wersję moich wyobrażeń. To widocznie musiało nią wstrząsnąć, ponieważ z typową dla siebie powagą stwierdziła, że za dużo czytam Mroza i za dużo oglądam Netflixa.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że mogę się czuć tak bezpiecznie, jak pieniądze naiwnych na kontach Amber Gold? – rzuciłem ironicznie.

– Chcę ci powiedzieć, że nawet jeśli Blanka ma jakieś kłopoty, to ani tobie, ani mnie nic do tego – ucięła ostro, ale ten argument zupełnie do mnie nie trafił. Mimo to przestałem drążyć i postanowiłem na ten temat poważnie porozmawiać z Blanką, a wyjazd do Zakopanego był doskonałym pretekstem.

Przez pierwsze dwie godziny jazdy rozważaliśmy szanse naszych orłów. Chociaż opinie w tej sprawie mieliśmy odmienne jak poglądy uczestników warszawskich obchodów Święta Niepodległości. Jednak oboje, zgodnie uważaliśmy, że najlepiej skakał Adam Małyśz i drugiego takiego skoczka jeszcze Polska na świat nie wydała. Gdy uznałem, że atmosfera jest przejrzysta jak woda na dominikańskich plażach, przystąpiłem do jej zagęszczania.

– Mam dziwne wrażenie, że od kilku dni ktoś za nami jeździ – powiedziałem, starając się, aby mój głos zabrzmiał swobodnie jak doping Legii podczas meczu z Wisłą.

Blanka popatrzyła na mnie przeciągle, ale jej wzrok był daleki od zalotnych spojrzeń prostytutki z amerykańskich filmów. W tych dużych niebieskich oczach wolno wykluwał się strach.

– Jeśli masz jakieś problemy, to bardzo chętnie ci pomogę – dodałem, szczególnie akcentując ostatni wyraz.

– Jakie problemy? – zapytała, nie przestając mi się przyglądać.

– Nie wiem, może ten dzentelmen z czarnej toyoty jest dla ciebie jak przysłowiowy rzep na psim ogonie? – zaryzykowałem, zdając sobie sprawę, że porównanie Blanki do psiego ogona nie było najrozsądniejszym posunięciem. Jednak ona nie zwróciła uwagi na metaforę, tylko na typka z terenówki.

– A więc też go widziałeś – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– No wiesz, co prawda do Bonda mi trochę brakuje – przyznałem – ale musiałbym mieć klapki na oczach, aby nie zauważyć faceta, który parkuje centralnie przed maską twojego samochodu i gapi się na ciebie jak lew na antylope – dodałem, wyprzedzając ciężarówkę popularnej sieci handlowej.

– Masz rację, ten człowiek jest dla mnie pewnym problemem – przyznała po długiej chwili wahania – ale wątpię, abyś ty potrafił go rozwiązać – dodała, a jej spojrzenie otaksowało moją wątłą sylwetkę w sposób, w jaki hazardzista ocenia konia przed wyścigiem.

Zareagowałem tak, jak zareagowałby każdy Polak, któremu ktoś próbuje wmówić, że czegoś nie umie, że boi się jak osoba cierpiąca na arachnofobię czarnej wdowy i w ogóle jest do dupy, czyli postanowiłem udowodnić, że lepszego kandydata do tego piekielnie trudnego, wymagającego elokwencji i siły zadania, Blanka nie znajdzie w promieniu tysiąca kilometrów.

– Jak chcesz, to pogadam z gościem, przekonam go, aby się od ciebie odpierdolił i znalazł inny obiekt swoich chorych westchnień – zaproponowałem i byłem przekonany, iż ton mojego głosu jest tak twardy, jak skały na Giewoncie. Blanka też musiała usłyszeć tę determinację, bo spojrzała na mnie w sposób, w jaki patrzy się na ciekawy okaz w ogrodzie zoologicznym.

– A zabijesz tego skurwiela? – spytała, lekko mrużąc oczy.

Przekonany, że to tylko taki żart ochoczo skinąłem głową i dodałem, że nie tylko zabiję, ale jeszcze poćwiartuję, schowam do zamrażarki, a potem po kawałeczku będę wynosił i wyrzucał do Wisły.

– Jednak zanim wykończę gnoja, możesz mi powiedzieć, czym ci się naraził? – poprosiłem. Spodziewałem się czegoś banalnego, ale w przypadku Blanki nic nie mogło być zwyczajne.

– Tym – wycedziła przez zaciśnięte zęby i lekko się czerwieńiąc, położyła na kokpicie zdjęcie. Spojrzałem na fotografię i gdy zobaczyłem, kogo przedstawia, głośno wciągnąłem powietrze, przesycone zapachem moich perfum za połowę najniższej krajowej. Następnie zwoleń do nieprzyzwoitej prędkości stu kilometrów na godzinę. Po chwili widząc punkt obsługi podróżnych, zjechałem na parking i wyłączyłem silnik.

– To ty? – zapytałem, wpatrzony w osobę na zdjęciu.

– Tak – potwierdziła Blanka – tyle że o dziesięć lat młodsza – dodała.

Rzeczywiście dziewczyna ze zdjęcia nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Jej nagie, zgrabne opalone ciało, z długimi szczupłymi nogami, jędrnymi piersiami ze sterczącymi sutkami, płaskim brzuchem i perfekcyjnie wygoloną cipką, przypomniało mi kilka koleżanek z czasów liceum, które poderwałem na czas wystarczający do skonsumowania naszej znajomości. Niekiedy był to tylko tydzień, a innym razem aż miesiąc. Widząc zachłanność rosnącą w moim wzroku, Blanka zabrała zdjęcie i schowała do różowej torebki.

– Wystarczy tego patrzenia, bo ci jeszcze coś urośnie – oświadczyła i z kpiącym uśmiechem zerknęła na moje kroczce.

– Umarłem by stanął, a co dopiero twojemu żywemu kierowcy – odparłem, mając nadzieję, że moje słowa zostaną potraktowane jak komplement.

– Rozumiem, że delikwent ma takich fotek więcej?

– Tak, a co chcesz kupić? – warknęła, a jej spojrzenie w jednej chwili stało się groźne i nienawistne.

„Jak rzuci dobrą cenę, to czemu nie” – pomyślałem, jednak nie znalazłem w sobie odwagi, aby wyartykułować to na głos.

– Nie, tylko tak sobie myślę, że może, zamiast go zabijać lepiej mu zapłacić? – zaproponowałem rozwiązanie, które z mojego punktu widzenia było łatwiejsze do wykonania niż uśmiercenie jegomościa.

– Płacę już dwa lata i dłużej nie zamierzam – wyjaśniła Blanka, a ja w tym momencie zrozumiałem, że ona rzeczywiście chce się pozbyć typa na dobre. Na coś takiego nie byłem przygotowany.

– Z tym zabijaniem, to oczywiście żartowałem, ale gdybyś chciała się jednak z nim dogadać, to jestem do usług – zapewniłem, nisko skłaniając głowę.

– Wszyscy jesteście tacy sami. W gębie to byście w pojedynkę całą ruską armię pokonali, przelecieli każdą kurwę z berlińskich burdeli i najpiękniej zatańczyli w *Tańcu z Gwiazdami*, a jak trzeba coś zrobić, to was głowa boli. Takie z was miękkie fiuty – prychnęła z taką pogardą, jakiej jeszcze u niej nie słyszałem.

– Jestem twoim szoferem, a nie kilerem – przypominałem najspokojniej, jak tylko umiałem.

– To do jasnej kurwy, jedź! – wrzasnęła, powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

Zapaliłem więc silnik, wyjechałem z parkingi i aż do Zakopanego nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Dopiero gdy dotarliśmy do hotelu, a ja jak przystało na solidnego kierowcę, zaniósłem walizki Blanki do jej pokoju, powiedziała coś, czego się po niej nie spodziewałem.

– Z tym zabijaniem to był oczywiście tylko głupi żart – wyjaśniła, posyłając mi uśmiech niewinnej małej dziewczynki, identyczny jak na zdjęciu, które pokazała mi w samochodzie.

Zagadka dżentelmena z czarnej toyoty i jeszcze bardziej enigmatycznego zdjęcia nie dawała mi spokoju. Wciąż zastanawiałem się, kim on jest, skąd zna Blankę i ma jej zdjęcia w stroju Ewy. Fotka, którą widziałem, nie była z gatunku chamskiego, amatorskiego pornola. Wręcz przeciwnie, choć wszystkie wdzięki Blanki były widoczne jak pięć złotych na dłoni, to zdjęcie cechowała spora doza artystycznych detali. Już samo wnętrze będące tłem przypominało salon stomatologa, dorabiającego po godzinach i robiło ogromne wrażenie. Kamienne ściany, ogień na nowoczesnym kominku, czarny lśniący fortepian, a w centrum tego przepychu golusienka Blanka, której cały strój stanowiły czerwone szpilki i sznur koralu spływających między krągłymi piersiami, aż do pępka ozdobionego srebrnym kolczykiem. Co prawda nie wiedziałem jakie fotki typek z toyoty chował jeszcze pod łóżkiem, ale to

zdjęcie w żaden sposób nie kompromitowało Blanki, co więcej mogło przysporzyć jej kolejnych męskich fanów, choć i teraz ich nie brakowało. Dowodem było poruszenie na Krupówkach, gdy wieczorem wybraliśmy się na tradycyjnego góralskiego grzańca i smażonego oscypka. Przez kwadrans ponad tuzin osób prosiło Blankę o autograf, z czego spory odsetek stanowili właśnie mężczyźni.

– Nie wiedziałem, że masz tylu fanów?

– Większość z nich to zbrojeńcy, którzy będą walili konia nad moim podpisem – prychnęła Blanka.

Chociaż przywykłem już do jej języka, przy którym drut kolczasty był niczym najdelikatniejszy turecki dywan, to teraz poczułem rumieńce na policzkach. W knajpie panował ścisk jak w warszawskim metrze przed pandemią, ale jakimś cudem znaleźliśmy wolny stolik. Lokal urządzono w typowo turystycznym stylu. Drewniane ławy i krzesła, prawdziwy kominek z buchającym ogniem, gdzieś w kącie góralska kapela, a na ścianie płaski telewizor wielkości stołu do ping-ponga. Czekać na zamówione wino i ser, wsłuchiwałem się w głos ludu, bo zdaniem Blanki tylko w knajpach ludzie mają odwagę powiedzieć co myślą o świecie, politykach, szefach, a nawet własnych małżonkach. Przy sąsiednim stoliku dwóch jegomości rozprawiało o zmianach, jakie zafundował społeczeństwu miłościwie nam panujący największy karzeł świata.

– Moja matka – opowiadał ten wyższy i bardziej trzeźwy – to jest nawet zadowolona, bo dostała emeryturę większą o prawie dwie stowy.

– No widzisz – wtrącił drugi – a mojej żonie to obcięli wypłatę o pięćset plus, pewnie na jakieś dziecko.

– Mój świętej pamięci dziadek, świeć panie nad jego duszą – odezwał się trzeci z biesiadników, którego w pierwszej chwili nie zauważyłem – powtarzał, że niemożliwym jest wszystkim dogodzić, ale wszystkich wkurwić to, co innego – dokończył tonem księdza święcącego trumnę.

Pozostali kompani jak na komendę zarechotali.

– Coś w tym jest – szepnęła Blanka, zbliżając usta do mojego ucha. Zasluchany w dalszą część rozmowy tylko skinąłem głową.

– Ale najlepszy numer to dzisiaj odwalił mój Janek – wybełkotał ten, którego sądząc po tempie, w jakim wypowiadał każde słowo, nie powinno już być wśród przytomnych, a mimo to wciąż siedział na krześle i dotrzymywał kumplom kroku w każdej kolejce.

– No dawaj, Kazik – zachęcili gromko pozostali, ale nim Kazimierz pozbierał myśli i ubrał je w słowa, minęła dłuższa chwila.

– No więc Janek przychodzi dzisiaj do mnie i mówi:

– Tato jak się wysła paczkę?

– A do kogo chcesz ją wysłać?

– Do babci Marysi.

– Zapytałem gówniarza, co ma być w tej paczce. Bo ja teściowej najchętniej przesłałbym granat, a do zawleczeni przyczepił karteczkę: „pociągnij mamusiu, to się rozerwiesz”.

– Chcę babci wysłać swojego pluszowego misia.

– Pytam go zatem na co babci Marysi jego pluszowy miś. A on mi na to, że do trumny. Tym razem to Blanka pierwsza ryknęła śmiechem, jakby właśnie na żywo oglądała najlepszy skecz Neonówki. Jednak jej spontaniczna reakcja nie przypadła miejscowym do gustu.

– A ty, warszawska lalo, co tak rżysz, jak łysa kobyła? – krzyknął ten, który nie dość, że był najtrzeźwiejszy z całej trójki, to jeszcze największy.

– A gównie cię to obchodzi, bucu jeden – odkrzyknęła Blanka.

Facet mimo kilku promili w organizmie poderwał się z szybkością amerykańskiego odrzutowca F-16. Na szczęście ja byłem trzeźwy i równie szybki. Nim krewki Podhalanin zdołał dopaść Blankę, zagroziłem mu drogę. Stałem więc naprzeciw niedźwiedzia, któremu sięgałem ledwie do ramion. Jego napędzał spirytus, a mnie adrenalina.

– Ta pani jest ze mną – wyjaśniłem grzecznie.

Koleś obrzucił mnie lekceważącym i przekrwionym spojrzeniem, w którym wypisana była żądza mordu.

– To mogła sobie poszukać lepszego goryla – warknął góral, wyprowadzając lewy sierpowy. Uchyliłem się na tyle, aby jego pięść wielkości małego bochenka chleba minęła moją gładko ogoloną szczękę o kilka milimetrów, a następnie skontrowałem atak kilkoma popisowymi ciosami, z których wszystkie trafiły w kwadratową mordę. Facet był tak zdziwiony, że upadając na twarde deski, nie zdążył nawet zakląć. Ja z kolei zachowałem zimną krew i pewnie tylko to uchroniło nas przed linczem.

– Koniec balu, panno lal, zmiana lokalu – oznajmiłem, wyciągając nie mniej zszokowaną Blankę zza stolika, skąd obserwowała całe zajście. Nim pozostali goście zdążyli dojść do siebie i pomiarkować, że jeden z nich został właśnie znokautowany przez jakiegoś konusa z Warszawy, my byliśmy już na zewnątrz w bezpiecznym tłumie przyjaźnie nastawionych rodaków, skandujących, ile sił w płucach: „Leć! Piotrek, leeeć!”. Niesieni wesołą falą odpływaliśmy od lokalu, do którego od teraz mieliśmy wstęp wzbroniony, a nasze podobizny najpewniej zawisną na tablicy z klientami, których się nie obsługuje. Następnym portem, do którego zawinęliśmy, stała się restauracja w jednym z bardziej znanych hoteli.

– Ale mu przypierdoliłeś! Normalnie mistrzostwo świata! Jakbym widziała Gołotę w akcji! – zachwycała się Blanka, próbując naśladować ruchy pięściarza w ringu.

– Chyba na archiwalnych nagraniach – przerwałem jej pochwały, rozmasowując sobie dłoń. Teraz zrozumiałem, co miał na myśli mój trener boksu, gdy przestrzegał przed boksowaniem bez rękawic.

„Tylko skąd, do cholery, mogłem wiedzieć, że z Blanką nawet zwykłe wyjście do knajpy jest tak ryzykowne, jak konfrontacja z rekinem ludojadem u wybrzeży Australii” – pomyślałem, otwierając przyniesioną przez kelnera kartę.

Menu w przeciwieństwie do wystroju było typowo góralskie, a ceny zbójnickie. Na szczęście to nie ja płaciłem, więc bez oporów i wyrzutów sumienia zamówiłem jagnięcinę po góralsku w sosie kurkowym, podawaną na purée z zielonego groszku. Blanka natomiast jak przystało na fit celebrytkę, wypoczywającą pod Tatrami wzięła grillowanego oscypka na kompozycji z czterech sałat, które miały z górami tyle wspólnego, co orzechy kokosowe z owczym mlekiem.

– Gdzie nauczyłeś się tak bić? – Pytanie Blanki otworzyło, a właściwie tylko trochę uchyliło drzwi do rozdziału, który był ledwie nic nieznaczącym epizodem w moim krótkim życiu, a mimo to najbardziej je spieprzył.

– Stare czasy – zbyłem jej ciekawość, ale wiedziałem, że z nią nie pójdzie tak łatwo, jak z tym podchmielonym byczkiem, który przez kilka najbliższych dni będzie wolał domowe zacisze.

– Mimo to chciałabym wiedzieć? – nie ustępowała.

– Czy ty zawsze dostajesz to, czego chcesz? – zapytałem, mając nadzieję, że to trochę ostudzi jej wścibstwo.

– Jeśli bardzo czegoś chcę, to tak – przyznała, robiąc minę rozwydrzonego bachora, który musi dostać ten czerwony wóz strażacki, stojący na wystawie sklepu z zabawkami i to najlepiej teraz, bo w przeciwnym wypadku zsika się w majtki.

– A jak bardzo zależy ci na poznaniu mojej przeszłości?

– W skali od jeden do dziesięciu, taka mocna ósemka – oświadczyła po chwili zastanowienia.

– To w takim razie zawrzyjmy pewien deal – zaproponowałem, postanawiając wykorzystać jej determinację.

– Jeśli chcesz mnie bzyknąć, to nie ma mowy – weszła mi w słowo.

– Fajna z ciebie laska, ale to nie znaczy, że każdemu na twój widok staje – oświadczyłem tonem, pozbawionym zainteresowania.

– Naprawdę? – wyszeptła niskim głosem, zalotnie mrużąc oczy i układając usta w dziubek.

Mimowolnie poczułem, że moje slipy zaczynają być za ciasne. Na szczęście siedzieliśmy przy stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem, a on maskował zdradę, jakiej dopuściła się jedna z części mojego ciała.

– No, dobrze. To, co mam zrobić, aby poznać twoje tajemnice z przeszłości – ciągnęła dalej tym samym zmysłowym tonem, od którego nawet włoski na moim karku dostawały wzwołu.

– Zdradzić mi swoje sekrety – oznajmiłem, próbując ukryć drżenie głosu.

– Wszystkie?

– Nie, tylko te o zdjęciu w stroju Ewy i osobniku z czarnej toyoty – wyjaśniłem.

Figlarny nastrój Blanki zniknął tak szybko, jak kasa z konta naiwniaka, który chcąc dopłacić do paczki, kliknął link otrzymany SMS-em.

– A dlaczego tak bardzo cię to ciekawi? Z policji jesteś, czy książkę piszesz? – dociekała niby w żartach, ale głos miała poważny, jak prezydent Duda w czasie orędzia noworocznego.

W pierwszym momencie przemknęło mi przez głowę, że przejrzała mnie i odkryła mój pomysł na sławę, będący najpewniej początkiem końca jej blasku. Jednak po chwili uznałem takie podejrzenie za równie absurdalne, jak prognozy, że nasi skoczkowie, wygrają jutrzejsze zawody drużynowe.

– Zwykła, ludzka ciekawość – rzuciłem, wzruszając ramionami.

– Raczej męska – mruknęła, upijając łyk czerwonego wina.

– Najpierw ludzka, a dopiero później męska – poprawiłem, również sięgając po wino.

– Rozumiem, że mogą liczyć na pełną i absolutną dyskrecję? – upewniła się, a ja poczułem, że kolejne kłamstwo nie przejdzie mi przez gardło. Postanowiłem więc jedynie skinąć głową, mając nadzieję, iż takie zapewnienie będzie jednoznacznym dowodem moich dobrych intencji. Jednak gest nie był wystarczająco sugestywny, bo Blanka nie wyglądała na przekonaną.

– Oczywiście, że nikomu słowa nie pisnę – obiecałem tonem księdza i lekarza w jednej osobie, dla którego tajemnica spowiedzi połączona z lekarską gwarantowała dożywotnie milczenie.

– Dobra, umowa stoi. Teraz musimy tylko ustalić, kto zaczyna.

– Oczywiście, że ty, bo kobiety zawsze mają pierwszeństwo – wszedłem jej w słowo.

– A ty niby jesteś pieprzonym dżentelmenem? – rzuciła ironicznie.

– Czy pieprzonym to nie wiem, ale dżentelmenem w stu procentach – zapewniłem, posyłając Blance jeden ze swoich najbardziej męskich uśmiechów.

– Dobra, ale tę godzinę szczerości musimy przenieść do hotelu, bo tutaj... – szukała przez chwilę odpowiednich słów, które miały wyrazić atmosferę panującą w restauracji – bo tutaj jest po prostu chujowo – stwierdziła i skinęła na kelnera, prosząc o rachunek.

Trochę żałowałem jagnięciny, której nie było mi dane skosztować do końca.

„Ale czego się nie robi dla sprawy” – pomyślałem, pomagając Blance założyć różową parkę.

– Do ciebie, czy do mnie – zapytałem, gdy pół godziny później wsiedliśmy do hotelowej windy. Jadący z nami mężczyzna obrzucił nas dziwnym spojrzeniem, w którym zazdrość mieszała się z lubieżnością.

– Do mnie – zdecydowała Blanka, a widząc w lustrze spojrzenie towarzyszącego nam faceta, oblizła koniuszkiem języka górną wargę.

– Po pierwsze mam wannę, po drugie większe łóżko, a po trzecie lepiej zaopatrzony barek – wyjaśniła szeptem, który gdybyśmy byli w holu, usłyszałyby połowa obecnych tam gości.

– Kłamczucha – rzuciłem, gdy tylko przekroczyliśmy próg pokoju. Jej pokój wyglądał identycznie jak ten, który ja zajmowałem. Takie same białe ściany z beżowymi wstawkami, a na podłodze wykładzina w grafitowym kolorze. Nawet łóżko było tej samej wielkości. Jedynie tapeta na jednej ze ścian przedstawiała inny pejzaż. U mnie można było podziwiać ośnieżone szczyty, a Blanka mogła się zachwycać górskim zachodem słońca.

– Ale z barkiem nie żartowałam – wskazała podbródkiem na ciężki dębowy mebel, stojący obok stolika i dwóch skórzanych foteli. Rzeczywiście w środku znalazłem kilkanaście butelek, z których ponad połowę widziałem po raz pierwszy w życiu.

– Zawsze, gdy tu nocuje, zamawiam taki sam zestaw – wyjaśniła, widząc moje zdumienie. Sięgnąłem po jedną z butelek o wdzięcznej nazwie CanaRio Cachaça.

– Fajnie się nazywa, a jak smakuje? – zapytałem, pokazując Blance etykietę.

– Bardzo podobne do rumu, też jest wytwarzane z trzciny cukrowej, tyle że w Brazylii – wytłumaczyła, dodając, że trunki z barku służą jej wyłącznie do przygotowywania drinków.

– Ja tam wolę czystą – przyznałem, odkładając butelkę na miejsce.

– Bo jesteś facetem, a większość facetów uwielbia zwykłą gorzałę, seks od tyłu, a loda z polykaniem.

– Czy ty naprawdę uważasz, że prawie wszyscy mężczyźni walą sobie konia nad twoim autografem, piją wodę, rzną swoje i nie swoje laski od tyłu i jeszcze im się spuszczają do buzi? – słownictwo, którego użyłem, nie było przypadkowe. Chciałem w ten sposób zobrazować Blance styl, w jakim ocenia facetów.

– Rozumiem, że w ten subtelny sposób chcesz mi uświadomić, jak bardzo jestem niesprawiedliwa wobec całego męskiego plemienia?

– Można to tak ująć – przyznałem i nie pytając o zgodę, zapadłem się w pierwszym z ogromnych foteli.

Blanka, myśląc nad odpowiedzią, przygotowywała sobie drinka. Obcisłe jeansy i koszula, oczywiście wszystko w jej ulubionym kolorze ciasno opinały szczupłą sylwetkę.

– Może i masz rację – zgodziła się niechętnie – jednak mam takiego cholernego pecha, że na swojej drodze spotykałam wyłącznie takich facetów – dodała ze szczerością, której się po niej nie spodziewałem.

– Gość z czarnej toyoty jest jednym z nich – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem, kierując tym samym rozmowę na odpowiednie tory.

Blanka, zamiast odpowiedzieć, smutno pokiwała głową, a jeden z platynowych kosmyków opadł jej na policzek.

– Tak, ma na imię Paweł i kiedyś byliśmy najlepszymi przyjaciółmi – zaczęła opowieść, a ja uświadomiłem sobie, jak podobne mogą być nasze tajemnice.

– Ale to było dawno temu, jeszcze w domu dziecka, zanim zostałam adoptowana – ciągnęła dalej.

Pobytek Blanki w domu dziecka nie był żadną tajemnicą i media nie widziały w tym sensacji. Bardziej koncentrowały się na tym, że miała wielkie szczęście, znajdując w wieku dwunastu lat rodziców zastępczych.

– On nie miał takiego farta, jak ja i do osiemnastki siedział w bidulu, ale był ode mnie o dwa lata starszy, więc kiedy stamtąd wyszedł, ja ledwie skończyłam szesnastkę. Spotykaliśmy się dość często, czasami wychodziliśmy na imprezy, ale nie myśl, że mnie stukał – zaznaczyła, upijając łyk drinka o lekko słomkowym kolorze.

– Ale ja wcale tak nie myślałem – skłamałem ze swobodą godną polityka, obiecującego wyborcom cuda na kiju, gruszki na wierzbie i dostęp do bezpłatnej służby zdrowia o każdej porze dnia i nocy.

– Ponieważ moje relacje z zastępczymi rodzicami zaczęły się psuć, przeprowadziłam się do Pawła. Oni nie robili afery, wystarczyło, że chodziłam do szkoły, pilnie się uczyłam, a na ich konto co miesiąc trafiała kasa na mój wikt i opierunek. Pewnego dnia, tuż po mojej osiemnastce, Paweł zaproponował wspólny wyjazd do Berlina. Miał tam kupić samochód. Ponieważ handlował autami, nie widziałam w tym wyjeździe niczego podejrzanego. Na miejscu spotkał się z jakimś jego znajomym, który zaproponował mi udział w robionych sesjach. Dla młodej dziewczyny dwa tysiące euro za pokazanie ciała było małą fortuną, tym bardziej że zdjęcia miały trafić wyłącznie do zachodnich magazynów erotycznych. Wtedy nawet nie myślałam, co będę robiła za pięć czy dziesięć lat. Liczyło się tu i teraz, a przyszłość była jedną wielką niewiadomą. Jak pewnie się domyślasz, wyraziłam zgodę i wzięłam udział w kilku sesjach. Zdjęcia robiliśmy w różnych wnętrzach i stylizacjach. Na niektórych nie miałam na sobie nic, a na innych wyzywającą erotyczną bieliznę. Jednak wszystkie były dalekie od pornografii – zaznaczyła i wstając, nieco już chwiejnym krokiem podeszła do barku, aby zrobić sobie kolejnego drinka.

Szczerze mówiąc, opowieść trochę mnie rozczerowała. Spodziewałem się czegoś bardziej soczystego i pikantnego, a zamiast tajskiej zupy *spicy thai noodle soup* z makaronem, uważanej za jedno z najbardziej żrących przelyk dań świata Blanka zaserwowała mi zwyczajny polski domowy rosół, który notabene bardzo uwielbiałem.

– Więc, już wiesz, w jaki sposób typek z toyoty wszedł w posiadanie moich fotek, których absolutnie się nie wstydzę. Jednak to dopiero początek historii – zapowiedziała, wracając do fotela. Ręka, w której niosła drinka drżała, jakby przez ostatnie kilka godzin trzymała w niej nie szklanekę, ale pracujący na pełnych obrotach młot udarowy, a mimo to jakimś cudem nie uroniła ani kropli. – Dwa tygodnie później, po ostatniej sesji razem z Pawłem i fotografem wybraliśmy się do ich wspólnego znajomego na imprezę. Była muzyka, taniec, drinki, dobra zabawa, a gdy rano się obudziłam byłam już w jednym z hamburskich burdeli. – Po tych słowach szeroko otworzyłem oczy i głośno wciągnąłem powietrze.

– Nie rób takiej zdziwionej miny, jak karp na widok wanny, trzy dni przed Wigilią – roześmiała się Blanka, rozluźniona kilkoma drinkami – w ten sposób kończyła większość panienek, marzących o sławie, pieniądzach i karierze modelki – mówiła, a uśmiech na jej ustach gasł niczym słońce znikające za górami. – Paradoksalnie

mogłam trafić znacznie gorzej, do jakiegoś podrzędnego burdelu, gdzie, zanim przeleciałby mnie pierwszy klient, przeszłabym przez łapy całej męskiej obsługi. Jednak widocznie widzieli we mnie potencjał, bo przez pół roku, jakie tam spędziłam, ani razu nie zostałam uderzona. Aby przekonać mnie do uległości, wystarczyło pokazać mi film, na którym łysy zwyrodnialec wycinał żyłką wzorki na twarzy krzyczącej z bólu dziewczyny.

Scena opisana przez Blankę spowodowała, że cała zjedzona jagnięcina błyskawicznie podeszła mi do gardła.

– Robiłam swoje i każdego dnia grzecznie rozkładałam nogi, wypinałam dupcię i otwierałam buzię przed bogatymi klientami, z których wszyscy byli kulturalni, mili, hojni, a po spuszczeniu mi się do ust wracali do swoich żon i dzieci, które czekały na nich w pięknie urządzonej domach, grając przykładowych mężów i ojców. Pewnego dnia uświadomiłam sobie, że skoro przez własną głupotę wylądowałam w burdelu, to teraz muszę sama wydostać się z tego luksusowego szamba, bo inaczej zgniję w nim jak banan na słońcu. Używając lakierów do włosów, papieru toaletowego i papierowych ręczników, wywołałam pożar. Nim obsługa zdążyła zareagować, pod willą stało już kilka wozów gaśniczych. Wykorzystując zamieszanie, uciekłam i dzięki napiwkom od klientów wróciłam do Polski. Postanowiłam zacząć nowe życie i odciąć się od przeszłości. Za pieniądze ze zdjęć, które przezornie ulokowałam w banku oraz drugie tyle, jakie uciulałam z napiwków, mogłam przeżyć kilka miesięcy. Wynajęłam mieszkanie i zaczęłam szukać pracy. Wiedziałam, że jestem ładna, powtarzali mi to wszyscy moi klienci, a jeden nawet chciał się ze mną ożenić. Problem polegał na tym, że typ miał żonę i troje dzieci. – Blanka znowu się roześmiała, ale teraz był to już ewidentnie śmiech wywołany alkoholem.

– Baranku, bądź tak miły i zrób mi kolejnego drinka – poprosiła, wyciągając do mnie pustą szklankę.

– Nie wiem, czy sprostam twoim wymaganiom – zastrzegłem – i nie jestem przekonany, czy powinnaś jeszcze pić – dodałem, ale Blanka pogroziła mi tylko palcem.

– Jak nie dasz Blani pić, to Blania niczego więcej nie powie – ostrzegła i to był argument, którego nie ośmieliłem się kwestionować. Podchodząc do barku zobaczyłem, że butelka brazylijskiej wódki była już osuszona, a w następnej, której nazwa też mi nic nie mówiła, alkoholu zostało najwyżej na dwa palce. Wlałem go do szklanki, dorzuciłem kilka kostek lodu i uzupełniłem gazowaną wodą mineralną, która jak głosiła nazwa na etykiecie, pochodziła z Beskidu.

„W takich Tatrach powinni mieć własną wodę na przykład o wdzięcznej nazwie zakopianka” – pomyślałem, podając Blance pełną szklankę.

– Kochany jesteś – wymruczała, choć podziękowanie bardziej przypominało bełkot. – Na czym to ja skończyłam? – zapytała sama siebie – a już wiem, na poszukiwaniu pracy – dodała po chwili namysłu. – Postanowiłam spróbować swoich sił w mediach, a tak się akurat złożyło, że organizowano casting na prezenterkę pogody. Uznałam więc, że skoro mogłam być luksusową kurwą, to z zapowiadaniem pogody też sobie poradzę. Ubrałam się, jak na pogodynkę przystało i poszłam. Na miejscu okazało się, że podobne do moich planów miało jakieś pół tysiąca innych lasek. Przy niektórych z nich wyglądałam jak Kopciuszek na dwa dni przed balem. Wchodząc do studia, nie miałam wielkich nadziei. Jednak, gdy zobaczyłam producenta, wiedziałam, że za jakiś czas cała Rzeczpospolita będzie oglądała moją śliczną buźkę na tle pogodowej mapy Polski. – Blanka przerwała na chwilę swoją opowieść i pociągnęła solidny łyk ze szklanki.

Patrząc na nią, zachodziłem w głowę, jak można po tylu wypitych drinkach mówić tak składnie. O recytowaniu *Pana Tadeusza* nie mogło być mowy, ale wyrażała się na tyle płynnie, że wszystko było dla mnie zrozumiałe.

– No więc, okazało się, że szanowny i szanowany pan producent dwa razy odwiedził mnie w Hamburgu, tyle że wtedy nie rozmawialiśmy o pogodzie. Wystarczyło jedno moje spojrzenie, aby przypomniał sobie nasze igraszki. Tym sposobem znalazłam się w gronie sześciu szczęściar, spośród których miała zostać wybrana ta jedyna. Indywidualna rozmowa z panem producentem była bardzo krótka. Tym razem nie musiałam rozkładać nóżek, nadstawiać pupy, a usta otworzyłam tylko po to, aby mu zakomunikować, co się stanie, jeśli za dwa tygodnie nie zapowiem wieczornej prognozy pogody. Tak zaczęła się moja kariera w show-biznesie, a kilka lat później przypomniał o sobie Paweł – oznajmiła Blanka, upuszczając pustą szklankę na puszystą wykładzinę.

Obserwowałem, jak jej głowa opada na oparcie fotela, a lekko przekrwione oczy znikają pod zasłoną powiek, okolonych długimi, gęstymi rzęsami.

„To by było na tyle” – pomyślałem kilka minut później, przenosząc jej bezwładne ciało na łóżko. Początkowo miałem zamiar przykryć ją kołdrą i pójść do siebie, ale wiedziałem z autopsji, że spanie w opakowaniu, w dodatku tak ciasnym, jak to które miała na sobie Blanka, jest cholernie niewygodne. Rozbieranie zacząłem od skarpetek, oczywiście różowych. Kiedy uporałem się z jeansami i koszulą doznałem wstrząsu. Patrzyłem na śpiącą celebrytkę, której rozpoznawczym kolorem był róż i nie mogłem uwierzyć, że bielizna, którą miała na sobie, była czarna. Fakt, że wyciągnąłem smartfon i cyknąłem kilka fotek, mogłem zrzucić jedynie na karb przeżytego właśnie szoku. Jednak to, że w następnej chwili sprawnie jak warszawski kieszonkowiec z dwudziestolecia międzywojennego, przetrząsnąłem jej torebkę, było wykonane z zimną kalkulacją. Karty kredytowe, lojalnościowe, identyfikacyjne i dowód osobisty oraz certyfikat przyjęcia trzeciej dawki pfizera, nie wzbudziły mojego zainteresowania. Inaczej rzecz miała się z kluczami. Szczególnie jeden z nich wzbudził moją ciekawość. Wygrawerowana nazwa marki była taka sama jak na jednej z przeglądanych chwilę wcześniej kart. Szybko ją odnalazłem i wtedy zrozumiałem, jakie mam szczęście. Ponownie wyciągnąłem smartfon i zrobiłem dwa dodatkowe zdjęcia do kolekcji. Następnie wrzuciłem wszystkie przedmioty do torebki i wyszedłem z pokoju.

Zamiast pójść do siebie, zszedłem do hotelowego baru, aby napić się czegoś swojskiego. Ledwie usiadłem na wysokim barowym stołku, przyfałowała do mnie średniego wzrostu brunetka o piwnych oczach, burzy kręconych loków i uśmiechu, który mówił wszystko, a nawet więcej.

– Sorry, lala, ale jestem tylko skromnym szoferem i nie stać mnie ani na twoje wdzięki, ani nawet na postawienie ci drinka – powiedziałem płynną angielszczyzną, próbując zatuszować słowiański akcent. Dziewczyna posłała mi przepraszający uśmiech i odeszła do stolika, przy którym siedziała jej koleżanka.

– To jakiś angol, może ty spróbujesz, bo znasz angielski – powiedziała, ale tamta nie wykazała zainteresowania. Zachowując pozory i korzystając z języka królowej Elżbiety, zamówiłem Harnasia, prosząc, aby dopisano go do rachunku. Nie zamierzałem wyklądać dwóch dych za piwo, które w Biedrze można było wywać nawet za trzy zeta, a poza tym jakby na to nie patrzeć, byłem tu służbowo. Sącząc zimnego browara, rozmyślałem o tym, co opowiedziała mi Blanka. Historia, zwłaszcza jej druga część była ostra jak papryczka piri piri. Podejrzewałem również, że gdyby nie cudowna moc alkoholu rozwiązująca języki na całym świecie, nie usłyszałbym o pobycie w hamburskim burdelu. Zastanawiałem się także, czy moja siostra zna ten okres życia swojej szefowej. Po chwili uznałem, że nie, bo tajemnice takiego kalibru każdy wołaby zachować wyłącznie dla siebie. Przecież gdyby Blanka nie załała się jak przysłowiowa pestka, to zakończyłaby opowieść na sesji zdjęciowej, a później wymyśliła jakąś bajeczkę o tym, jak skurwysyn z toyoty zaczął ją szantażować. Chociaż nie powiedziała tego wprost, to wszystko wskazywało na to, że Paweł sprzedał ją tak, jak sprzedawał samochody, które przywoził z Niemiec. Różnica była taka, że tym razem zabawił się w eksport żywym towarem. Teraz wcale mnie nie dziwiło, dlaczego Blanka życzyła mu śmierci. Choć ja na jej miejscu wysłałbym Pawelka do tureckiego więzienia, gdzie osadzeni lubili używać sobie na współwięźniach. Wtedy na własnej skórze i dupie, przekonałby się, jak smakuje to, co on zafundował Blance, a może i innym dziewczynom. Moje rozmyślenia i delektowanie piwem przerwał dopiero kelner, informując, że do zamknięcia baru pozostał kwadrans. Za jednym przechyleniem wyzerowałem resztę zawartości kufła i z głową ciężką od nadmiaru traumatycznych opowieści poszedłem do siebie.

Chociaż sen przyszedł błyskawicznie, to równie szybko nastąpił poranek, a wraz z nim telefoniczna pobudka w wykonaniu radosnej jak skowronek Blanki.

– Za pół godziny zapraszam do siebie na śniadanie – szczebiotała z taką energią, jakby wypite kilka godzin wcześniej drinki zamiast kaca przyniosły jej przypływ energii – tylko się nie spóźnij – ostrzegła. Chciałem odpowiedzieć, że to będzie trudne, bo nasze pokoje dzieli zaledwie kilka metrów, ale ona już przerwała połączenie. Ziewnąłem głośno i z postanowieniem, że wstanę za dziesięć minut, kliknąłem ikonkę galerii. Wpatrując się w zdjęcia Blanki w czarnej bieliźnie, doszedłem do dwóch wniosków. Pierwszy był taki, że wcale nie widać, aby była pijana. Wyglądała tak, jakby spała lub udawała, że śpi. Rozanielony wyraz twarzy w połączeniu z elegancką bielizną powodował, że trudno było oderwać od niej oczy, a męska wyobraźnia wchodziła na wyższe obroty, jak silnik samochodu jadącego pod górę. Drugi, bardziej zaskakujący dotyczył samej bielizny. Blanka miała na sobie komplet polskiej produkcji. Nie jakiejś znanej marki z Paryża, Mediolanu, Londynu, czy Nowego Yorku, ale naszej rodzimej

firmy spod Warszawy. Widząc, że pozostało mi jeszcze kilka minut lenistwa, odpałem Instagram. Jak mogłem się spodziewać, Blanka już prowadziła live. Co prawda na znane przez wszystkich powitanie „dzień dobry, kochani”, trochę się spóźniłem, ale mogłem zobaczyć, jak zachwała pokój, widoki z okna i zachęca do kibicowania naszym skoczkom.

– A teraz muszę już uciekać, bo czeka na mnie śniadanie w miłym towarzystwie – zakończyła, a ja lub raczej moje męskie próżne ego poczuło się mile polechtane. Euforia prysnęła pięć minut później, gdy wchodząc do pokoju Blanki, zobaczyłem siedzącą przy stole Olkę.

– A ty, nie miałś czasami organizować ekspedycji śladami Krzysztofa Kolumba? – zapytałem zdziwiony jej obecnością.

– Braciszku, ja jestem jak gazela, o dwudziestej wykonałam ostatni telefon, a sześć godzin później byłam już tutaj.

– A żadnego patrolu po drodze nie spotkałaś? – rzuciłem z lekką złośliwością.

– Baranku, nie przeginaj – pogroziła mi palcem Blanka i zaprosiła do stołu. Usiadłem na wskazanym miejscu, ale widząc, że poza zieleniną i kilkoma rodzajami sera nie ma do jedzenia nic więcej, poczułem rozczarowanie.

– Dlaczego nie jesz? – zapytała Blanka, opychając się jakąś sałatą i oliwkami.

– Czy ja ci wyglądam na królika, żeby żreć zielone?

– Na królika, to nie, ale na barana owszem. Jednak masz rację. Zapomniałam zamówić coś mięsnego – odparła przepaszającym tonem.

– Skoczę do restauracji i coś mu przyniosę – zaoferowała Ola i nim Blanka zdążyła ją powstrzymać, siostra zniknęła za drzwiami.

– Miła niespodzianka – rzuciłem z przekąsem.

– Spokojnie, do naszej wczorajszej rozmowy jeszcze wrócimy.

– Nie wątpię, choć pewnie będę musiał ci przypomnieć, na czym skończyliśmy.

– Nie martw się, wszystko doskonale pamiętam, nawet to, jak mnie przносиłeś na łóżko i rozbierałeś.

– Wątpię, bo byłaś jak śliwka, która przez weekend moczyła się w spirytusie.

– I tu się mylisz – oświadczyła Blanka z tajemniczym uśmiechem – wszystko doskonale pamiętam, ale nie chciało mi się już z tobą gadać, więc udałam wstawioną lale, a ty to kupiłeś – dodała, cicho chichocząc.

Zastanawiałem się, czy pokazać jej zdjęcia, które zrobiłem na pamiątkę tego wspaniałego wieczoru, ale uznałem, że będzie lepiej nie wyprowadzać jej ze złudnego poczucia zwycięstwa i bycia panią sytuacji.

Przez resztę pobytu nie wracaliśmy już do naszych sekretów. Po pierwsze, prawie zawsze gdzieś w pobliżu była Ola, a po drugie Blanka wpadła w szał kibicowania. Chociaż naszym chłopakom nie szło najlepiej, to ona zawsze próbowała znaleźć pozytywne strony występów naszej ekipy. Po zawodach drużynowych ważniejsze dla niej było pokonanie Rosjan niż zajęcie dopiero szóstego miejsca. W konkursie indywidualnym również nie szczędziła pochwał, choć moim zdaniem najlepsze czasy polskich skoków, podobnie jak polskiej piłki nożnej mieliśmy dawno za sobą. Co więcej, nic nie wskazywało, aby pojawił się ktoś na miarę Małysza, Stocha, Żyły lub Kubackiego. Moja ocena sytuacji nie była z resztą odosobniona, bo wracając ze skoczni do hotelu, słyszałem po drodze podobne opinie. Niemniej jednak sam pobyt w Zakopanem uważałem za udany. Atmosfera narodowego sportowego święta pozwalała na chwilę zapomnieć, że Polska podzielona jest nie tylko na szesnaście województw, ale też na sympatyków i przeciwników obozu władzy czy zwolenników i zaciekle wrogów szczepionki na koronawirusa. Nie wspominając o tych, którzy piali z zachwytem nad Polskim Ładem i tych, którzy wieszali na nim psy. Na szczęście Tinder nie wymagał od użytkowników aż takich deklaracji. Tam wystarczyło jedynie zdjęcie oraz kilka informacji, pozwalających dokonać wyboru. Tej sobotniej nocy moim wyborem była Eliza. Nie miało znaczenia, że imię mogło być zmyślone. Przecież ja też nie byłem Adamem, tylko Aleksandrem. Liczyła się ochota na przeżycie kilku niezapomnianych chwil. Pamiętając o szpiegowskim nosie Blanki, zaprosiłem Elizkę, bo tak chciała, abym do niej mówił do swojego pokoju. Dziewczyna była trochę oszołomiona luksusem, ale to nie zagłuszyło jej podejścia do seksu, a nawet go rozpałiło.

– Możemy to zrobić tam? – zapytała, wskazując wannę, w której z powodzeniem można by hodować aligatora.

– Oczywiście, tylko mnie nie utop – zgodziłem się, błyskawicznie zdejmując buty, kurtkę, spodnie i całą resztę odzieży. Kiedy godzinę później wzajemnie zadowoleni i roześmiani opuściliśmy pokój, z przerażeniem zobaczyłem, że od strony windy nadchodzą Blanka i Ola. Takiego scenariusza nie przewidziałem i teraz besztalem się w myślach za swoją głupotę. Co prawda Blanka nie wydała mi zakazu przyjmowania gości, ale i tak czułem, że z naszego spotkania może wyjść niezła chryja. Jednak one, co uznałem za zrządzenie losu, obrzuciły mnie tylko obojętnym wzrokiem, minęły jakbyśmy się w ogóle nie znali i zniknęły w pokoju Blanki. Ulga, jaką odczułem, była tak wielka, że aż głośno wypuściłem powietrze.

– Wiesz, kto to był? – wyszeptała Eliza, oglądając się przez ramię.

– Nie mam pojęcia – skłamałem bez mruknięcia powieką.

– To była Blanka Lipiec – oznajmiła dziewczyna z taką ekscytacją, jakby właśnie została zaproszona do udziału w *Hotelu Paradise* i najbliższe kilka tygodni miała spędzić na Panamie, knując konspiry i przeżywając dramy.

– Nie znam – rzuciłem, brnąc dalej w kłamstwo, które zaczynało mnie bawić.

– Bo jesteś facetem, ale dla dziewczyn to ikona nowoczesnej kobiety, która nie boi się otwarcie mówić o tym, co inni woleliby przemilczeć – pean na temat mojej szefowej trwał jeszcze przez dobre pięć minut i zakończył się, dopiero gdy pod hotel podjechała zielona fabia, prowadzona przez Wasyla, który jak głosiła reklama Ubera, miał tanio, szybko i bezpiecznie, odwieźć Elizę do domu. Poczekałem, aż škoda zniknie w sznurze pojazdów i ruszyłem do hotelu. W drzwiach o mało nie wpadłem na wychodzącą w pośpiechu Olkę. Mała walizka, którą za sobą ciągnęła, wskazywała, że zamierza wyjechać.

– A, ty siostra, co, ledwie przyjechałaś i już nas opuszczasz? – zapytałem zaskoczony.

– Pierdol się – rzuciła w odpowiedzi.

W jednej chwili zbaraniałem, zaniemówiłem i znieruchomiałem. Gdy po kilku sekundach odzyskałem czucie i mowę, Ola wsiadała już do swojego czerwonego seata.

– Naprawdę nie rozumiem kobiet – mruknąłem pod nosem i wszedłem do hotelowego baru. Usiadłem na wysokim stołku, ale tym razem dla odmiany zamówiłem złotego bażanta.

– Mogę się przysiąc? – usłyszałem po chwili.

– To wolny kraj, więc chyba tak – odpowiedziałem. Blanka zwinnie usadowiła się na sąsiednim stołku i zamówiła wodę z cytryną.

– Co się stało Olce? – zapytałem, gdy kelner odszedł na drugi koniec baru.

– Nie mam pojęcia – zapewniła, sącząc przeźroczysty płyn przez ekologiczną metalową słomkę.

Nie wierzyłem w ani jedną wypowiedzianą sylabę, ale też nie zamierzałem drążyć powodu, dla którego moja siostra zabrała swoje zabawki i opuściła luksusową hotelową piaskownicę.

– Może to i lepiej, że wyjechała. Będziemy mogli skończyć naszą rozmowę smutnie nie skończoną – odezwała się po chwili Blanka, parafrazując wiersz Tuwima.

– No, no, kto by pomyślał, że Blanka Lipiec ma taką poetycką naturę – rzuciłem z lekką ironią.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz – stwierdziła, ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu.

„I tu się, maleńka, mylisz” – pomyślałem, uśmiechając się w myślach na wspomnienie tych wszystkich zgromadzonych historyjek, które już wkrótce miały stać się dla mnie trampoliną do sławy i wielkich pieniędzy.

Pięć minut później siedziałem w pokoju Blanki, słuchając tego, czego nie zdążyła powiedzieć wczoraj. Ostatnia część historii o typku z czarnej toyoty była dość przewidywalna. Gdy Blanka znalazła się na szczycie, Paweł postanowił przypomnieć o swoim istnieniu oraz o przeszłości, która teraz miała ją słono kosztować. Nie powiedziała ile, przez ostatnie dwa lata, mu zapłaciła, ale musiała to być niezła sumka, skoro zaczęła poszukiwać bardziej radykalnych rozwiązań swojego problemu.

– Sądząc po tym, jak wczoraj poradziłeś sobie z tym krewkim górale, uważam, że mógłbyś przemówić skurwielowi do rozsądku – stwierdziła Blanka – oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem – dodała, a w jej niebieskich oczach dostrzegłem prośbę, połączoną z desperacją.

Pomysł rozmowy, nawet takiej, w wyniku której Pawełek straciłby kilka zębów, był dość kuszący. Nie chodziło nawet o kasę, bo tę miałem zamiar zarobić, wykorzystując wszystkie sekrety Blanki, ale o jeszcze większe zdobycie

jej zaufania, będącego jak klucz do sejfu, w którym przechowywała te najbardziej ufajdalone brudy ze swojego życia.

– Rozumiem zatem, że składasz mi atrakcyjną propozycję, ale chcąc się upewnić, że mój wczorajszy sukces nie był jedynie kwestią przypadku, chcesz wiedzieć, gdzie uczyłem się walki na pięści?

– Bardzo dobrze rozumiesz – potwierdziła Blanka, zadowolona z mojej błyskotliwości.

– Zaczęło się, gdy miałem szesnaście lat. Wtedy za namową mojego przyjaciela z klasy poszedłem na pierwszy trening boksu. Instruktorem był dawny mistrz Polski, który już po kilku zajęciach uznał, że mam potencjał na dobrego zawodnika. Trenowałem przez ponad dwa lata. W tym czasie wygrałem kilkanaście zawodów. Moja kariera skończyła się tak samo nagle, jak zaczęła. Podczas jednej z walk znokautowałem przeciwnika tak mocno, że kolejne kilka tygodni spędził w szpitalu. Wtedy dotarło do mnie, że boks, choć piękny, może być też niebezpieczny i postanowiłem zrezygnować z zawodowej kariery boksera – zakończyłem opowieść, która po pierwsze była krótsza niż historia Blanki, a po drugie oceniana w taki sposób, aby powiedzieć to, co istotne, a przemilczeć kwestie, które dla Blanki nie miały znaczenia.

– Tyle mi wystarczy – oświadczyła, a ja po raz kolejny tego wieczoru odetchnąłem z ulgą.

– Teraz pozostaje tylko ustalić, na ile wyceniasz swoją zdolność perswazji – dodała po chwili.

– Myślę, że dojdziemy do porozumienia – zapewniłem, wstając z fotela i podchodząc do okna. Obserwując nocną panoramę stolicy polskich gór, intensywnie myślałem nad wyceną swoich usług. Wiedziałem, że nie mogę być niczym górale, którzy bez miłosierdzia doili ceprów, jak w tutejszej gwarze określano turystów z nizinnych części kraju. Jednak, gdybym powiedział, że obiję mordę Pawełkowi za półdarmo, większą satysfakcję czerpiąc nie z zapłaty, ale mordobicia, to taka oferta byłaby dla Blanki podejrzana, jak wiecznie świeże truskawki w marketach, pochodzące z ekologicznych plantacji.

– Nie wiem, ile kosztuje spuszczenie komuś łomotu, bo nigdy tego nie robiłem – przyznałem, zrzucając na Blankę zaproponowanie stawki.

– Dobra, dostaniesz trzy tysiące, co ty na to?

„Jak za pięć minut fizycznej pracy, to całkiem rozsądna kasa” – pomyślałem, ale nie podzieliłem się z Blanką swoimi przemyśleniami.

– Dobra, pasuje – odrzekłem tonem człowieka, który właśnie zrobił jeden z najlepszych interesów swojego życia. – O której jutro wyjeżdżamy? – zapytałem, ruszając do drzwi.

– Po obiedzie, bo chcę się jeszcze nacieszyć widokiem ośnieżonych górskich szczytów.

„No tak, przez najbliższe dwa tygodnie będziesz wygrzewała dupcię na gorących dominikańskich piaskach, więc musisz napaść oczy widokiem naszych kochanych Tatr” – pomyślałem z zazdrością i wróciłem do siebie.

Ledwie zamknąłem za sobą drzwi, rozdzwonił się mój telefon. Widząc na wyświetlaczu uśmiechniętą twarz matki, pomyślałem o tym, że musiała się wydarzyć jakaś rodzinna tragedia. Mama już dawno odcięła pępowinę, a więc telefony w rodzaju: »co u ciebie, synku, słyhać?«, nie były w jej stylu. Dzwoniła wyłącznie w konkretnych i ważnych sprawach. Najczęściej zaś wtedy, Kiedy trzeba było kupić warzywa albo masło, którego jakimś cudem właśnie zabrakło. Jednak w niedzielny wieczór, a właściwie już noc, bo dochodziła dwudziesta trzecia o sprawunkach, nie mogło być mowy. Pełen złych przeczuc odebrałem połączenie.

– Olek, czy twoja siostra jest z tobą? – zapytała, a ton jej głosu nie zwiastował niczego dobrego.

– Była w Zakopanem, ale jakieś dwie godziny temu wyjechała.

– To, dlaczego do cholery nie odbiera telefonu?

– Może się jej rozłądował? – zasugerowałem, nie mogąc zrozumieć, dlaczego matka o tej porze dzwoni do mnie i wypytuje o moją bliźniaczkę i swoją córkę w jednym.

– A czy coś się stało? – odważyłem się zadać pytanie, które prędzej, czy później musiało paść z mych ust.

– To się, kurwa, stało, że w internecie aż huczy – zakłęła matka, czym jeszcze bardziej wprawiła mnie w zdumienie, ponieważ wulgaryzmów używała tak często, jak kucharki przypraw w przedszkolnej kuchni.

– Ale o czym tak huczy?

– O tym, że Ola i Blanka są lesbijkami – krzyknęła matka i zaniósła się łkaniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rewelacje matki były tak absurdalne, że wybuchnąłem niepohamowanym śmiechem. Dopiero świadomość, iż przebywam w miejscu, gdzie teoretycznie obowiązuje cisza nocna, przywołała mnie do porządku. Zapewne miały też na to wpływ słowa rodzicielki.

– Olek, tu się kurwa nie ma z czego śmiać – zauważyła, próbując opanować emocje.

– Mamo, jak znam życie i Internet, to jakiś *fake news*, mający podkreślić statystyki któregoś z serwisów plotkarskich – wyjaśniłem, chcąc w ten sposób uświadomić matce, że nie ma na świecie oczyszczalni, która mogłaby przerobić ilość gówna pływającego w sieci.

– Nawet, jeśli masz rację, to nim wszystko zostanie wyjaśnione minie wiele czasu, a biedna Ola będzie musiała znieść cały ten hejt, jaki na nią spadnie.

– Po pierwsze wątpię, aby kolorowe pisemka interesowały się Olą. Ich bardziej obchodzi Blanka. To ona sprawia, że ludzie klikają w każdy link, mający w nazwie wyraz »lipiec«, nawet jeśli to tylko odnośnik do kalendarza działkowca. Po drugie Blanka jest na tyle zaprawiona w bojach z łowcami sensacji, że taka rewelacja jak bycie lesbijką przyniesie jej więcej dobrego niż złego – przekonywałem, ale nie wiedziałem, czy moje argumenty dotrą do matki, która, choć była wykształcona i nowoczesna, to wierzyła w Internet jak stara dewotka w książeczkę do nabożeństwa.

Obyś miał rację – westchnęła – obyś miał rację – powtórzyła i prosząc, abym wracając do domu, kupił ziemniaki, pożegnała się i zakończyła połączenie. Dopiero po pięciu minutach, gdy przeglądałem najświeższego i najbardziej soczystego *breaking newsa*, mama przesłała SMS: *Zapomniałam, że jesteś w Zakopanem. Sama kupię kartofle*. Kasując wiadomość, wróciłem do wciągającego śledztwa portali plotkarskich, którego efektem miało być zdemaskowanie prawdziwej orientacji seksualnej Blanki Lipiec. Jednak jedyne czym dysponowały serwisy to zdjęcie, na którym Ola i Blanka stały wtulone w siebie. Sądząc po kreacjach, fotka została wykonana podczas pamiętnego balu sylwestrowego, po którym celebrytka straciła prawo jazdy, a ja dostałem szansę od losu. Zdjęcie choć wymowne, nie mogło stanowić podstawy do formułowania ostatecznej tezy o seksualności jednej z najbardziej charyzmatycznych celebrytek. Nic więc dziwnego, że wszyscy bez wyjątku operowali gładkimi i okrągłymi zdaniem, na których końcu zawsze pojawiał się znak zapytania. Czy to możliwe, aby Blankę Lipiec i jej asystentkę łączyło coś więcej niż tylko kontakty służbowe? Czy zdjęcie Blanki Lipiec i Aleksandry Baran może sugerować, że ich relacja wykracza poza ramy zawodowe? To tylko dwa z przykładów, jakimi kończyły się wszystkie artykuły zamieszczone w sieci. Pewnie, gdyby pora była bardziej przyzwoita, poszedłbym do pokoju obok i zapytał swoją szefową, co jest grane? Jednak dochodziła północ, a ja po całym dniu funkcjonowania na wysokich obrotach, marzyłem o zagrzebaniu się w pościeli. Nim na dobre zapadłem w sen, przypomniałem sobie sytuację sprzed kilkunastu dni, gdy Blanka wspomniała o swoim epizodzie z kobietą.

„Cholera, czy to możliwe, aby w tej całej sieczce bredni było ziarno prawdy?” – przemknęło mi przez głowę, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć sobie na to pytanie, sen wciągnął mnie do ciepłego, ciemnego tunelu, na którego końcu paliło się nikłe światelko. Droga do tej przedziwnej jasności trwała całą noc i gdy wreszcie tam dotarłem, za oknem zobaczyłem błękitne niebo, a tuż pod nim ośnieżone szczyty, od których odbijały się złociste promienie. Sięgnąłem po smartfon i zerknąłem na wyświetlacz. Centrum powiadomień było puste, a zegarek w prawym górnym rogu ekranu wskazywał ósmą siedemnaście. Przeszedłem do kontaktów i wybrałem numer do Oli. Odebrała po drugim sygnale, ale ton jej głosu był jak syk grzechotnika.

– Cześć, siostra – zacząłem, starając się, aby mój głos emanował nutami łagodności, relaksu i wyciszenia – mama próbowała cię wczoraj złapać.

– Wiem, już do niej oddzwoniłam – odburknęła, wchodząc mi w słowo.

– To super, bo trochę się martwiła.

– Tym, że jej córeczka jest lesbijką? – przerwała Ola, kierując rozmowę na tory, którymi ja nie zamierzałem jechać.

– Przecież dobrze wiemy, że te plotkarskie hieny gotowe są oddać własnych rodziców do domu starców, byle ciemny lud klikał w linki – powiedziałem to, co Ola powinna doskonale wiedzieć, bo przecież nie od dzisiaj romansowała z show-biznesem i zdawała sobie sprawę, że jest on kapryśnym kochankiem, który w poniedziałek kwiaty przynosi, we wtorek w mordę leje, a w środę na kolanach prosi o wybaczenie.

– A jeśli to wszystko jest prawdą? – rzuciła nagle pytanie, które jak rękawica wyzywająca na pojedynek upadło między nami.

– No cóż... – zacząłem, starając się tak dobierać kolejne słowa, aby z jednej strony nie wyjść na klasycznego polskiego homofoba, a z drugiej zablasytać dowcipem – wtedy wyjedziecie do Holandii, weźmiecie huczny ślub, adoptujecie po jednym dziecku z każdego kontynentu i będziecie tworzyły kosmopolityczną rodzinę – oznajmiłem, uwalniając zasoby swojej wyobraźni i rozwijając wizję, która wydawała mi się bardziej fantastyczna, niż powieści Sapkowskiego.

– Dziękuję za życzenia, ale chyba jednak wolę chłopców – oznajmiła rozbawiona Ola.

– To w takim razie, wyślemy Blankę na operację zmiany płci i będzie tak, jak chcesz – podsunąłem, korzystając z oparów wyobraźni, która powoli traciła swą magiczną moc.

– Jest to jakieś rozwiązanie – przyznała – ale mnie kręć dobrze zbudowani, wysocy blondyni, koniecznie o zielonych oczach – dodała, a ten krótki opis pasował do jej obecnego chłopaka.

– Mówiąc poważnie, to uważam, że w tym pozał się Boże skandalu, rodem z brazylijskiej lub tureckiej telenoweli swoje paluszki maczała sama Blanka – powiedziałem, wiedząc, że właśnie wkraczam na teren usiany minami.

– A skąd takie podejrzenie?

– A stąd, że gdy wczoraj kazałaś mi spierdalać, a sama zrobiłaś coś podobnego, to Blanka nie roniła łez po twoim odjeździe.

– Czyli uważasz, że mamy do czynienia z klasycznym chwytem piarowym w rodzaju »nieważne jak o tobie gadają i piszą, ważne, żeby nie przekęcili nazwiska«?

– Tak właśnie sędzę, ale nie mów o tym naszej szefowej, bo wtedy będziesz musiała znaleźć jej nowego kierowcę – poprosiłem, choć doskonale wiedziałem, że Olka nie puści pary w przeciwieństwie do czajnika, w którym gotuje się wodę na herbatę.

Nie mając zaproszenia na śniadanie do pokoju Blanki, zszedłem do hotelowej restauracji. Po ilości zajętych stolików można było wywnioskować, że weekend jest już tylko wspomnieniem, a korporacyjne szczury siedzą teraz w szklanych domach umiejscowionych w centrach wielkich polskich miast, wydając mniej ważnym szczurkom nowe polecenia. Chodząc między stoiskami strefy gastronomicznej, zastanawiałem się co by tu wrzucić na ząb. Paradoksalnie problemem był wybór dostępnych dań. Nawet jajecznica występowała w trzech wariantach. W końcu uznałem, że najsmaczniej wygląda ta z boczkiem. Siadając do stolika, kątem oka dostrzegłem wchodzącą do restauracji Blankę. Posłała mi promienny uśmiech i zniknęła przy szwedzkim bufecie. Po chwili nawet nie pytając o zgodę, usiadła przy moim stoliku.

– Wiesz, że przy takiej diecie twoje wnuki będą cię znały jedynie z opowiadań – przestrzegła, krytycznym spojrzeniem obrzucając mój talerz.

– Ja przynajmniej będę miał wnuki.

– Sugerujesz, że nie nadaję się na matkę? – zapytała, przeżuując liść sałaty. Zielen talerza tworzyła dziwny kontrast z jej różowym golfem.

– Ależ nie! Tylko mam pewne obawy co do potencjalnego ojca – wyjaśniłem, dodając, że Ola raczej jej nie zapłodni.

– A więc do ciebie też dotarła ta zabawna plotka, że niby ja i Ola jesteśmy dwiema połówkami tego samego jabłuszka?

– Tak rano zadzwonił do mnie pan Kurski i chciał potwierdzenia tej sensacyjnej wiadomości. Podobno mieli to dać na czołówkę *Teleexpressu*.

– Wiesz, czasami to nie mogę wyjść z podziwu dla kreatywności, jaką wykazują się ci lowcy sensacji.

– O tak, fantazji to im nie brakuje – przyznałem – ale uważaj, bo jak następnym razem zrobią ci zdjęcie w warzywniaku, to mogą go zatytułować: »Czy Blanka Lipiec zapłaciła za pomidory?« – przestrzegłem, kończąc jajecznicę i zabierając się za kawę i szarlotkę.

– Ty powinienesz poszukać pracy w jakimś Pudelku, Pomponiku, czy innym Nocniku – zasugerowała Blanka, nie kryjąc podziwu – bo jako mój kierowca, to się marnujesz – dodała, sięgając po kolejną porcję bezkalorycznej zieleniny.

Po śniadaniu pojechaliśmy do Doliny Chochołowskiej, skąd Blanka postanowiła nadać swojego pierwszego live'a od czasu wybuchu afery. Musiałem przyznać, że miejsce wybrała doskonale, szczególnie że sprzyjała jej także pogoda.

– Dzień dobry, kochani! Jak widzicie mamy dziś wspaniały dzień – powitała kilkaset tysięcy fanek, czekających na jej relację jak mieszkańcy Sahary na deszcz.

– Otrzymałam od was setki, jeśli nie tysiące wiadomości i to właśnie one uświadomiły mi, że podobno jestem lesbijką. Mówię podobno, bo sama czuję większy pociąg do tego, w co natura wyposażyła naszych wspaniałych facetów. Choć oczywiście nie mam nic przeciwko kobietom, jak i mężczyznom, którzy nie są hetero. Zastanawia mnie jednak, skąd nagle komuś przyszedł do głowy pomysł, że mogę mieć romans z własną asystantką? Która, o ile mi wiadomo, jeszcze do wczoraj miała boskiego faceta. Przecież jest tyle ważniejszych problemów, a mimo to, zamiast pisać o inflacji, o dziurach w ładzie, tylko proszę nie mylić z samochodem – wtrąciła, a ja nie mogłem uwierzyć, że Blanka wie, jak nazywało się jedno z flagowych aut Związku Radzieckiego – a prawie wszystkie serwisy rozpisują się o mnie, tak jakbym była pępkiem świata – mówiła dalej, co jakiś czas posyłając do kamery wyćwiczony uśmiech.

– Przecież zdjęcie, na które tak ochoczo wszyscy teraz patrzą, to nic innego jak zwykle serdeczne, przyjacielskie przytulenie, a ludzie zaraz zaczynają dopatrywać się w nim czegoś niestosownego. Przy okazji, jeśli za jakiś czas ukaże się fotka, na której wychodzę z warzywniaka obładowana ziemniakami, ogórkami i pomidorami, to proszę nie myśleć, że to wszystko ukradłam. Tak więc, oficjalnie dementuję te plotki i idę na długi spacer w męskim towarzystwie. Trzymajcie się ciepło, uważajcie na siebie oraz swoich bliskich i do zobaczenia za kilka godzin – zakończyła, a na pożegnanie skierowała obiektyw kamery na przykryte białymi czapami szczyty.

– Jesteś mi winna tysiąc złotych – zakomunikowałem, gdy ruszyliśmy ośnieżoną drogą w stronę schroniska.

– Ja tobie! A niby za co?

– Ukradłaś mój pomysł ze sklepem warzywnym – przypomniałem.

– Od razu ukradłaś. Ja, tylko grzecznie go sobie pożyczyłam – skwitowała – a zamiast tysiąca dam ci buziaka – zaproponowała i nim zdążyłem zareagować, pocałowała mnie w usta.

– Liczysz na kolejny skandal? – rzuciłem zaczepnie, patrząc jej w oczy.

– Może, może – wyszeptała, a ja mimowolnie obejrzałem się w poszukiwaniu postaci uzbrojonej w aparat fotograficzny, ale jak okiem sięgnąć nie było nikogo, tylko Blanka, ja, ośnieżone lasy i wijąca się pod górą biała droga między nimi.

Gdy na dobre opuszczaliśmy Zakopane, słońce zaczynało się chować za wierzchołkami gór, barwiąc je na pomarańczowo.

– Jak tu pięknie – westchnęła Blanka i trudno było nie przyznać jej racji. Tatry na tle zachodzącego słońca naprawdę prezentowały się zjawiskowo. Blanka jeszcze przez chwilę napawała się widokami, a następnie jakby zapominając o tym, co ją otacza, ustawiła swojego różowego iPhone'a na statywie i zaczęła kolejną tego dnia relację.

– Witajcie ponownie. Ja właśnie opuszczam nasze piękne góry, za którymi, jak możecie zobaczyć, zachodzi przepiękne słońce, zupełnie takie samo, jak w tytule powieści, o której chciałabym wam trochę opowiedzieć – to mówiąc, sięgnęła do schowka i wyjęła z niego książkę. Ani tytuł, ani autorka nic mi nie mówiły, więc nie mogła to być pozycja, o której w ostatnim czasie rozpiswały się serwisy literackie i liczne grono recenzentów. Jednak

doskonale wiedziałem, że najdalej za pół godziny książka stanie się obowiązkową lekturą dla kilku tysięcy wiernych fanek Blanki Lipiec.

– *Po każdej burzy świeci słońce*, to powieść, która urzekła mnie już samym tytułem. Przecież to takie oczywiste i życiowe. Któż z nas nie miał w swoim życiu dni podobnych do burzy, po których wreszcie zza chmur wyglądało słońce? – przekonanie, z jakim Blanka opowiadała o książce wskazywało, że z jakiegoś powodu uważa tę powieść za ważną i wartą przeczytania.

– W tej książce jest podobnie. Magdalena Lytek-Dehiles przedstawia losy Stanisława, emerytowanego górnika, który po stracie żony nie może odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Na domiar złego, jego dorosły syn Grzegorz, winiąc ojca za śmierć matki, wyjeżdża do Londynu i wszystko wskazuje na to, że wpłtuje się w poważne tarapaty. Jednak ja chciałabym zwrócić uwagę na poruszony w powieści wątek handlu ludźmi – zaznaczyła Blanka, a ja zrozumiałem, dlaczego postanowiła opowiedzieć o tej książce.

– Choć mamy już rok dwa tysiące dwudziesty drugi, to ten skurwysyński proceder, bo inaczej nie mogę tego nazwać, trwa w najlepsze, co więcej, ma się bardzo dobrze. Przecież spora część dziewczyn i kobiet poszukiwana przez policję i różnego rodzaju fundacje została sprzedana do domów publicznych w Niemczech, Francji czy Hiszpanii. O handlu ludźmi trzeba głośno mówić i tęcić to zjawisko, tak jak się wyrывa chwasty w ogrodzie. Wiem, że ten live, był inny od tych, do jakich jesteście przyzwyczajone, ale życie to nie tylko kolorowe kosmetyki i ciuchy, ale też trudne tematy, których nie powinniśmy zamiatać pod dywan.

Gdyby nie fakt, że musiałem trzymać kierownicę, nagrodziłbym Blankę brawami, a tak, zamiast okłasków musiały jej wystarczyć szczerze wyrazy uznania.

– To była jedna z jej najbardziej życiowych, mądrych i dających do myślenia relacji. „Może dlatego, że tak osobista” – pomyślałem, skręcając na Orlen, aby zatankować i wypić popołudniową kawę. Blanka rzecz jasna nie skorzystała z wybornej kawy, po którą podobno prezes Obajtek osobiście jeździł do dalekiej Brazylii i zadowolona się sokiem z polskich jabłek. Ja, poza porcją kofeiny wziąłem jeszcze ulubionego energetyka i dopiero Blanka, wskazując na puszkę, uświadomiła mi, że też lubię różowy.

Dalsza droga do stolicy minęła mi pod znakiem typowej nudy. Blanka natomiast postanowiła nadrobić zaległości serialowe, oglądając któryś z kolei odcinek *Downton Abbey*. Produkcja, choć mocno wychwalana i nagradzana, bo zdobycie trzech Złotych Globów i piętnastu nagród Emmy, mówiło samo za siebie, mnie jakoś nie porwała. Z kolei Blanka, Ola, matka, a nawet mój ojciec, byli serialem zachwyceni. Po dwóch godzinach słuchania dialogów nasyconych angielskim humorem, jak napoje gazowane dwutlenkiem węgla, musiałem przyznać, że całkiem przyjemnie prowadzi się przy tym samochód. Gdy wreszcie dojechaliśmy do stolicy, dochodziła dwudziesta trzecia, a zimny deszcz wespół z dzikim wiatrem szalał po wyludnionych ulicach.

– Jutro możesz spać nawet do południa, bo nigdzie się nie wybieram – zakomunikowała Blanka, gdy dostarczyłem pod drzwi jej mieszkania ostatnią z trzech walizek – a jeśli zmienię zdanie, to będę cię potrzebowała nie wcześniej niż o siedemnastej – dodała, jakby perspektywa spędzenia całego dnia w czterech ścianach swojego mieszkania była dla niej nie lada wyzwaniem. Wizja grzania wyrka do samego południa albo nawet jeszcze dłużej sprawiła, że natychmiast po przyjeździe do domu zabrałem się za spisywanie kolejnych tajemnic Blanki Lipiec. Wystukując na klawiaturze opowieść o berlińskim fotografie i hamburskim burdelu czułem się jak ostatni gnojek, co więcej, pewnie właśnie nim byłem. Jednak nie mogłem postąpić inaczej. Literacki koktajl, jaki właśnie przygotowywałem, musiał mieć większą siłę rażenia niż ten Mołotowa. Doskonale wiedziałem, że tylko ostra jak papryka, czerwona jak krew, gęsta jak błoto i śmierdząca jak gówno historia ma szansę na sukces, ale nie ten literacki, za którego w perspektywie najbliższego pół wieku mógłbym dostać Nobla, lecz mierzony ilością zer na bankowym koncie. Kiedy uznałem, że wszystkie moje zmysły biorące udział w tym dość prymitywnym procesie twórczym odmawiają współpracy i posłuszeństwa, zamknąłem laptopa i poszedłem spać.

Zgodnie z sugestią mojej szefowej z łóżka wyszedłem grubo po czternastej, zjadłem pyszny domowy rosół, wziąłem szybki prysznic, ale bez golenia, uznając, że killkudniowy zarost jest do przyjęcia, wbiłem się w czyste ubrania, które dzięki mojej troskliwej mamie czekały na mnie w szafie, użyłem swojej drogocennej wody perfumowanej i wyglądając jak krajowa wersja gwiazdy z miasta aniołów, a na pewno tak pachnąc, wyszedłem

z mieszkania. Nie mając żadnego konkretnego planu, pojechałem do Żółtych Tarasów. Przekraczając wrota galerii, która od pewnego czasu kojarzyła mi się przede wszystkim z dwoma samobójstwami, jakie niedawno miały tam miejsce machinalnie spojrzałem w górę, skąd skoczyli samobójcy. Najdziwniejsze było jednak to, że pierwszego z samobójców, mężczyzny w średnim wieku, nadal nie udało się zidentyfikować.

– Ciekawe, co czują ludzie na sekundę lub dwie przed wykonaniem śmiertelnego salta? – pomyślałem, idąc szerokim, niemal pustym korytarzem. Przed pandemią panował tu taki tłok, że przejście z jednego sklepu do drugiego wymagało nie tylko sprawnych nóg, ale też mocnych łokci. Gdy wjechałem na ostatni poziom i ruszyłem do najbliższej kawiarni na popołudniową kawę, uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Po pierwsze przyjazd w to miejsce nie był najlepszym pomysłem, a po drugie, w powiedzeniu, że »świat, choć okrągły i taki zajebisty, jest w rzeczywistości bardzo mały«, kryje się cholernie dużo prawdy. Namacalnym tego dowodem była stojąca kilkanaście metrów dalej wysoka, szczupła dziewczyna. Wokół jej głowy rozlewały się kaskady rudych włosów, zielone oczy na mój widok zmrużyły się jak ślepie drapieżnego kota, gotowego w każdej chwili zaatakować. Oczywiście było, że mimo maseczki, zasłaniającej połowę twarzy zostałem rozpoznany. Gdyby dziewczyna była sama, mógłbym udać, że zapatrzonny lub zamyślony nie zarejestrowałem jej obecności w tym miejscu. Jednak siedzący na wózku inwalidzkim chłopak już machał do mnie masywną dłońią, która zaciśnięta w pięść, wiele razy posyłała mnie kiedyś na deski.

– Czołem, Olek! – przywitał się w ten sam sposób, w jaki zawsze się witaliśmy i niemal zmiażdżył moje palce w uścisku swej dłoni.

– Cześć, Marto – bąknąłem, przelotnie spoglądając w zielone oczy, które dawniej patrzyły na mnie z czułością, namiętnością, miłością i ufnością, a teraz mieszkają w nich wyłącznie nienawiść, której siostrą była pogarda.

– Cześć – rzuciła cierpko, nawet nie próbując ukryć niechęci do mojej osoby.

– Zgadnij stary, ile ostatnio wycisnąłem na treningu? – wtrącił Łukasz, który widząc, że atmosfera zaczyna gęstnieć jak galaretka w lodówce, postanowił trochę podnieść temperaturę spotkania.

– Jak znam twoją upartość, to pewnie jakąś stówkę.

– Pomyliłeś się o dychę.

– No, no gratuluję. Ja dziewięciu dych to bym nie wycisnął – przyznałem, wiedząc, że na taki sukces Łukasz musiał długo pracować.

– Sto dziesięć, a nie dziewięćdziesiąt – oznajmił, wprawiając mnie w totalne osłupienie.

– Gdybyś częściej u nas bywał, to wiedziałbyś, jak sobie Łukasz radzi – słowa Marty uderzyły, bardziej, niż prawy sierpowy jej brata, ale choć piekielnie zabolalo, to wiedziałem, że sobie na to zasłużyłem.

– Rzeczywiście ostatnio jakoś ten czas ucieka – westchnąłem.

– Nie ucieka, ale zapierdala jak dziki osioł – ponownie zainterweniował Łukasz – ani się obejrzymy i będzie wiosna, a później ciepłe lato – rozmarzył się.

Jednak Marta nie miała zamiaru zrezygnować.

– Akurat ciepły lipiec, to ostatnio ulubiony miesiąc Aleksandra – rzuciła, a ja w mig pojąłem, że pije do Blanki.

– Siostra, czy ty, nie potrafisz wyluzować, odpuścić, zapomnieć? – tym razem reakcja Łukasza była bardziej stanowcza. – Przecież do jasnej cholery to nie ty, ale ja jeżdżę na wózku i nie narzekam na swój los. Przestań wreszcie przy każdej okazji wypominać Olkowi ten wypadek.

– Nigdy nie przestanę – wycedziła przez zaciśnięte zęby – i nigdy nie zapomnę – dodała, dźgając mnie spojrzeniem jak sztyletem, a gdy uznała, że już wystarczy, odwróciła się na pięcie i odeszła w kierunku ruchomych schodów.

– Nie przejmuj się, kiedyś jej w końcu przejdzie – pocieszył mnie Łukasz – a teraz chodź, machniemy sobie kawę – dorzucił i opierając dłonie na obręczach kół, wystrzelił do przodu jak mała wyścigówka.

– Poczekaj, bo ja mam tylko dwie nogi! – zawołałem, próbując go dogonić, ale on jeszcze przyśpieszył i lawirując zwinnie między nielicznymi zakupowiczami, oddalał się z prędkością Roberta Kubicy. Wiedząc, że nie mam żadnych szans, zwolniłem i spacerowym krokiem ruszyłem do Starbucksa. Gdy tam dotarłem, Łukasz odjeżdżał właśnie od lady.

– Starzejesz się Olek. Ja już zdążyłem zamówienie złożyć, a ty dopiero doczłapałeś – roześmiał się, parkując przy stoliku.

– Stary, skąd ty masz w sobie takiego powera? – zadałem pytanie, którego pewnie nie powinienem był zadawać, ale energia Łukasza była dla mnie czymś niezrozumiałym.

– A co, mam tak jak Marta zmienić się w pana marudę, niszczyiciela dobrej zabawy, pogromcę uśmiechów dzieci? – Słyszając jego odpowiedź, mimowolnie się uśmiechnąłem.

– Wiem, że to – poklepał pieszczotliwie ramę wózka – będzie mi towarzyszyło zawsze i pewnie nawet przewiezie mnie na drugi brzeg. Dlatego nie mam zamiaru użalać się nad sobą, zawracać kijem Wisły i biadolić jak stara panna, która nigdy w życiu nie szczytowała.

– Przepraszam, ale tutaj są dzieci – usłyszeliśmy za sobą oburzony kobiecy głos i jak na komendę, obróciliśmy głowy w tamtą stronę. Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta około pięćdziesiątki w towarzystwie przeciętnej urody nastolatki. Dziewczyna mogła mieć czternaście, no może piętnaście lat. Wychudzone ciało dowodziło, że stara się podążać za modą, lansowaną przez żony słynnych piłkarzy, które przekonywały, że tylko chude jest piękne, co według mnie było kompletną bzdurą. Intensywny rumieniec na twarzy dziewczęcia, nie pozostawiał wątpliwości, że właśnie odczuwa stan permanentnego wstydu. Jednak czy odnosił się on do słów Łukasza o starej pannie, dla której orgazm był jak śnieg dla mieszkańców Kairu, czy reakcji siedzącej obok kobiety, będącej zapewne jej mamusią, tego nie wiedziałem.

– Bardzo mi przykro, nie widziałem pań – przeprosił Łukasz, skłaniając głowę w geście, który miał oznaczać skruchę. Nastolatka spąsowiła jeszcze bardziej i aby ukryć zakłopotanie, zaczęła uparcie wpatrywać się w trzymany w dłoni smartfon.

– Na przyszłość proszę zwracać uwagę na swoje otoczenie – poradziła kobieta i aby pokazać, że uważa sprawę za zamkniętą, również zanurzyła się w świat Instagrama. Po chwili z jej smartfona dobiegł mnie tak dobrze znajomy głos: »Witajcie, kochani. Mamy dziś piękny dzień, a właściwie późne popołudnie, bo ja dopiero wygrzebałam się z pościeli«.

– Możemy zmienić miejscówkę? – poprosiłem Łukasza, wskazując podbródkiem wolny stolik w drugiej części lokalu.

– Nie lubisz głosu swojej nowej szefowej? – W tonie przyjaciela pobrmiewała ledwie słyszalna nuta złośliwości. Nawet nie musiałem pytać, skąd wie, dla kogo od kilkunastu dni pracuję, bo wieści o wpadce Blanki Lipiec i o jej nowym kierowcy przez kilka pierwszych dni stycznia wyskakiwały nawet przy reklamach czopków na hemoroidy.

– Wystarczy, że muszę znosić ją w samochodzie – skwitowałem, mając nadzieję, że taka odpowiedź usatysfakcjonuje Łukasza.

– A puknąłeś ją już? – tym razem pomny ostatniej nieostrożności zapytał szeptem, rozglądając się czy aby w pobliżu nie ma kolejnych kobiet, dla których wyrażenia »szczytowanie« i »puknięcie« stanowiły pogwałcenie dobrych obyczajów.

– Stary ja jestem jej kierowcą, a nie wibratorem! – przypomniałem, udając święte oburzenie.

– Jedno nie wyklucza drugiego – mruknął Łukasz, puszczając do mnie oko.

– Nie wyklucza – przyznałem – ale po pierwsze ja nie biorę na warsztat takich różowych, zrobionych laleczek, a po drugie ona nie gustuje w normalnych warszawskich chłopakach – dodałem.

– Czyli panienka z wyższych sfer i dobrego domu – zakpił Łukasz, a ja miałem wielką ochotę wyprowadzić go z błędu, lecz niestety jeszcze nie mogłem.

– Coś w tym stylu – skłamałem i skierowałem rozmowę na temat internetowej zbiórki, której celem było zebranie pieniędzy na operację Łukasza w Stanach Zjednoczonych.

– W takim tempie, polecę do Nowego Jorku za jakieś dwadzieścia lat – przyznał, ale w jego głosie nie było żalu, a jedynie stwierdzenie faktu, że z potrzebnych pięciuset tysięcy, przez ostatnie kilkanaście miesięcy zebrano tylko trzydzieści.

– Wiesz, ludzie wolą dawać na dzieciaki, które walczą o życie i wcale się temu nie dziwią. Ja jakoś sobie radzę, a one nie wiedzą, czy dożyją kolejnego dnia – oznajmił autentycznie przejęty Łukasz. Wiedziałem, że w tym, co

powiedział, było sporo racji. Nie pomagały również okoliczności, w jakich doszło do wypadku. Dla większości społeczeństwa boks był niczym innym jak praniem się po mordach. Jeśli podczas walki ktoś odniósł kontuzję, a nawet tak jak Łukasz został sparaliżowany, to nie okazywano mu współczucia. Co więcej, niektórzy uważali, że sam był sobie winien, choć w tym konkretnym przypadku wina leżała po mojej stronie.

– Olek, przestań mi tu odstawiać Matkę Teresę – warknął przyjaciel, widząc moje zamyślenie.

– Wcale się tak nie zachowuję – zaprzeczyłem.

– Bujać, to ty sobie możesz tę swoją Blankę, ale nie mnie – roześmiał się Łukasz, a jego wesoły nastrój podzielał na mnie jak mój ulubiony różowy energetyk. Przez następne pół godziny rozmawialiśmy o zawodach, w których przyjaciel miał wziąć udział. Kiedy przy naszym stoliku zjawiała się Marta, trzymając w dłoniach kilka toreb z sieciówek odzieżowych, zrozumiałem, że to koniec spotkania. Odprowadzając wzrokiem szczupłą, ale nie wychudzoną postać z burzą rudoczerwych loków, zatęskniłem do tego dawnego, innego świata, w którym Łukasz był moim najlepszym kumplem, a jego siostra moją dziewczyną. Teraz tylko jedno z nich było mi przychylnie, a drugie szczerze i zapewne słusznie nienawidziło. Paradoksalnie byłem rad, że to Marta, a nie Łukasz wini mnie za wszystko, co stało się podczas tamtego feralnego treningu. Znacznie trudniej byłoby mi żyć ze świadomością, że jednym nieszczęśliwym ciosem, zrujnowałem przyjacielowi całe dalsze życie. Wiedziałem, że pozbieranie się po wypadku i ułożenie rozsypanego niczym puzzle życia, tak by pasowało do nowej rzeczywistości, zajęło mu sporo czasu. Przez pierwszy rok, dzień w dzień towarzyszyłem mu w tych wszystkich zmaganiach. Pomagałem w nauce tego, co dla ludzi zdrowych jest przysłowiową bułką z masłem. Jednak, gdy zaczął sobie radzić bez pomocy innych osób, usunąłem się w cień, aby nie widzieć oskarżycielskich spojrzeń Marty, dla której kiedyś gotów byłem zrobić wszystko. Gdyby poprosiła, abym zburzył Pałac Kultury, to wysadziłbym w powietrze dar bratniego narodu. Teraz również spełniłbym każde jej życzenie, ale ona niczego już ode mnie nie oczekiwała. Może z wyjątkiem tego, bym zupełnie zniknął z jej życia, a najlepiej, to żeby mnie szlag jasny trafił. Wraz z ostatnim łykiem letniej już kawy zniknęły wspomnienia, a powróciła rzeczywistość, materializując się w postaci telefonu od Blanki.

– Gdzie jesteś? – rzuciła tonem osoby zadowolonej z życia.

– Siedzę na barierze czwartego piętra Złotych Tarasów i zastanawiam się, czy upadek z takiej wysokości boli – odparłem, obracając w palcach pusty tekturowy kubek.

– To złaź, bo gdzie ja teraz na gwałt znajdę nowego kierowcę – rozkazała, biorąc moje słowa za czarny humor.

– Możesz wdzięwać różową pelerynkę, będę za pół godziny – zapowiedziałem i wyrzucając papierowy kubek do kosza, ruszyłem na parking.

Blanka jak zwykle czekała już przed blokiem i rzeczywiście miała na sobie płaszcz przypominający pelerynę.

– Dokąd dzisiaj? – zapytałem, poprawiając lusterko wsteczne, które jakimś cudem było przekrzywione. Jednak różowa pantera, zamiast odpowiedzieć, zaczęła mi się pilnie przyglądać.

– Coś nie tak? Mam rozmazany tusz pod oczami czy zły kolor szminki? – rzuciłem, nie mogąc wytrzymać jej upartego spojrzenia.

– Nie, pod tym względem wszystko jest ok, ale jakoś dziwnie dzisiaj wyglądasz – stwierdziła z przekonaniem w głosie. – Na pewno dobrze się czujesz? – dodała, zmieniając ton głosu na zatroskany.

– Nie wiem, jeszcze się dzisiaj nie wahałem – odpowiedziałem, używając żartu, wymyślonego przez jednego ze szkolnych kumpli.

– Bardzo śmieszne, bardzo śmieszne. Normalnie boki zrywać – zadrwiła.

Już chciałem odpowiedzieć, że najpierw te boczki trzeba mieć, ale w porę ugryzłem się w język.

– To może pojedziemy na SOR? Tam mnie zbadają i wystawią zaświadczenie o stanie zdrowia – zaproponowałem, mając nadzieję, że tym razem mój żart przypadnie Blance do gustu.

– Olek, przestań dowcipkować, tylko powiedz, co się dzieje?

– Przysięgam, że wszystko jest w porządku – oświadczyłem, kładąc uroczyście dłoń na sercu. Niestety, nawet ten gest nie przekonał Blanki.

– Powiedz mi, co dzisiaj robisz? – poprosiła, jakby była troskliwą mamusią, wypytującą synka o czas spędzony w przedszkolu lub szkole. Cała sytuacja zaczęła mnie irytować i bawić jednocześnie.

– No, więc tak – zacząłem, podejmując tę śmieszna grę – spałem do południa, potem zjadłem obiadek, a następnie spędziłem czas w towarzystwie przyjaciół – specjalnie skłamałem, używając liczby mnogiej, aby nie pomyślała, że może jednak jestem gejem. Przecież facet mający przyjaciela w porównaniu z kobietą mającą przyjaciółkę, zawsze stał na tej gorszej pozycji.

– Czyli twój depresyjny nastrój ma związek z przyjaciółmi – postawiła diagnozę, która cholernie mi się nie podobała. Może dlatego, że była trafna.

– Opowiem ci teraz pewną historyjkę – wszedłem jej w słowo – tylko proszę, abyś dokładnie jej wysłuchała – poprosiłem, na co Blanka skinęła głową.

– Idzie facet po chodniku i prowadzi wózek, w którym siedzi wrzeszczące dziecko. Facet przez cały czas powtarza: „Olek, tylko spokojnie, Olek, tylko spokojnie”. W pewnej chwili podchodzi do niego starsza pani i zachwycona rozplywa się nad jego cierpliwością. Chcąc mu pomóc, nachyla się nad wózek.

– Widzisz Olku, jakiego masz wspaniałego tatusia – przemawia słodkim głosem. Wtedy mężczyzna nie wytrzymuje i przez zaciśnięte zęby oznajmia: – Olek to jestem ja, a ten uparty, nieznośny dzieciak ma na imię Blanka – zakończyłem i o dziwo ta anegdota dotarła do mojej szefowej.

– Rozumiem, że jak będę nieznośna, to zlejesz mi dupę? – zapytała ni to prowokacyjnie, ni zachęcająco.

– Ustalmy, że są między nami pewne, nazwijmy to granice, których lepiej nie przekraczać – odpowiedziałem, wiedząc, że tym jednym kłamstwem zagwarantowałem sobie podium w konkursie na łgarza roku. Przecież, aby poznać sekrety Blanki, przedarłem się przez wszystkie możliwe linie demarkacyjne, prócz tej ostatniej, za którą było łóżko mojej szefowej, najpewniej całe w różowym kolorze.

– Nie chcesz mówić, co cię gryzie, to nie – skapitulowała Blanka i udając, że tak właściwie nic się nie stało, poleciała zawieźć się do Oli, z którą miała urządzić sobie *shopping* przed wyjazdem na Dominikanę.

Podczas gdy dziewczyny buszowały po sklepach, ekspedientki zacierały ręce, a karta kredytowa Blanki grzała się jak laptop z uszkodzonym chłodzeniem, ja siedziałem w Starbucksie, przy kolejnym kubku kawy i przeczesałem ocean Tindera w poszukiwaniu złotych rybek. Jednak robiłem to bardziej z przyzwyczajenia niż chęci bliższego poznania kolejnej atrakcyjnej dziewczyny. Co prawda miałem kilka propozycji, ale parafrazując bajkę o Magdzie, która ma gdzie, ale nie ma z kim, ja nie miałem gdzie. Samochód Blanki, choć przeszedł już chrzest bojowy pod kątem igraszek erotycznych, nie mógł być więcej wykorzystany do takich celów. Na hotel może i byłoby mnie stać, ale część mojego charakteru, odziedziczona po dawnych szkockich przodkach, uznała taki pomysł za zbyt. Własnego lokum jeszcze nie miałem, a zaproszenie dopiero co poznanej dziewczyny do mieszkania rodziców, było już prawdziwą jazdą po bandzie. Na szczęście powrót Blanki i Olki, obciążonych torbami jak wielbłądy z filmów o kupieckich karawanach, przerwał moje teoretyczne łowy.

– Chyba trzeba będzie zamówić jakiegoś dostawczaka – mruknąłem, obrzucając efekt dwugodzinnego penetrowania sklepowych wieszaków.

– Jak tak będziesz marudził, to nigdy nie znajdziesz sobie żony – skwitowała Blanka i zmęczona opadła na kanapę.

– To może i lepiej, bo znając swoje zezowate szczęście, trafiłbym na jakąś nadmiernie wyzwoloną feministkę, która kazałaby mi jeść w restauracji, prac w pralni.

– A fantazje seksualne zaspokajaj na Tinderze – przerwała Blanka, wchodząc mi w słowo i gromiąc mnie wzrokiem.

– Tinder jest spoko – przyznałem.

– Chyba tylko dla desperatów – prychnęła.

– Jak wam się znudzi, to mnie zwołajcie – odezwała się Ola, przechodząc do sąsiedniego stolika.

– Ja już skończyłem – oznajmiłem, dopijając piątą tego dnia kawę.

– A mnie już się nie chce – stwierdziła Blanka, chcąc mieć jak zwykle ostatnie słowo. Podczas gdy ja robiąc za tragarza, przenosiłem zakupy do samochodu, dziewczyny poszły do empiku zrealizować jedną z licznych mini kampanii reklamowych, w których Blanka brała udział. Jak kiedyś zdradziła mi Ola, scenariusz zawsze był bardzo podobny. Blanka wchodziła do sklepu i oglądała jakiś towar. Ola w tym czasie robiła jej zdjęcie, na którym prócz

celebrytki widać było przedmiot kampanii. Później, za odpowiednią opłatą uiszczaną przez producenta, zdjęcie trafiało do kolorowych pisemek albo serwisów o gwiazdach. Fotkę podpisywano jakimś chwytliwym tytułem w stylu »Blanka Lipiec przyłapana w perfumerii. Sprawdź jakich perfum używa« albo »Blanka Lipiec podejrzana w księgarni. Zobacz, co czyta gwiazda«. Czytelniczkom nawet do głowy nie przyszło, że wszystko zostało starannie zaplanowane. Komentarze w rodzaju: »Taka gwiazda, to nawet spokojnie zakupów zrobić nie może, bo ciągle ją szpiegują«, nie były wcale rzadkością. Blanka reklamowała prawie wszystko, a słynne »prawie«, które jak każdy wiedział, robiło dużą różnicę, odnosiło się jedynie do artykułów spożywczych. Pewnie i na tym polu osiągnęłaby sukcesy, ale pewien dystrybutor włoskiej oliwy z oliwek i margaryny bez cholesterolu, pokrzyżował jej plany, wypuszczając reklamę, w której pani domu, ubrana w różowy szlafrok, przygotowywała mężowi i dzieciom kanapki nucąc pod nosem: »posmaruj BLANKĄ chleb na śniadanko«. Podobno Blanka, gdy tylko zobaczyła spot, wpadła w szał, któremu wściekle stado słoni tratujące wioskę, nie mogło się równać. Publicznie na swoim kanale zwymyślała dystrybutora, zagroziła sądem i oświadczyła, że puści go z torbami. Rozmowa z prawnikiem otworzyła jej oczy i ostudziła krew, a pamiętna relacja przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego. Marka oliwy i margaryny BLANKA biła rekordy popularności, ale moja szefowa nie miała z tego nawet grosika. Podobno, jak zdradziła mi Ola z powodu tej afery, Blanka nienawidziła piosenki zespołu Strachy na Lachy, który śpiewał o smarowaniu chleba.

– Co tym razem różowa pantera będzie wciskała ciemnemu ludowi? – zapytałem Olę, gdy po odstawieniu naszej celebrytki, odwoziłem siostrę do domu.

– Powieść, która podobno zhakuje ci umysł – odparła, pokazując mi najnowszą powieść autora, którego nazwisko jednym mroziło krew w żyłach, a innych rozpałało do czerwoności.

– A ten gość nie powinien już być na emeryturze? Przecież napisał już chyba ze sto książek – rzuciłem, zastanawiając się, jaką facet musi mieć wyobraźnię i zacięcie, aby kilka godzin dziennie molestować klawisze swojego laptopa.

– Słyszałam, że chce pokonać Kraszewskiego, a on napisał w swoim życiu 232 książki.

– No, no. Poważnie facet mierzy – przyznałem, nie kryjąc podziwu dla zamiarów pisarza, który nie mógł mieć więcej niż trzydzieści kilka lat.

– A Blanka, dlaczego nie napisze książki? – Zmieniłem nieco kierunek rozmowy, mając nadzieję, że siostra nie wyczuje w tym żadnego podstępu i zapomni o obietnicy, jaką złożyła mi kilka dni wcześniej.

Jej głośny i szczery śmiech potwierdził moje przypuszczenia.

– Blanka? A o czym ona miałaby napisać książkę? – zapytała, próbując opanować rozbawienie.

– Nie wiem, może o sobie? – zasugerowałem.

– Blanka, nawet gdyby chciała napisać swoją autobiografię, to najpierw musiałaby pozbyć się dysgrafii, dysleksji i dysortografii – wypaliła Ola – a w jej wieku to już niemożliwe – dodała i wtedy uświadomiła sobie, że właśnie wypaplała kolejny sekret swojej przyjaciółki, łamiąc tym samym niedawną obietnicę.

– Spróbuj to wykorzystać przeciw niej, to nie tylko utnę ci jaja, ale jeszcze wyrwę język – ostrzegła, grożąc mi palcem.

– Wiem, wiem, to jest konfesjonał – stuknąłem otwartą dłońią w deskę rozdzielczą – a ja jestem księdzem i obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi – oświadczyłem tak uroczystym tonem, że nie powstydziliby się go nawet sam biskup.

– Ale przecież można znaleźć kogoś, kto jej w tym pomoże, a nawet za nią napisze? – drażyłem, dodając, że teraz jest moda na autobiografie.

– Braciszku, Ameryki to ty nie odkryłeś, ale Blanka chyba jeszcze nie jest gotowa na coś takiego – stwierdziła Ola, a jej słowa były miodem na moje serce.

„Ale ja jestem gotowy” – pomyślałem z dziką satysfakcją. Teraz gdy byłem pewien, że różowa pantera nie pójdzie w ślady innych gwiazd i gwiazdeczek, opisujących swoje życie, czasami sięgając aż do momentu poczęcia, mogłem spokojnie pracować nad książką, której siły rażenia nawet ja sam nie byłem w stanie ocenić.

Kiedy dwa dni później odwoziłem Blankę na lotnisko, oboje byliśmy w doskonałych humorach. Co więcej, cieszyliśmy się z tego samego, tyle że powody były różne. Blanka tęskniła za słońcem, gorącym piaskiem, zimnymi

drinkami i widokami, które inni mogli jedynie podziwiać na ekranach swoich smartfonów i laptopów. Ja natomiast nie mogłem się doczekać tych kilkunastu dni, które zamierzałem spędzić na pisaniu kolejnych rozdziałów. Jednak znacznie ważniejsza była misja specjalna, planowana od chwili, kiedy niczym najgorszy łotr przetrząsnąłem torebkę Blanka, podczas gdy ona biedna, pogrążona w alkoholowym śnie, w samej tylko białej bieliźnie leżała na hotelowym łóżku. Plan wejścia do jej mieszkania nie był ani niebezpieczny, ani trudny. Wymagał tylko wizyty w jednym miejscu i chwilowej zmiany wyglądu, ale czego się nie robi dla pieniędzy. Ludzie dla chęci posiadania szmalu potrafili rabować banki, porwać dla okupu, a nawet nie wahali się zabijać. Ja planując włamanie do różowego gniazda swojej szefowej, nie zamierzałem go okradać, a jedynie szczegółowo przeszukać, mając nadzieję na znalezienie dodatkowych sekretów, a może nawet przysłowiowego trupa w szafie.

Odstawiłem więc różową Blankę wraz z jej różowymi walizkami na lotnisko i pozostawiając ją na pastwę historycznie podnieconego tłumu kobiet, których mężowie i partnerzy nie bardzo wiedzieli, co się dzieje, najspokojniej w świecie wróciłem do domu. Odczekałem dwie godziny, a gdy byłem pewien, że dreamliner wraz z Blanką na pokładzie szybuje właśnie do gorących brzegów Dominikany, przystąpiłem do realizacji misternie uknutego planu. Pierwsza część była banalnie prosta. Musiałem jedynie pojechać na Grochów, gdzie mieściła się firma, będąca dystrybutorem zamków do drzwi w systemie jednego klucza. Wiedziałem, że przedstawiając zdjęcie karty certyfikacyjnej, którą Blanka przezornie, a raczej z głupoty nosiła w torebce, w pół godziny zostanie mi dorobiony klucz.

Byłem już prawie na miejscu, gdy wesola melodia z bajki o niebieskich stworkach i złym czarowniku, który był kawalerem i mieszkał tylko z kotem, oznajmiła połączenie przychodzące od Oli.

- Cześć, siostra. To mamy urlop – zagadałem wesoło.
- Użyj czasu przeszłego – rzuciła, gasząc mój entuzjazm.
- Jak to? – jęknąłem.

- W samolot, którym leciała Blanka, uderzył piorun – słowa siostry sprawiły, że krew odpłynęła mi z twarzy, dłoni, a nawet stóp. Przez moment zupełnie nie czułem swojego ciała. Wizja samolotu spadającego z wysokości kilku kilometrów była ostatnim, czego tego dnia się spodziewałem. Nagle wszystko przestało mieć znaczenie, a ja sam zapragnąłem być na pokładzie tego samolotu.

- Na szczęście nic się nie stało, ale samolot wraca do Warszawy – nim kolejne słowa Oli dotarły do mojego mózgu, minęło kilkanaście długich, strasznych sekund.

- Musisz mnie straszyc – odezwałem się, biorąc głęboki oddech.
- Nie straszę, tylko informuję, że nasza gwiazda zmieniła plany.
- Dziwisz się, gdybyś ty leciała samolotem, w który jebnął piorun, to też miałabyś dość latania.
- Może tak, może nie – odparła filozoficznie i poleciła mi zjawić się na lotnisku. Zawróciłem więc na najbliższym rondzie i sflaczały, jak piłka nożna pogryziona przez psa ruszyłem w przeciwnym kierunku.

Nie ujechałem nawet kilometra, gdy mój smartfon znowu zadzwonił. Tym razem dzwoniła różowa pantera, więc i melodia była z tego filmu.

- Spokojnie szefowo, Ola już do mnie dzwoniła i właśnie jestem w drodze na lotnisko – zakomunikowałem, udając wesołego, jak Praszek Staszek, którego memy zamieszczane na Facebooku, zawsze rozkładały mnie na łopatki.

- Przepraszam, za zamieszanie, ale się rozmyśliłam. – Radosny głos Blanka zupełnie nie pasował do sytuacji. Przecież jeśli komuś jakiś pierdolony piorun rozwała od dawna planowane wakacje, to powinien być wkurwiony co najmniej jak gość, który zapomniał puścić totolotka, a w losowaniu padły wszystkie obstawiane przez niego numery, a Blanka tryskała humorem jak gorące źródło.

- Wiem, Ola już mi powiedziała – powtórzyłem, ostro hamując przed przejściem dla pieszych, aby przepuścić stojące przy nim staruszki. Te jednak jakby nigdy nic trwały wrośnięte w chodnik i rozprawiały, chuj wie o czym, a kierowcy zatrzymywali się niczym głupie osły, bo przecież od pewnego czasu pieszy był jak polska święta krowa.

- Olek, czy ty rozumiesz, co ja mówię? Właśnie chcę ci powiedzieć, że jednak lecę tym drugim samolotem, który mają nam podstawić.

– Poczekaj, bo mam tu pewien problem – poprosiłem i odsuwając telefon od ucha, uchyliłem okno po stronie pasażera.

– Czy szanowne panie przechodzą? – zapytałem z przesadną grzecznością.

– Nie, nie, my tylko tak sobie rozmawiamy – odparła ta wyższa.

– To proszę, do kurwy nędzy, odejść od przejścia dla pieszych! – wrzasnąłem i nie czekając, aż spadną na mnie gromy świętego oburzenia, wcisnąłem pedał gazu.

– Czyli jeśli dobrze rozumiem, jednak lecisza na Dominikanę? – zapytałem, wracając do rozmowy z Blanką.

– Tak, przekonały mnie moje fanki – potwierdziła, przyznając tym samym, że nie bez racji stałość kobiecych postanowień porównywana była do dmuchawców.

– Dobra, ale gdybyś znowu się rozmyśliła, to jestem pod telefonem – zapewniłem i na pierwszym napotkanym rondzie wykonałem nawrotkę.

Kwadrans później byłem już w firmie sprzedającej zamki. Tak jak wyczytałem na ich stronie internetowej, wystarczyło pokazanie karty certyfikacyjnej lub jej zdjęcia, a pracownik w dwadzieścia minut wykonał mi dodatkowy klucz. Co więcej, nawet nie musiałem niczego podpisywać. Zapłaciłem oczywiście gotówką, mając świadomość, że w dzisiejszych czasach płacenie kartą, to tak jak zostawienie odcisków palców na miejscu morderstwa. O ile pierwszy etap planu przebiegł gładko jak wsadzenie czopka w miejsce do tego przeznaczone. O tyle druga część wymagała przygotowania. Początkowo miałem wątpliwości, czy gdzieś w stolicy kupię męskie różowe ubrania, ale wystarczyła krótka rundka po kilku sieciówkach, aby mieć spodnie, kurtkę i plecak w odpowiednim, maskującym kolorze. Z platynową peruką także nie było problemu. Teraz musiałem tylko pozbyć się kilkudniowego zarostu, wbić ciało w twarzowy róż i pojechać do mieszkania Blanki. Akcją postanowiłem przeprowadzić jeszcze tego samego wieczoru, hołdując zasadzie: »co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj, będziesz mógł się dłużej opierać«. Największy problem stanowiło samo wejście do budynku. Dlatego prawie godzinę spędziłem, wyczekując odpowiedniego momentu. Ten nadszedł wraz z przyjazdem dostawcy pizzy. Gdy chłopak z termiczną torbą zniknął w apartamentowcu, przycisnąłem się pod drzwiami, a gdy wracał, skorzystałem z okazji i wślizgnąłem się do środka. Dotarcie pod drzwi mieszkania Blanki zajęło mi tyle czasu, ile potrzebowałby zawodowy strażak, czyli kilka sekund. Zapasowy klucz nawet nie zgrzytnął, gdy otwierałem zamek. Kiedy wreszcie przekroczyłem próg i znalazłem się w tym tajemniczym miejscu, do którego nawet Olka nie została wpuszczona, przez dłuższą chwilę stałem jak sparaliżowany. Wstrzymując oddech, nasłuchiwałem, czy w mieszkaniu na pewno nikogo nie ma. Uznawszy, że jestem jedyną żywą osobą, rozejrzałem się po niewielkim korytarzu i wtedy mój wzrok zatrzymał się na niepozornej skrzynecce przyczepionej do ściany. Rytmicznie pulsujące czerwone światelko uświadomiło mi, co znaczy stwierdzenie »nieprzewidziane okoliczności«.

– O ja cię pierdołę, przecież tu jest alarm – pomyślałem, przywierając plecami do drzwi wejściowych, jak magnes z panoramą Tatr do lodówki. Wolałem nie myśleć, co by się stało, gdybym zrobił jeszcze kilka kroków przed siebie. Pozostawanie w mieszkaniu nie miało sensu. Trzeba było tak, jak w popularnym świątecznym hicie z małym Kevinem w roli głównej, wziąć dupę w troki i wypierdalać. Ostatni raz zerknąłem na czerwone pulsujące oczko i wtedy zrozumiałem, a raczej zobaczyłem swoją pomyłkę. Obok migającej diody ujrzałem wyświetlacz pokazujący godzinę i aktualną temperaturę. To nie był żaden pieprzony alarm, ale termoregulator ogrzewania. Pewny swego zrobiłem kilka kroków przed siebie i nic, żadnego wycia syren, tylko cisza, spokój i grający gdzieś za ścianą telewizor.

– Czyli można zaczynać – mruknąłem pod nosem. Wróciłem do drzwi wyjściowych. Dla pewności sprawdziłem, czy są zamknięte na klucz, a następnie nacisnąłem włącznik światła. Gdy ciepła jasność zalała wnętrze, nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Ja w swoim różowym wdzianku idealnie pasowałem do różowych ścian, sufitu, drzwi, mebli, a nawet podłogi.

– Brakuje tylko różowych żarówek – pomyślałem, przechodząc do sąsiedniego pomieszczenia, którym okazała się kuchnia. Tam również wszystko tonęło w różu. Właściwie nie wiedziałem, czego powinienem szukać, więc zacząłem od systematycznego przeglądania mebli. Widząc, z jaką pedanterią poukładane są talerze, szklanki, a nawet naczynia kuchenne odkładałem wszystko dokładnie na to samo miejsce. Po kuchni, w której nie znalazłem

nicznego kompromitującego, nie licząc różowych sztuków, przysła kolej na salon. Niestety tam również nie odkryłem żadnych rewelacji. Owszem zaskoczył mnie telewizor wielkości stołu do bilarda, ale jego różowy kolor był w tych warunkach czymś oczywistym jak czerwone majtki zakładane przez maturzystki na studniówkę, a czasami nawet na samą maturę. Dopiero godzinę później natrafiłem na pierwsze ciekawe i obiecujące znalezisko. Był nim album ze zdjęciami, sprytnie ukryty pod szufladą z czarną bielizną. Zabrałem album i przeszedłem do salonu. Już pierwsze kilka zdjęć uzmysłowiło mi, że prawdopodobnie trzymam w dłoniach żyłę, a może nawet całą kopalnię złota. Fotki musiały zostać wykonane w mieszkaniu Blanki, o czym świadczył wszechobecny róż. Osoby uwiecznione na fotografiach trzymały w dłoniach kieliszki, co mogło oznaczać, że u Blanki odbywało się jakieś przyjęcie, a udział w nim brały gwiazdy z pierwszych stron kolorowych gazet. Do tej luźnej atmosfery, jaka emanowała ze zdjęć, nie pasował tylko jeden drobny, ale za to bardzo istotny szczegół. Wszyscy goście, łącznie z gospodynią byli nadzy.

„Fantastyczna orgietka” – pomyślałem z pewną zazdrością, choć to określenie nie do końca było prawdziwe. Na żadnym zdjęciu nie zobaczyłem kopulującej, czy nawet migdalającej się pary. Wszyscy zdawali się dobrze bawić, byli grzeczni, a fakt, że nie mieli na sobie ubrań, zdawał się im zupełnie nie przeszkadzać. Podobnie jak obecność aparatu.

– Tylko czy oni wiedzieli, że są fotografowani? – zastanowiłem się, wkładając zdjęcia dokładnie do tych samych koszulek, z których je wyjąłem. Wątpiłem, aby tak znani ludzie pozwolili sobie na coś takiego. To oznaczało, że gdzieś w tym różowym gniazdku były, albo wciąż są zamontowane ukryte aparaty lub kamery. Wątpiłem jednak, aby teraz działały, więc spokojnie wyjąłem z plecaka laptop i zacząłem sprawdzać zawartość kart pamięci. Pierwsze dwie karty ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nie okazały się żadną puszką Pandory. Znalazłem tam wyłącznie skany umów, które Blanka zawierała z różnymi podmiotami. Mimo to skopiowałem je na dysk, aby w bardziej sprzyjających warunkach przyrzeć się im bliżej. Natomiast zawartość ostatniej, śmiało mogłem porównać do uśpionego wulkanu. Kilkadziesiąt kilkuminutowych filmów z udziałem grzecznych panów, widzianych poprzednio na zdjęciach w albumie, śmiało mogło startować w konkursie o nagrodę złotego fallusa, organizowanym przez amerykańskie wytwórnie filmów porno. Wszystko przemawiało więc za tym, że Blanka w swoim różowym mieszkanku organizowała ostre spotkanka, przy okazji bawiąc się w filmowca amatora. Najnowszy z filmików pochodził sprzed prawie trzech lat, czyli z czasów, gdy tak naprawdę rozkręciła się kariera Blanki. Teraz stało się jasne, jakich argumentów używała Blanka w rozmowach z osobami, które jednym telefonem mogły zdziałać więcej niż przeciętny człowiek przez kilkanaście lat pracy.

– Teraz jesteś już cała moja – pomyślałem, kopiując filmiki na dysk swojego laptopa. Po wszystkim, odniosłem album na swoje miejsce, jeszcze raz sprawdziłem, czy gdzieś nie zostawiłem śladów swojej bytności i zadowolony ruszyłem do wyjścia. Już miałem włożyć klucz do zamka, gdy na korytarzu za drzwiami usłyszałem czyjeś kroki. Wyjście w tej chwili, nawet w kiczowatym przebraniu, mającym upodobnić mnie do właścicielki mieszkania było ryzykowne, a ja jak na jeden dzień miałem już dosyć emocji. Chciałem jak najszybciej uciec z tego różowego świata, zrzucić różowe ubranko i na powrót stać się Olkiem Baranem. Musiałem więc poczekać, aż facet, bo chód był dość ciężki, przejdzie i oddali się na bezpieczną odległość. Jednak, gdy nieznajomy zwolnił, a następnie jego kroki ucichły, zrozumiałem, że nieznajomy kimkolwiek był, zatrzymał się przed drzwiami mieszkania Blanki.

„O, kurwa” – zakląłem w myślach i instynktownie wycofałem się do salonu. Stojąc przy drzwiach prowadzących na rozległy taras, analizowałem tę drogę ucieczki. Jednak skok z kilku metrów był nie tylko ponad moją odwagę, ale nawet siły. Wykorzystanie rynny też nie wchodziło w grę, bo moje umiejętności wspinaczkowe oceniałem na mocną jedynekę.

– No nic, trzeba poczekać, aż facet sobie pójdzie – uznałem, przesuając się bliżej korytarza, aby słyszeć, jak nieznajomy spełnia moje marzenie. Jednak on zrobił coś zupełnie innego, czego w ogóle nie przewidziałem, wsadził klucz do zamka i zaczął go otwierać. Tym razem instynkt przetrwania nie pozwolił mi nawet przekląć. Z szybkością dzikiego kota popędziłem do garderoby i ukryłem się tam, gdzie zazwyczaj niewierne żony ukrywały swoich kochanków. Chwilę później ktoś wszedł do mieszkania, zapalił światło i zamknął za sobą drzwi. Szafa była na tyle duża, że stojąc za rzędem różowych ubrań, miałem szansę zostać niezauważonym. Nasłuchując odgłosów

dochodzących z kuchni, a później z salonu, doszedłem do wniosku, że facet robi dokładnie to, co ja trzy godziny wcześniej.

„Jeśli będzie równie skrupulatny, to prędzej czy później mnie znajdzie” – pomyślałem, obmyślając jakieś kreatywne przywitanie, ale jak na złość nic nie chciało mi przyjść do głowy. Gdy wreszcie typek dotarł do garderoby, odczułem błogą ulgę. Tylko dzięki silnym zwieraczom on również tego nie poczuł i jakby nigdy nic przeglądał zawartość szuflad. Próbowalem mu się przyjrzeć, ale szpara, jaką pozostawiłem w drzwiach, była wąska na jakiś palec, więc niewiele widziałem. Kiedy skończył z komodami, spojrział w kierunku szafy i wtedy zobaczyłem jego twarz. Facet wyglądał dość zwyczajnie. Mógł być po trzydziestce lub przed czterdziestką. Wszystko zależało od tego, jaki tryb życia prowadził. W przeciwieństwie do mnie miał na sobie klasyczny czarny strój bandziora, a na dłoniach rękawiczki. Przez chwilę upajał się swoim odbiciem w lustrzanych drzwiach, a następnie przeniósł wzrok wyżej na leżące na szafie walizki. Już chciałem wyjaśnić, że są puste, ale po chwili stwierdziłem, że nie będę gościowi ułatwiał zadania. Szafa miała ponad dwa metry wysokości, on mierzył tyle, co ja, a drabinka stała w zasięgu ręki. Klient wszedł na ostatni stopień i sięgnął po pierwszą z walizek. Schodząc, spojrział w dół i wtedy nasze spojrzenia skrzyżowały się jak miecze rycerzy pod Grunwaldem. Sam nie wiem, czyje zdziwienie było większe, ale chyba faceta, bo szeroko otworzył oczy, zachwiał się i runął w tył. Głuche uderzenie ciała o masywną komodę, połączone z odgłosem pękającej czaszki, zmroziło mi krew w żyłach i podniosło włoski na karku.

– O, ja cię, pierdolę – zakląłem, wypadając z szafy. Podbiegłem do leżącego, próbując przypomnieć sobie podstawy udzielania pierwszej pomocy. Nieznajomy przez moment patrzył na mnie z nadzieją, a w następnej chwili jego oczy uciekły gdzieś w bok, ciałem wstrząsnął ostatni spazm i było po wszystkim.

– O, ja pierdolę – powtórzyłem, ściskając dłońmi skronie. Po raz pierwszy w życiu widziałem śmierć na własne oczy i było dokładnie tak, jak czytałem w wielu powieściach. Nagle grobową ciszę przerwał radosny chór dziecięcych głosów śpiewających: »to jest smerfów świat«. Błyskawicznie, jakby dzwonek telefonu mógł ożywić leżącego u moich stóp trupa, sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem smartfon.

– Co jest siostra? – rzuciłem, wychodząc z garderoby do salonu i bezwładnie opadając na fotel.

– Mam covid – oznajmiła Olka, a ja po raz trzeci w ciągu kilku minut miałem ochotę soczyście zakląć. Nie dość, że włamałem się do mieszkania Blanki, nie dość, że na ten sam pomysł wpadł jakiś jej kochaś, który jednak miał to nieszczęście, że przeniósł się w zaświaty, spadając z drabiny, to jeszcze moja siostra ma covid.

– Robiłaś test?

– Tak, taki z Rossmana.

– Stamtąd to możesz sobie test na ciężkę kupić, a nie na koronawirusa.

– Wiem i jestem już zapisana na wymaz – weszła mi w słowo Ola, nie pozwalając mi na wygłoszenie wykładu o testach.

– A ty, gdzie jesteś? – dodała po chwili.

– Gdzie ja jestem? – powtórzyłem za nią.

– Sorry, braciszku, nie chciałam przeszkadzać – przeprosiła, myśląc najpewniej, że właśnie zabawiam się z jakąś laską z Tindera.

– Jestem w kinie – skłamałem.

– W kinie czy na filmie?

– Na filmie – sprecyzowałem, wiedząc, że do kina można chodzić nie tylko po to, aby oglądać filmy.

– Na czym?

– Na *Gierku* – rzuciłem pierwszym tytułem, jaki mi przyszedł do głowy.

– Dobra, to miłego oglądania, chociaż słyszałam, że z rzeczywistością historyczną ma on niewiele wspólnego.

– Dzięki, zadzwonię rano – obiecałem i chowając telefon, pobiegłem do garderoby, aby upewnić się, że trup obcego faceta wciąż tam leży. Dopiero stojąc nad stygnącym ciałem, doznałem olśnienia, znałem skądś tę gębę, tylko skąd? Utkwiłem w nieruchomej twarzy tak intensywne spojrzenie, że gdybym był Kaszpirowskim, to facet na bank wstałby i mi podziękował. Na szczęście dla samego siebie nie miałem mocy przypisywanych radzieckiemu

uzdrowicielowi. Systematyczne przeszukiwanie szufladek pamięci w końcu przyniosło pożądany efekt. Leżącym na różowej wykładzinie facetem, był skurwiel z czarnej toyoty.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Cześć Paweł, miło cię widzieć – wyszeptalem z taką serdecznością, jakbym witał dawno niewidzianego przyjaciela, a nie faceta, którego uważałem za jedno wielkie chodzące gówno. Śmierć tej kanalii wcale mnie nie zasmuciła, no może tylko trochę przestraszyła. W końcu widok gościa, spadającego z drabiny, a następnie uderzającego łbem o komodę, nie był tak częsty, jak upierdliwe reklamy przerywające oglądanie ulubionych podcastów na YouTube. Nie należał też do najprzyjemniejszych. Jednak biorąc pod uwagę, jakie piekło zgotował Blance ten skurwysyn, uznałem, że przeznaczenie wyrównało rachunki, a okoliczności, w jakich umarł, były bardziej humanitarne niż tydzień w tureckim więzieniu, którego jeszcze kilka dni wcześniej, żyzyłem mu z całego serca.

– »Jakie życie, taka śmierć« – zanucilem Edytę Geppert, której piosenki matka często śpiewała, gotując obiad, lub prasując. Refleksja przyszła po chwili, gdy uświadomiłem sobie dwie sprawy. Po pierwsze refren piosenki nie pasował do sytuacji. Paweł w przeciwieństwie do parszywego życia miał bardzo dobrą i szybką śmierć. Po drugie, uzmysłowiłem sobie, że w gruncie rzeczy jestem podobny do niego. Co prawda nie sprzedałem Blanki do burdelu, ale miałem zamiar wywlec i pokazać światu całe jej życie, a ono nie było kolorowe jak pisemka i serwisy, w których o niej pisywano. Poczucie wstydu było jednak chwilowe, bo po pierwsze Pawłowi nie mogłem już pomóc, a po drugie trzeba było zmierzyć się z rzeczywistością i ogarnąć cały ten syf. Moje położenie można było zobrazować dwoma słowami: »czarna dupa«. Musiałem szybko coś wymyślić, znaleźć wyjście z tej gównianej sytuacji. Kilkuminutowe rozmyślania doprowadziły mnie do wniosku, że istnieje tylko jedno sensowne rozwiązanie. Trzeba było stąd jak najszybciej spierdalać. Tak podpowiadał nie tylko rozum i instynkt, ale również wszystkie przeczytane książki i obejrzone filmy o tematyce kryminalnej. Mimo tak mocnych argumentów zrobiłem coś irracjonalnego. Ukłakłem przy nieboszczyku i nie przymierzając, jak jakaś hiena cmentarna przesukałem go z wprawą ochroniarza pilnującego wejścia do Pałacu Prezydenckiego. W kieszeniach bluzy znalazłem smartfon, portfel i firmowy breloczek toyoty z pękiem kluczy. Pierwszy był od samochodu, a pozostałe cztery wyglądały na klucze do mieszkań. Dwa z nich rozpoznałem bez trudu. Były takie same, jak te, które Blanka nosiła w torebce.

– Skąd to masz? – zapytałem, dzwoniąc przed twarzą zmarłego metalowym breloczkiem. Jednak Paweł nie odpowiedział, a ja wiedziałem, że od niego niczego już się nie dowiem. Następnie przyszła kolej na sprawdzenie smartfona, lecz ten był zablokowany biometrycznie. Wziąłem więc prawą dłoń denata, która była jeszcze ciepła, ale zważywszy, że od zgonu minęło zaledwie pół godziny, nie było w tym nic dziwnego. Przyłożyłem kciuk do czytnika, a ekran natychmiast ożył, lecz tylko po to, aby poinformować, że odcisk jest nieprawidłowy. Dopiero próba z lewą dłonią okazała się strzałem w dziesiątkę.

– O, jesteś leworęczny, tak jak ja – mruknąłem, uświadamiając sobie, że nawet to nas łączy. Pobieżne przejrzanie zawartości smartfona nie przyniosło żadnych przełomowych odkryć, a na dokładniejsze sprawdzenie urządzenia, zwyczajnie nie miałem czasu.

„No dobra, tym zajmiemy się później” – zdecydowałem i już chciałem odłożyć telefon, gdy dotarło do mnie, że skoro jest zabezpieczony biometrycznie, to za każdym razem chcąc go odblokować, będę potrzebował linii papilarnych z lewego kciuka Pawła. To stanowiło spory problem, który postanowiłem rozwiązać w najprostszy, choć niestety krwawy sposób. Poszedłem do kuchni, gdzie spodziewałem się znaleźć odpowiednie narzędzia. Przetrzęsnałem szuflady w poszukiwaniu jakiegoś tasaka, którym mógłbym odciąć trupowi palec. Niestety Blanka jako zagorzała obrończyni krówek, świnek i kurek, nie miała czegoś takiego. Wtedy wpadł mi do głowy pomysł, o którym wcześniej nawet nie pomyślałem. Był znacznie prostszy, a co najważniejsze, nie wymagał amputowania palca. Przecież w ustawieniach telefonu mogłem zmienić odcisk palca na swój. Znalezienie odpowiednich ustawień i ich zmiana zajęła mi tylko pół minuty.

– »To takie proste« – tym razem zanuciłem refren jednej z piosenek Dawida Kwiatkowskiego, którego wygląd i głos sprawiały, że nastoletnie dziewczyny marzyły, aby choć dotknąć jego jeansowej kurtki. Zadowolony z bezkrwawego rozwiązania problemu, wróciłem do garderoby. Do sprawdzenia pozostał jedynie portfel. Facet widocznie był dopiero przed wypłatą, bo znalazłem trochę ponad dwadzieścia złotych. Jednak największego szoku doznałem, gdy z jednej z przegródek wyjąłem dowód osobisty.

– Paweł Lipiec – przeczytałem i z wrażenia ugięły się pode mną nogi.

– Co to, kurwa, ma znaczyć – mruknąłem, jeszcze raz dokładnie studiując dane z dowodu.

– Kim jesteś, a właściwie kim byłeś? – zapytałem, spoglądając na nieruchome ciało.

W tym momencie smartfon nieboszczyka zabrzączał dwa razy, oznajmiając nadejście nowej wiadomości.

Masz już coś? – przeczytałem SMS i zrozumiałem dwie rzeczy. Po pierwsze wizyta Pawła była realizowana na czyjeś zlecenie. Po drugie, on w przeciwieństwie do mnie, wiedział, że Blanka trzyma w mieszkaniu to i owo.

„Dobra, w takim razie się zabawimy” – postanowiłem, kucając przy komodzie. Wyjąłem ze skrytki album, ułożyłem obok siebie kilka losowych zdjęć, tak aby ich bohaterowie nie powtarzali się zbyt często i taki kolaż wysłałem na numer, z którego przyszedł tajemniczy SMS.

Właśnie tego szukałam – nadeszła błyskawiczna odpowiedź. Dzięki niej wiedziałem już, że zagadkowym zleceniodawcą jest kobieta. Problem polegał na tym, że na przesłanych zdjęciach jedyną reprezentantką płci pięknej była Blanka.

Muszę na kilka dni zniknąć. Nie pisz i nie dzwoń, sam się odezwę – napisałem i nie czekając na ewentualną odpowiedź, wyłączyłem telefon.

– I co ja mam teraz, z tobą począć? – westchnąłem, patrząc w martwe oczy człowieka, który miał z Blanką więcej wspólnego, niż moja szefowa zdradziła podczas pobytu w Zakopanem. Zbieżność nazwisk nie mogła być przypadkowa. Gdyby Blanka nazywała się Nowak, Kowalska, a nawet Kwiatkowska, to uwierzyłbym, ale Lipiec nie jest zbyt popularnym nazwiskiem. Kim zatem był Paweł? Według Blanki przyjacielem z dzieciństwa, który perfidnie wykorzystał jej zaufanie i sprzedał do hamburskiego burdelu. Jednak musiał być kimś jeszcze, skoro nosił to samo nazwisko. Mógł więc być mężem, bratem lub kuzynem. Te trzy podpowiedzi wyświetliły się na tablicy z możliwymi odpowiedziami, a ja miałem dziesięć sekund, aby wskazać tę prawidłową i tym samym przejść do następnego etapu gry. Gry, w której jeszcze kilka godzin temu wcale nie zamierzałem brać udziału. Najpierw wyeliminowałem męża. Blanka wspomniała, że Paweł jej nie posuwał, a mąż na pewno nie odmówiłby sobie tej przyjemności. Następnie idąc podobnym tokiem rozumowania, skreśliłem kuzyna. Co prawda kuzynostwo to jakaś tam rodzina, ale przecież kilka lat temu podczas wakacji o mało nie uległem wdziękom swojej kuzynki. Pozostawał więc brat, bo stosunki tego rodzaju miały zazwyczaj miejsce w sferach zdegenerowanej patologii. Moje rozmyślenia przerwał dźwięk nadchodzącej wiadomości. MMS pochodził od Blanki, która donosiła, że jest już na miejscu, a jako dowód przesyłała uroczne zdjęcie hotelowej plaży.

„No tak, ty tam sobie fotki pstrykasz, a ja tutaj z trupem twojego braciszka siedzę” – pomyślałem smutno i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że za kilka minut zegar wybijie północ, a ja wciąż nie wiem, co zrobić. Najbardziej sensowny pomysł o spierdalaniu z tego miejsca, wziął w łeb, po tym, jak odkryłem, kim jest stygnący powoli truposz i że działał na zlecenie. Zostawiając go w mieszkaniu, zyskiwałem kilka, a w najlepszym razie kilkanaście dni spokoju. Nawet gdybym ustawił klimatyzację na temperaturę lodówkową, to sąsiadom nie będzie śmierdziało i sprawa rypnie się dopiero po powrocie Blanki. Tylko czy te dwa tygodnie pozwolą mi rozwiązać kilka zagadek? Znając swoje parszywe szczęście, potrzebowałem miesiąca albo dwóch. Dlatego uznałem, że trup powinien zniknąć. Teraz musiałem wykombinować jak pozbyć się ciała z mieszkania. Wiedziałem, że na wujka Google nie mogłem liczyć. Przy obecnym poziomie inwigilacji, wpisanie w wyszukiwarkę zapytania: »jak po cichu pozbyć się trupa z mieszkania« było tak samo głupie, jak wykonanie telefonu pod 112, opisanie całej sytuacji i poproszenie o pomoc.

„Myśl, stary, myśl” – popędziłem swój mózg, który ewidentnie potrzebował odpoczynku lub energii. Pierwszego nie mogłem mu obecnie zapewnić, ale drugie już tak. Podeszedłem do szafy, w której zostawiłem plecak, z dużej kieszeni wyjąłem puszkę ulubionego energetyka, który, o ironio! miał kolor różowy. Już samo pstryknięcie

zawleczeni, połączone z cichym syknięciem uwalnianego dwutlenku węgla, przywróciło mi jasność myślenia i otworzyło czakrę sakralną, która podobno odpowiadała za kreatywność i szczęście. Już po dwóch łykach zbawczej energii o wyraźnym smaku różowego grejpfruta mogłem przystąpić do planowania. Od razu odrzuciłem książkowo-filmowy patent z dywanem. Po pierwsze w mieszkaniu Blanki były same wykładziny, a ja nie miałem czasu na odrywanie ich od podłogi. Po drugie do takich strongmenów jak Pudzianowski czy Dymek brakowało mi kilkudziesięciu leveli. Najlepszy pomysł przyszedł wraz z ostatnim łykiem, gdy mój wyostrzony wzrok padł na leżącą obok trupa walizkę.

– Bingo! – zawołałem radośnie, jednak na tyle cicho, aby nie zbudzić sąsiadów. Co prawda walizka była zbyt mała, aby pomieścić ciało w jednym kawalku, ale na szafie leżały jeszcze dwie, znacznie większe. Wszedłem na drabinę i ostrożnie, aby nie popełnić tego samego błędu co Paweł, a tym samym nie powiększyć liczby trupów w mieszkaniu, zdjąłem największą z nich. Walizka przypominała pokaźnych rozmiarów skrzynię.

– Będzie ci tu wygodnie – zapewniłem i sapiąc niczym parowóz, wspinający się na zbocza Śnieżnicy, przez którą poprowadzono jeden z najbardziej stromych odcinków linii kolejowych w Polsce, ułożyłem zwłoki w środku. Przy okazji wyszło na jaw, że Paweł spadając z drabiny, nie roztrzaskał sobie czaszki o komodę, a prawdopodobnie skręcił kark. Wywnioskowałem to z braku krwi na meblu i wykładzinie. Zadowolony jak Doda po premierze *Dziewczyn z Dubaju*, przejechałem z walizką do korytarza, a następnie wróciłem, aby usunąć z garderoby ślady naszej obecności. Na szczęście nie było ich zbyt wiele. Wystarczyło podnieść walizkę z podłogi, umieścić na szafie, przestawić drabinę i wsunąć szufladę, pod którą znajdowała się dość prymitywna skrytka. Wychodziłem już z garderoby, gdy kątem oka dostrzegłem coś różowego. Teoretycznie nie powinno mnie to zaskoczyć, bo róż bombardował mnie z każdej strony, ale ten konkretny element nie pasował do całości. Rozejrzałem się uważnie i wtedy zrozumiałem, co przykuło moją uwagę. Na blacie komody stała puszką po moim ulubionym energetyku.

„No, facet, to prawie tak, jakbyś zostawił tam swój dowód osobisty” – pomyślałem, chowając puszkę do plecaka.

„Teraz muszę tylko zaciągnąć trupa do samochodu i po kłopotie” – pocieszałem się w myślach.

Jednak rzeczywisty stan mojej psychiki odbiegał od normalności. Próba zgrywania chojraka nie zmieniała faktu, że tak naprawdę, byłem jednym wielkim kłębkim nerwów, a beret miałem zorany jak pole po przejechaniu pługu. Przecież gdybym został złapany, to żaden gliniarz nie uwierzyłby w bajeczkę o nieszczęśliwym wypadku. Wizja więziennej celi z wytatuowanymi, łysymi osilkami podziała motywująco. Ostrożnie otworzyłem drzwi i czujnie zlustrowałem pusty korytarz. Małe lampki umieszczone tuż przy podłodze dawały niewiele światła, ale pozwalały stwierdzić, że w pobliżu nie ma nikogo, a droga do windy stoi otworem. Odważnie wyszedłem z mieszkania i wtedy przestrzeń wokół mnie eksplodowała intensywnym białym światłem. Ostatkiem woli zdusiłem krzyk, który, gdyby nie zaciśnięte zęby, z pewnością postawiłby na nogi połowę apartamentowca. Poza niebiańską jasnością na korytarzu panowała cisza i spokój.

„No tak, pierdolony inteligentny dom, który sam wie, kiedy trzeba zapalić górne światło” – przypominałem sobie Blankę rozplywającą się w zachwytach nad technologiami, w jakie wyposażony był budynek. Odetchnąłem głęboko, ze świstem wypuszczając powietrze i ciągnąc za sobą ciężką walizkę, ruszyłem przed siebie. Kółka walizki turkotały po terakotowych płytkach z głośnością podmiejskiego składu Kolei Mazowieckich. Gdy w końcu stanąłem przed drzwiami windy, czułem, że pot spływający mi po plecach, zaczyna docierać tam, gdzie zazwyczaj słońce nie dochodzi.

„Olek będzie dobrze. Olek dasz radę. Olek tylko bez paniki” – powtarzałem w myślach, mając nadzieję, że ta afirmacja przyniesie pożądany skutek. Rzeczywiście, gdy wyszedłem z budynku i wciągnąłem w płuca nocne, rześkie, styczniowe powietrze, spłynęło ze mnie osiemdziesiąt procent napięcia. Idąc chodnikiem, co kilkanaście metrów naciskałem przycisk na kluczyku od toyoty. Tym sposobem dość szybko odnalazłem terenówkę. Otworzyłem klapę bagażnika i wtedy zrozumiałem, że nie mogę wpakować tam walizki. Blanka może nie zauważyła, że ktoś buszował w jej czarnych majtkach, ale braku różowej walizki na szafie nie przeoczy. Świadomość, że jeszcze raz będę musiał wrócić do jej mieszkania, prawie ścięła mnie z nóg. Jednak i tym razem pomogła wizja więziennej pryczy, krat w oknach i głos Maleńczuka, śpiewający o świetle, które nigdy nie gaśnie i zawsze obserwuje. Nawet fakt, że utwór traktował o ostatniej nocy w celi, nie był pocieszający, bo najpierw musiałbym tam spędzić kilkaset

innych nocy. Przełożyłem trupa do bagażnika, popędziłem odstawić walizkę i dwie minuty później jechałem już czarną terenową toyotą w kierunku centrum stolicy. Fakt, że szczęśliwie opuściłem mieszkanie Blanki, wcale nie oznaczał, że byłem już bezpieczny, a wręcz przeciwnie. Zdawałem sobie sprawę, że pierwszy lepszy patrol, widząc różowego ludka za kierownicą czarnego samochodu, uznałby za stosowne, dokładnie przyjrzeć się temu niezwykłemu zjawisku. Dlatego zjechałem na parking pierwszej napotkanej biedronki, zaparkowałem między srebrnym passatem a czerwonym fordem i pieszo wróciłem pod apartamentowiec, gdzie zostawiłem BMW.

„Teraz to mi możecie najwyżej powiedzieć, dobry wieczór, poproszę dokumenty do kontroli” – pomyślałem, wyjeżdżając z ciemnego parkingu. Nie ujechałem nawet dwóch kilometrów, gdy moje myśli zmaterializowały się w postaci radiowożu. Spojrzenia dwóch rosyjskich mundurowych były obojętne, służbowe i zmęczone. Tak, jakby facet od stóp do głów ubrany w róż, był dla nich czymś normalnym.

– Czy pan kierowca wie, że przepaliło mu się światło stopu? – oświadczył jeden z funkcjonariuszy, nawet nie prosząc o dokumenty.

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– To teraz już pan wie, więc proszę z samego rana podjechać do warsztatu i wymienić żarówkę – polecił policjant i życząc dobrej nocy, ruszył z powrotem do radiowożu.

– Na pewno tak zrobię – zapewniłem, dziękując za uświadomienie awarii i oddychając z ulgą, jaką czuje ktoś, kto po siedmiu dniach izolacji może wreszcie wyprowadzić psa na spacer, pojechałem do domu. Tam na szczęście nie czekały na mnie żadne niespodzianki. Klatka schodowa była pusta, a rodzice smacznie spali. Tylko mój wyciszony telefon, buczał jak wibrator, który po spełnieniu swojego obowiązku, nie został wyłączony. Wszystko za sprawą fotek, jakie Blanka masowo wysyłała, najwyraźniej zapominając o różnicy czasu.

„Blania, daj ludziom spać” – poprosiłem w myślach, pozbawiając swój smartfon zasilania. Współczułem tym wszystkim ludziom, którzy podobnie jak ja byli bombardowani widokami rajskich plaż i krystalicznych wód oceanu. Leżąc już w łóżku, zamierzałem zaplanować dalsze działania, ale organizm, który przez ostatnie kilka godzin pracował na pełnych obrotach, postanowił się zbuntować, zwolnić do zera i zasnąć. Próbowałem walczyć, lecz potrzeba fizjologiczna jaką był sen wzięła górę. Ostatkiem sił sięgnąłem po figurkę Pikachu, będącą jednocześnie budzikiem, lampką oraz radiem i ustawiając budzenie na dziewiątą, odpłynąłem, jak ojciec chrzestny panny młodej podczas góralskiego wesela.

Sen musiałem mieć twardy niczym przysłowiowy kamień, bo gdy otworzyłem oczy i spojrzałem na swojego żółtego przyjaciela, wyświetlacz na jego brzuchu wskazywał kilka minut po trzynastej.

– O, ty zdrajco! Czemu mnie nie obudziłeś? – mruknąłem z wyrzutem. Brązowe oczy Pokémona patrzyły na mnie tak, jakby chciały powiedzieć: »budziłem, budziłem, ale ty wolałeś spać«. Gdy uruchomiłem smartfon, zostałem zasypany lawiną nowych zdjęć od Blanki. Ignorując pocztówkowe widoki, przeszedłem do powiadomień, gdzie zobaczyłem kilka nieodebranych połączeń. Większość od Oli, a ostatnie sprzed zaledwie czterdziestu minut. Oddzwoniłem, ale tym razem to ona nie odbierała.

„Czyli sprawa nie jest taka pilna” – pomyślałem, idąc do łazienki. Mijając różowy plecak, leżący obok drzwi, westchnąłem ciężko, jakbym miał nie dwadzieścia cztery lata, ale co najmniej trzy razy tyle. Siedząc na sedesie, próbowałem znaleźć wyjście z sytuacji, która zaczynała pachnieć kryminałem. Jednego byłem pewien, Czarna toyota, wraz z zawartością bagażnika, musiała zniknąć. Nawet jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na kilka tygodni. Właśnie tyle potrzebowałem, aby dokończyć ujawnienie mniej różowej strony Blanki Lipiec. Szukając sposobu pozbycia się terenówki, która teraz była w pewnym sensie karawanem, próbowałem przypomnieć sobie, jak w podobnych przypadkach postępowali bohaterowie przeczytanych kryminałów. Pomijając spektakularne metody, gdzie w użyciu był trotyl albo kanister benzyny, pozostawało zatopienie samochodu lub porzucenie go w jakiejś głuszy.

„Odludzie będzie dobrym rozwiązaniem” – uznałem i nagle poczułem przyjemną ulgę, związaną nie tyle ze znalezieniem wyjścia z labiryntu, w który się zapuściłem, ile z oczyszczenia organizmu.

Przechesując wzrokiem mapę Polski wyświetloną na ekranie laptopa, próbowałem wyłowić najbardziej odludny zakątek naszego kraju. Pierwszym były Bieszczady. Niestety miały jeden podstawowy minus, a była nim bliskość

ukraińskiej granicy, a co za tym idzie wzmożona aktywność służb granicznych. Co prawda nie obowiązywały tam, takie restrykcje, jak przy granicy z Białorusią, ale ryzyko spotkania patrolu, który na bank będzie chciał zobaczyć, co ciekawego przewożę w bagażniku, było tak duże, jak złapanie gumy na ulicy wysypanej gwoździami. Już miałem przenieść spojrzenie gdzieś na północ, w okolice Kaszub, gdy przyszedł mi do głowy pomysł, który na pierwszy rzut oka wydawał się rewelacyjny. Przecież mogłem ukryć toyotę u naszych południowych sąsiadów. Nim Czesi lub Słowacy ustalą, że porzucona terenówka bez tablic rejestracyjnych pochodzi z Polski, miną tygodnie, a może nawet miesiące.

„Olek, ty to masz łeb na karku” – pochwaliłem się w myślach.

Plan, choć niemal genialny, wymagał dopracowania szczegółów, ale były to raczej detale. Przede wszystkim należało wymyślić pretekst do wyjazdu. Ten znalazł się jakby na zawołanie. Skoro moja szefowa ma urlop, to dla czego i ja nie mógłbym wypocząć. Po drugie należało zatrzeć wszystkie możliwe tropy. Dlatego oficjalnie wyjeżdżałem pociągiem do Kołobrzegu, bo tak było wygodniej, taniej i bezpieczniej. Ola, gdy wreszcie się do niej dodzwoniłem, była zaskoczona moimi planami wypoczynkowymi.

– No tak, Blanka na wczasach, ty na wczasach, a ja prawdopodobnie na kwarantannie.

– To też pewnego rodzaju wczasy – spróbowałem ją pocieszyć.

– Raczej areszt tymczasowy – prychnęła.

– Odpoczniesz, nadrobisz zaległości serialowe, poczytasz – wyliczałem rzeczy, które moim zdaniem można było robić podczas izolacji.

– Jakoś wytrzymam, a ty nie zapomnij mi wysłać fotki Bałtyku w zimowej scenerii – poprosiła Ola i tym jednym zdaniem zmusiła mnie do zmiany planów. Początkowo zakładałem, że wyjazd do Kołobrzegu będzie tylko wymówką, ale w tej sytuacji naprawdę musiałem tam pojechać, oczywiście jak już odstawię czarną toyotę w ustronne miejsce.

– Jak znajdę czas, to wyślę.

– Chyba nie zamierzasz przez cztery dni uprawiać seksingu? – W ustach Oli to nowe, coraz modniejsze wśród warszawskiej elitki słowo zabrzmiało jakoś obco.

– Ja jestem Olek Baran, a nie Olek Królikowski.

– To wypoczywaj, ty mój baranku, a ja czekam na wynik testu i jak już go dostanę, to dam ci znać – obiecała i zakończyła połączenie.

Na parkingu, gdzie w nocy zostawiłem terenówkę, zjawiłem się kilka minut po osiemnastej. W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś zwinął toyotę, uwalniając mnie tym samym od problemu. Jednak takie marzenia bardzo rzadko się spełniają. Podchodząc do samochodu, dziękowałem pogodzie za lekki mróz. Dzięki temu zawartość bagażnika nie rozsiewała wokół tego słodko-mdlawego odoru, jak w książkach opisywano zapach rozkładających się zwłok.

– Gdyby teraz był upalny lipiec, to waliłoby jak z firmy utylizującej padlinę – pomyślałem i przypominając sobie, jak nazywa się gość z bagażnika, uznałem swoją myśl za niestosowną grę skojarzeń. Nim opuściłem stolicę, minęła prawie godzina. Już ta krótka jazda testowa uświadomiła mi dwie sprawy. Po pierwsze toyota w przeciwieństwie do BMW, miała znacznie twardsze zawieszenie, a po drugie słabsze przyśpieszenie. Zrywność jednak, teraz nie była mi potrzebna, tym bardziej że zamierzałem jechać jakbym zamiast trupa, wiózł w bagażniku kilkaset jajek. Za każdym razem, gdy w polu widzenia pojawiał się radiowóz, natychmiast nachodziły mnie czarne myśli, a puls przyśpieszał do niebezpiecznej dla zdrowia szybkości. Mimo tempa, które w normalnych okolicznościach uznałbym za bezczelnie wolne, do granicy ze Słowacją dotarłem tuż przed wschodem słońca.

„Na razie wszystko idzie zgodnie z planem” – pomyślałem, skręcając w boczną drogę. Przejechałem przez uśpioną wieś, a gdy skończyła się asfaltowa szosa, ruszyłem wolno po zamrożonym bitym trakcie, który po kilkuset metrach zmienił się w wąską dróżkę. Gałęzie pobliskich drzew szorowały po karoserii, a napęd na cztery koła – wolno, lecz zdecydowanie pchał ciężkie cielsko toyoty pod górę. Kiedy po lewej stronie ujrzałem wąską leśną przecinkę, bez wahania w nią skręciłem. Przejechałem jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymałem samochód. Miejsce wydawało się idealne. Było odludne, a teren ostro opadał. Wysiadłem z toyoty, przeciągnąłem się, rozprostowując zdrtwiałe mięśnie i kilka razy głęboko odetchnąłem. Górskie rześkie powietrze, podziałało jak

mocna kawa. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwałem, ale oprócz wiatru buszującego w bezlistnych koronach drzew i nielicznych ptasich treli, wokół panowała cisza. Teraz przyszła kolej na kolejną część planu. Musiałem przenieść trupa z bagażnika i posadzić go za kierownicą. Wszystko miało wyglądać na nieszczęśliwy wypadek turysty z Polski, który zablądził i wpadł autem do głębokiego jaru, ponosząc śmierć na miejscu. Uznałem, że ta zmodyfikowana wersja planu, zostanie chętniej kupiona przez policję, niż samochód bez tablic rejestracyjnych z trupem w środku. Przeszedłem na tył samochodu, otworzyłem klapę bagażnika i poczułem, jak krew w moich żyłach zamienia się w kryształki lodu. Bagażnik był pusty. Tam, gdzie jeszcze wczoraj leżał martwy Paweł Lipiec, teraz nie było nikogo. Zmartwychwstanie raczej nie wchodziło w grę. Podobnie jak to, że ktoś ukradł trupa. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno.

– O, kurwa, jego mać – zakląłem, uświadamiając sobie trzy sprawy. Po pierwsze cały mój misternie obmyślany plan był teraz gównem wart, po drugie zmarnowałem kilkanaście godzin na bezsensowną wyprawę, a po trzecie facet, którego uważałem za nieboszczyka żył i pewnie teraz dochodził do siebie w jakimś ciepłym warszawskim mieszkanku, podczas gdy ja marzęm w tej pierdolonej słowackiej głuszy. Żalowałem, że nie sprawdziłem bagażnika po drodze. Przy biedrze, gdzie zaparkowałem toyotę, nie mogłem tego zrobić, bo kręciło się zbyt wielu klientów dyskontu, ale na jednym z dwóch postojów już tak.

„A jednak, baranie, tego nie zrobiłeś i teraz masz za swoje” – zbeształem się w myślach, ale to samobiczowanie na niewiele się zdało. Przyszła chwila na wcielenie w życie planu B. Problem polegał jednak na tym, że żaden awaryjny plan nie istniał. Pozostawała więc wyłącznie improwizacja. Niewiele myśląc, wsiadłem do terenówki, wycofałem i pół godziny później byłem już w Polsce. Powrót toyotą do Warszawy, uznałem za kiepski pomysł, zwłaszcza że i tak zamierzałem wyjechać do Kołobrzegu. Jazda nad morze trefnym autem też nie miała sensu, a zwiększała jedynie ryzyko wpadki. Co prawda dysponowałem oryginalnymi dokumentami wozu, ale biorąc pod uwagę fakt, że jego właściciel żył, musiałem się mieć na baczności. Przecież mógł zgłosić kradzież i teraz wszystkie czarne toyoty RAV4 wzbudzały zainteresowanie patroli drogowych.

„Nie ma co kusić losu” – pomyślałem i postanawiając skorzystać z opatrności Najświętszej Pani, skręciłem w zjazd, prowadzący do Częstochowy. Zostawiłem samochód na parkingu tuż pod Jasnogórskim wzgórzem i pieszo ruszyłem na dworzec kolejowy. Stojąc w holu dworca, czułem się trochę jak dziecko we mgle. Ostatni raz jechałem pociągiem dobrych kilka lat wcześniej. Przez moment obserwowałem ludzi podchodzących do kasy i kupujących bilety, a gdy uznałem, że jestem gotów, zrobiłem to samo. Płacąc za bilet ponad dwieście złotych, bo od Warszawy do Kołobrzegu miałem jechać cudem włoskiej techniki, uznałem, że może i jest bezpieczniej, a także wygodniej niż samochodem, ale z pewnością nie taniej. Mój napędzany błękitnym paliwem golf, który od kilkunastu dni był już na zasłużonej, choć z mojego punktu widzenia przedwczesnej emeryturze, zawiózłby mnie nad morze za połowę tej sumy. Ponieważ do odjazdu pociągu o poetyckiej nazwie Fredro brakowało jeszcze ponad godziny, wszedłem do pierwszej lepszej knajpki. Potrzebowałem kawy, a i żołądek sygnalizował potrzebę zaspokojenia głodu. Siedząc nad kanapką z pastą jajeczną i kubkiem rozpuszczalnej kawy, bo jak oznajmiła dziewczyna o wyraźnie wschodnim akcencie: »ekspres, niestety popsuty«, zastanawiałem się nad swoim położeniem. Nurtowały mnie trzy sprawy, ale szczególnie jedno pytanie nie dawało spokoju. Czy Paweł Lipiec mnie rozpoznał? Co prawda nasze spojrzenia skrzyżowały się za ledwie na sekundę lub dwie, ale czasami to wystarczało, aby zapamiętać istotne szczegóły. Na moją korzyść przemawiał fakt, że byłem ubrany na różowo, a w szafie panował mrok i tylko cienka smuga światła, wpadająca przez uchylone drzwi do środka szafy, oświetlała prawą część mojej twarzy. Dodatkowym kamuflażem była peruka, więc facet stojący na drabinie mógł w pierwszej chwili pomyśleć, że Blanka zamiast na dominikańskiej plaży, siedzi we własnej szafie. Taka myśl była oczywiście niedorzeczna, ale potencjalnie możliwa. Dlatego postanowiłem trzymać się jej jak posłowie ław parlamentarnych. Drugą, nie mniej istotną kwestią było, czy Paweł skontaktował się już ze swoją zleceniodawczynią i opowiedział o całym zajściu. Jeśli tak, to mogłem zapomnieć o planie wyduszenia z niej kasy, za znalezione u Blanki zdjęcie. Z kolei to, jak i kiedy niedoszły trup opuścił bagażnik oraz gdzie teraz przebywał, nie miało większego znaczenia. Oczywiście pod warunkiem, że moja tożsamość nie była mu znana. Te egzystencjalne rozmyślenia przerwał mechaniczny głos syntezatora komputerowego, zapowiadający przyjazd pociągu Fredro z Wrocławia do Bydgoszczy przez Warszawę Zachodnią

i Wschodnią. Zostawiając pod talerzykiem banknot z podobizną pierwszego oficjalnego władcy Polski, którego połowa uczniów uważała za króla, a jeden z kabaretów śmiał nawet twierdzić, że Mieszko wcale nie był pierwszy, choć to raczej dotyczyło jego relacji z Dobrawą, opuściłem lokal i ruszyłem na poszukiwanie właściwego peronu.

Pierwszą miłą niespodzianką tego dnia był planowy przyjazd pociągu, co wnioskując z wyliczeń, wskazujących, że średni czas spóźnienia polskich pociągów wynosi prawie trzydzieści minut, można było rozpatrywać w kategoriach sukcesu lub cudu. Zważywszy, iż znajdowałem się w Częstochowie, stawiałem na to drugie. Kolejnym jeszcze większym pozytywnym zaskoczeniem, był sam pociąg. Czysty, pachnący, wyposażony w gniazdko elektryczne i sieć Wi-Fi. Co prawda mój smartfon wciąż był wyłączony, bo afera z Pegasusem zataczała coraz większe kręgi, a ja przez kilkanaście godzin prowadziłem przecież samochód, w którym miał znajdować się trup. Tak więc ani Internet, ani prąd nie był mi teraz potrzebny. Ledwie ruszyliśmy, a zjawiała się młodzieńka konduktorka, która prócz sprawdzania biletów uprzejmie przypominała pasażerom, że maseczki służą do zakrywania ust i nosa, a nie jako ocieplacz na brodę i szyję. Kofysanie pociągu było jak podwójna dawka melatoniny, która mimo moich protestów zawlekła mnie w mroczne otchłanie snu, gdzie czyhały koszmary. Śniłem o facecie z czarnej toyoty, który ubrany na różowo, szedł tanecznym krokiem w moją stronę, a trzymany przez niego ogromny rzeźnicki topór lśnił w promieniach słońca, jednocześnie mnie oślepiając. Za nim stały Blanka i Ola. Pierwsza trzymała zielone blaszane wiadro, a druga czarny worek do transportu zwłok. O ile worek był czymś oczywistym, bo facet z siekierą ewidentnie zamierzał odebrać mi życie, to nie rozumiałem, po co wiadro. »Tu schowamy twoją główkę, aby policja nie ustaliła twojej tożsamości« – wyjaśniła Blanka, zanosząc się histerycznym śmiechem.

Od śmierci uratowało mnie delikatne potrząśnięcie za ramię. Przestraszony otworzyłem oczy i ujrzałem uśmiechniętą konduktorkę.

– Zbliżamy się do Warszawy Zachodniej, a tam ma pan przesiadkę na pendolino do Kołobrzegu – powiedziała i nim zdążyłem podziękować, budziła już następnych pasażerów.

Włoska gąsienica, jak niektórzy złośliwie nazywali pendolino, okazała się wesołą ciuchcią emerytów, jadących na turnus do Kołobrzegu. Dlatego, zamiast podziwiać Warszawę widzianą z okien pociągu, przez prawie dwadzieścia minut pomagałem starszym paniom i panom, wkładać ich walizki na półki bagażowe. Miałem cichą nadzieję, że chociaż na piwo zarobię. Niestety jedyną zapłatą było dobre słowo i obietnica modlitwy za moje zdrowie. To ostatnie mogło mi się przydać, bo podniesienie kilkudziesięciu walizek, z których każda ważyła mniej więcej tyle, ile skrzynka piwa, rzeczywiście mogło odbić się na kondycji mojego kręgosłupa. Dlatego, gdy dojeżdżaliśmy do celu, wykonałem taktyczne przegrupowanie na koniec składu. Po wyjściu z pociągu odetchnąłem z ulgą i włączyłem telefon, który od ponad dwudziestu czterech godzin nie zalogował się do żadnego nadajnika. Jednak, gdy tylko złapał sieć, nie nadązał z odbieraniem powiadomień. Na miano tych ważniejszych zasługiwało ponad trzydzieści połączeń od Oli, tylko jedno od Blanki oraz dwa od mamy. Pozostałe powiadomienia dotyczyły głównie postów na Facebooku oraz informacji o nowych profilach na Tinderze. Te ostatnie, choć pewnie bardzo interesujące musiały poczekać na stosunkowo lepsze czasy. Najpierw oddzwoniłem do siostry, która sądząc po sprawności naszych laboratoriów, powinna już mieć wynik testu.

– A ja myślałam, że cię zielone ludki porwały i już chciałam zgłosić to, gdzie trzeba.

– Spokojnie, w Kołobrzegu mógłbym wpaść co najwyżej w sieci zastawione przez jakąś szajkę starszych pań z sanatorium.

– Uuu, to widzę, że trafiłeś na prawdziwą pustynię.

– Na razie nie narzekam – przyznałem zgodnie z prawdą – a poza tym kilka dni odpoczynku dobrze mi zrobi – dodałem, sygnalizując w ten sposób, że mój pobyt w nadmorskim kurorcie może się przedłużyć.

– Gdyby nie izolacja, to też bym gdzieś sobie pojechała – westchnęła Ola.

– Czyli rozumiem, że zostałaś ukoronowana?

– Tak, mam tego słynnego omikrona – potwierdziła.

– Ale sądząc po głosie, nie jest aż tak źle? – zapytałem, przechodząc na drugą stronę ulicy, gdzie chodnik nie był jeszcze opanowany przez jazgotanie kuracjuszek i terkotanie ich walizek. Mimo to i tak słyszałem pretensje jednej

damy, która uważała, że trzeba było wziąć taksówkę, zamiast iść do sanatorium jak jakieś biedaki.

– Właściwie jest spoko – stwierdziła siostra, potwierdzając moje przypuszczenia – tylko mam dziwne sny – dodała po chwili.

„Mam nadzieję, że nie takie jak ja w pociągu do Warszawy” – pomyślałem, ale nie miałem zamiaru o nich opowiadać.

– No dawaj, zaraz sprawdzimy w senniku, co one oznaczają – rzuciłem zachęcająco.

– Dzisiaj po południu, gdy ucielałam sobie drzemkę, śniła mi się babcia Ania. Byłam u niej na wakacjach, a ona miała w domu takiego dużego niebieskiego psa i ja z tym psem codziennie wychodziłam na spacer.

– O ile dobrze pamiętam, gryzący pies oznacza kłopoty – wszedłem jej w słowo.

– Wiem, ale ten nie gryzł – stwierdziła Ola i przez kolejne kilka minut szczegółowo opisywała dalszy ciąg swojego snu. Słuchając opowieści, która mogłaby być świetną bajką dla dzieci, zastanawiałem się, czy jednak nie opowiedzieć jej swojego sennego koszmaru z pociągu, lecz po chwili doszedłem do wniosku, że może przy innej okazji, tym bardziej że w oddali dostrzegłem świecący neon z nazwą hotelu, więc na dłuższą pogawędkę nie było już czasu.

Wchodząc do hotelowego lobby, spodziewałem się zobaczyć atrakcyjną recepcjonistkę, ale ku mojemu rozczarowaniu za ladą siedział postawny brunet o piwnych oczach.

„Blance by się spodobał” – uznałem i podchodząc do kontuaru, ograniczyłem naszą relację do niezbędnego, formalnego minimum, a następnie pojechałem windą na siódme piętro. Pokój zrobił na mnie pozytywne wrażenie, ale o cenniku, wiszącym przy mini lodówce nie mogłem powiedzieć tego samego.

„Trzy dychy za piwo! Oni chyba ochujeli” – pomyślałem, postanawiając następnego dnia zrobić odpowiedni zapas w biedrze. Na szczęście dwie wody stojące obok elektrycznego czajnika, były już wliczone w cenę pokoju, więc wyobrażając sobie, że właśnie popijam zmrożonego lecha, wyszedłem na balkon, z którego roztaczał się widok na morze. Wiszący na bezchmurnym niebie księżyc, zalewał wszystko swoim sodowym blaskiem, wyczarowując scenerię, która aż prosiła się o pokazanie tej cudowności całemu światu. Ja jednak ograniczyłem się tylko do Oli i Blanki, wysyłając im po dwa zdjęcia. Blanka w odpowiedzi przesłała buziaka, natomiast siostra wcale nie zareagowała.

„Pewnie przespia omikrona” – pomyślałem, wracając do pokoju. Choć ostatniej doby spałem zaledwie dwie godziny, czułem się wypoczęty, a nawet zaryzykowałbym stwierdzenie, że dziwnie pobudzony. Czy powodem tego był towarzyszący mi od kilkudziesięciu godzin stres? Zapewne tak, przecież do tej pory, wiodłem dość zwyczajny żywot. Co prawda określenie go mianem nudnego, było grubą przesadą. Już samo postanowienie powzięte kilkanaście miesięcy wcześniej, aby zbić majątek na Blance, było pewnego rodzaju szaleństwem. Jednak wtedy nawet do głowy mi nie przyszło, że mój pozornie genialny i bezpieczny plan, zaprowadzi mnie na drogę przestępstwa, a tak właśnie należało traktować wejście do mieszkania Blanki czy okradzenie nieprzytomnego naśladowcy i przywłaszczenie jego samochodu. To, o czymś kiedyś czytałem jedynie w książkach, właśnie stało się gównianą rzeczywistością, w której siedziałem po szyję. Dlatego musiałem tak kombinować, aby nie zanurzyć w tym szambie głowy. Przede wszystkim należało ustalić, kogo jeszcze mam przeciwko sobie. Pierwszym wrogiem, nawet jeśli sam o tym nie wiedział, był Paweł Lipiec. Drugim była jego mocodawczyni. To właśnie ustalenie jej personaliów uznałem obecnie za sprawę priorytetową. Uruchamiając smartfon niedosłego nieboszczyka, spodziewałem się huraganu powiadomień, w tym również gróźb od niego samego. Jednak żadnych wiadomości w stylu: »Już jesteś martwy, ty fiucie« albo »Najpierw zabiję twoją matkę, później ojca, a na końcu zajebię ciebie«, nie otrzymałem. Byłem tym faktem trochę zawiedziony, oznaczał bowiem, że facet nie należy do nerwowych typków, tylko trzyma swoje nerwy na wodzy, a tacy podobno byli bardziej nieobliczalni. Lektura poprzednich wiadomości, jakie tych dwoje wymieniało, jasno wskazywała, że zdobycie zdjęć planowane było już dużo wcześniej, ale brakowało sprzyjających okoliczności. Pierwsza poważna próba została przeprowadzona, gdy Blanka wyjechała do Zakopanego, jednak wtedy na przeszkodzie stanął jakiś gorliwy sąsiad, którego zainteresował dziwnie zachowujący się typek. Kwadrans później byłem bogatszy o kilka cennych informacji. Po pierwsze to tajemnicza kobieta przekazała Pawłowi klucz do mieszkania Blanki, wraz z kluczem do samego budynku. Po drugie ta sama kobieta

poinformowała, czego ma szukać w mieszkaniu. Po trzeciej to ona wiedziała, kiedy, gdzie i na jak długo wyjeżdża Blanka. Ostatnia informacja była ogólnie znana, bo moja szefowa już od kilku tygodni zapowiadała swoją eskapadę, wzbudzając wśród swoich fanek podziw, zazdrość, a nawet zawiść. Dlatego nie przywiązywałem do niej zbyt wielkiej wagi. Jednak dwie pierwsze, były bardzo zastanawiające, a wnioski nasuwały się same. Osobą, która wynajęła Pawła, musiał być ktoś z bliskiego otoczenia Blanki.

„O cholera, to przecież Ola!” – pomyślałem, patrząc na swoje odbicie w dużym lustrze, wiszącym nad hotelowym biurkiem. Moje oczy w jednej chwili zrobiły się dwa razy większe, jakbym nie siedział na miękkim wygodnym fotelu, ale na twardej klozetowej desce.

„Baran jesteś i tyle. Przecież wokół Blanki zawsze kręci się sporo innych bab, które są bardziej powiązane ze światem show-biznesu niż Ola”. – Usłyszałem wewnętrzny głos i z nieukrywaną ulgą przyznałem mu rację. Ola nie miała żadnych konszachtów z innymi gwiazdami, gwiazdoram, a tym bardziej z tak zwanymi ludźmi sukcesu, których rozpoznałem na rozbieranych zdjęciach i filmikach. Świadomość, że z naszego rodzinnego duetu to nie Ola, ale ja byłem kanalią, sprawiła, że jeden kamień spadł mi z serca. Ten drugi, większy musiał tam pozostać.

„Trzeba będzie wypytać siostrę o przyjaciółki i przyjaciółeczki Blanki i z tego grona wyłuskać podejrzaną” – postanowiłem, przechodząc do pozostałych wiadomości. Odkrycie, że Paweł pisywał z Blanką, nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem, a fakt, że każdą wiadomość podpisywał »Zawsze pamiętający braciszek«, tylko potwierdził moje podejrzenia o ich pokrewieństwie. Zastanawiające było jednak, że Blanka i tajemnicza kobieta, były jedynymi osobami, z którymi pisywał Paweł. Co więcej, w książce telefonicznej nie znalazłem żadnych innych kontaktów, a już zupełnym zaskoczeniem był brak kilku podstawowych aplikacji, bez których facet w jego wieku nie wyobrażał sobie życia i wcale nie chodziło mi o Tindera.

„Jeśli gościu nie ma zainstalowanego na smartfonie Facebooka i Messengera, to znaczy, że albo jest zagorzałym wrogiem social mediów, albo smartfon, który przy nim znalazłem, był używany wyłącznie do określonych celów” – pomyślałem, dokładnie oglądając aparat. Urządzenie wydawało się dość nowe, jednak nie było modelem z najwyższej półki cenowej, a podarowanie go dziecku w prezencie komunijnym mogłoby zostać uznane za obciach.

Po telefonie, przyszła kolej na dokładne sprawdzenie portfela. U Blanki w mieszkaniu nie było czasu, aby przetrząsnąć wszystkie przegródki i kieszonki, a później brakowało odpowiednich warunków. Dowód osobisty był najnowszej generacji, więc nie znalazłem na nim adresu zameldowania. Jednak, skoro toyota miała rejestrację z Otwocka, mogłem przypuszczać, że Paweł mieszka w tym mieście, lub jego okolicach. Pozostałe dane do niczego nie mogły mi się przydać. Gdybym był do faceta choć trochę podobny, mógłbym spróbować wziąć na jego konto kilka chwilówek. Niestety różnił się jak dzień i noc, a poza tym kradzież dowodu mogła już zostać zgłoszona. Gdyby wszelkiej maści parabanki i inne firmy pożyczkowe dały mi kwotę, jakiej potrzebowałem, to podjąłbym ryzyko, lecz doskonale wiedziałem, że od nich wyciągnę najwyżej kilka tysięcy, a ja potrzebowałem pół bańki. Taką sumę mogłem zgarnąć wyłącznie za prawdziwą, choć nieautoryzowaną biografię Blanki Lipiec. Zdawałem sobie sprawę, że zmywanie jednego grzechu, inną podłością jest wbrew zasadom współżycia społecznego, ale nie widziałem innego sposobu na zdobycie pięciuset tysięcy. Pozostałe zakamarki portfela nie kryły niczego ciekawego. Może z wyjątkiem platynowej karty kredytowej, jednego z największych banków.

„Zastanawiające, że facet, który ma w portfelu niecałe trzy dychy w gotówce, dysponuje jednocześnie kartą VIP” – pomyślałem, obracając w palcach niewielki kawałek plastiku. Sprawdzenie co mógłbym kupić przy jego pomocy, było niemożliwe, ale wystarczyła krótka wizyta na stronie banku, aby dowiedzieć się, że tego typu produkty są dedykowane osobom, których miesięczne wpływy na konto przekraczają dwadzieścia tysięcy, a maksymalny limit, może wynieść nawet pięciokrotność wpływów. Nie trzeba było być absolwentem SGH, aby obliczyć jaką moc finansową trzymałem właśnie w dłoni.

„Co z tego, skoro nawet jedno użycie karty, pozwoliłoby mnie wysledzić” – pomyślałem smutno i chowając fany znalezione przy Pawle do plecaka, udałem się na zasłużony odpoczynek.

Moje ambitne plany, aby cztery dni, które zamierzałem spędzić w Kołobrzegu poświęcić wyłącznie stukaniu w klawiaturę, wzięły w łeb następnego dnia, gdy przy śniadaniu poznałem śliczną kelnerkę, o jakże wdzięcznym imieniu Weronika. Dziewczyna była w ostatniej klasie technikum o profilu turystycznym, a w hotelu odbywała staż.

Nim zegar na ratuszowej wieży wybił południe, byliśmy już po pierwszych odwiedzinach w moim pokoju, gdzie zwiedziliśmy łóżko, łazienkę, a na zakończenie wizyty, przetestowaliśmy hotelowe biurko, szczególnie nacisk kładąc na jego przydatność pod kątem miłosnych igraszek.

– Nawet nie wiedziałem, że w Kołobrzegu mieszkają tak wspaniałe dziewczyny – zachwyciłem się, pomagając Weronice zapiąć czarny, koronkowy stanik.

– A ja nie sądziłam, że tacy napaleni faceci, wybierają na wypoczynek właśnie Kołobrzeg, a nie jakieś Zakopane, Sopot czy Karpacz.

– Lekarz zalecił mi intensywną suplementację naturalnym nadbałtyckim jodem – zażartowałem, dając dziewczynie leciutkiego klapsa w jeszcze nie ubraną, kształtną i jędrną pupę.

– Nie wiedziałam, że kręci cię *spanking* – wymruczała, kręcąc zalotnie biodrami – wieczorem przyniosę skórzaną paczkę, to się zabawimy.– dodała, całując mnie namiętnie w usta. Tym sposobem przez cały pobyt w Kołobrzegu, zdołałem napisać zaledwie kilka stron. Mimo to nie uważałem, abym marnował swój czas. Wręcz przeciwnie, każde spotkanie z Weroniką, owocowało w nowe, często nieznanne doznania.

„W tych dziewczynach znad morza jest jednak jakaś dzika, pierwotna namiętność” – pomyślałem, gdy siedząc w pociągu do Warszawy, przypominałem sobie córkę właściciela pensjonatu z Łeby.

To, czego nie napisałem w Kołobrzegu, udało się wystukać na komputerowej klawiaturze w stolicy. W przeddzień powrotu Blanki, książka była gotowa w siedemdziesięciu procentach. Gdyby jej wyprawa do ciepłego rajku trwała trochę dłużej, zapewne wszystko byłoby już skończone. Jednak, byłem z siebie dumny. Plan, który zamierzałem zrealizować w ciągu dwóch lat, już teraz był na ostatniej prostej, a minęło dopiero kilka miesięcy. Mająca w oddali meta, z każdym dniem zdawała się bardziej widoczna i bliższa.

Jadąc po Blankę na lotnisko uważnie niczym agent prezydenckiej ochrony, lustrowałem otoczenie w poszukiwaniu jedynej osoby, która teraz stanowiła dla mnie zagrożenie. Podejrzewałem, że Paweł mógł się czaić gdzieś w okolicy lotniska, a może nawet na samym terminalu. Przecież sama Blanka poprzedniego dnia poinformowała swoich fanów, o której przylatuje. Jeśli liczyła, że przywita ją tłum, histerycznie skandujący jej imię, to mocno się rozczarowała, choć nie dała tego po sobie poznać. Poza mną nikt na nią nie czekał. Co prawda kilka osób popatrywało w jej stronę z zainteresowaniem, ale były to przelotne spojrzenia ludzi, którzy nagle zauważyli kogoś znanego. Widząc jej uśmiechniętą, opaloną twarz, musiałem przyznać, że dominikańskie słońce odwaliło kawał dobrej roboty.

– Witam serdecznie na polskiej ziemi. Niestety pan prezydent nie mógł przyjechać, gdyż zatrzymały go ważne sprawy wagi państwowej – wyrecytowałem, stając w pozycji na baczność.

– Ty mi w zupełności wystarczysz – zapewniła tonem, w którym trudno było doszukać się jakiegokolwiek sarkazmu. Emanowała z niego bezgraniczna szczerość, zupełnie niepasująca do mojej szefowej. Zamierzałem właśnie zaserwować jakąś wytrawną ripostę, gdy Blanka zrobiła coś, czego ani się nie spodziewałem, ani tym bardziej nie przewidziałem. Stała się zdecydowanie zbyt blisko i nim przejrzałem jej zamiary, pocałowała mnie w usta.

„To już drugi taki numer” – pomyślałem, przypominając sobie zdarzenie z Doliny Chochołowskiej. Jednak teraz szansa, że ktoś, nawet przypadkowy przechodzień zrobi nam zdjęcie, które najdalej za godzinę trafi do wszelkiej maści serwisów plotkarskich, rosło, jak ceny gazu w ostatnich tygodniach. Mimo to, zamiast natychmiast przerwać ten tani spektakl, ochoczo odwzajemniałem pocałunek, splatając jej śliski, zwiczny język z moim. Czulem na kubkach smakowych delikatną słodycz gumy truskawkowej, bez której Blanka nie wyobrażała sobie życia. W erotycznych wizjach widziałem Blankę z twarzą między moimi udami, a moja męskość od razu podchwyciła ten obraz.

– Po pierwsze to było szczere – zapewniła Blanka, przerywając zmysłowe połączenie naszych ust – a po drugie nie bierzesz udziału w kampanii mającej zwiększyć moją popularność – dodała, jakby odgadując pierwszą część moich myśli. Bojąc się, że odczyta również ich dalszą, mniej przyzwoitą, postanowiłem przejąć inicjatywę.

– A mogę wiedzieć, czym sobie na to zasłużyłem?

– Możesz, ale wszystko w swoim czasie – odparła z zagadkowym uśmiechem, a następnie ze zmysłowością godną Jennifer Lopez lub Pamelii Anderson, przejechała koniuszkiem języka po górnej wardze.

Jej zachowanie, choć nieprzyzwoicie miłe, miało w sobie coś niepokojącego. Pocałunek połączony z enigmatyczną obietnicą wyjaśnienia swoich pobudek kazał mi mieć się na baczności. To nie była Blanka, którą znałem, a na pewno nie ta sama, z którą spędzałem kilkanaście godzin tygodniowo, wożąc w różne miejsca.

Odebranie walizek i zapakowanie ich do samochodu, zajęło nam prawie pół godziny. Przebrnięcie przez popołudniowe korki dwa razy tyle. Wszystko to sprawiło, że nastrój Blanki z każdą minutą ulegał przeobrażeniu. Kumulacja tej metamorfozy nastąpiła, gdy dojeżdżaliśmy do Wilanowa. W pewnej chwili ostro zahamowałem, aby przepuścić nastolatka, który wpatrzony w ekran smartfona wszedł na przejście dla pieszych. To wtedy Blanka zrzuciła maskę miłej dziewczyny, pokazując się od strony, z której znała ją cała Polska.

– Gnoju jebany, życie ci niemile! – wrzasnęła, wystawiając głowę przez uchylone okno. Chłopak spojrzał na nią, jakby była zjawą z innej rzeczywistości. Czy miał na to wpływ kolor jej ubrania, czy epitety, jakimi go poczęstowała? Tego nie wiedziałem.

– No co się tak, kurwa, gapisz? Może zamiast na telefon, popatrzyłbyś na ulicę? – poradziła tonem dalekim od pedagogicznych standardów wychowania. Młodzieniec nie zareagował, nawet nie zwolnił, tylko poszedł dalej.

— Daj spokój, po prostu młody się zagapił i tyle – wtrąciłem, chcąc w zarodku zdusić wykluwającą się aferę.

– Co, kurwa, zagapił! Co, kurwa, zagapił! – Blanka postanowiła na mnie skoncentrować swoją frustrację, tym bardziej że sprawca całego zamieszania odszedł wpatrzony w swój telefon, a ja byłem zaledwie na wyciągnięcie ręki.

– Oni teraz nawet do kibla chodzą ze smartfonami, jakby nie potrafili bez Google dupy podetrzeć!

– Blanka, ja cię bardzo dobrze słyszę, więc nie musisz krzyczeć – poprosiłem, ale to jeszcze bardziej ją rozjuszyło.

– Ja ci, kurwa, mogę dopiero pokazać, jak krzyczę! – ostrzegła, nabierając powietrza w płuca.

– Może innym razem, bo już jesteśmy na miejscu – powstrzymałem ją, wskazując apartamentowiec. Jego widok podzielał na Blankę kojąco. Tak, jakby powrót do domu miał zbawienny wpływ na jej emocje. Opanowała nerwy, a nawet spróbowała się uśmiechnąć.

– Ola miała rację, jesteś aniołem cierpliwości – powiedziała, gdy zatrzymałem samochód przed drzwiami do budynku.

– Jestem cierpliwy – przyznałem – ale z tym aniołem to gruba przesada – dodałem, wyjmując z bagażnika różowe walizki. Wchodząc do apartamentowca, przypominałem sobie ostatnią wizytę w tym miejscu i zimny, nieprzyjemny dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Wejdiesz na herbatę? – zaproponowała kokieteryjnym tonem, gdy przywiołem pod drzwi mieszkania ostatnią z walizek. Moje zdumienie było prawie tak duże, jak wtedy, gdy córka właściciela smażyła ryb, rozpięła mi rozporek. Jednak tamtemu doświadczeniu towarzyszyło podniecenie. Wtedy wiedziałem, jak dalej potoczą się wydarzenia. Natomiast teraz zupełnie nie wiedziałem czego mam się spodziewać. Na lotnisku, Blanka zachowywała się jak podrywaczka. Kilkanaście minut później o mało mi nie wpierdoliła, a teraz zapraszała mnie do mieszkania, w którym nawet Ola nigdy nie była.

– Wiesz, ja herbaty nie pijam – odpowiedziałem, mając nadzieję, że moja dyplomatyczna odmowa nie urazi Blanki – a poza tym żaden ze mnie hydraulik, malarz, elektryk czy budowlaniec, a podobno tylko oni mogą tam wchodzić – przypominałem, wskazując podbródkiem na drzwi jej mieszkania.

– Nie pijasz herbaty, czy wierzysz mojej sąsiadce, która uważa mnie za seryjną morderczynię? – rzuciła Blanka, zupełnie ignorując listę tych, którzy według niej samej mieli prawo wstępu do różowego królestwa.

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto morduje ludzi, a za herbatą naprawdę nie przepadam.

– No dobra, zamówimy kawę – ustąpiła i chwytając moją dłoń, przyciągnęła do siebie. Przekraczając próg jej mieszkania, miałem niejasne przeczucie, że kawa jest tylko pretekstem.

– Rozgość się – poprosiła, wskazując drogę do salonu – a ja zaraz przyjdę – dodała, znikając w łazience.

Wszedłem do, dobrze mi już znanego, różowego wnętrza i usiadłem w fotelu tego samego koloru. Dokładnie tym samym, w którym siedziałem kilkanaście dni wcześniej i spojrzałem na drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Blanka. Dobiegający zza nich szmer wody, oznaczał, że gospodyni postanowiła wziąć prysznic.

Z doświadczenia wiedziałem, że gdy kobieta bierze prysznic to albo idzie spać, albo ma ochotę na bzykanko. Pierwszą opcję wykluczyła sama Blanka, gdy jeszcze w samochodzie powiedziała, że przespała cały lot. Druga z możliwości, choć w pewien sposób podniecająca, musiała mieć jakieś konkretne umotywowanie. Widok Blanki, wchodzącej do salonu w długim, grubym, różowym szlafroku w pewnym stopniu potwierdzał erotyczny charakter mojej wizyty, ale nie wyjaśniał motywu. Patrząc na szlafrok, pod którym Blanka najpewniej nic nie miała, zastanawiałem się, jak powinienem zareagować. Czy w jej przypadku moje silne postanowienie, aby nie baraszkować z kobietami, starszymi ode mnie, mogło zostać nagięte do sytuacji? Rozsądek stał na stanowisku, że nie, ale gdybym kierował się wyłącznie logiką, nie siedziałbym teraz przed Blanką, odzianą jedynie w niedbale zawieszany szlafrok, którego luźne poły ukazywały opalone zagłębienie między jej piersiami. Z kolei ta mniej zasadnicza strona mojego charakteru uważała, że te kilka lat różnicy nie powinny stanowić problemu, zwłaszcza że już jakiś czas temu postanowiłem przecież uwieść moją szefową. Blanka wyglądała bardzo młodo i gdybym nie wiedział, w jakim jest wieku, uznałbym ją za młodszą od siebie.

– Zamówię kawę, a ty idź tam, skąd ja właśnie wróciłam – poprosiła, tym jednym zdaniem rozwiewając ostatnie wątpliwości, jak porywisty wiatr – smog nad ośnieżonymi szczytami Beskidu Żywieckiego.

– Mam nadzieję kotku, że wiesz, co robisz? – zapytałam, podnosząc się wolno z fotela.

– Tak, piesku. Ja zawsze wiem, co robię – wymruczała lekko gardłowym tonem, w którym pewnoś siebie przeplatała się z podnieceniem.

„Nie wątpię i pewnie zawsze dostajesz to, co chcesz” – pomyślałem, idąc tam, skąd ona przed chwilą wyszła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Laserowy depilator, leżący na blacie obok umywalki uświadomił mi, że Blanka nie tylko brała prysznic. Spoglądając na lśniące od wody urządzenie, wyobraziłem sobie, jak teraz musi wyglądać jej muszelka i zapragnąłem zabawić się w ślimaka, sprawdzającego, czy będzie mu w niej wygodnie. Gdy dwie minuty później wychodziłem spod prysznicza, nawet nie zwracałem sobie głowy wycieraniem. Jednak dla zachowania pozorów przyzwoitości owinąłem wokół pasa jeden z różowych ręczników, leżących na półce. Kiedy wszedłem do salonu, oba fotele były puste, ale dobiegająca z sypialni muzyka jak drogowskaz poprowadziła mnie do przyjemności. Naga Blanka leżała na ogromnym, okrągłym łóżku.

– Wytrzymaj się, nie lubię mokrych facetów – poleciła, przyczołgując się do krawędzi łóżka.

– Ja za to uwielbiam mokre foczki, takie prosto z wody – wyszeptalem i robiąc kilka kroków w jej stronę, zacząłem zdejmować ręcznik.

Sekundę później usłyszałem, jak Blanka głośno wciąga powietrze. „Czyli jednak kobiety wolą wydepilowanych facetów od zarośniętych troglodytów” – pomyślałem z satysfakcją i niby przypadkiem podszedłem jeszcze bliżej. Najpierw poczułem jej palce, przeslizgujące się opuszkami po gładkiej skórze nad moim sterczącym fiutem. Później język, który chciał się upewnić, czy to, co opuszki przekazały do mózgu, jest prawdą. Gdy uznał, że gładkość to nie fatamorgana, przesunął się w dół. Intensywność, zapamiętanie i wprawa, z jaką pieściła moją mosznę, z miejsca wywindowały Blankę na szczyt listy pańienek, o których miałem zamiar pamiętać nawet na łożu śmierci.

„Dziewczyno, gdzie ty się tego nauczyłaś?” – zastanawiałem się, wplatając palce w jej platynowe włosy. Jednak wiedziałem, że o takie rzeczy, podobnie jak o poprzednich facetów, kobiet nie należy pytać. To były sekrety, które jedynie one znały.

– Przestań, bo eksploduję – poprosiłem, patrząc Blance głęboko w oczy.

– Nie wiem, czy chcę – wymruczała, ale posłusznie zaprzestała pieszczot.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliłem, kładąc się obok i dotykając kciukiem jedwabistego wzgórka. Blanka instynktownie rozchyliła uda, pozwalając, aby moje palce, zaopiekowały się jej mokrą cipką. Podczas gdy kciuk zabawiał się z łechtaczką, masując ją okrężnymi ruchami, palec wskazujący wraz ze środkowym, buszowały w jej rozgrzanej, ciasnej i ociekającej sokami szparce.

– Daj mi go – wyjęczała.

– Bardzo proszę – odpowiedziałem, przetaczając ją na siebie. Teraz miałem przed oczami jej nabrzmiały guziczek, a ona mogła wreszcie mnie posmakować. Jej usta, podobnie jak cipka, były ciasne i głębokie. Gdy musnąłem koniuszkiem języka łechtaczkę, szarpnęła nerwowo biodrami, jakby chciała się uwolnić z matematycznej pozycji, ale moje ramiona, obejmujące jej pośladki nie pozwoliły na to. Wiedząc, że nie wytrzymam zbyt długo, zacząłem w szaleńczym tempie drażnić językiem wszystkie zakamarki jej kobiecości, każdemu poświęcając tyle samo uwagi. Blanka drżała coraz silniej, ale mimo to nadal rytmicznie pracowała ustami. Dopiero gdy poczuła, że tę walkę przegrała, uniosła się na łokciach, przyduśiła moją twarz swoją szparką i zawyla przeciągle, rozkosznie, długo.

– Muszę chwilę odpocząć, ale obiecuję, że ty też odbierzesz swoją nagrodę – odezwała się, próbując opanować oddech.

– To może teraz mi powiesz, czym sobie zasłużyłem na tak stosunkowo dobre traktowanie? – poprosiłem, gładząc jej płaski brzuch i pępek, ozdobiony srebrnym kolczykiem.

– Ty już dobrze wiesz czym.

– Gdybym wiedział, to bym nie pytał.

– Nie wiem, jak tego dokonałeś i chyba nie chcę wiedzieć, ale uznałam, że bzykanko będzie właściwą nagrodą.

– Ale nagrodą za co? – dopytywałem, bo wyjaśnienia Blanki były mętne, jak woda w Wiśle podczas awarii oczyszczalni „Czajka”.

– Nagrodą za wyeliminowanie Pawła – oznajmiła, opierając się na łokciach i patrząc mi głęboko w oczy – oczywiście te trzy tysiące, na które się umówiliśmy, także dostaniesz – zapewniła, przesuwając dłoń w kierunku mojego krocza.

– Jak to wyeliminowanie Pawła? – wyjąkałem, nie wierząc w to, co właśnie usłyszałem. Przecież według mojej wiedzy, facet, którego uważałem za trupa wciąż żył, więc skąd Blanka miała tak sensacyjne informacje?

„Cholera, ona wie coś, o czym ja nie mam pojęcia” – przyznałem w duchu, zastanawiając się, czy nie opowiedzieć Blance o tym, co zaszło kilkanaście dni wcześniej w jej mieszkaniu, o tajemniczej kobiecie, która wysłała Pawła po zdjęcia i o mojej bezsensownej wyprawie na południe?

– Jeśli to nie twoja zasługa, to potraktuj to bzykanko jako premię kwartalną – stwierdziła, a jej sarkastyczny ton, był gorszy od uządlenia przez tuzin pszczoł. Już miałem zauważyć, że jak na razie to ona miała gratisową minetkę, a ja jedynie lodzika, ale bez finału. Jednak najpierw musiałem wyjaśnić sprawę śmierci faceta, który na dwa dni zamienił moje życie w tanią powieść kryminalną.

– Skąd wiesz, że twój brat nie żyje? – zapytałem, przykrywając wciąż sterczącego fiuta leżącym obok łóżka ręcznikiem. Oslupienie, jakie odmalowało się na twarzy Blanki, ostatecznie upewniło mnie co do pokrewieństwa tych dwoje.

– Dlaczego uważasz, że był moim bratem? – odpowiedziała pytaniem, próbując śmiechem zatuszować szok, jakiego właśnie doznała.

– Ja pierwszy zapytałem – zauważyłem – więc gdy ty zaspokoisz moją ciekawość, ja zaspokoję twoją – obiecałem. Blanka bez słowa podała mi leżący na nocnym stoliku różowy smartfon.

– Sam sobie przeczytaj tę cudowną wiadomość – poprosiła, przeciągając się jak kotka.

Na ekranie zobaczyłem post z oficjalnej strony Komendy Stołecznej Policji. Jak wynikało z komunikatu, policja prosiła o pomoc w zidentyfikowaniu ciała mężczyzny, który w nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego stycznia, został śmiertelnie potrącony na Ursynowie przez ciężarówkę. Zamieszczone zdjęcie przedstawiało pośmiertny portret Pawła i co do tego, podobnie jak Blanka, nie miałem wątpliwości. Post został opublikowany kilka godzin wcześniej, a moja sieciowa aktywność w tym czasie była mocno ograniczona. Dlatego to, o czym wiedziała połowa Warszawy, dotarło do mnie dopiero teraz.

– Psia krew, jak to się stało? – mruknąłem, oddając Blance telefon.

– Nie wiem, ale skoro to nie ty, to Paweł musiał mieć pecha albo jeszcze komuś zalazł za skórę.

– Rozważania snute przez Blankę miały sens, jednak nie obejmowały tego, co wiedziałem.

– To teraz powiedz, jak domyśliłeś się, że ta kanalia jest, a raczej była moim bratem?

– To akurat było proste. Pamiętasz, jak w Zakopanem powiedziałaś, że przez pewien czas mieszkałaś z Pawłem, ale on cię nie pukał? – specjalnie użyłem tych samych słów, jakimi posłużyła się Blanka.

– Pamiętam – potwierdziła. – Ale jaki to ma związek? – dodała, nie rozumiejąc mojego toku myślenia.

– Skoro facet nie posuwał tak fantastycznej babki, to albo musiał być gejem, albo bliską rodziną – wyjaśniłem i wtedy przypomniałem sobie szczegół, o którym przed chwilą czytałem w policyjnym komunikacie. W jednej chwili wszystko stało się jasne jak niebo nad Warszawą w sylwestrową noc.

– O, kurwa! – wrzasnąłem i wyskoczyłem z łóżka z prędkością gościa, który właśnie zobaczył przez okno męża swojej kochanki z naładowaną i wycelowaną w swoją głowę dubeltówką. Ignorując zdziwione okrzyki Blanki, popędziłem do korytarza, gdzie zostawiłem plecak i wyjąłem z kieszeni telefon znaleziony przy Pawle.

– No szybciej, szybciej – popędzałem urządzenie, które jak na złość logowało się do sieci z prędkością ślimaka, spokojnie wpierdalającego kapustę. Gdy na ekranie rozbłysło wreszcie pomarańczowe logo operatora, bez wahania wybrałem jeden z dwóch numerów zapisanych w kontaktach. Miałem nadzieję, że wiadomość o przejściu Pawła w zaświaty nie dotarła jeszcze do wszystkich, których mogłaby ona poważnie zainteresować.

– No nareszcie! Już myślałam, że coś ci się stało. Dlaczego wcześniej się nie odezwałeś? – usłyszałem kobiecy, dobrze mi znany głos. Fakt, że moje pierwsze podejrzenia, które za wszelką cenę próbowałem wyprzeć, okazały się

sluszne, zabolal bardziej niz wyznanie Blanki o motywach, jakimi kierowala sie, zapraszajac mnie do swojego mieszkania.

„Cześć siostra, chyba musimy poważnie pogadać” – pomyślałem, ale zamiast wyrzucić to z siebie, po prostu przerwałem połączenie i wyłączyłem telefon.

Widząc wyłaniającą się z salonu Blanke, czmychnąłem do łazienki. Odkrycie, że to jednak Ola zleciła Pawłowi zdobycie materiałów kompromitujących jej szefową, a jego siostrę, było dla mnie tym samym, czym dla uczonych renesansu teoria Kopernika. Zbierając swoje ubrania z podłogi, nie mogłem uwierzyć w zdradę siostry, a właśnie w takich kategoriach należało rozpatrywać jej postępowanie względem Blanki. Jednego byłem pewien – głos, który przed chwilą usłyszałem, bezsprzecznie należał do Oli.

„Co tu się do kurwy nędzy wyprawia?” – myślałem, wciągając slipy, skarpetki, spodnie, koszulkę i bluzę.

– Możesz mi do chuja pana wyjaśnić, co tu jest, kurwa, grane? – poprosiła stojąca w korytarzu Blanka. Z rękami założonymi na nagich piersiach i potarganej fryzurze, wyglądała zajebiście pociągająco. Gdyby nie fakt, że rozmowa z bliźniaczką miała w tej chwili najwyższy priorytet, obróciłbym ją, oparł o ścianę i zerznął bez żadnych ceregieli. Zwłaszcza że jej szparka wciąż lśniła jak liście po ulewnym deszczu.

– Może kiedy indziej, myszko. Teraz trochę się śpieszę – powiedziałem, całując ją przelotnie w policzek. Nim zdołała odpowiedzieć, byłem już na korytarzu i biegłem w kierunku klatki schodowej.

Ruszyłem z parkingu w sposób zarezerwowany dla małowartościowych dzbanów, chcących zaszczytować przed lokalnymi pięknociami piskiem opon i smrodem palonej gumy. Dopiero po dwóch kilometrach zwolniłem, ale bynajmniej nie z własnej woli, a przez zatory, które o tej porze były tradycyjne jak popołudniowa herbata w pałacu Buckingham. Jadąc do siostry, przeklinałem w duchu warszawskie korki. Wieczorny szczyt niczym plama oleju na autostradzie spowalniał ruch większości pojazdów. Tylko biedni pasażerowie autobusów i obrzydliwie bogaci właściciele kurewsko drogich elektryków, omijali ospały motłoch, korzystając z buspasów. Poruszając się w tempie spacerowym, miałem wystarczająco dużo czasu, aby poddać wnikliwej analizie wydarzenia ostatniej godziny. Pomijając dogodzenie szefowej, które w obecnym stanie rzeczy, potraktowałem jako mało istotny, choć przyjemny szczegół, skupiłem całą uwagę na Pawle i Oli. Tych dwoje było w tej chwili najważniejszymi elementami układanki. Najpierw postanowiłem zająć się śmiercią Pawła. Korzystając z dłuższego postoju na czerwonym świetle, sięgnąłem po smartfon i odnalazłem na Facebooku policyjny komunikat. Jego ponowna, tym razem bardzo dokładna lektura przyniosła kilka nowych, ważnych informacji. Mężczyzna został potrącony około pierwszej trzydzięści w nocy. To oznaczało, że chwilę po tym, jak zaparkowałem toyotę pod biedrą, odzyskał przytomność, wydostał się z auta i na piechotę ruszył do Olki. Natomiast szczere zdziwienie siostry, która czekała na jego telefon wskazywało, że nie zdążył do niej dotrzeć. Kolejną kwestią, która nie dawała mi spokoju, była ich znajomość. Zachodziłem w głowę, skąd znała Pawła, dlaczego zależała jej na zdobyciu materiałów, które Blanka trzymała w swoim mieszkaniu i do czego były jej potrzebne? Przede wszystkim jednak interesowało mnie, kto tak naprawdę stał za całą tą aferą? W to, że Ola mogła być mózgiem operacji, zwyczajnie nie wierzyłem. Bardziej obstawiałem, że była wyłącznie jednym z ogniów, podobnie jak Paweł, a za sznurki pociągał ktoś inny. Ktoś, kto za wszelką cenę chciał odzyskać zdjęcia i filmy mogące go skompromitować. Tylko jeśli moje przemyślenia miały odzwierciedlenie w rzeczywistości, to dlaczego Ola, uczciwa i unikająca wszelkich intryg, wpakowała się w taką gównianą kabałę? Co nią kierowało? Czy została do tego zmuszona? Czy też jej udział był dobrowolny? Lista pytań, na które miałem zamiar otrzymać odpowiedzi, była jednak tak długa, jak wykaz krewnych posłów i senatorów, zasiadających w zarządach państwowych spółek.

„Siostra, w co ty się, do kurwy nędzy, wpakowałaś?” – zakląłem w duchu, parkując przed jej apartamentowcem. Wiedziałem, że taka niezapowiedziana wizyta, nie będzie dla Oli niczym dziwnym. W końcu często wpadałem do niej jak na Orlen, po ulubioną kawę. A jednak tym razem w oczach siostry dostrzegłem lekkie zdziwienie.

– Cześć, byłem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę na kawę – przywitałem się, całując ją w policzek.

– Czym ty pachniesz? – zapytała, marszcząc brwi.

– Sobą, Warszawą i pewnie Blanką, bo odbierałem ją z lotniska – odpowiedziałem, zastanawiając się, jak siostra zareagowałaby, gdybym opowiedział jej ostatnie dwie godziny swojego życia. Pokusa była ogromna, ale rozsądek

skutecznie ją spacyfikował.

– Prawdę mówiąc, to oprócz wypicia kawy w twoim towarzystwie, chciałbym o czymś porozmawiać – powiedziałem, podchodząc do ekspresu i wciskając przycisk, który robił moją ulubioną kawę.

– Porozmawiać? – Tym razem zdziwienie Oli, zbliżyło się niebezpiecznie do granicy podejrzliwości.

Zdawałem sobie sprawę, że gdy zadam pierwsze z pytań, pewnie ją przekroczy, ale teraz nie było już odwrotu.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o czarnej toyocie i swoich podejrzeniach, że ktoś śledzi Blankę? – zapytałem, przypominając naszą burzliwą konwersację sprzed kilkunastu dni. Zabrałem z podstawki kubek i podszedłem do sofy, na której siedziała bliźniaczka.

– Tak – potwierdziła Ola – ale wydawało mi się, że już wtedy jasno dałam ci do zrozumienia, co o tym wszystkim sądzę – dodała chłodno.

– Pamiętam, pamiętam, ale dzisiaj przeglądając Facebooka, natrafiłem na komunikat policji i jestem niemal pewien, że facet ze zdjęcia jest tym samym, który za nami jeździł – powiedziałem i nim siostra zdążyła odpowiedzieć, pokazałem jej post z fotką Pawła. Ola najpierw poczerwieniała, a jej spojrzenie przypominało wzrok gladiatora przed walką. W następnej chwili zbladła niczym koszulka z chińskiego marketu po czterech praniach. Drżącą dłonią chwyciła telefon i przysuwając go bliżej oczu, wpatrywała się w komunikat, a jej jeszcze bardziej zmarszczone brwi, dowodziły, że właśnie intensywnie nad czymś myśli.

»Dumał, nie dumał, carem nie budiesz« – przypomniałem sobie jedno z powiedzeń babci. Chciałem nawet je zacytować, ale uznałem, że najpierw pozwolę jej dokończyć lekturę komunikatu. Gdy skończyła czytać, przedstawiała obraz nędzy i rozpacz.

Od Blanki wiem, że facet ma, a właściwie miał na imię Paweł – wypaliłem, postanawiając pójść za ciosem. Wiedziałem, że dla siostry będzie to jak oberwanie pałką od policjanta, pilnującego porządku podczas pamiętnych manifestacji, nazywanych strajkiem kobiet.

– Kiedy ci o tym powiedziała?

– W drodze do Zakopanego. Przyznała wtedy, że typek ją nachodzi i zaproponowała mi nawet w żartach, żebyśmy gościa sprzątnął, ale ja na poważnie odmówiłem.

– To powinieneś o tym poście porozmawiać z Blanką, a nie ze mną.

– Próbowałem, lecz ona uważa sprawę za zamkniętą.

– Skoro Blanka nie chce o tym rozmawiać, to ja tym bardziej nie mogę – oświadczyła Ola – rozkładając bezradnie ręce.

„Przecież to ty zleciłaś gościowi odnalezienie materiałów, mogących wywołać w świecie polskiego show-biznesu trzęsienie ziemi” – pomyślałem, próbując zapanować nad nerwami. Zachowanie siostry zaczynało mnie irytować, jak harce kosiarzy, którzy wyruszali w sobotnie poranki na poskramianie trawników.

– Nie możesz, czy nie chcesz o tym rozmawiać? – odważyłem się zapytać.

– Olek, po pierwsze nie chcę, po drugie nie mogę, a po trzecie lepiej zapomnij o tym komunikacie, facecie ze zdjęcia i przestań bawić się w detektywa amatora z bożej łaski – poradziła bliźniaczka.

– Dobra, jak chcesz – powiedziałem łagodnym tonem i dopijając kawę, wstałem z kanapy – ale jeśli zmienisz zdanie, to wiesz, że możesz na mnie liczyć – zapewniłem, ruszając do wyjścia.

– Wiem – usłyszałem za sobą cichy głos Oli.

Siedząc już w samochodzie, zadzwoniłem do Blanki. Musiałem jakoś wytłumaczyć swoje nagłe zniknięcie. Tym bardziej że to nie było normalne, aby facet po doprowadzeniu swojej partnerki do orgazmu ubierał spodnie i spierdalał, jakby gonilo go pół sektora kibiców Legii.

– Zanim wylejesz na mnie wiadro przekleństw i pomyj, powinnaś wiedzieć, że naprawdę musiałem załatwić coś pilnego – powiedziałem, gdy tylko odebrała telefon.

– Nie wątpię, bo jesteś pierwszym facetem, który opuścił moje łóżko, bez zasmakowania mojej piczki – wyznała z typową dla siebie szczerością i dosadnością.

„Nie do końca, bo jednak trochę skosztowałem” – pomyślałem, przypominając sobie jej aksamitną, śliską szparękę, po której mój język harcował, jak pracowite pszczołki w kwiatowych kielichach.

– Zawsze można dokończyć konsumpcję – zaproponowałem, wyobrażając sobie, jak mój kutas wchodzi w jej ciasne gniazdko, a moje slipy natychmiast skurczyły się o kilka rozmiarów.

– Niestety, żołnierzyku. Kantyna jest już dziś zamknięta – zachichotała złośliwie i przerwała połączenie.

– Czyli będę musiał zjeść na mieście albo pójść spać bez kolacji – mruknąłem, zapalając silnik. W drodze do domu doszedłem do wniosku, że właściwie, to nie jestem aż tak bardzo głodny, a post nawet ten seksualny, jeszcze nikomu nie zaszkodził. Kładąc się spać, pomyślałem, że może chociaż we śnie coś zjem, ale tej nocy nawet w snach byłem skazany na głodówkę.

Podjeżdżając następnego ranka pod apartamentowiec Blanki, zastanawiałem się, czy wydarzenia z poprzedniego popołudnia, wpłyną jakoś na nasze relacje, lecz moja szefowa zachowywała się tak, jakbym to nie ja, lecz ktoś inny, zafundował jej ostrą jazdę na szczyt. Paplała wesoło o najbliższych planach, a uwaga, jaką okazywała mi jeszcze kilkanaście godzin wcześniej, zniknęła, pozostawiając jedynie wspomnienia, rozpalające wyobraźnię do czerwoności. Teraz, była tą samą Blanką co przed wyjazdem na Dominikanę. Początkowo korciło mnie, aby jakoś nawiązać do naszych ognistych igraszek, ale po zastanowieniu uznałem, że skoro ona nie ma zamiaru wracać do tego, co między nami zaszło, ja także nie będę o tym wspominał. Co prawda czułem pewien niedosyt, pogłębiany jeszcze przez świadomość, że taka sytuacja jak z Blanką nigdy wcześniej nie miała miejsca. W licznych mniej lub bardziej spontanicznych erotycznych zawodach z kobietami zawsze docierałem do mety. Czasami byłem pierwszy, innym razem drugi, ale meta była za każdym razem. Z Blanką niestety nie ukończyłem biegu. Teraz nawet trochę żałowałem, że nie pozwoliłem jej, aby to ona doprowadziła mnie do eksplozji.

„No cóż, mówi się trudno i trzeba żyć dalej” – pocieszyłem swoje ego. Jednak o pewną kwestię musiałem Blankę zapytać.

– Zamierzasz się zgłosić na policję w sprawie Pawła? – zapytałem, dodając, że w końcu był jej bratem.

– Musiałabym upaść na głowę – prychnęła – mają trupa, to niech mu teraz znajdą jakąś tożsamość. Ja nie zamierzam im w tym pomagać. Poza tym ten gnojek sam jest sobie winien, gdyby miał przy sobie dokumenty, to nie byłoby tego całego cyrku – ucięła ostro.

„Gdybyś wiedziała, że portfel Pawła jest w zasięgu twojej ręki, to byś się dopiero zdziwiła” – pomyślałem, zerkając na mój plecak, leżący na tylnym siedzeniu. Stanowisko Blanki było jasne, więc jakakolwiek dyskusja wydawała się bezsensowna. Uznałem jednak, że anonimowy telefon na policję z informacją kim jest mężczyzna potrącony przez ciężarówkę, będzie spełnieniem obywatelskiego obowiązku. Nie liczyłem na medal, podziękowania czy uścisk dłoni komendanta. Chciałem jedynie zachować się jak porządny człowiek, choć doskonale wiedziałem, że określenie »porządny« bardziej pasowało do tego, jak wyglądał mój pokój, niż jaki miałem charakter.

– Olek, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – ostre pytanie Blanki, wyrwało mnie z zamyślenia nad moralno-egzystencjalną oceną mojego życia. W pierwszej chwili nie wiedziałem, jak mam zareagować, bo faktycznie przez ostatnią minutę lub dwie, nie zwracałem uwagi na jej paplaninę. W końcu ratunek znalazłem w zwiastunie najnowszego filmu o przygodach Mikołajka, który widziałem kilka dni wcześniej na YouTube.

– Zawsze cię słyszę, tylko czasami ignoruję – wyrecytowałem kwestię, wygłoszaną przez mamę głównego bohatera, którą dubbingowała Maja Ostaszewska. Sądziłem, że taki żarcik, wyratuje mnie z opresji. Jednak on pogrążył mnie jeszcze bardziej.

– Ignorować, to ty sobie możesz zaczepki na Tinderze – warknęła Blanka.

– Dobrze, pomyślę nad tą propozycją, choć czasami nie wypada odmawiać, a teraz, jeśli możesz, to powtórz to, co mnie ominęło – poprosiłem.

– Właśnie mówiłam, że w przyszły czwartek jedziemy do Gdańska.

– To super, dawno nie widziałem Neptuna – ucieszyłem się, parkując obok apartamentowca, w którym mieszkała siostra.

Mieszkanie Olki było pierwszym przystankiem na trasie. Blanka miała zabrać od niej jakieś dokumenty, a później mieliśmy pojechać do wydawnictwa, telewizji i do kilku innych miejsc.

– Chodź, napijemy się kawy – zaproponowała, pokazując niewielką torebkę – przywiozłam ją specjalnie z Dominikany – wyjaśniła. – Podobno jest obłędna w smaku – dodała, wysiadając z samochodu. Ekspres siostry

przypominał te używane na moich ulubionych stacjach benzynowych. Nie był co prawda tak duży, ale robił podobną kawę i chyba tylko to przekonało mnie do pójścia razem z Blanką. Mimo kilkukrotnego dzwonienia domofonem Ola nie odbierała. Jej telefon również milczał.

– Umówiłyście się na konkretną godzinę? – spytałem, czując gdzieś pod sercem ukłucie niepokoju.

– Mówiłam jej, że wpadnę rano – wyjaśniła Blanka, po raz kolejny wduszając przycisk domofonu.

„Rano to bardzo względne pojęcie” – pomyślałem, przypominając sobie, co mówiła siostra o poczuciu czasu naszej szefowej.

– Może poszła na zakupy – zasugerowałem, dostrzegając na parkingu jej czerwonego seata.

– Może – podchwyciła Blanka, ale było widać, że ta sytuacja zaczyna ją denerwować.

– Czekamy, aż wróci? – zapytałem, rozcierając zmarznięte dłonie. Blanka zastanawiała się przez chwilę, kalkulując w myślach, czy może sobie pozwolić na dodatkowe minuty czekania. Zamierzała właśnie oznajmić swoją decyzję, gdy zadzwonił jej telefon.

– Ola, jesteś w domu? – zapytała tonem surowego pracodawcy, który wymagał od swoich pracowników bezwzględności posłuszeństwa. Nie dosłyszałem odpowiedzi siostry, ale ulga malująca się na twarzy Blanki oznaczała, że jest u siebie.

– Możesz nas przyjąć w szlafroku, tylko otwórz, bo na tym mrozie to już mi dupa zmarzła – poprosiła Blanka, przestępując z nogi na nogę.

„Chętnie bym ją ogrzała” – pomyślałem, wyobrażając sobie, jak daję swojej szefowej kilka lekkich, rozgrzewających klapsów.

– To może pójdziemy schodami? – zaproponowałem, gdy weszliśmy do apartamentowca.

– Sugerujesz, że piesza wspinaczka na ósme piętro rozgrzeje moje cztery litery? Odpowiedziała, jakby czytając w moich myślach.

– Bezsprzecznym faktem jest, że wysiłek fizyczny, pobudza krążenie krwi, a ta z kolei rozgrzewa mięśnie – wyjaśniłem, jakbym był co najmniej lekarzem, a przecież skończyłem wyłącznie kurs pierwszej pomocy, z którego i tak niewiele zapamiętałem, skoro uznałem, że Paweł nie żyje, podczas gdy on tylko stracił przytomność.

– Wielkie dzięki za propozycję i troskę o moje siedzenie, ale wybieram szybszy środek transportu – oznajmiła, przywołując windę.

Jadąc w ciasnej kabinie, pomyślałem, że nie miałbym nic przeciwko, gdyby tu i teraz Blanka zrobiła mi loda.

– Nie patrz na mnie, jak wygłodniały lew na antylopę – ostrzegła tonem, przy którym głos królowej śniegu, mógłby topić lodowce.

– Do lwa sporo mi brakuje, a i ty masz niewiele z antylopy – rzuciłem, pokrywając rozkwitający rumieniec zawstydenia lekkim uśmiechem. Blanka zamierzała posłać mi jakąś ostrą ripostę, ale w ostatniej chwili zmieniła nie tylko zdanie, ale i zamiary.

– Loda ci nie zrobię, bo biorę do buzi wyłącznie świeżo umyte, ale pozwolę ci się zerznąć, bo po wczorajszej zabawie, mam pewien niedosyt – przyznała, zrzucając na podłogę różowy płaszcz – a poza tym nie lubię mieć długów. Nie tylko tych finansowych – dodała, wciskając przycisk STOP. Winda natychmiast stanęła, a na tablicy z przyciskami zaczęło pulsować czerwone światelko. Blanka chwyciła dłońmi metalową poręcz i kusząco wypięła tyłek.

– Pośpiesz się, bo mamy jakieś pięć minut – ponagliła mnie, kręcąc zalotnie wypiętą dupcią w obcisłych, różowych jeansach. Rozpięcie guzika u jej spodni i opuszczenie ich do kolan zajęło mi mniej niż dziesięć sekund. W chwili, gdy wkładałem dłoń pod materiał jej majtek, mój kutas był już gotowy do akcji i wszelkimi sposobami, próbował uwolnić się z krępujących go slipów i spodni. Nie przestając pieścić jędrnych, gładkich pośladek, drugą dłonią uwolniłem się z krępujących mnie ubrań.

– Odliczysz sobie z mojej wypłaty – wyszeptalem, jednym szybkim ruchem zdzierając z niej czarne koronkowe figi.

– Nie omieszkałam – wymruczała, jeszcze bardziej wypinając nagą pupę.

„Pięć minut na numerkę, nawet szybki to cholernie mało czasu” – pomyślałem i natychmiast przystąpiłem do gry wstępnej. Jednak już pierwszy kontakt palców z gładko wygoloną szparką mojej szefowej, uświadomił mi, że gra wstępna będzie symboliczna. Blanka była tak wilgotna, jakby przed chwilą skończyła testować najlepszy lubrykant świata. Nie zapominając, że strzeżonego gumka strzeże, wyjąłem z kieszeni kurtki truskawkowego durexa i z wprawą doświadczonego tinderowicza, zabezpieczyłem się przed większością przykrych dolegliwości, jakie można było złapać podczas seksu. Następnie złapałem Blankę za biodra i jednym głębokim pchnięciem, wbilem się w nią. Przyjęła mnie z cichym westchnieniem, a po chwili nasze ruchy dopasowały się do siebie. Młaśnięcia towarzyszące każdemu pchnięciu, dowodziły, że Blanka, nie tylko pragnęła tego rżnięcia, lecz była na nie przygotowana. Mój fiut czuł się jak w saunie parowej, było mu gorąco, mokro i kurewsko przyjemnie.

„W windzie to jeszcze z żadną dziewczyną się nie zabawiałem” – pomyślałem, patrząc na nasze odbicia w ogromnym lustrze, zajmującym całą ścianę. Na twarzy Blanki rysowała się czysta, hedonistyczna przyjemność. Lekko rozchylone usta odsłaniały drobne śnieżnobiałe zęby. Duże niebieskie oczy przesłaniała lekka mgła ekstazy, a policzki nabrały wyraźnych rumieńców.

– O Jezu, zaraz dojdę – zapowiedziała, a jej coraz głośniejsze jęki rozkoszy, wypełniały niewielką przestrzeń windy.

„Teraz, moja ty słodka myszko, razem dobiegniemy do mety” – postanowiłem, zaczynając jeszcze mocniej pracować biodrami. Blanka także przyspieszyła, a jej urywany, przesycony jękami oddech, wznosił się niczym *crescendo* i był dla mnie jak opera dla melomana. Killkadziesiąt pchnięć później, mój członek odebrał pierwsze skurcze jej orgazmu, a gdy największy z nich zacisnął się na jego główce, wystrzelił całym ładunkiem. Blanka zawyla i gdyby nie moje silne ręce, osunęłaby się na podłogę windy.

– Oddychaj, malutka, oddychaj – poradziłem, wykonując ostatnie pchnięcia, bo choć mój kutas zrobił już to, co do niego należało, wciąż był jeszcze sztywny i gotowy na harce. Tę ostatnią chwilę przyjemności przerwało lekkie szarpnięcie, po którym winda zaczęła zjeżdżać w dół.

– O kurwa, nasz czas minął! – wrzasnęła Blanka i z szybkością, o jaką bym jej nie podejrzewał, doprowadziła się do porządku.

– Naprawdę szybka jesteś – mruknąłem, całując ją w policzek. Gdy drzwi windy się otwierały, ja właśnie dopinałem rozporek. Widząc mężczyznę w kombinezonie roboczym, zadałem sobie pytanie: Skąd Blanka wiedziała, że mamy pięć minut?

– Pani to ma jakiegóś pecha do naszej windy – przywitał ją technik. – To już drugi raz w tym miesiącu – dodał, posyłając jej dwuznaczny uśmiech.

– Z tego wniossek, że te wasze windy są jakby to nazwać, trochę chujowe – odparła i zapraszając technika do środka, poprosiła, aby towarzyszył nam podczas jazdy na ósme piętro, gdzie mieszkała Ola. Mężczyzna wcisnął jakąś sekwencję na panelu sterowania windą i po chwili czerwone pulsujące światelko zgasło.

– To są bardzo nowoczesne dźwigi, więc nie mam pojęcia, dlaczego znowu winda się zatrzymała, tym bardziej że system nie wykrył żadnej usterki – odezwał się technik, marszcząc brwi – a może ktoś z państwa przypadkowo nacisnęło jakiś przycisk – dodał, spoglądając podejrzliwie w nasze twarze.

– Nie, niczego nie wciskaliśmy – zapewniła Blanka – ja tylko zdjęłam płaszcz, bo czekając na pomoc, zrobiło mi się naprawdę gorąco – dodała tonem małej słodkiej dziewczynki, którą ktoś właśnie oskarżył o kradzież cukierków.

Wysiadając uznałem, że taki szybki numerkę w windzie, daje więcej frajdy niż bzykanko w samochodzie, a na pewno jest bardziej ekscytujący. Już sama świadomość, że masz tylko kilka minut, potrafi wyzwolić większe podniecenie niż całe opakowanie viagry.

– Bardzo dziękujemy za pomoc – powiedziała Blanka na pożegnanie i posyłając technikowi kokieteryjny uśmiech, ruszyła korytarzem, prowokacyjnie kręcąc biodrami.

– A to nie należy do pani? – zawołał za nami technik. Gdy spojrzeliśmy za siebie, ujrzeliśmy w jego dłoniach rozdarte czarne majtki.

– Nie, ja swoje mam na sobie – zareagowała Blanka – jak pan chce, to mogę pokazać – zaproponowała, sięgając do guzika spodni. Mężczyzna w jednej chwili poczerwieniał, a rumieniec objął nawet jego lekko odstające uszy.

– Nie trzeba – bąknął i uciekł do windy. Blanka pomachała do niego i ruszyła dalej, wciąż wyzywająco kręcąc biodrami. Ponieważ swój płaszcz nosła przewieszony przez ramię, efekt był oszałamiający.

– Teraz jesteście kwita – wyszeptała, gdy oddaliliśmy się na bezpieczną odległość od windy.

– Nie do końca – zaprzeczyłem – ja zrobiłem ci dobrze dwa razy, a ty mi tylko raz – przypominałem.

– Ale wytrysk w windzie liczy się podwójnie – skwitowała, zatrzymując się przed drzwiami do mieszkania Oli.

„Ale z ciebie cwana foczka” – pomyślałem, obserwując jak naciska dłońią przycisk dzwonka.

Ola rzeczywiście otworzyła drzwi, ubrana w pomarańczowy szlafrok.

– Co tak długo? Już miałam iść was szukać – powiedziała na powitanie.

– Ta wasza chujowa winda znowu się zacięła – prychnęła Blanka, udając oburzenie. – Musieliśmy czekać, aż ten uszatek w kombinezonie nas uwolni – dodała, siadając na kanapie.

– O ile mnie pamięć nie myli, to ostatnim razem specjalnie nacisnęłaś STOP, aby się przekonać, czy naprawdę masz klaustrofobię – przypomniła siostra.

– Przyznaję, wtedy to było celowe działanie – potwierdziła Blanka – ale dzisiaj niczego nie dotykałam – zapewniła, posyłając mi porozumiewawcze spojrzenie, którego Ola wysypująca do ekspresu kawę z Dominikany, nie mogła zobaczyć.

„Kłamać potrafisz równie dobrze, co się pieprzyć” – przyznałem w duchu, odwzajemniając spojrzenie.

– To się musiał pan Jakub zdziwić – roześmiała się siostra, podstawiając pod ekspres dwie filiżanki.

– Jak cholera, zwłaszcza gdy mu powiedziałam, że macie chujowe windy – stwierdziła Blanka i również zaniosła się śmiechem.

– To nie windy są felerne, tylko ludzie nie potrafią z nich korzystać – oznajmiła Ola, stawiając na stoliku gotowe kawy – pan Jakub powiedział, że gdy czasami oglądał nagrania z kamery, zainstalowanej w windzie, to nie dowierza, widząc, jaki ludzie mieli problem z naciśnięciem odpowiedniego piętra – dodała, siadając obok Blanki.

– To w windzie jest kamera? – zapytałem, czując jak łyk, wypitej przed momentem kawy, podchodzi mi z powrotem do gardła. Zauważyłem, że Blanka także zeszywniała i zbladła. Świadomość, że za kilka godzin film z naszym udziałem trafi na serwisy oferujące amatorskie pornosy, sprawiła, że miałem ochotę beczeć jak ostatni baran. Zostanie aktorem porno, zwłaszcza w amatorskich produkcjach nie było szczytem moich marzeń, a i Blanka nie wyglądała na zadowoloną z takiej ewentualności.

– Tak, była tam kamera, ale jacyś wandale ją ukradli – wyjaśniła Ola, dodając, że według pana Jakuba, zrobiła to para nastolatków z drugiego piętra, którą podejrzewał o uprawianie seksu w windzie.

– Seks w windzie... – zaczęła Blanka, biorąc głęboki oddech – to brzmi jak scena z taniego erotycznego romansu biurowego – dokończyła, krzywiąc się z niesmakiem.

– Myślę, że marnujesz swoją wyobraźnię i powinnaś pisać ostre erotyki, które będą dla wyzwolonych kobiet tym, czym elementarz dla pierwszoklasisty – poradziłem, nie mogąc odmówić sobie przyjemności skomentowania tego, co powiedziała szefowa.

– Rozważę ten pomysł – oświadczyła poważnym tonem – ale najpierw muszę skorzystać z łazienki – dodała szeptem i wyszła z salonu.

– Olek, czy winda naprawdę miała awarię? – zapytała Ola, zbliżając usta do mojego ucha. Zdawałem sobie sprawę, że odpowiedzi muszę udzielić bardzo szybko, bo Blanka w każdej chwili mogła wyjść z łazienki. Tylko nie wiedziałem, czy powinienem siostrze powiedzieć prawdę. Przecież ona nie powiedziała, kim są tajemniczy ludzie, chcący odzyskać erotyczne archiwum Blanki.

– Tak, nagle bez żadnego powodu się zatrzymała – skłamałem, uznając, że o mojej intymnej relacji z Blanką nikt nie musi wiedzieć. Zwłaszcza że i tak wszystko zamierzałem opisać w książce.

Spojrzenie siostry jasno dało mi do zrozumienia, iż ona nie kupuje tej bajeczki. Jednak nie drążyła tematu, tym bardziej że z łazienki dobiegł nas odgłos spuszczonej wody. A za chwilę w drzwiach pojawiła się Blanka.

– A co do pisania książek – tym razem Ola podjęła wątek literacki – to napisało do mnie jedno z wydawnictw. Są zainteresowani twoją autobiografią, a nawet mają już sprawdzonego ghostwritera, który ma doświadczenie w tego typu publikacjach. Oczywiście kwestie finansowe chcieliby omówić...

– I co im odpisałaś? Zapytała Blanka, nie pozwalając siostrze dokończyć zdania.

– To, co zawsze, że nie jesteś zainteresowana.

– I bardzo dobrze – pochwaliła Blanka, podchodząc do szafy z dużym lustrem i poprawiając makijaż.

– Z luzu, jakie przemycali między wierszami, wynika, że z twoją zgodą, czy bez to i tak ta książka powstanie – oświadczyła Ola, a ja poczułem, jak drugi raz w ciągu ostatnich piętnastu minut, wypita kawa podchodzi mi do przeloty. Właśnie realizował się najczarniejszy scenariusz. Do tej pory zakładałem, że będę jedynym na tyle szalonym gościem, aby zadrzeć z Blanką i legionem jej prawników. Rzecz jasna zdawałem sobie sprawę z konsekwencji, ale skoro, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... byłem gotów zaryzykować. Wiedziałem również, że nawet pseudonim nie będzie wystarczającą tarczą i wcześniej czy później opinia publiczna pozna tego odważnego idiotę. Ostatni problem polegał na znalezieniu wydawcy. Tym na razie nie zwracałem sobie głowy, bo pójdzie do wydawnictwa z kilkoma rozdziałami, uważałem za mało profesjonalne. Jednak, teraz gdy pojawiła się realna konkurencja, musiałem zareagować, jak wytrawny szachista, który analizuje zamiary przeciwnika, na kilka ruchów do przodu.

– Odpisz im, że mogą sobie pisać, ale jeśli zobaczą to świństwo w księgarni, to puszczę ich z torbami – poprosiła Blanka po chwili namysłu. – Albo nie, torby też im zabiorę i zostaną w samych śmierzących i dziurawych skarpetkach – dodała i uznając swoją groźbę za zabawną, zachichotała.

„Miałeś, baranie, fantastyczny pomysł, tylko kurwa, trochę niedopracowany” – zakląłem w myślach i poczułem się jak kot, który nie ogarnia kuwety.

– Chętnie byśmy jeszcze posiedzieli, ale mam kilka spraw do załatwienia – zakomunikowała Blanka, biorąc ze stołu teczkę z dokumentami i ruszyła do wyjścia.

– To co, w dół też winda? – zapytałem, mając cichą nadzieję, na erotyczny *replay*.

– Tak – zdecydowała Blanka – ale nie myśl, że będzie jakaś powtórka z rozrywki – dodała, gasząc moją nadzieję, jak nałogowy palacz peta w popielniczce.

– Szkoda, bo nie ukrywam, że było fantastycznie – westchnąłem.

– Było, ale się skończyło, a szkoda to taki czeski samochód – zażartowała Blanka, rzucając sucharem, z którego nawet mój ojciec od dawna się nie śmiał.

„Błysnęłaś humorem, jak szczerbaty zębami” – pomyślałem, udając, że dowcip zaliczany do kanonu sucharów, bardzo mnie rozbawił. Kiedy znaleźliśmy się w windzie, Blanka natychmiast zaczęła dokładnie lustrować sufit, a gdy dostrzegła puste miejsce po kamerze, odetchnęła z ulgą.

– A może zgłosimy się do porno wytwórni? – rzuciłem zaczepnie, gdy odjeżdżaliśmy spod apartamentowca.

– Ja, choć lubię te sprawy, to dziękuję, ale ty, jeśli uważasz, że wymachując fiutem przed kamerą, zarobisz na chleb, to możesz spróbować.

– A dasz mi referencje?

– Baranku, nawet więcej, znam pewnego faceta, który produkuje takie filmy, więc wystarczy jeden telefon i masz główną rolę w najnowszej produkcji – zaproponowała – ale musisz wiedzieć, że takie posuwanie na ekranie, to wbrew pozorom ciężka fizyczna robota. Prawie jak kopanie rowów – dodała, jakby sama wystąpiła w setkach podobnych filmów. Wiedziałem, że Blanka ma rację, bo kiedyś oglądałem dokument o pracy aktorów porno. Wynikało z niego, że przyjemność z takich filmów czerpią wyłącznie widzowie.

– To już lepiej, chyba, być twoim kierowcą – stwierdziłem.

– I tylko kierowcą, bo żadnego bzykania między nami już nie będzie – obwieściła Blanka tonem przypominającym mi Jarosława Gowina, gdy poinformował, że jego partia opuszcza koalicję.

– Ok, ty tu wydajesz rozkazy, ale gdybyś czasem zmieniła zdanie...

– Na to nie licz – ucięła ostro Blanka, nie pozwalając, abym zadeklarował gotowość służenia jej swoim ciałem.

– Ustalmy jedno – zwróciła się do mnie, gdy zaparkowałem przed wydawnictwem, w którym miała umówione drugie spotkanie – gdyby nie moje przeświadczenie, że przyczyniłeś się do wyeliminowania Pawła, to nigdy byś mnie nie tknął...

– Wiem, już to mówiłaś – wszedłem jej w słowo.

– Możesz mi, kurwa, nie przerywać? – warknęła jak pies, któremu próbuje się zabrać pełną michę. Zamiast odpowiedzieć, skinąłem potakująco głową.

– Więc wbij sobie do tego baraniego łba, że te kilka upojnych chwil z moim udziałem, trafiło ci się, jak ślepe kurze ziarno i nigdy więcej się nie powtórzy – zakomunikowała Blanka, a jej oświadczenie nie pozostawiało złudzeń, że u niej nie będzie już żadnego dziobania.

„Jeśli już porównujesz mnie do drobiu, to mogłabyś przynajmniej nazwać kogutem” – pomyślałem, patrząc zdruzdzonym wzrokiem, jak idzie do budynku wydawnictwa, kręcąc zalotnie tyłkiem, któremu bez majtek, mogło być zimno.

Gdy tylko Blanka znikła mi z oczu, sięgnąłem po leżący na tylnym siedzeniu plecak i wyjąłem z niego telefon Pawła. Obracając smartfon w dłoni, rozmyślałem nad pomysłem, który nagle zaświtał mi w głowie. Plan w porównaniu z zamiarem napisania biografii mojej szefowej był szatański, a znając Blankę, nazwałaby go skurwysyńskim i podłym. Jednak, skoro cel uświęca środki, to uznałem lekki szantaż za coś połowicznie usprawiedliwionego. Pogłębiona analiza sytuacji wykazała, że tak jak kucharz najpierw marynuje mięso, aby skruszało, ja musiałem trochę zmiękczyć Blankę. Najlepszym sposobem było zburzenie spokoju mojej szefowej, która po śmierci brata, poczuła się bezpiecznie. Świadomość, że Paweł nie będzie jej już nękał, była jak opuszczenie rozchybotanej łodzi i wejście na twarde, pewny grunt. Ja zamierzałem zmienić go jednak w ruchome piaski. Pierwszy krok miał polegać na przekonaniu jej, że materiały, jakimi straszyl ją »kochający braciszek«, bo tak Paweł podpisywał każdą wysyłaną do Blanki wiadomość, trafiły w ręce kogoś, kto może z nich zrobić użytek.

„No dobra, zobaczymy, jak zareagujesz na SMS-a, z tamtego świata” – pomyślałem, zastanawiając się nad treścią wiadomości. Musiała być na tyle wymowna, aby wstrząsnęła Blanką. Nie mogła jej jednak zabić, bo tylko żywa celebrytka była dla mnie kurą, która miała zacząć znosić złote jaja.

W spadku po twoim kochanym, nieodżałowanym braciszku dostałem kilka fantów. Szczególnie ciekawa jest zawartość telefonu. Myślę, że chętnie obejrzysz kilka, wybranych fotek – napisałem i dołączyłem do wiadomości kolaż, który wcześniej przesłałem siostrze. Byłem pewien, że już sam fakt, iż SMS przyszedł z numeru Pawła, zrobi na niej odpowiednie wrażenie. Zadowolony z siebie potwierdziłem chęć wysłania wiadomości, a następnie wyłączyłem telefon, schowałem do plecaka i zacząłem na swoim smartfonie przeglądać nowe profile na Tinderze. Jednak żadna z dziewczyn nie wzbudziła mojego zainteresowania, bo chociaż oczy łakomie patrzyły na każde ciało, to myśli dryfowały gdzieś indziej.

Spotkanie Blanki miało trwać tylko godzinę, ale dla mnie była to aż godzina, którą musiałem spędzić beczynnym w samochodzie. Po dwóch kwadransach temperatura w aucie spadła do nieprzyzwoitych piętnastu stopni. Mając w nosie ryzyko otrzymania mandatu, za postój w terenie zabudowanym z włączonym silnikiem, przekręciłem kluczyk i już po chwili ciepłe, przyjemne powietrze, popłynęło w moją stronę. Po pięciu minutach, które zaczęły mi się kojarzyć z windą, zgasiłem silnik. Operację dogrzewania musiałem powtarzać kilka razy, bo Blanka wróciła dopiero po dwóch godzinach. Od razu zauważyłem zmianę, jaka w niej zaszła. Była zdenerwowana i roztrzęsiona.

– Zimno? – zapytałem, podkręcając ogrzewanie, choć doskonale wiedziałem, że to wiadomość, którą najpewniej przed chwilą odczytała, jest wszystkim winna.

– Nie czuję się najlepiej, odwieź mnie do domu – poleciła, otulając się szczerlnie płaszczem.

– Rzeczywiście, nie wyglądasz dobrze – przyznałem z fałszywą troską. Gdy zaparkowałem przed jej apartamentowcem, Blanka oznajmiła, że najbliższe trzy dni zamierza spędzić w domu i w związku z tym mam urlop. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale natarczywe pukanie w szybę po mojej stronie, sprawiło, że podskoczyła przestraszona, a słowa uwięzły jej w gardle. Uchyliłem szybę, za którą stał wysoki szpakowaty mężczyzna po sześćdziesiątce.

– Tak? – spytałem grzecznie, choć za to, że wystraszył Blankę, najchętniej posłałbym faceta do diabła. Byłem przekonany, że szefowa zamierzała mi coś powiedzieć, a może nawet poprosić o pomoc, ale zjawił się ten buc i nastrój przysł.

– Czy pan zawsze musi parkować pod samymi drzwiami? Jakby ta pani nie mogła się przespacerować z parkingu? – naskoczył na mnie z taką furią, jakbym przeciął skrzyżowanie na czerwonym świetle, a nie

zaparkował na chwilę przy wejściu do budynku.

– Zaraz odjeżdżam – zapewniłem.

– Ja nie pytałem, kiedy pan odjedzie, tylko dlaczego nagminnie zatrzymuje się pan przy drzwiach? – wrzeszczał gość, jakby prowadził konwersację ze swoją stuletnią babcią, która zapomniała, gdzie przesiała aparaty słuchowe.

– Proszę pana, nie musi pan krzyczeć, nie mam jeszcze problemów ze słuchem – ciągnąłem tym samym cierpliwym tonem, co rzecz jasna jeszcze bardziej wkurwiło faceta.

– Ja wcale nie krzyczę – wrzasnął tak głośno, że idąca pięćdziesiąt metrów dalej para spojrziała w naszą stronę.

– Zostaw, ja to załatwię – odezwała się Blanka, a ja nagle zacząłem żałować starszego pana.

– Panie Piasecki, jeśli się pan w tej chwili nie odpiardoli, to specjalnie odkręć wodę w łazience, zatkam odpływ w wannie, wyjadę na dwa tygodnie i będę miała w dupie, że pana mieszkanie jest pod moim – powiedziała bardzo spokojnie, cicho i wolno. Facet natychmiast spokorniał, jak zając otoczony przez charty, spuścił uszy po sobie i szurając butami, odszedł.

– No, i po sprawie – oznajmiła Blanka, nie kryjąc zadowolenia i wysiadła z samochodu. Odjeżdżając, pomyślałem, że od teraz pan Piasecki wchodząc do swojej łazienki, zawsze będzie z niepokojem patrzył na sufit, wypatrując na nim pierwszych zacieków.

Po powrocie do domu natychmiast uruchomiłem telefon Pawła, ale ku mojemu rozczarowaniu Blanka nie odpisała.

„No cóż, poczekamy. W końcu jak to mówią, kropla drąży skałę, kret tunele, a górnik korytarze” – pomyślałem, siadając przed laptopem. Otoczony ciszą, bo rodzice postanowili odwiedzić kino, by obejrzeć *Gierka*, zabrałem się do pisania. Ich decyzja była o tyle dziwna, że sam Tomasz Raczek, którego moja matka uważała za wyrocznie każdego szanującego się kinomana, uznał ten film za zły, a nawet bardzo zły i to na wielu poziomach. Rodziców usprawiedliwiała to, że dorastali w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku i dla nich, były one czasem cudownego dzieciństwa. Gdy minęła dwudziesta, a ja nie otrzymałem od Blanki żadnej odpowiedzi, uznałem, że czas na bardziej radykalne działanie.

„Skoro karuzela z łabędziami, konikami i słoniami cię nie przekonuje, to zafunduję ci prawdziwy rollercoaster” – uznałem, przeszukując pokaźną kolekcję Blanki w poszukiwaniu najbardziej hardcorowego filmu. Pół godziny później, znalazłem prawdziwą perełkę, cud malinę amatorskiej pornografii, choć w wykonaniu doświadczonych aktorów. Na nagraniu, znany aktor występujący w większości polskich komedii romantycznych, wspólnie z innym, trochę mniej znanym aktorem, posuwali panienkę o wyraźnie wschodniej urodzie. Panowie bawili się w sposób, który najbardziej znany świadek koronny o pseudonimie Masa, w książce opisującej kobiety Polskiej mafii nazwał »dupa, japa, pipa«, chwając się czytelnikom, że w ten właśnie sposób on i jego koledzy, zabawiali się w gdańskim hotelu z autostopowiczką, której wmówili, że są producentami filmowymi, a jak da im dupy, to zrobią z niej prawdziwą gwiazdę, przy której Kasia Figura będzie wyglądała jak aktoreczka z podrzędnego teatryku. Film umieściłem na serwerze ogólnodostępnego serwisu do przesyłania plików, zabezpieczyłem hasłem, a to razem z linkiem umożliwiającym pobranie nagrania, przesałem Blance. Do wiadomości dołączyłem informację, że za dwadzieścia godzin, hasło zniknie, a link będzie hulał po Facebooku, Instagramie i TikToku, jak wichura Nadia kilka dni wcześniej po Polsce. Zadowolony jak właściciel firmy pogrzebowej, podsumowujący kolejny miesiąc pandemii, zrobiłem sobie tortillę z jajkiem, szynką i serem oraz kolejną tego dnia kawę. Delektując się smakiem meksykańskiego placka, nafaszerowanego włoskim parmezanem, niemiecką szynką z udźca wieprzowego i smażonymi jajkami od polskich kur z wolnego wybiegu, czułem, że do pełnego szczęścia, brakuje mi tylko wiadomości od mojej szefowej, ale mijały minuty, a telefon milczał, jak pacjentka z powieści Alexa Michaelidesa.

„Spokojnie stary, daj jej czas, żeby sobie wszystko dokładnie przemyślała” – upominałem się w myślach i aby zająć czymś umysł oraz ręce, zacząłem przeglądać pozostałe materiały znalezione w różowym mieszkanku. Pierwsze były skany umów. Widząc co i za ile reklamowała Blanka, doszedłem do wniosku, że suma na jej koncie bankowym z pewnością ma sześć zer na końcu. Poza kontraktami z reklamodawcami znalazłem sporo innych umów. To właśnie z nich dowiedziałem się, ile zapłaciła za cukiereczka, ile kosztowało jej mieszkanie, a nawet, jaki miesięcznie płaci czynsz. Jednym z ostatnich dokumentów był akt notarialny zakupu mieszkania w Otwocku,

o powierzchni trzydziestu pięciu metrów kwadratowych. Fakt, że Blanka posiada kawalerkę w podwarszawskim uzdrowisku, trochę mnie zdziwił.

„Pewnie inwestuje w nieruchomości” – pomyślałem, odruchowo sprawdzając na Mapach Google adres kawalerki. Lokal znajdował się na drugim piętrze kameralnego bloku, oddanego do użytku przed czterema laty. Miałem już opuścić stronę, gdy przelotnie spojrzałem na otoczenie budynku. Właśnie wtedy zobaczyłem szczegół, który, sprawił, że nagle zaschło mi w gardle. Na wybrukowanym parkingu przed blokiem, wśród kilkunastu samochodów stała czarna terenowa toyota.

„Kurwa, ale z ciebie baran” – zakląłem w duchu. Czy był to samochód Pawła? Tego nie byłem w stanie stwierdzić, bo autor zdjęcia bardziej koncentrował się na architekturze niż motoryzacji i dolna część terenówki, nie zmieściła się w kadrze. Jednak biorąc pod uwagę, że toyota, którą zostawiłem na parkingu pod Jasną Górą, została zarejestrowana w Otwocku, było to wielce prawdopodobne. Mimo iż minęła już pierwsza w nocy, postanowiłem pojechać i sprawdzić swoje podejrzenia. Cicho, aby nie zbudzić rodziców, którzy wrócili z kina zniesmaczeni jakby zamiast oryginalnego klimatu PRL, otrzymali kilkadziesiąt minut marnie wyreżyserowanej telenoweli, wyszedłem z mieszkania. Dojazd do Otwocka zajął mi czterdzieści minut, z czego prawie dziesięć minut trwała wyrwykowa kontrola drogowa. Niebiescy zatrzymali mnie, gdy tylko wjechałem na Wał Miedzeszyński. Młoda policjantka była bardziej upierdliwa niż panie z dziekanatu. Przetrzęsła BMW z taką dokładnością, że gdybym przewoził nawet gram marychy lub innego poprawiacza nastroju, znalazłaby go bez trudu. Z kolei jej starszy kolega wyglądał na znudzonego. Co chwilę ziewał, a gdy tego nie robił, gapił się w ekran smartfona. Tak więc gdy dotarłem pod blok, dochodziła druga.

„No, to teraz chwila prawdy” – pomyślałem, podchodząc do klatki. Wyjąłem z kieszeni klucze, znalezione przy Pawle i zacząłem dopasowywać. Ku mojej niezmiernej radości, trafiłem za pierwszym razem. Ten budynek nie był tak mądry, jak apartamentowiec Blanki, więc aby oświetlić sobie drogę, musiałem sam znaleźć włącznik. Idąc po schodach, bo windy także nie było, od razu zauważyłem, że był to blok z niższej półki cenowej. Kiedy dotarłem pod drzwi mieszkania o numerze czternaście, dostrzegłem kolejną ważną wskazówkę. Na kłamce zalegała warstwa kurzu, co oznaczało, że przez dłuższy czas nikt nie wchodził do środka.

„Nawet na zamkach oszczędzali” – skrzywiłem się, słysząc zgrzytnięcie przy przekręcaniu klucza. Wewnątrz tak, jak mogłem się spodziewać, panował zaduch. Zapaliłem światło i poszedłem otworzyć okno. Czekając, aż kawalerka się wywietrzy, zlustrowałem pobieżnie aneks kuchenny, połączony z mikroskopijnym salonem. W pomieszczeniu panował względny porządek, co moim zdaniem dobrze świadczyło o Pawle. Gdy uznałem, że wszystkie smrody zostały już wypędzone, przystąpiłem do skrupulatnej rewizji. Zacząłem od saloniku, gdzie na stole stał laptop oraz smartfon. Niestety próba ich uruchomienia skończyła się tak, jak bitwa pod Grunwaldem dla Krzyżaków, czyli kompletną klęską. Komputer był zabezpieczony hasłem, ale żadne z tych najbardziej popularnych nie pasowało. Z kolei telefon zażądał odcisku palca.

– Skąd ja ci go wezmę – mruknąłem pod nosem, żalując, że jednak nie odciąłem Pawłowi kciuka. Co prawda, gdybym podjął taką operację, to facet z pewnością by oprzytomniał. Mimo wszystko postanowiłem sprawdzić samą kartę SIM. Wiele osób, w tym również ja, nie stosowało pinu, sądząc, że skoro samo urządzenie jest zabezpieczone, to nie ma takiej potrzeby. W telefonie znalazłem dwie karty, a po włożeniu pierwszej z nich do mojego smartfona, okazało się, że Paweł był takiego samego zdania. Na kartę przyszło kilka wiadomości, głównie o nieodebranych połączeniach. Poza tym były SMS-y od jakiejś Ani. Jednak znacznie ciekawszych informacji dostarczyła druga karta. To z przesłanych na nią wiadomości, jakich Paweł nie zdążył odczytać, dowiedziałem się, kim był człowiek, który wyreżyserował spektakl z wykradzeniem Blance kompromitujących materiałów i do czego potrzebował Oli. Dalsze przeszukanie kawalerki także okazało się owocne. Na regale między poradnikiem początkującego inwestora a przewodnikiem po Paryżu, znalazłem pendrive’a, imitującego miniaturową tabliczkę czekolady. Kolejnym odkryciem była niemiecka gazeta, schowana w wodoodpornej tubie, ukrytej za obudową wanny. Moja znajomość niemieckiego ograniczała się wyłącznie do kilku podstawowych zwrotów, więc o swobodnej lekturze nie mogło być mowy, ale już sam fakt, że ktoś tak starannie ukrył gazetę, kazał przypuszczać, iż jest w niej coś ważnego.

„Jak znajdę chwilę, to wrzucę ją na translator” – postanowiłem, chowając znalezione do plecaka. Opuszczając kawalerkę, miałem przekonanie co do dwóch kwestii. Po pierwsze, posiadałem argumenty, mogące przekonać Olę do szczerzej rozmowy. Po drugie marzył mi się ciepły śpiulkołot, jak teraz młodzież nazywała łóżko. Choć osobiście nie słyszałem, by jakiś nastolatek, w taki sposób wyrażał się o wyrku, to jednak określenie to musiało mieć duży mir, skoro zostało Młodzieżowym Słowem Roku.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„To będzie dobry dzień” – pomyślałem, otwierając oczy. Myśl była tylko w połowie słuszna, bo promienie słoneczne, tańczące na przeciwległej ścianie uświadomiły mi, że dawno minęło południe, więc połowę tego cudownego dnia przespałem. Potwierdzenie tych przypuszczeń znalazłem na ekranie smartfona. Zegar w lewym górnym rogu wskazywał trzynastą trzynastą.

– Imieniny godziny – zanuciłem pod nosem i odrzucając kołdrę, usiadłem na łóżku. Różowy plecak, leżący obok biurka, przypomniał mi o nocnej wyprawie i fantach, jakie buchnąłem z kawalerki Pawła. Zastanawiałem się, czy na pendrive znajduję coś interesującego. Jednak znacznie bardziej ciekawiła mnie, reakcja Blanki na moją wczorajszą wiadomość. Okazało się, że tym jednym trwającym zaledwie dwadzieścia parę minut filmem, porządnie wkurwiłem swoją szefową. SMS-y, jakie zaczęły od niej przychodzić, oczekiwały soczystą polszczyzną, jak ulotki wyborcze obietnicami. Czytając wiadomości w stylu: *pierdol się, ty jebany, pedalski skurwysynie*, nie miałem wątpliwości, że założony cel został osiągnięty. Blanka z każdą nową wiadomością rozkręcała się jak karuzela łańcuchowa, a przekleństwa fruwały jak krzeselka. Ja natomiast odpisywałem, podając aktualny czas, jaki pozostał do usunięcia hasła z pliku i wysłania go w świat Internetu, gdzie podobnie jak w przyrodzie, nic nie ginie. Dopiero gdy do krytycznej godziny brakowało czterdziestu minut, przesłała pierwszego konstruktywnego SMS-a, w którym najpierw wyzwiała mnie od »kurewskiego pomiotu«, a dopiero później zapytała, czego chcę.

„Teraz kochanie, zaczynasz pisać z sensem” – pomyślałem, zastanawiając się jaką strategię negocjacyjną zastosować. Fakt, że Blanka potraktowała groźbę poważnie, dobrze wróżył na przyszłość, ale nie gwarantował pełnego zwycięstwa.

Jutro poinformuję, jakie są moje żądania – odpisałem i wyłączyłem telefon. Podejrzywałem, że killkanaście godzin niepewności, zmiękczy moją szefową. Tym bardziej że ja także potrzebowałem czasu na opracowanie taktyki, a myśleć było o czym. Przede wszystkim musiałem tak podejść Blankę, aby porządnie uderzyć ją po kieszeni, wyrwać potrzebną mi kasę, nie zostać na tym przyłapanym, a co więcej być ostatnią osobą, którą by o to podejrzewała.

„Czyli trzeba będzie zabawić się w Brutusa” – pomyślałem, przypominając sobie lekcje historii. Oczywiście nie miałem zamiaru pozbawić Blanki życia, a jedynie pewnej części majątku, który znając jej zaradność, odbije sobie na przyszłych kontraktach reklamowych. Najmniej problematyczną kwestią okazał się sposób przekazania pieniędzy. Zamierzałem wykorzystać nowoczesne technologie, a kasę odebrać w kryptowalucie. Posiadałem konto, na którym kiedyś miałem jednego bitcoina. Kupiłem go dla żartów, będąc jeszcze w gimnazjum. Wtedy nikomu nawet do głowy nie przyszło, że za kilka lat jego notowania wystrzelą, przekraczając wszelkie granice ekonomicznego rozsądku. Ja swojego sprzedałem, gdy kurs przekroczył dwa tysiące złotych. Jednak kumpel, który także dla żartu kupił sobie pięćdziesiąt bitcoinów i zwyczajnie o nich zapomniał, pewnego dnia stał się milionerem. Porzucając rozmyślenia o taplającym się w bogactwie koledze, skupiłem swoje myśli na opływającej w luksusy Blance, bo w mojej grze, to ona była bankiem, jaki zamierzałem rozbić. Rozważałem właśnie, ile powinienem zażądać, gdy zabrzączał mój smartfon. Widząc, że dzwoni Blanka, poczułem, jak drużyna mrówek przebiega mi po plecach. Mogłem oczywiście zignorować telefon, ale coś mi podpowiadało, że rozmowa z moją szefową będzie lepszym wyjściem.

– Olek, wiem, że dałem ci trzy dni urlopu, ale chciałabym, abys do mnie zaraz przyjechał – poprosiła Blanka, nie potrafiąc ukryć zdenerwowania.

– Coś się stało? – zapytałem, choć wiedziałem doskonale, co podniosło Blance ciśnienie.

– Możesz, kurwa, nie zadawać głupich pytań, tylko wziąć dupę w troki i po prostu przyjechać? – usłyszałem i to wystarczyło, abym zrezygnował z wygłoszenia sentencji, że nie ma głupich pytań, a jedynie głupie odpowiedzi.

– Oczywiście. Żaden problem, będę za pół godziny – zapewniłem, sięgając po leżący obok łóżka plecak.

– Tylko nie nastawiaj się na żadne figle...

– Wiem, wiem, pamiętam naszą rozmowę na ten temat – przypomniałem, wchodząc jej w słowo.

– To dobrze. W takim razie czekam – powiedziała, a niepokój w jej głosie sprawił, że miałem ochotę śpiewać z radości, prawie jak Kuba Wojewódzki, który kilka dni wcześniej ogłosił, iż zostanie ojcem. W sumie to mu się nie dziwiłem, w końcu jak sam przyznał, czekał na ten moment sześćdziesiąt lat. Fakt, że Blanka poprosiła mnie o pomoc, oznaczał, iż byłem poza wszelkimi podejrzeniami, a tym samym spokojnie mogłem działać jak wilk w owczej skórze, choć w moim przypadku była to skóra barania. Jadąc zatłoczonymi arteriami, nuciłem razem z Bryską jej najnowszy hit, który, choć nie pasował do sytuacji, bo wcale nie miałem zamiaru omijać Blanki łukiem szerokim, a wręcz przeciwnie, zamierzałem być blisko, to wpadał w ucho i poprawiał nastrój, prawie tak samo dobrze, jak mój ulubiony, różowy energetyk.

Blanka wyglądała na mocno wystraszoną i nie zamierzała tego ukrywać pod maską uśmiechu.

– Mam kurewsko poważny problem – oświadczyła, gdy usiedliśmy na różowych fotelach, w jej różowym salonie.

– To znaczy? – zapytałem, udając szczerze zaskoczenie, zainteresowanie i troskę jednocześnie. Sam nie podejrzewałem, że odgrywanie pomocnego faceta przyjdzie mi tak łatwo.

– Jestem szantażowana przez jakiegoś pierdolonego fajfusa – oznajmiła Blanka, a nienawiść w jej głosie była silniejsza niż halny na Kasprowym z szóstego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, gdy nad Tatrami wiało z prędkością dwieście osiemdziesiąt osiem kilometrów na godzinę.

– Jak to szantażowana?

– Olek, może ty lepiej idź do tego laryngologa albo sprawdź w Wikipedii, co to znaczy, kogoś szantażować – wycedziła, dodając, że wspomniany fajfus, ma coś, czego mieć nie powinien, a co może jej bardzo zaszkodzić.

– A mogłabyś jaśniej, konkretniej i precyzyjniej – poprosiłem, zastanawiając się, czy pokaże mi filmik, który zamieściłem w sieci.

Blanka spojrzała na mnie tak, jakby chciała ocenić, czy może mi zaufać, ale tak do końca, na maksa. Jej wahanie było zupełnie zrozumiałe. Doskonale wiedziała, że film nie dotyczy jej bezpośrednio, a ja zacznę zadawać niewygodne pytania w stylu: „Kto jest na filmie? Dlaczego rozpowszechnienie filmu może jej zaszkodzić?”

– Myślę, że po tym, co razem przeżyliśmy, możesz mi zaufać – powiedziałem, próbując tym argumentem przekonać ją do powzięcia jedynej, słusznej decyzji.

– To, co razem przeżyliśmy w obecnej sytuacji, raczej nie ma znaczenia, bo ja potrzebuję faceta o twardym charakterze, a nie fiucie – oznajmiła, sądząc, że używając wyrażenia »przeżyliśmy«, chciałem nawiązać do naszych erotycznych igraszek.

– A knajpa w Zakopcu? – przypomniałem, mając nadzieję, że moje umiejętności pięściarskie, wpisują się w obraz faceta, który ma nie tylko twardego chuja, ale też nerwy ze stali.

– Przyznaję, dałeś tam popis, ale ta sprawa wymaga bardziej analitycznego podejścia – odparła, zaciskając nerwowo palce na oparciu fotela.

– Sugerujesz, że moja głowa jest wypełniona sianem, które barany wpierdalają zimą? – spróbowałem zażartować, widząc w tym szansę na rozładowanie nerwowej atmosfery.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co masz w głowie, ale skoro już powiedziałam A, to teraz trzeba powiedzieć B – stwierdziła i zgodnie z moimi przewidywaniami, pokazała mi film. Oglądając tak dobrze znane sceny i konfiguracje, zaprezentowałem kilka min, mających świadczyć o moim zaskoczeniu, oburzeniu, obrzydzeniu, niedowierzaniu i zdziwieniu.

– Czy to jest...

– Tak, to on – oświadczyła Blanka, nie pozwalając mi wymienić nazwiska znanego aktora.

– A ten? – wskazałem na drugiego z bohaterów filmu.

– Nikt ważny – prychnęła lekceważąco – i gdyby chodziło tylko o niego, to kazałabym temu jebanemu szantażyście na drzewo spierdalać – dodała, wyłączając odtwarzanie.

– No dobra, ale jaki ten filmik ma związek z tobą? – spytałem, grając rolę nic niewiedzącego faceta. Ciekawiło mnie, czy Blanka zdecyduje się wyznać całą prawdę, a może będzie chciała wcisnąć mi jakąś bajeczkę? Fakt, że opowiadając w Zakopanem przejścia z Pawłem, zapomniała wspomnieć, że jest jej bratem, kazał podejrzewać, iż tym razem także część prawdy będzie chciała zatrzymać dla siebie.

– Niestety ma i to bardzo duży – zaczęła, biorąc głęboki oddech i ku mojemu zaskoczeniu wyznała wszystkie swoje grzeszki, jakbym był jej spowiednikiem. Zapomniała jedynie wyrazić skruchę, obiecać poprawę i poprosić o rozgrzeszenie.

– Nooo, to rzeczywiście masz problem – potwierdziłem, przybierając minę zafrasowanego mędrca.

– A ty nie masz jaj – wypaliła Blanka – bo gdybyś był facetem z jajami, to, zamiast użalać się nad moim losem, zaproponowałbyś jakieś sensowne rozwiązanie – dodała, rozgoryczona moją postawą.

– Próbowałem być empatyczny – usprawiedliwiałem swoje podejście do jej problemu.

– A masz coś do zaferowania poza głównie wartością empatią?

– Mam, ale po pierwsze muszę wiedzieć, czego chce od ciebie szantażysta, po drugie czy podejrzewasz, kto może nim być, a po trzecie skąd wziął ten film?

– Zadajesz pytania, na które sama nie znam odpowiedzi...

– Ale chyba szantażysta przedstawił swoje żądania? – wszedłem jej w słowo.

– Przedstawi je jutro, ale jak znam świat, życie i ludzką chciwość, to ten jebany cwel, będzie chciał kasy.

– To zapłacić i po sprawie – zaproponowałem.

– Pawłowi też płaciłam, a po sprawie nie było – wyszczała Blanka, wstając z fotela i podchodząc do okna. Jej stwierdzenie oznaczało, że nie będzie skłonna płacić, a takiego scenariusza nie przewidywałem. Zakładałem, że owszem trochę się potarguje, ale w końcu kasę odpali.

– To może niech bohaterowie filmiku złożą się na okup? – podsunąłem pomysł, który właśnie przyszedł mi do głowy – ten bardziej sławny ma przecież kasy, jak młynarz mąki – dodałem, obmyślając plan awaryjny, w którym to właśnie aktor miał wyłożyć kwotę, jakiej potrzebowałem.

– Ty to jednak jesteś prawdziwy baran! – oznajmiła Blanka, zanosząc się szalonym śmiechem.

– To może kwestię kasy zostawmy na później, a teraz zastanówmy się, kto może za tym wszystkim stać? – zaproponowałem, chcąc wysondować, czy Blanka ma jakieś podejrzenia.

– Gdyby Paweł nie leżał w kostnicy, czekając, aż ktoś łaskawie oświeci gliniarzy, to podejrzewałabym jego – słowa Blanki uświadomiły mi, że podczas całej naszej rozmowy ani razu nie wspomniała o pierwszym SMS-ie od szantażysty, skupiając się wyłącznie na filmie. Rozważyłem, czy powinienem zasugerować, że Paweł mógł zdobyć te materiały przed opuszczeniem ziemskiego padołu. Jednak uznałem, że lepiej nie wywoływać martwych z ziemi, choć w jego przypadku z kostnicy.

– Z żywych, w grę wchodzi zaledwie kilka osób, które mogły wiedzieć o tym filmie, a ty jesteś jedną z nich – oświadczyła Blanka, celując we mnie palcem wskazującym. Ten gest przypomniał mi polonistkę z podstawówki, która w podobny sposób wywoływała do odpowiedzi. Wszyscy uczniowie bali się tego palca, a niektórzy otwarcie deklarowali, że są w stanie jej go odgryźć.

– Ja? – wyjąkałem, szczerze zaskoczony jej podejrzeniami – a niby skąd miałbym o nim wiedzieć i jak miałbym go zdobyć? – dodałem, próbując śmiechem uspokoić nagle zdenerwowanie.

– Jeszcze nie wiem, ale to nie znaczy, że nie maczałeś w tym palców – przyznała Blanka.

– No wiesz! Ty to masz tupet! Najpierw prosisz, abym przyjechał, zwierzasz mi się ze swoich problemów, oczekując pomocy, a następnie oskarżasz o ich spowodowanie. Nie obraż się, ale ni w chuj cię nie rozumiem! – stwierdziłem, wstając z fotela.

– Wcale nie powiedziałam, że to ty jesteś tym skurwysynem, tylko że możesz nim być.

– Czyli rozumiem, że zostałem tutaj zaproszony, aby udowodnić, że nie jestem wielbłądem? – zapytałem, próbując nie wyjść z roli. Fakt, że znalazłem się w kręgu podejrzanych, specjalnie mnie nie zaskoczył. Na miejscu Blanki myślałbym podobnie.

– Jak już skreślisz mnie z listy podejrzanych, to zadzwoń – rzuciłem, ruszając do drzwi.

– A jak nie skreśle?

– To też zadzwoni, a wtedy umówimy się, gdzie mam odstawić samochód, bo jakoś sobie nie wyobrażam pracować dla kogoś, kto widzi we mnie wroga – oświadczyłem i nie czekając na odpowiedź Blanki, wyszedłem z jej mieszkania.

„No, to teraz jak nic trafi mnie grom z jasnego nieba” – pomyślałem, ostrożnie wychodząc z apartamentowca. Przygotowany na gniew wszystkich bogów, bogiń i bożków, spojrzałem w górę, ale zamiast ognia niebieskiego, dostrzegłem tylko dwie lub trzy błyszczące gwiazdy.

Siedząc w samochodzie, zastanawiałem się przez chwilę, co teraz powinienem zrobić. Na powrót do domu było za wcześnie, a na Tindera jakoś nie miałem ochoty. Pomysł przyszedł wraz z burzeniem w brzuchu.

„Chłopie, trzeba coś wrzucić na ruszt” – pomyślałem, uruchamiając silnik.

Parkując w Żółtych Tarasach, byłem przekonany, że Blanka skreśli mnie z listy swoich wrogów. Tak podpowiadał rozsądek. Przecież nie mogła wiedzieć o mojej nocnej wyprawie do jej mieszkania i znalezieniu skrytki. Pozostawała jeszcze Ola, która z pewnością również była w ścisłym kręgu podejrzanych, ale ona musiała sobie poradzić sama. Idąc tunelem Dworca Centralnego, zachodziłem w głowę, jak zmusić Blankę do wykonania przelewu. Publikacja filmu nie wchodziła w grę. On miał być tylko czymś w rodzaju odbezpieczonego pistoletu, który mógł, ale nie musiał wystrzelić. Gdyby jednak wypalił, ja niczego bym nie zyskał, a wręcz przeciwnie, straciłbym najlepszą kartę z talii.

„Trzeba wymyślić coś bardziej przekonującego” – pomyślałem, wjeżdżając ruchomymi schodami na halę główną. W macu, jak zwykle panował duży ruch. Gdy wszedłem do lokalu, a moje nozdrza zarejestrowały ten tak dobrze znany zapach frytury, zmiksowany z aromatem kawy, poczułem, że jestem u siebie. Mac był dla mnie tym samym, co trzepak do dywanów dla moich rodziców lub ławeczka przed sklepem, dla miłośników tanich trunków, bez których budżet państwa mógłby nie udźwignąć tego, co na jego barki wkładały kolejne rządy. Stając przed kioskiem do zamawiania, przeglądałem oferty z aplikacji. Kilka miesięcy wcześniej wybór byłby oczywisty, podwójny drwał, ale teraz, musiałem się zadowolić czymś innym. Po zamówieniu zestawu, którego kaloryczność przekraczała codzienne zapotrzebowanie zawodnika sumo, pozostawało jeszcze odstać swoje do punktu odbioru żarcia. Trzymając tacę, której zawartość pobudziła moje łaknienie, ruszyłem na poszukiwanie wolnego miejsca. Idąc między stolikami, przy których miejscowi i przyjezdni raczyli się smakami mojego dzieciństwa, młodości i dorosłości, poczułem wibrowanie w kieszeni kurtki. Przez zgiełk konsumującej gawiedzi, dosłyszałem bajkową melodię, przypisaną do numeru Oli. Dopiero po wykonaniu kilku wirażów, dostrzegłem wolny stolik przy oknie wychodzącym na Pałac Kultury i Nauki. Postawiłem tacę na blacie i w ostatnim momencie odebrałem telefon.

– Co jest, siostra? – rzuciłem, wsuwając się na kanapę.

– Jesteś w Żółtych Tarasach? – pytanie Oli zaskoczyło mnie jak zima drogowców.

– Czy ty mnie szpiegujesz?

– Nie, po prostu przyjechałam na zakupy i szukając wolnego miejsca na parkingu, zobaczyłam BMW Blanki, a z nią rozmawiałam niedawno i nie wspominała, aby miała zamiar gdzieś jechać – wyjaśniła bliźniaczka.

– Jestem w macu na centralnym. Jak chcesz, to wpadnij, postawię ci kawę – zaproponowałem.

– No, nie wiem, mam trochę rzeczy do kupienia.

– Dobrze, w takim razie dorzucę jeszcze lody z polewą karmelową i posypką kitkat – kusilem, wiedząc, że Ola za nimi przepada, ale bojąc się fałdek na biodrach, bardzo rzadko sobie na nie pozwala.

– Czy ty chcesz, abym była gruba i brzydka? – zapytała, nie kryjąc rozbawienia.

– Jesteś moją siostrą, a nie dziewczyną, więc zawsze będę cię kochał – oświadczyłem, wiedząc, że złożona właśnie deklaracja, zabrzmiała nieco pompatycznie.

– Dobra, przekonałeś mnie – skapitulowała.

Nim przyszła, zdążyłem wciągnąć hamburgera i frytki oraz zamówić drugą kawę i dwie porcje lodów.

– Widzę, że sobie nie żalujesz – stwierdziła, obrzucając wzrokiem tacę z pustymi opakowaniami.

– Jak to mówiła nasza babcia: »Jak coś dobre, to albo grzech, albo się od tego tyje« – zacytowałem jedną ze złotych myśli babci Ani.

– Przez ciebie będę musiała wziąć dodatkowe godziny na siłowni – rzuciła siostra, oskarżycielskim tonem i z apetytem zaczęła opróżniać kubeczek z lodami.

– To zmień pracę – zasugerowałem, dodając, że jedna z warszawskich, rowerowych firm kurierskich poszukuje pracowników.

– Kto wie, może będę musiała – oznajmiła poważnie.

– A to dlaczego? Czyżby nasza gwiazda nie była z ciebie zadowolona?

– Nasza gwiazda, jak raczysz ją nazywać, ma problemy i teraz poszukuje winowajcy, ale przecież nie muszę ci o tym mówić, bo wiesz, o co chodzi.

– Ona myśli, że to ja? – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Tak – potwierdziła Ola – i jeśli ma rację, to lepiej odpuść – dodała, wyskrobując resztki lodów.

– Siostra, przecież znasz mnie...

– Znam – przerwała mi – i raczej nie uważam, żebyś był zdolny do takiego skurwysyństwa – słowa siostry uświadomiły mi, że nasze spotkanie może jednak nie było przypadkowe.

– Ale jeśli okaże się, że maczałeś w tym palce, to osobiście obetnę ci jaja – zagroziła i zabierając ledwie napoczętą kawę, wstała od stolika.

– I co ja mam ci powiedzieć? Chcesz, żebym przysiągł?

– Nie, ja cię tylko ostrzegam.

– Kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień – wyrecytowałem, chcąc dać siostrze do zrozumienia, że ona też ma swoje za uszami.

– Olek, czy ty coś sugerujesz?

– Ależ skądże. Tak mi się tylko nasunęło, że czasami łatwiej dostrzec belkę w oku brata, niż drzazgę we własnym.

– Ty mi tu nie zgrywaj obłudnego księdza, tylko przemyśl, to, co ci powiedziałam – rzuciła Ola i lawirując między stolikami, ruszyła do wyjścia.

„Kurwa jego mać!” – zakląłem w duchu, zaciskając dłonie na kubku z taką siłą, że plastikowa pokrywka, odskoczyła, poszybowała w górę, a potem spadła na sąsiedni stolik, przy którym brunetka o serdecznym uśmiechu zjadała frytki.

– To chyba pana? – powiedziała nieznajoma, wskazując na przykrywkę.

– Tak, bardzo przepraszam – bąknąłem i zakładając pokrywkę na kubek, wyszedłem.

„Jeśli sądzisz siostrzyczko, że tymi głodnymi kawalkami, sugerującymi, iż powinienem postępować jak któryś ze świętych, skłonisz mnie do zawrócenia z obranej drogi, to mocno się mylisz!” – pomyślałem, idąc na parking.

Może gdyby Ola była czysta jak kryształ, posłuchałbym jej. Jednak ona również wykazała się nielojalnością wobec Blanki. Zapewne zrobiła to pod wpływem jakichś nacisków, ale fakt, pozostawał faktem. Sprzedała swoją przyjaciółkę. Może nie do burdelu jak Paweł, ale umożliwiła mu wejście do jej mieszkania. Nie zamierzałem oceniać siostry, a tym bardziej stopniować jej winy. Jednak, gdyby plan Pawła się powiódł, to teraz Blanka mogłaby mówić o prawdziwych problemach. Na jej szczęście wszystkie materiały, mogące ją pogrążyć miałem ja i w odpowiednim czasie zamierzałem je oddać. Najpierw jednak musiałem definitywnie rozpieprzyć spisek, w który została wplątana moja siostra.

Kiedy godzinę później przyjechałem do domu, jeszcze raz, tym razem na spokojnie, przestudiowałem wszystkie wiadomości, jakie moja kochana bliźniaczka wysłała na numer znaleziony w otwockiej kawalerce. Pierwszy pochodził z dwudziestego stycznia z godziny dwudziestej trzeciej trzydzieści osiem, czyli mniej więcej z chwili, gdy nieprzytomny Paweł leżał w garderobie Blanki, a ja wysłałem kolaż na tajemniczy numer.

Mam te zdjęcia – brzmiała wiadomość. W następnej Ola dopytywała, co ma z nimi zrobić. W dwóch kolejnych, wysłanych dwa dni później napisała, że Paweł musiał gdzieś wyjechać i ona nie wie, gdzie teraz przebywa. Dla mnie sytuacja była jasna jak słoneczne promienie na ścianie. Nie było żadnej tajemniczej grupy, którą sobie wymyśliłem, a jedynym, który pociągał za sznurki, był sam Paweł. To on, korzystając z kilku kart, udawał różne osoby. Pozostawało jedynie znaleźć odpowiedzi na dwa pytania. Pierwsze, dlaczego to robił? Drugie, jak udało mu się zmusić Olę do współpracy? Nie wierzyłem, aby zrobiła to dobrowolnie. Rozwiązanie pierwszej kwestii wydało mi się

dość proste. Ola była Pawłowi potrzebna, aby zdobyć klucze do mieszkania Blanki. To dzięki nim wszedł do niej jak do siebie. Znalezienie powodów, dla których Ola zdecydowała się na współpracę, było jednak znacznie trudniejsze. Gdybym znał treść poprzednich wiadomości, jakie wymieniała z tajemniczymi numerami, wszystko byłoby prostsze. Jednak telefon znaleziony w kawalerce był zablokowany, a ja nie znałem żadnego hakera. Z kolei rozmowę z Olką uznałem za ostateczność. Musiałbym się przed nią otworzyć, a wtedy nawet ona nazwałaby mnie podłym skurwysynem i oczywiście o wszystkim doniosła Blance. Jej reakcji wolałem sobie nie wyobrażać. Po przeanalizowaniu wiadomości, przysłała kolej na sprawdzenie pendrive'a. Znalazłem na nim kilka folderów, o nic nie mówiących nazwach, ale ich zawartość mówiła więcej, niż chciałbym wiedzieć. Każdy folder zawierał kilkanaście zdjęć, przedstawiających Olę i Blankę, w sytuacjach, które nawet mi, trudno było uznać za koleżeńskie, czy nawet przyjacielskie. Prócz pamiętnego zdjęcia, robiącego furorę w Internecie, które miało dowodzić, iż dziewczyny łączy coś więcej niż przyjaźń i współpraca, były tam fotki, potwierdzające te podejrzenia.

»To takie buty z cholewami« – przypomniałem sobie powiedzenie babci, używane wtedy, gdy znalazła rozwiązanie jakiegoś problemu lub zagadki.

– Więc siostra, podobnie jak moja szefowa, prócz chłopców, lubi dziewczyny – mruknąłem pod nosem, zastanawiając się, co ta wiedza wnosi do sprawy, a wnosiła sporo. Przede wszystkim domyśliłem się, jakich argumentów użył Paweł, aby zmusić Olę do współpracy. Poza tym znalezione fotki, na przykład te, na których Ola i Blanka całują się w usta, mogły być kolejną kartą przetargową. Kładąc się do łóżka, postanowiłem, że w następnym rozdaniu użyję właśnie tej karty.

„To będzie mój joker” – pomyślałem, wtulając głowę w poduszkę.

Jednak ku mojemu zaskoczeniu, żadnego nowego rozdania nie było. Rankiem Blanka napisała SMS na numer rzekomego szantażysty. Wiadomość składała się tylko z dwóch słów: *Ile chcesz?* Nie było żadnych epitetów czy gróźb. Gdy odpisałem, podając kwotę i sposób przekazania kasy, Blanka nawet nie próbowała negocjować.

»Bo Mikołaj dobrze wie, kto był grzeczny, a kto nie i to jest podejrzane« – przypomniałem sobie tekst z jakiejś kreskówki, oglądanej dawno temu. Rzeczywiście coś tu śmierdziało. Co prawda, jeszcze nie cuchnęło, ale lekki smrodek był już wyczuwalny. Zastanawiałem się, z której strony Blanka przypuścił atak. To jak się zachowywała, nie było w jej stylu. W cudowną przemianę nie wierzyłem. Natomiast w podstęp już tak. Tyle że nie miałem pojęcia, jaką pułapkę przygotowała. Niemal cały dzień spędziłem na bezowocnych rozmyśleniach i snuciu nowych, coraz to bardziej fantastycznych hipotez, a jednocześnie regularnie co pół godziny sprawdzałem, czy stan bitcoinów na moim koncie nadal wynosi zero. Gdy więc o czternastej trzydziści, zamiast zera, ujrzałem upragnioną kwotę, przez kilka minut wpatrywałem się w monitor laptopa, co kilka chwil przecierając oczy ze zdumienia. Nigdy nie posiadałem pół miliona złotych. Nawet fakt, że mój stan posiadania był tylko przejściowy, nie zakłócał mojej euforii. Kiedy sprzedałem kryptowalutę i przekazałem złotówki na swoje konto, okazało się, że na tej operacji straciłem prawie osiem tysięcy. Ale nawet ten uszczerbek nie zmieniał faktu, że cel, jakim było sfinansowanie operacji Łukasza, został osiągnięty i to z nawiązką. Teraz pozostawało mi jedynie przelać kasę na konto zbiórki i oddać materiały Blance. Najpierw zrobiłem przelew. Później zapakowałem pendrive'a, smartfony Pawła oraz kilka płyt CD do bąbelkowej koperty, zostawiając sobie jedynie kartę SIM, z której jako szantażysta wysyłałem wiadomości do Blanki i pojechałem na Dworzec Centralny. Korzystając z małej skrytki bagażowej, która nie miała kluczyka, ale po opłaceniu otrzymywało się wydruk z kodem do zamka, zdeponowałem w niej kopertę i szczęśliwy jak kundel, któremu udało się wydostać poza ogrodzenie posesji, poszedłem napić się kawy.

Wracając do domu, czułem jak napięcie ostatnich kilku tygodni niczym balon wypełniony helem, unosi się w otchłań atmosfery. Było mi tak lekko, tak dobrze, jakbym przed chwilą pożegnał się z dziewczyną poznaną na Tinderze. Przyjemna lekkość mego bytu została zmacona dwoma słowami mojej mamy.

– Masz gościa – oznajmiła, gdy tylko zdjąłem buty i odwiesiłem kurtkę na wieszak, uważając, aby ten się nie przewrócił. Co prawda ojciec miał go naprawić, ale jakoś mu to schodziło.

– Gościa? – zapytałem, sądząc, że źle usłyszałem, ale robiąc szybki przegląd sześcioliterowców, nie znalazłem podobnego słowa, o innym znaczeniu.

– Tak, gościa. Czeka u ciebie – potwierdziła matka, wchodząc do kuchni, gdzie czajnik zaczynał parować arię. Ruszyłem korytarzem i po chwili ostrożnie zajrzałem do swojego pokoju. W pierwszym momencie nikogo nie zobaczyłem, dopiero po chwili dostrzegłem postać siedzącą na parapecie. Kobieta wpatrywała się w mrok za oknem, choć przecież musiała słyszeć moją rozmowę z matką i zdawała sobie sprawę, że za chwilę wejdę do pokoju. Mimo to nie odwróciła twarzy w stronę drzwi.

– Marta? – wyjąkałem, nie do końca będąc pewnym, tego, kogo widzę.

– Cześć, Olo – przywitała mnie tak, jak wtedy, gdy moje życie wyglądało zupełnie inaczej. Poczułem, że nagle jakaś moc, cofnęła zegary, kalendarze, wschody i zachody słońca, zimy, wiosny, lata i jesienie.

– Cześć – bąknąłem, kompletnie nie wiedząc jak mam się zachować i wolno ruszyłem w jej stronę.

– No, gołąbeczki, macie tu herbatę i ciasteczka – słowa mojej rodzicielki, która z właściwym sobie taktem, wkroczyła do pokoju, zatrzymała mnie w miejscu. Mama wyminęła mnie z gracją kelnera z restauracji, mogącej pochwalić się co najmniej trzema gwiazdkami Michelina, postawiła na biurku tacę i puszczając do mnie oczko, ruszyła do wyjścia.

Bardzo dziękuję, pani Zosiu, ale wpadłam tylko na chwilę – oznajmiła Marta, dając mi do zrozumienia, że będę musiał sam wypić dwie herbaty i zjeść tuzin baletek z pobliskiej cukierni.

– Tylko za głośno nie gruchajcie, bo to wielka płyta i wszystko się niesie – poradziła matka, ignorując słowa rudowłosej dziewczyny i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Zostaliśmy sami w bajkowym świecie Pokémonów. Dwoje ludzi, kiedyś tak bliskich, a dziś – dalekich i obcych.

– Nic tu się nie zmieniło – zauważyła Marta, prześlizgując się wzrokiem po ścianach, wytapetowanych kartami Pokémonów, półkach z figurkami Pikachu, Charizarda i innych wojowników.

– Jak widzisz, pewne rzeczy są stałe – stwierdziłem, zupełnie nieświadomie akcentując zmiany, które zaszły w jej i moim życiu. Marta smutno skinęła głową, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że czasu, słów i czynów nie można cofnąć.

– Przyszedł ci podziękować – jej drżący głos przerwał krępujące milczenie, a nasze spojrzenia spotkały się i zapatrzyły w siebie. W jej oczach po raz pierwszy od kilku lat nie było jadowitości. Ich zieleń przygasła, złagodniała. Teraz nie przypominała pierwszych wiosennych listków, ale dojrzałe letnie liście.

– To był mój obowiązek – stwierdziłem, nie zamierzając udawać, że nie wiem, o co chodzi i poprosiłem, aby nie mówiła Łukaszowi, kim jest tajemniczy dobroczyńca. Już sama jej wizyta, wskazywała, że środki wpłynęły na konto zbiórki. Tuż po wypadku przyrzekłem Marcie, Łukaszowi, ale przede wszystkim sobie, że zrobię wszystko, aby Łukasz z powrotem stanął na nogi. Wtedy Marta wykrzyczała mi w twarz: „Gównu możesz zrobić” i po raz pierwszy oświadczyła, że mnie nienawidzi. Teraz po kilku latach dotrzymałem obietnicy, ale nie zamierzałem wypominać, słów, jakie wtedy rzuciła, bo w pełni na nie zasługiwałem. Zamiast tego podszedłem do biurka.

– Nadal bez cukru? – zapytałem, biorąc jeden z kubków w czerwone, zielone i żółte serduszka. Podejrzywałem, że mama specjalnie wybrała tak kiczowate naczynia.

– Nadal – potwierdziła – ale naprawdę przyszedł tylko na chwilę i już muszę uciekać. Jeszcze raz chcę ci podziękować. Nie wiem, jak tego dokonałeś i nie chcę wiedzieć – dodała i nim zdążyłem odpowiedzieć, była już na korytarzu. Usłyszałem jeszcze, jak żegna się z mamą, zamyka drzwi, a potem znowu zapadła cisza.

„No, chłopie, spierdoliłeś to koncertowo, prawie jak Sasin wybory kopertowe” – zakląłem w duchu i ciężko opadłem na fotel. Upiłem łyk herbaty i sięgnąłem po ciastko, obsypane grubą warstwą maku. Zapatrzony w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Marta, zastanawiałem się, czy rzeczywiście mogłem dzisiaj spróbować nad przepaścią tych wszystkich lat, złych słów oraz oskarżycielskich spojrzeń, przrzucić linę i poprosić, aby ona tę linę złapała. Przeżuując kolejne ciastko, doszedłem do wniosku, że ja mógłbym, lecz postawa Marty nie wyrażała niczego prócz wdzięczności, więc ona z pewnością nie złapałaby tej liny.

„Stary zapomnij o tym, co było” – usłyszałem wewnętrzny głos rozsądku. Mimo to prawie do północy leżałem na łóżku, ze słuchawkami na uszach, słuchając w zapętleniu, jak Edyta Bartosiewicz śpiewa: »Gdy ciebie zabraknie i ziemia rozstąpi się, w nicości trwam. Gdy kiedyś odejdziesz, nas już nie będzie...«.

Nowy dzień pozwolił zapomnieć mi o przeszłości i zmusił do skoncentrowania się na teraźniejszości. O ósmej zadzwoniła Blanka, przypominając, że o trzynastej wyjeżdżamy do Gdańska.

– Wiem, ale dopiero jest ósma rano – odparłem, przejeżdżając dłonią po szczęce, która od kilku dni, uparcie unikała spotkania z maszynką do golenia.

– Baranku, ja znam się na zegarze – warknęła, jak mały niepozornie wyglądający piesek, który zniecierpliwiony złapał za kostkę.

– Dzwonię, bo chciałabym, abyś przed wyjazdem umył i wysprzątał samochód.

– Szefowo, będzie czyściutki, pachnący i zatankowany do pełna – obiecałem, tłumiąc ziewnięcie.

– Mam, kurwa taką nadzieję – rzuciła na pożegnanie.

„Nie denerwuj się, wkrótce wyślę instrukcje, w jaki sposób możesz odebrać swoje sprośne filmiki i zdjęcia” – pomyślałem, idąc do łazienki. Stojąc przed lustrem, rozważałem, czy nie zapaść brody, lecz po szybkim przeanalizowaniu za i przeciw doszedłem do wniosku, że nie po to rok wcześniej wywaliłem prawie tysiaka na pięcioostrzową maszynkę do golenia z poczwórnym systemem folii, żeby teraz takie cacko leżało w pudełku i porastało kurzem. Patrząc jak mój robot golący, z apetytem piranii, pochłania kolejne paski zarostu, skierowałem swoje myśli ku książce o Blance. Choć uznałem misję za zakończoną, musiałem jeszcze zdecydować, co zrobić z biografią Blanki, która była już prawie gotowa. W obecnej sytuacji nie widziałem sensu w dokończeniu dzieła i szukaniu wydawcy. Mogłem oczywiście wszystko skasować, ale perspektywa zniszczenia kilku miesięcy pracy, jednym kliknięciem, wydała mi się głupim rozwiązaniem.

»To jeść nie woła« – przypominałem sobie powiedzenie babci, jakiego używała w odniesieniu do spraw, które mogły poczekać. Uznawszy, że gładkość moich policzków dorównuje aksamitności krągłych pośladków mojej szefowej, wziąłem szybki prysznic, zjadłem śniadanie, wypilem pierwszą tego dnia kawę i kwadrans przed dziesiątą byłem gotowy. Przed wyjściem zaaplikowałem jeszcze dawkę perfum, które z każdym dniem coraz bardziej mnie do siebie przekonywały, zarzuciłem na ramię plecak i zbiegłem do samochodu. Niemal równe trzy godziny później byłem na miejscu. Blanka czekała przed apartamentowcem.

– Ja to kobiet nigdy nie ogarnę – zażartowałem, pakując do bagażnika dwie różowe walizki.

– Rozumiem baranku, że pijesz do mojego skromnego bagażu? – zapytała kpiąco.

– Nie piję, tylko zwracam uwagę – rzuciłem kolejnym żartem, ale słowo piję, wypowiedziane moimi wargami, Blanka odebrała jako aluzję do jej noworocznego wypadku.

– Uwważaj, baranku. – Pogroziła mi palcem, a ja naprawdę się wystraszyłem, ale nie groźby, tylko tego, że po raz trzeci w ciągu kilku godzin, jej wargi nazwały mnie barankiem, a to nigdy wcześniej nie miało miejsca.

– Mnie na dwa dni wystarczy taki plecak – powiedziałem, pokazując swój bagaż, zawierający dwie zmiany bielizny, bo w Gdańsku mieliśmy spędzić trzy dni, zapasowe spodnie i dwa T-shirty.

– Wszystkie moje kosmetyki zajmują więcej miejsca – wyznała szczerze.

– Podobno o urodzie kobiety świadczy ilość posiadanych kosmetyków – przytoczyłem opinię, przeczytaną w Internecie.

– Nie tyle ilość, co przede wszystkim jakość – oświadczyła, szczególnie akcentując ostatnie słowo. Kiedy odjechaliliśmy spod budynku, telefon Blanki zawibrował, oznajmiając nadejście nowej wiadomości.

„Czyli wszystko zadziało” – pomyślałem, spoglądając na zegarek. Jeszcze przed wyjściem z domu, korzystając z aplikacji do wysyłania SMS-ów o określonej porze, dokładnie na godzinę dwunastą pięćdziesiąt osiem ustawiłem wysłanie SMS z instrukcją odbioru koperty ze skrytki. To posunięcie miało jeszcze bardziej odwrócić ode mnie ewentualne podejrzenia. Przecież skoro w chwili przyścia wiadomości siedziałem obok Blanki, to nie mogłem jej wysłać. Szefowa chyba doszła do takiego samego wniosku, bo po przeczytaniu SMS-a, spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Podjedziemy jeszcze w jedno miejsce – poleciła po chwili zastanowienia.

– Ty mówisz, ja jadę – odparłem potulnie. Gdy zaparkowałem w Złoty Tarasach, Blanka przesłała na mój telefon instrukcję i poprosiła, abym odebrał przesyłkę.

– A jak to wybuchnie? – zażartowałem.

– To oberwie ci ręce – odparła poważnym tonem – dlatego trzymaj wysoko, żeby ci jeszcze czegoś innego nie urwało – dodała.

– Bardzo śmieszne, normalnie boki urywać – skomentowałem, specjalnie dopasowując powiedzenie do sytuacji. Następnie odpiąłem pas, wysiadłem z samochodu i zrobiłem to, o co poprosiła szefowa. Dziesięć minut później jechaliśmy już w kierunku Gdańska, a koperta warta pół miliona, niedbale leżała na kolanach Blanki.

– Możesz mi powiedzieć, co to jest? – zagadnąłem, spoglądając na brązową kopertę.

– Nie interesuj się baranku, bo kociej mordy dostaniesz – rzuciła Blanka, wykazując się znajomością młodzieżowego slangu.

– Baran z kocią mordą, to brzmi ciekawie – skwitowałem.

– Raczej obciachowo.

– Rzecz gustu – mruknąłem, ale szefowa nie kontynuowała dalszej słownej szermierki, skupiając całą swoją uwagę na smartfonie.

– Możemy zjechać na parking? – zapytałem, gdy minęliśmy zjazd na Włocławek.

– Jak musisz, to zjeżdżaj – rzuciła, nie odrywając oczu od swojego telefonu. Na szczęście najbliższy punkt obsługi podróżnych znajdował się w odległości siedmiu kilometrów, więc cierpienia mojego pęcherza nie trwały zbyt długo.

„Ta druga kawa mogła poczekać” – pomyślałem, zapinając rozporek. Gdy wyszedłem z toalety, zobaczyłem, że miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stało BMW, jest puste. Dopiero klakson, wskazał mi drogę do auta. Zadowolona Blanka siedziała na miejscu kierowcy.

– No dobra, było fajnie, napędziłaś mi stracha jak Król Julian Pingwinom, ale teraz hop-siup, zmiana dup – powiedziałem, podchodząc do samochodu.

– Siadaj tam. – Szefowa wskazała miejsce pasażera. – I przestań pierdolić – dodała tonem, który nie pozostawiał złudzeń, kto teraz będzie kierował.

„Mnie to właściwie zwisa i powiewa. Przecież to nie ja, tylko ona ma zabrane prawo jazdy” – pomyślałem, zajmując miejsce, na którym jeździłem bardzo rzadko.

– Pokażę ci, jak się jeździ – wymruczała, a podniecenie w jej głosie, było jak sygnał ostrzegawczy. Gdy prędkościomierz przekroczył sto dziewięćdziesiąt kilometrów, odruchowo sprawdziłem, czy na pewno mam zapięty pas. Kiedy wspiał się na poziom dwustu dwudziestu, instynktownie złapałem za uchwyt nad drzwiami. Jednak, gdy Blanka zakłęła, nie mogąc wydusić z iks dwójki więcej niż dwieście siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, zacząłem przeszukiwać pamięć w poszukiwaniu modlitwy do świętego Krzysztofa.

– Mój cukiereczek z palcem w dupie osiągał trzy stowy – prychnęła, nie zwalniając ani o kilometr, a mijane po prawej stronie osobówki i TIR-y zlewały się w jedną wielobarwną plamę.

– Dobra, masz medal za odwagę i umiejętności, tylko zwolnij – poprosiłem.

– A co, już się zesrałeś? – zachichotała Blanka, teatralnie pociągając nosem – a nie, przecież niedawno byłeś w kibelku – dodała, zdejmując stopę z pedału gazu. BMW łagodnie wytracało prędkość, a gdy spadła ona do stu dwudziestu kilometrów, Blanka zjechała na prawy pas.

– Ola ci nie mówiła, że uwielbiam szybką jazdę? – zapytała, skręcając na pierwszy napotkany parking.

– Chyba wyścigi F1 – mruknąłem, wysiadając z samochodu. Przechodząc na stronę kierowcy, czułem dziwne drżenie w nogach.

– Więcej nie dostaniesz kluczyków! – zapowiedziałem, ale Blanka tylko parsknęła śmiechem. Miałem wielką ochotę odjechać i zostawić ją na tym parkingu, lecz ona jakby przeczuwając moje zamiary, szybko wsiadła i posłusznie zapięła pas.

– Przepraszam, postaram ci się to wynagrodzić – wyszeptała, nachylając się do mojego ucha.

„Obiecanki, macanki, a głupiemu stoi” – przypomniałem sobie powiedzenie z czasów licealnych i ruszyłem w dalszą drogę. Do Sopotu, bo tam mieliśmy zarezerwowany nocleg, dojechaliśmy tuż po szesnastej. Hotel był oddalony od moło i słynnego Monciaka, ale znajdował się zaledwie pięćdziesiąt metrów od plaży. Z mojego pokoju,

usytuowanego na piątym piętrze, miałem wspaniały widok na zatokę. Gdy wyszedłem na balkon, przypomniał mi się pobyt w Kołobrzegu i dziewczyna, której imię niestety wyleciało mi z pamięci.

Po kolacji, Blanka wprosiła się na drinka, choć jej kokieterijne uśmiechy dawały mi nadzieję, że drink to jedynie pretekst.

– To ja przygotuję napoje, a ty idź, weź prysznic – zaproponowała, a jej oczy zdawały się mówić: »przecież obiecałam, że ci to wynagrodzę«. Stojąc pod deszczownicą, wyobrażałem sobie, jak wspaniała będzie to nagroda. Gdy wszedłem do pokoju, owinięty jedynie ręcznikiem, dwie szklanki stały już na stoliku przy łóżku.

– To za nasze wspólne przygody – toast zaproponowany przez Blankę, zapowiadał ostrą jazdę. Jakby na potwierdzenie Blanka wyjęła z torebki kajdanki i kazała mi się położyć.

– Zabawimy się w policjanta i aresztanta? – zaproponowała, przykuwając obie moje dłonie do metalowego wezgłowia.

– Jak pani władza każe – odpowiedziałem posłusznie.

– To teraz się panem zajmiemy – w jej słowach prócz obietnicy niezemskich doznań, pobrzmiwała jakaś inna, mniej przyjemna nuta.

„Coś tu, kurwa, nie gra” – pomyślałem, ale było już za późno. Blanka podeszła do drzwi wejściowych, otworzyła je, a do pokoju weszła Ola w towarzystwie niskiego Azjaty.

– O! Widzę, że mamy gości! – spróbowałem zażartować, choć sytuacja nie należała do kabaretowych. Leżałem przykuty do hotelowego łóżka kajdankami, byłem goły, a moje męskie wdzięki przykrywał jedynie ręcznik.

– Takie miłe spotkanie towarzyskie – zakpiła Blanka, a następnie zapytała po angielsku mężczyznę, czy ma wszystkie potrzebne rzeczy. Ten, zamiast odpowiedzieć, tylko skinął głową, dokładnie w taki sam sposób, jak wiele razy widziałem na filmach.

– Ale na оргietkę i to w rodzinnym gronie, to ja się nie pisałem – oświadczyłem, szarpiąc kajdankami. Jednak to nie był jakiś szajs z sex-shopu za pięć złotych, tylko porządny wojskowy sprzęt i o uwolnieniu się, mogłem wyłącznie pomarzyć.

– Miło cię widzieć – powiedziała siostra, siadając w jednym z dwóch foteli.

”Ta, akurat miło” – pomyślałem, główkując jednocześnie, po co cały ten cyrk. Przecież było niemożliwe, aby te dwie laski odkryły, że to ja jestem tym skurwysyńskim szantażystą.

– No dobra, dziewczyny, było fajnie, ale co za dużo to niezdrowo, więc rozkujcie mnie i pozwólcie mi się ubrać.

– Spokojnie baranku, zabawa dopiero się zaczyna – odparła Blanka, złowrogo przeciągając słowa.

– Mi jakoś nie jest do śmiechu – uciałem.

– To pan Boi – przedstawiła Azjatę, ignorując moją uwagę. – Pan Boi, pochodzi z Chin. Z wykształcenia jest chirurgiem, ale teraz pracuje jako kucharz w jednej z gdańskich restauracji. Jednak nie zapomniał wyuczzonego fachu i zgodził się za odpowiednią opłatą obciąć ci jaja...

– Ciebie chyba, kurwa, pojebało! – krzyknąłem, przerywając Blance.

– Nie braciszku, to tylko realizacja obietnicy, jaką składałam ci wiele razy – wtrąciła milcząca dotąd Ola.

– Wy obie jesteście zdrowo pierdolnięte – rzuciłem – a ty, siostrzyczko, to chyba jeszcze bardziej niż ta twoja psiapsiółka – dodałem i ostatni raz szarpnąłem skrępowanymi rękami. Efekt był taki, że zabolaly mnie nadgarstki, a ręcznik zasłaniający moje krocze spadł na podłogę. Wiedząc, że stojący przy drzwiach balkonowych Chińczyk zna angielski, poprosiłem go, aby mnie przykrył, ale on nawet nie mrugnął powieką.

– O, jaki malutki – zachichotała Blanka, skupiając spojrzenie na moim penisie, który jakby przeczuwając swój koniec, skurczył się do rozmiaru, jakiego ja sam nigdy dotąd nie widziałem.

– Nie dość, że wariatki, to jeszcze zboczone – prychnąłem, próbując skrzyżować nogi, aby w ten sposób ukryć moją męskość.

– Nie ma sensu go przykrywać, skoro i tak zaraz zostanie obcięty – zakomunikowała Ola.

– Fakt, że do siódmego roku życia, kąpaliśmy się razem w jednej wannie, to jeszcze nie powód, żebyś teraz gapiała się na to, co mam między nogami – warknąłem na siostrę.

– Naprawdę tak było? – zainteresowała się Blanka.

– Tak – potwierdziła bliźniaczka – ale ja tego nie lubiłam, bo on zawsze sikał do wody – dodała, zdradzając moją najbardziej wstydliwą tajemnicę z dzieciństwa.

– Uduszę was obie, a potem oskalpuję...

– Nie rozpędzaj się, bo jeszcze zostaniesz polskim Hannibalem Lecterem – przerwała Blanka. Zamiast odpowiedzieć, pokazałem jej język.

– Lepiej go schowaj, bo też obetniemy – zachichotała i wstając z fotela, podeszła do łóżka i usiadła na jego krawędzi.

– I tak możesz mówić o wielkim szczęściu – kontynuowała, ale teraz jej głos był poważny jak Etiuda E-dur Chopina – gdybyś był muzułmaninem, to zamiast jaj, straciłbyś rękę, bo w ten sposób karze się tam złodziei – oświadczyła.

– A co ja niby ukradłem?

– Pół miliona.

– Jakie znowu pół miliona?

– Moje – wyszczała Blanka i pokazała mi ekran swojego smartfona, na którym zobaczyłem siebie wkładającego kopertę do skrytki.

„No tak, ktoś mnie śledził” – pomyślałem i w akcie desperacji, spróbowałem kopnąć szefową, ale łóżko było za duże, a ona siedziała za daleko.

– Fakt, że mam szmalu jak wody w Wiśle, to jeszcze nie powód, żebyś mi tę forszę podbierał. Wiem też, co zrobiłeś z kasą i chyba tylko temu zbożnemu uczynkowi, możesz zawdzięczać moją dobroć...

– A wsadź sobie tę swoją dobroć w dupę! – wrzasnąłem przekrzykując jej przemowę.

– Wiesz, że to nieładnie kasać rękę, która karmi?

– Rękę też możesz sobie wsadzić tam, gdzie dobroć – dodałem.

– Baranku, masz wybór – ciągnęła Blanka, wyjmując z torebki monetę jednozłotową – rzucimy monetą i to ona zdecyduje, co ci obetniemy. Ty tylko musisz wybrać, czy orzeł to ręka, czy jaja.

– Monetę też wsadź sobie w dupę – oznajmiłem, nie mając zamiaru brać udziału w tym pojebanym przedstawieniu.

– Dobrze, w takim razie zrobię to za ciebie – stwierdziła niezadowolona Blanka – orzeł to ręka, a reszka jaja – zakomunikowała i podrzuciła monetę. Ta zrobiła kilka fikolków, a następnie upadła na łóżko, orzełkiem w koronie do dołu.

– Jak widzisz los zdecydował za ciebie – powiedziała, kierując na moment spojrzenie między moje nogi, a na jej twarzy wykwitł złośliwy uśmiech. Następnie wstała i podchodząc do Chińczyka, szepnęła mu coś do ucha.

– Ola, ona żartuje, prawda? – zapytałem, czując, jak głos mi się łamie, a oczy wilgotnieją.

– Tyle razy cię przestrzegałam, ale ty uważałeś, że jesteś prawdziwym warszawskim kozakiem...

– Przecież nie możecie mi tego zrobić – wszedłem jej w słowo, lkając jak skazaniec, prowadzony na stryczek.

– »Był grzech, musi być i kara« – odpowiedziała Olka, cytując babcię Anię. Kątem oka dostrzegłem, że chiński chirurg, otworzył trzymaną w dłoniach torbę i zaczął wypakowywać z niej jakieś narzędzia.

„O! nie, kurwa, bez walki mnie nie weźmiecie” – postanowiłem. Wiedziałem, że jedyną bronią, jaką teraz posiadałem był głos. Nabrałem powietrza w płuca i wierząc, że ktoś z sąsiednich pokoi mnie usłyszy, zacząłem wzywać pomocy. Na obecnych nie zrobiło to żadnego wrażenia. Azjata wolnym krokiem podszedł do łóżka, jego bursztynowe, skośne oczy spojrzały na mnie obojętnie.

– To naprawdę nie będzie bolało – powiedział łamaną polszczyzną, a następnie przytknął mi do ust i nosa gazę nasączoną jakimś śmierdzącym preparatem.

– Ty pierdolony żółtku – krzyknąłem, ale z moich ust wydobył się tylko niezrozumiały bełkot. Stojące w nogach łóżka Blanka i Ola rozmawiały o czymś swobodnie i tylko czasami zaszczycały mnie swoimi spojrzeniami. Czulem, że z każdą kolejną chwilą odpływam i choć tego nie chciałem, nie mogłem temu zapobiec. Kolory stawały się mniej intensywne, dźwięki przygłuszone, aż w końcu utonałem w ciemności i ciszy.

Obudził mnie ból w okolicach podbrzusza. To on przypomniał o popaprzanych zamiarach Blanki i Oli.

„One, to kurwa, zrobiły” – pomyślałem, szeroko otwierając oczy. Za oknem był już dzień, a po błękitnym niebie sunęły małe, białe obłoki, na które w dzieciństwie mówiłem owieczki. Poza bólem w kroczu uświadomiłem sobie, że na moich nadgarstkach nie ma już kajdanek, a ja leżę przykryty kołdrą. Ostrożnie, pełen złych przeczuców wsunąłem dłoń pod przykrycie i przesuwalem ją w kierunku, gdzie jeszcze wczoraj miałem to coś. Gdy wreszcie moje palce dotarły do celu, odetchnąłem z ulgą. Członek, choć jeszcze mniejszy niż poprzedniego dnia, był na swoim miejscu.

– Cholera, ale dlaczego mnie tam szczypie – mruknąłem pod nosem, dokładnie sprawdzając swoje przyrodzenie. Pierwsza myśl była taka, że w ramach zemsty dziewczyny postanowiły mnie obrzezać. Nie, żebym miał coś przeciwko żydom, ale nie wyobrażałem sobie swojego penisa bez napletka. Kolejną ulgę odczułem, gdy stwierdziłem, że napletek także jest tam, gdzie być powinien. Jednak ten dziwny ból nie dawał mi spokoju. Odważyłem się odrzucić kołdrę i spojrzeć prawdzie, a raczej chujowi w twarz. Pierwsze oględziny wzrokowe nie wykazały niczego niepokojącego. Mój wacusz, spokojnie leżał między nogami. Dopiero gdy przesunąłem wzrok nieco wyżej, zobaczyłem coś dziwnego. Jednak potrzebowałem chwili, aby zrozumieć to, na co patrzę. Na gładko wygolonym wzgórkę łonowym znajdował się napis. W pierwszej chwili pomyślałem, że został zrobiony markerem, ale gdy przejechałem po nim poślinionym palcem, uzmysłowiłem sobie, że to nie marker.

„Ten jebany żółtek, zrobił mi pierdolony tatuaż” – zakląłem w duchu i wyskoczyłem z łóżka z prędkością pchły, przeskakującej z psa na kota. Nie miałem pojęcia, która z tych wariatek wpadła na tak pojebany pomysł, ale Olka wiedziała, jaki jest mój stosunek do tego typu ozdób cielesnych. Nienawidziłem tatuażu i to w każdej postaci. Podbiegłem do lustra i wówczas dotarła do mnie prawdziwa skala okaleczenia.

„Szóste: Nie cudzołóż” – przeczytałem bezgłośnie kilka razy i poczułem jak czerwona mgła furii przesłania mi oczy.

– Zabije obie, jak mi Bóg miły, uduszę te wywłoki – mamrotałem, uparcie mydląc szósty wiersz dekalogu. Jednak tatuaż ani myślał zniknąć. Chcąc wcielić w życie, swoje mordercze zamiary, narzuciłem na siebie szlafrok i ruszyłem do pokoju Blanki. Nie bawiąc się w subtelności, zacząłem walić pięściami w drzwi.

– Otwieraj, bo inaczej wejdem do środka razem z futryną – wrzeszczałem na tyle głośno, że w kilku pokojach otworzyły się drzwi, a zaniepokojeni goście wyjrzel na korytarz. Gdy usłyszałem przekręcanie klucza, zaprzestałem dewastacji hotelowego mienia i cierpliwie czekałem, z rękami gotowymi do duszenia. Jednak, gdy w uchylonych drzwiach zobaczyłem przerażoną twarz starszego pana, trzymającego w obronnym geście parasol, skamieniałem jak żona Lota.

– Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego uderza pięściami w drzwi mojego pokoju – zapytał mężczyzna, a pobłażliwy uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, oznaczał, że widok faceta w szlafroku bardziej go rozbawił, niż przestraszył.

– Przepraszam, pomyłka – bąknąłem, orientując się, że powinienem łomotać do drzwi obok i czym prędzej czmychnąłem do siebie.

– No, stary! Dałeś popis – mruknąłem, podchodząc do stolika, na którym leżał mój smartfon. Wybrałem numer Blanki, ale usłyszałem, że abonent jest niedostępny. W przypadku Oli sytuacja była podobna.

„Ja was jeszcze dorwę” – postanowiłem i włożywszy bardziej klasyczne ubranie, poszedłem coś zjeść. Przechodząc obok pokoju Blanki i Oli delikatnie zapukałem, ale nikt nie otworzył. Mijając recepcję, zapytałem o gości z pokoju pięćset dwanaście.

– Pani Lipiec wymeldowała się trzy godziny temu – poinformowała blondynka o cudownie niebieskich oczach i ujmującym uśmiechu – ale pana pokój jest opłacony na kolejne dwie doby – dodała, widząc zaskoczenie, malujące się na mojej twarzy.

„Dwie noce i piękna recepcjonistka, całkiem przyjemne zestawienie” – pomyślałem, dziękując za informację. Jednak w następnej chwili wyobraziłem sobie jej śmiech na widok przykazania, wytatuowanego nad moją różdżką i cały zapal zgasł, jak ognisko zalane wiadrzem wody. Po śniadaniu, na które zjadłem zaledwie jednego rogalika i wypilem filizankę kawy, wyszedłem przed hotel. BMW stało tam, gdzie poprzedniego dnia je zaparkowałem.

„Hotel, fura, normalnie urlop na wypasie” – pomyślałem, kierując się w stronę promenady. Mimo pochmurnej pogody i braku słońca, spacerowiczów nie brakowało, więc o kontemplowaniu mojego życia, naznaczonego szóstym

przykazaniem, nie było mowy. Jednak w pewnym momencie moją uwagę zwróciła rozmowa dwóch dziewczyn, mniej więcej w moim wieku.

– Ta Lipiec to musi mieć kasy. Dwa tygodnie temu wróciła z Dominikany, a dzisiaj poleciała do Meksyku – usłyszałem i stanąłem jak wryty.

„O, w mordę!” – pomyślałem, sięgając po smartfon. Kilkanaście sekund później oglądałem ostatnią relację Blanki, która siedząc w samolocie, życzyła wszystkim takiego słońca, jakie ona będzie miała przez najbliższe trzy tygodnie.

– Jeśli, kurwa, sądzicie, że zapomnę, to jesteście w błędzie – mruknąłem pod nosem, wchodząc na najbardziej znane polskie molo. Wracając po godzinie do hotelu, mój nastrój uległ lekkiej poprawie, a wszystko za sprawą wiadomości od wujka Google, który poinformował mnie, że na tatuażu spokojnie mogą sobie rosnać włoski, a jeśli tak, to piętno wypalone przez chińskiego chirurga na moim łonie, można było ukryć. Musiałem oczywiście na pewien czas zaprzestać towarzyskich polowań, co miało także swoje dobre strony. Mogłem skupić się na obmyśleniu zemsty, a ta chciałem, aby była dotkliwa. Materiałów znalezionych u Blanki nie mogłem wykorzystać, bo wywiązując się z dżentelmeńskiej umowy, wszystkie oddałem, a plik z serwera skasowałem. Poza tym, ich publikacja najbardziej dotknęłaby ludzi, którzy w niczym mi nie zawinili, a w tej wojnie, którą rozpętała Blanka, postanowiłem oszczędzać cywili. Przecież to ona spuściła psy wojny, a skoro tak, to postanowiłem zrobić wszystko, aby to ją pogryzły najbardziej. Mijając BMW, dostrzegłem, że na siedzeniu pasażera leży szara koperta.

„Czyżby jednak Blanka zapomniała ją zabrać?” – pomyślałem, ale gdy podniosłem ją z fotela, poczułem rozczarowanie. Już sam jej ciężar sugerował, że jest pusta. Mimo to zajrzałem do środka. Wewnątrz znalazłem monetę, która miała przesądzić o moim losie oraz pocztówkę, przedstawiającą plażę w Acapulco. Jeśli miały one podzielać na mnie jak płachta na byka, to nie spełniły swojego zadania.

„Nawet tam ładnie” – przyznałem, chowając widokówkę do schowka, a kopertę wyrzucając do pobliskiego kosza. Wchodząc do hotelowego lobby, podrzucałem złotówkę i dopiero wtedy zobaczyłem, że na awersie także jest reszka.

Brałem właśnie prysznic, gdy zadzwonił mój smartfon. Mając nadzieję, że to Ola albo Blanka, wychyliłem się z kabiny i sięgnąłem po leżący obok umywalki telefon. Na ekranie zobaczyłem uśmiechniętą twarz Łukasza. Fotka została zrobiona podczas zawodów, na których przyjaciel wygrał wszystkie walki. Tego telefonu się nie spodziewałem. Miałem tylko nadzieję, że Marta zgodnie z obietnicą nie powiedziała bratu, kto wpłacił kasę na zbiórkę.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie śpisz? – zagadnął, gdy tylko odebrałem połączenie.

– Nie, właśnie brałem prysznic.

– Jeśli nie sam to bardzo przepraszam i zadzwonię później.

– Nie masz za co przepraszać, bo nie mam nikogo, kto by mi plecy umył – zażartowałem.

– Uuu, to musi ci być smutno.

– Nie tak bardzo, aby trzeba mnie było pocieszać – przyznałem, tylko trochę mijając się z prawdą.

– Ale ja nie dzwonię, abys mógł mi się w rękaw wyplakać, tylko chciałem cię zaprosić na pożegnalną imprezkę, bo nie wiem, czy wiesz, że za tydzień wylatuję do Stanów na operację.

– Cały twój Facebook od tego huczy, więc trudno byłoby nie wiedzieć.

– To jak, będziesz? – zapytał Łukasz, rzeczowym tonem.

– No ba, pewnie, że będę – zapewniłem.

– Dobra, to wyślę ci SMS-em namiary, a teraz muszę już kończyć, bo lista tych, których chcę zaprosić, jest bardzo długa.

„Czyli szykuje się akcja-libacja” – pomyślałem, odwieszając mokry ręcznik na wieszak. Wyszedłem z łazienki i przez tonący w ciemnościach pokój ruszyłem do łóżka. Przechodząc obok lustra, znieruchomiałem, jakbym uderzył w niewidzialną ścianę. Wpatrzony w swoje odbicie, nie wierzyłem w to, co widzę. Szóste przykazanie wytatuowane na moim podbrzuszu świeciło w ciemności. Ulubionym kolorem Blanki Lipiec.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Odkrycie, że szpecący moje ciało tatuaż świeci, w dodatku na różowo, było dla mnie niczym prawy sierpowy. Mimo wszystko postanowiłem przyjąć go, jak na byłego boksera przystało, z godnością i zamiarem odplacenia pięknym za nadobne. Rzecz jasna nie mogłem na wzgórku łonowym Blanki wytatuować jakiejś przewrotnej sentencji w rodzaju: »Ze wschodem słońca znowu robię się moralna«, jak kiedyś powiedziała Elizabeth Taylor. Dlatego moja zemsta musiała przybrać inną formę. „Najpierw zajmujemy się twoją chorobą satysfakcją” – uznałem, będąc święcie przekonany, że poziom zadowolenia Blanki, dorównuje jedynie radości gościa, który naprawiając ciekący od kilku miesięcy kran, stał się bohaterem domu. Byłem pewien, iż to ona jest *spiritus movens* mojego upokorzenia, a więc powinna w pierwszej kolejności poczuć, jak smakuje zemsta. Nie zastanawiając się zbyt długo, sięgnąłem po smartfon i zrobiłem zdjęcie świecącego tatuażu. Następnie postanowiłem przesłać je swojej szefowej, dołączając podziękowania.

Bardzo dziękuję za wspaniały prezent, jak widzisz, naprawdę świeci w ciemności, a laski z Tindera są wniebowzięte – napisałem, zastanawiając się, czy użycie określenia wniebowzięte, nie będzie rodzajem świętokradztwa, ale ponieważ moje relacje z Najwyższym, nie wykraczały poza granicę tradycyjnej polskiej pobożności, kliknąłem ikonkę wysyłania wiadomości i poszedłem spać.

SMS-a od Blanki, choć przyszedł w nocy, odczytałem dopiero rano. Oszczędna treść, zawierająca wyłącznie chłodne: *Bardzo proszę*, pocieszyła moje zranione ego do tego stopnia, że schodząc na śniadanie, odważyłem się zaprosić niebieskooką recepcjonistkę na spacer i kawę.

– Mam zasadę, że nie umawiam się z gośćmi – oznajmiła otwarcie dziewczyna, która mogła być w moim wieku, lub ciut młodsza.

– A ja, zazwyczaj nie podrywam recepcjonistek, więc może tym razem, oboje złamiemy swoje reguły? – zaproponowałem, dodając, że chciałbym bliżej poznać Sopot, a nie znam w mieście nikogo, kto mógłby mi go pokazać.

– Dobrze, ale kończę dopiero o osiemnastej.

– Mnie to nie przeszkadza, zwłaszcza że po zmroku, podobno każde miasto jest bardziej romantyczne – powiedziałem, dając w ten sposób do zrozumienia, że liczę na coś więcej, niż tylko dobra kawa i miły spacer. Niestety Ania, bo tak dziewczyna miała na imię, ograniczyła się wyłącznie do kawy i pokazania miejsc, które były dla Sopotu tym, czym Krupówki dla Zakopca. Mimo to uznałem wieczór za udany i gdy następnego dnia opuszczałem sopocką ziemię, wywoziłem z niej nie tylko złe, ale i dobre wspomnienia, choć tych pierwszych było niestety więcej.

Po powrocie do Warszawy rzuciłem się w wir pracy nad ukończeniem książki o Blance. To miał być, kolejny akt mojej zemsty. Nie wiedziałem, jakie będą następne, ale, że nastąpią, byłem pewien jak tego, że woda w Bałtyku jest słona, śnieg biały, a tęcza kolorowa. Pracowałem z takim zapałem, że Japończycy, uważani za najbardziej pracowity naród świata, mogliby brać ze mnie przykład, a jednocześnie na poważnie zacząłem zastanawiać się, czy grozi mi śmierć z przepracowania, którą Japończycy określają terminem *karōshi*. Dlatego bibka u Łukasza, miała być miłym przerywnikiem w mojej tytanicznej harówce.

Liczba osób, jaką przyjaciel zaprosił, nijak miała się do nadal obowiązujących obostrzeń pandemicznych. Na szczęście impreza była zamknięta, więc żaden nalot ponurych pań z SANEPID-u nie mógł jej zakłócić. Osobiście znałem zaledwie kilkoro uczestników zabawy, drugie tyle z widzenia, a o pozostałych nie wiedziałem nic.

– Spokojnie, większość lasek wie, kim jesteś, a wyprzedza cię jedynie sława twojej szefowej – zażartował Łukasz, gdy lekko spóźniony przyjechałem do wynajętego na tę okoliczność klubu. Rzeczywiście, niektóre foczki popatrywały na mnie z dziwnym błyskiem w podrasowanych oczach.

– A gdzie Marta? – zagadnąłem, nie mogąc w tłumie ciał wyłukać rudowłosej postaci. Łukasz najpierw puścił do mnie oko, następnie zaspokoił moją ciekawość.

– Będzie za jakiś czas, bo musiała zostać po godzinach w Mordorze – wyjaśnił i kładąc sobie na kolana tacę pełną szklanek z drinkami, ruszył między gości, krzycząc na całe gardło: »drinki prosto z wózka!«.

„No tak, korporacje to jednak dojarcki, które wyssa z ciebie wszystko” – pomyślałem, biorąc ze stolika małą butelkę mineralnej wody gazowanej i przysiadłem na jednej z sof, ozdobionej kiczowatymi serduszkami, będącymi pozostałością po obchodzoną dwa dni wcześniej, handlowym dniu zakochanych. Obserwując rozbawiony tłum, próbowałem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni byłem na imprezie, ale takiej z prawdziwego zdarzenia, bez maseczek, dystansu społecznego i pokazywania certyfikatu. Moje rozmyślenia przerwało podejście niskiej brunetki, o ustach zajmujących połowę twarzy. Dziewczyna nawet nie zadała sobie trudu, aby zapytać, czy miejsce obok mnie jest wolne, tylko usiadła, tak, jakbym tylko na to czekał.

„Ktoś tu chyba przedawkował kwas” – pomyślałem, spoglądając na nienaturalnie powiększone wargi, przypominające rybi pyszczek.

– Cześć, jestem Olivia przez v – zagadnęła dziewczyna, a rumieńce na jej policzkach i wesołość w głosie nie pozostawiały złudzeń, że jej usta miały już kontakt z niejedną szklaneczką.

– Cześć – odparłem, ale nie przedstawiłem się, mając nadzieję, że to zniechęci panienkę do zawarcia bliższej znajomości.

– Ty jesteś Olek?

– Nie, Aleksander – spróbowałem zagrać wariata. Moja odpowiedź zmieszała brunetkę. Obrzuciła mnie spojrzeniem, jakbym to ja, a nie ona był wstawiony.

– A to nie jest to samo?

– Nie – oświadczyłem, zamierzając wytłumaczyć dziewczęciu różnicę, ale przyjazd Łukasza mi to uniemożliwił.

– Sorry, Olivka. Muszę go na chwilę porwać – oznajmił przyjaciel i gestem ręki kazał mi pójść za sobą. Bez żalu, a nawet z ulgą wstałem i ruszyłem za przyjacielem.

– Jest problem – zakomunikował, gdy znaleźliśmy się na zapleczu klubu – a właściwie dwa – sprecyzował po chwili.

– Jak będę mógł, to pomogę – zadeklarowałem.

– Po pierwsze zaczyna brakować wódki. To mrowie – wskazał dłonią na drzwi prowadzące na salę główną – chleje więcej niż słońce przy wodopoju...

– Łukasz, Jezusem to ja nie jestem, więc z wody wody ci nie wyczaruję – wtrąciłem.

– Trzeba przywieźć, ze sklepu, a nie cudować – wyjaśnił, ignorując okołobiblijny żart.

– Żaden kłopot, ja nie zamierzam pić, więc mogę robić jako kierowca.

– No dobra, tu masz kasę – kolega wyjął z kieszeni gruby plik stułotowych banknotów i wręczył mi kilka z nich.

– Co ma być? – rzuciłem rzeczowo, chowając pieniądze do kieszeni jeansów.

– Zwykła czysta, bo i tak wszyscy piją drinki – stwierdził.

– A ten drugi problem? – przypomniałem.

– Tu sprawa jest trochę bardziej skomplikowana – zaczął, nabierając powietrza.

– Nie owijaj jak pakowacz w stretch, tylko gadaj – ponagliłem.

– Marcie padła fura i trzeba by ją tutaj ściągnąć...

– Furę czy Martę? – wszedłem mu w słowo.

– Martę, ale boję się, że ty i ona w jednym samochodzie... to może doprowadzić do krwawej jatki, o której jutro będą pisały wszystkie gazety.

– Skoro potrafię przywieźć dwie skrzynki wódki, to z twoją siostrą też sobie poradzę – zapewniłem.

– No dobra, jak taki z ciebie chojrak, zaraz prześlę ci jej lokalizację, a ją uprzedzę, żeby miała czas na oczyszczenie umysłu ze złych emocji – powiedział Łukasz, dodając, że o ile jego siostra może poczekać, to ludzka masa, spragniona procentów już nie.

– Dobra, najpierw wódka – zgodziłem się, choć perspektywa spędzenia kilkunastu minut z Martą sam, na sam, w jednym samochodzie, była bardziej pociągająca niż wożenie trunku.

Gdy po kwadransie wszedłem na salę, dźwigając w rękach skrzynkę, zostałem przywitany jak prawdziwe bożyszcze, a kiedy po chwili przyniosłem drugą, tłum dosłownie oszalał. Tylko refleks i szybkie nogi, uchroniły mnie od podrzucania, połączonego z chóralnie odśpiewanym *Sto lat*.

Dojazd na Domaniewską, gdzie utknęła Marta, zajął mi więcej czasu, niż początkowo zakładałem. Gdy zaparkowałem obok niebieskiej corsy, zobaczyłem, że Marcie towarzyszy jakiś bobek w garniturze. Typek nachylił się nad otwartą maską i próbował zlokalizować usterkę. Choć sądząc po jego spojrzeniu, wnioskowałem, że bardziej od awarii, interesowała go Marta, a zwłaszcza jej zgrabne nogi, których długość podkreślała jeszcze klasyczna, wąska spódnica przed kolana. Mechanikiem amatorem, okazał się szef działu o imieniu Jarosław. Miałem właśnie zauważyć, że w ostatnim miesiącu już drugi raz poznaję kogoś o tym imieniu, bo pierwszym był adwokat mojej szefowej, ale bojąc się, jak zostanie to odebrane, skupiłem uwagę na samochodzie.

– Może to akumulator? – zasugerowałem. Jarek, któremu tak proste rozwiązanie nie mieściło się w korporacyjnym łbie, spojrzał na mnie z wyższością, z jaką prawdopodobnie każdego dnia patrzył na swoich podwładnych i zdecydowanie pokręcił głową.

– Moim zdaniem, to alternator – oświadczył.

– Gdyby uszkodzeniu uległ alternator, to silnik powinien zapalić, a tak chyba nie jest – wyjaśniłem, przypominając sobie jedną z lekcji, jakiej udzielił mi Michał, gdy dwa lata wcześniej, mniej więcej o tej samej porze roku, poprosiłem go o pomoc w uruchomieniu swojego golfa.

„– Stary, padł ci akumulator – oświadczył po dwóch minutach oględzin mojej miętówki.

– Jak to akumulator? – zapytałem szczerze zdziwiony, dodając, że ma dopiero pięć lat.

– Chłopie, mamy początek lutego, mrozy po minus piętnaście stopni, a dodatkowo trzymasz furę pod chmurką. Musisz też wiedzieć, że rok życia akumulatora to dwadzieścia lat ludzkich – oznajmił kumpel. Z wszystkich argumentów, ten ostatni przemówił do mnie najbardziej. Dlatego teraz byłem gotów założyć się z Jarkiem, że to ja mam rację”.

– No tak, nie mogę uruchomić silnika – potwierdziła Marta, przychylając się tym samym do mojej opinii.

– Bez względu czy to alternator, czy akumulator, to dzisiaj już nic nie zdziałamy. Dlatego proponuję, zająć się tym jutro – poradziłem, chcąc jak najszybciej wrócić na imprezę.

Marta zamknęła corsę, pożegnała się ze swoim szefem i zajęła miejsce, na którym zazwyczaj siedziała Blanka.

– Tylko nie myśl, że jestem jakąś pieczarą – powiedziała, gdy wyjechaliśmy z parkingu.

– Pieczarą? – zapytałem, nie rozumiejąc, co ma znaczyć to określenie.

– Tak teraz mówi się na korporacyjne szczury, które tyrają od rana do nocy, nie wiedząc co to światło dzienne – wytłumaczyła.

– W takim razie, muszę nadrobić zaległości, bo tego nie znałem, ale nawet gdybym znał, to nigdy nie podejrzewałem cię o pracoholizm.

– Czyżbyś chciał powiedzieć, że jestem leniwa?

– Nie – uniosłem ręce w obronnym geście, ale widząc przerażenie w oczach swojej pasażerki, natychmiast położyłem je na kierownicy.

– Sądziłam, że taka gwiazda jak Lipiec, jeździ czymś bardziej wypasionym – stwierdziła Marta, zmieniając temat i rozglądając się po wnętrzu beemki.

– Ona tak, ale mi coś takiego w zupełności wystarczy, a to ja jestem jej kierowcą, a nie odwrotnie – wyjaśniłem.

– Możemy jeszcze wpaść do mnie? Chciałabym się przebrać, a to i tak jest po drodze.

– Żaden problem – zapewniłem, skręcając w ulicę, przy której rodzice Marty mieli duże czteropokojowe mieszkanie. Dziewczyna, podobnie jak ja i znaczna część młodych ludzi, wciąż mieszkała z rodzicami. Biorąc pod uwagę, że metr kwadratowy mieszkania w Warszawie kosztował grubo ponad dziesięć tysięcy, niewielu moich pracujących rówieśników ryzykowało zaciąganie kredytu, który pod pewnymi względami wiązał ich z bankiem

bardziej, niż akt małżeństwa. Zaparkowałem przed wieżowcem z wielkiej płyty, który po odnowieniu i ociepleniu, wyglądał całkiem przyzwoicie.

– Chodź, co będziesz tu marzył – zaproponowała i nie czekając na moją odpowiedź, ruszyła do środkowej klatki. Miałem zamiar krzyknąć, że poczekam w samochodzie, ale, wydało mi się to jakieś obciachowe, więc wysiadłem i dogoniłem Martę, gdy ta była już przy drzwiach.

– A jak tam na imprezie? – zapytała, wystukując kod na domofonie.

– Akcja-libacja – podsumowałem atmosferę panującą w klubie.

– Czyli grubo – westchnęła Marta, z niezadowoleniem marszcząc czoło. Znając jej podejście do alkoholu, przemilczałem fakt, że osobiście dostarczyłem imprezowiczom kilkanaście litrów wody ognistej. Gdy weszliśmy do środka, zauważyłem, że wewnątrz także zostało odnowione. Na podłodze położono brązowe płytki, a ściany korytarza kiedyś szare, teraz były blado cytrynowe. Jadąc windą na dwunaste piętro, przypomniałem sobie inną windę i inną dziewczynę.

„Taki numer, a raczej numerek jak z Blanką, z Martą nigdy by nie przeszedł” – pomyślałem, obserwując dyskretnie jej poważną twarz, ozdobioną kilkunastoma piegami.

– Zrobić ci kawę? – zaproponowała Marta, kiedy weszliśmy do mieszkania. Panująca wokół cisza, wskazywała, że jej rodziców nie ma w domu.

– Nie chcę sprawiać kłopotu – próbowałem się wymówić, choć na małą czarną, rzeczywiście miałem ochotę. Na imprezie serwowano wyłącznie jakiś rozpuszczalny wynalazek, którego zapach, zupełnie nie przypominał kawy.

– Żaden tam kłopot. Ty będziesz pił kawę, a ja w tym czasie wezmę szybki prysznic i się przebiorę – oznajmiła, prowadząc mnie do kuchni. Uruchamiając ekspres, rozpięła spinkę, podtrzymującą włosy, które natychmiast spłynęły na ramiona i plecy ognistą kaskadą, a kilka z nich upadło nawet na podłogę.

– Nie musiałeś po mnie przyjeżdżać – powiedziała nagle, opierając się plecami o wysoką szafkę.

– Po pierwsze musiałem, bo nie było tam żadnego innego trzeźwego kierowcy, a po drugie chciałem – przyznałem, posyłając jej lekki uśmiech.

– Po tym wszystkim, co ci zrobiłam, chciałeś po mnie przyjechać? – zapytała autentycznie zaskoczona moimi słowami.

„Oho, chyba zapowiada się poważna rozmowa” – pomyślałem, zastanawiając się, czy jestem na nią gotowy.

– Do pewnych rzeczy, lepiej zwyczajnie nie wracać, bo mleko się już rozlało...

– Ja tak nie potrafię – przerwała, patrząc mi prosto w oczy.

– Czasu nie cofniesz – przypomniałem – a poza tym, na wszystko to, co mnie spotkało, zwyczajnie sobie zasłużyłem – dodałem.

– Wiem, że to niewiele, ale chciałam cię bardzo przeprosić – powiedziała po dłuższej chwili milczenia i podając mi kubek z kawą, wyszła z kuchni.

Popijając kawę, zastanawiałem się, czy te przeprosiny miały być próbą odgruzowania naszych dawnych relacji, czymś w rodzaju nowego otwarcia. Jednak Marta nie poparła swoich słów żadnym, choćby najmniejszym gestem, który potwierdzałby moje przemyślenia. Czekając, aż weźmie prysznic i zmieni ubranie, biłem się z myślami, czy nie ciągnąć dalej naszej rozmowy. Chciałem, aby Marta wiedziała, że tęsknię za tym, co było kiedyś. Nie chodziło tylko o seks, bo ten mogłem mieć w kilka kliknięć, ale uczucie, którego na Tinderze, próżno było szukać. Serwis pozwalał zadowalać potrzeby, a one różniły się pod bardzo wieloma względami od uczuć. Przed szczerą rozmową powstrzymywał mnie jednak lęk. Bałem się tego, jak ruda zareaguje na moje wyznanie. Więc kiedy po pięciu minutach weszła do kuchni, ubrana w czarną, połyskującą obcisłą ultrakrótką sukienkę, odebrało mi głos.

– Jestem gotowa – oświadczyła.

– No widzę – wyjąkałem, prześlizgując się spojrzeniem po jej wyeksponowanych piersiach, zaokrąglonych biodrach, bardzo długich nogach i niskich szpilkach.

– Coś nie tak? – zapytała, widząc moją niepewną minę.

– Olsniewający look – przyznałem, podziwiając ją nie tyle za stylizację, ile odwagę. Teraz nie wyglądała już jak grzeczna pracownica biurowa, ale wamp z krwi i kości. Ta metamorfoza przypomniała mi Martę sprzed kilku lat,

szaloną, radosną i pełną życia.

– To co, idziemy? – rzuciła, zabierając pusty kubek ze stołu i wkładając go do zmywarki. Gdy się nad nią nachyliła, jej krągłe pośladki, aż prosiły się, by dać im klapsa.

– Tak. I wielkie dzięki za kawę – potwierdziłem, wychodząc do korytarza.

Gdy dotarliśmy do klubu, impreza trwała w najlepsze, choć kilku słabszych zawodników drzemało już na ustawionych w różnych zakamarkach sali, sofach. Łukasz jeszcze się trzymał, ale jego jazda nie była już tak widowiskowa, jak dwie godziny wcześniej.

– Cholera, Olek! Coś ty zrobił z moją siostrą? – wykrzyknął na nasz widok.

– Nic, po prostu ją przywiozłem.

– Nie kłam przyjacielu, nie kłam, bo ci nos urosnie. Musiałeś ją jakoś zaczarować. W czymś podobnym ostatni raz widziałem ją dobrych kilka lat temu.

– Mam wrażenie, że drinki źle na ciebie działają – odezwała się Marta, ignorując uwagi brata dotyczące jej stroju.

– A wcale, że nie, jeszcze siedzę prosto!

– Dobra, jak będziesz się ślaniał na nogach, to daj znać – rzuciła i odeszła, zostawiając nas samych.

– Stary ja nie żartuję – tym razem głos Łukasza był prawie trzeźwy – jej musiało się coś stać – stwierdził, odprowadzając wzrokiem znikającą w tłumie Martę.

„Może, teraz gdy ty masz szansę stanąć na nogach, ona zrobi to samo” – pomyślałem, ale by wypowiedzieć swoje myśli, znowu zabrakło mi odwagi.

– O! Więc tutaj jesteś. Wszędzie cię szukałam – usłyszałem za sobą znajomy głos.

– Uważaj, bo Olivka jest naprawdę ostra – wyszeptał Łukasz i pokazując mi sprośny gest, odjechał, zostawiając mnie na pożarcie upartej brunetki.

– Nie skończyliśmy naszej rozmowy – oznajmiła dziewczyna, tonem zbuntowanej, rozgniewanej nastolatki, której nauczycielka zwróciła uwagę, że ma zbyt wulgarny makijaż.

– Myśmy jej wcale nie zaczęli – przypomniałem uprzejmie, usilnie próbując znaleźć sposób na uwolnienie się ze szponów panienki, która, choć wokół było sporo miejsca, zaczynała na mnie napierać swoim wydatnym biustem, wylewającym się z dekoltu sięgającego prawie do pępka. Odruchowo zrobiłem krok w tył i gdy poczułem za plecami ścianę, zrozumiałem, że zostałem osaczony.

– To prawda, że jesteś kierowcą Blanki Lipiec? – padło pytanie, którego, choć się spodziewałem, to obstawiałem, że zostanie zadane gdzieś między pytaniem o mój ulubiony zespół muzyczny, a to, czy lubię jeździć na rowerze.

– Tak – potwierdziłem.

– A możesz dać mi jej numer? – prośba wydała mi się nie tyle dziwna, ile bezczelna.

– Nie – uciąłem ostro.

– A dlaczego?

– Bo nie.

– Widzę, że nie jesteś zbyt rozmowny.

– Nie jestem.

– Może w takim razie zatańczymy? – propozycja Olivki, sprawiła, że o ile do tej pory nie pałałem do niej sympatią, to teraz zupełnie przestałem ją lubić. Przecież pewne konwenanse były niczym odwieczne prawa natury. To facet powinien poprosić kobietę do tańca, a nie odwrotnie.

– Nie umiem tańczyć – skłamałem. Może na parkiecie nie brylowałem jak Maserak, czy Kochanek, to jednak siary też nie było.

– Coś mi się zdaje chłopczyku, że masz dzisiaj wielkiego doła – zauważyła, po raz pierwszy trafnie odgadując mój nastrój.

– Coś w tym sensie – zgodziłem się – ale czarodziejki-pocieszycielki nie potrzebuję – dodałem, uprzedzając ewentualną ofertę pomocnej ręki, a może nawet ust. Ostatnia opcja była jak najbardziej realna, bo pozostali imprezowicze, zgodnym chóralnym wrzaskiem, wykrzykiwali refren jakiegoś nowego hitu spod szyldu disco polo,

śpiewając: »weź go do buzi, bo za chwilę cię pobrudzi«. Prostota melodii i tekstu zapadała w pamięć jak reklamy środków przeciw hemoroidom. Jednak dwuznaczność przesłania, bo piosenka opowiadała o lizaku, była moim zdaniem zbyt dosłowna, aby hit wypłynął na szerokie wody.

– To szkoda, bo lubię zabawę w hydraulika w damskiej toalecie – przyznała otwarcie, mącąc moje rozmyślenia o muzycznej oprawie imprezy.

– A dlaczego w damskiej? – zapytałem i nie mogąc opanować rozbawienia, parsknąłem śmiechem. Dziewczyna wyglądała jak przeciwieństwo drinka, którego pijał Bond, była zmieszana, ale nie wstrząśnięta.

– Bo w damskiej jest jakoś przytulniej – stwierdziła i cmokając mnie w policzek, ruszyła tanecznym krokiem w kłębowski ciał, pulsujących rytmicznie na parkiecie.

Opróżniając kolejną butelkę gazowanej wody mineralnej, gapilem się na kolorową zbitą masę. Gdy wybiła północ, towarzystwo zaczęło się rozchodzić, a godzinę później na sali zostałem ja, leciutko wstawiona Marta i kompletnie zalany Łukasz. Czekano mnie trudne zadanie, szczególnie pod względem logistycznym. Przewiezienie dwóch osób i wózka, mogło okazać się dla beemki nie lada wyzwaniem. Ostatecznie jednak autko sprostało pokładanym w nim nadziejom. Po złożeniu jednej części tylnej kanapy bagażnik powiększył się do rozmiarów pozwalających na umieszczenie w nim wózka. Marta usiadła na pozostałym fragmencie, a Łukasza posadziłem z przodu.

– Tylko mi się nie zrzygaj – ostrzegłem, ale chrapliwy oddech przyjaciela, nie pozostawiał złudzeń, że przebywał w innym świecie i nawet jazda przez pół Warszawy, przenoszenie z powrotem na wózek, wwiezienie do mieszkania i położenie do łóżka nie zdołały go, choć na chwilę, obudzić.

– Jak znam życie, to jutro, a właściwie to dzisiaj – poprawiła się Marta – Łukasz będzie zdychał, prosił o wodę i przysięgał, że nie wie, jak do tego doszło, bo przecież wypił tylko kilka drinków – wyszeptła, zamykając drzwi do pokoju brata.

– No, nie da się ukryć, że chłopak trochę zabalował – przyznałem, ciesząc się, że podczas jazdy nie puścił pawia.

– Masz ochotę na jeszcze jedną kawę? – zapytała Marta, biorąc mnie za rękę i prowadząc do kuchni. Jej dłoni w przeciwieństwie do mojej była ciepła. Zawsze mnie to fascynowało, że ona nawet w największe mrozy, chodząc bez rękawiczek, miała gorące dłonie, a moje w lecie, nie miały połowy tego żaru. Nagle, nie wiedziałem, czy przez przypadek, czy celowo spłotła swoje palce z moimi.

– O tej porze, to chyba lepiej melatoninę – zażartowałem, spoglądając na kuchenny zegar wskazujący drugą dwanaście.

– Ja mam jutro wolne, to mogę sobie pozwolić.

– Ja również nie muszę iść do pracy, więc też poproszę – przystałem na propozycję. Choć próbowałem skupić wzrok na czymś innym, to oczy same szukały błyszczącej obcisłej sukienki. Marta tymczasem krzątała się po kuchni, przygotowując kawę.

– A twoich rodziców nie ma? – zapytałem, przypominając sobie, że drzwi do ich sypialni były uchylone.

– Pojechali odwiedzić znajomych w Krakowie i wrócą dopiero za dwa dni – wyjaśniła, stawiając przede mną kubek z kawą.

– Myślisz, że operacja się uda? – zapytała, siadając po drugiej stronie stołu.

– Lekarze są dobrej myśli.

– Wiesz, miałam o to nie pytać, ale zwyczajnie zachodzę w głowę, skąd wytrzasnąłeś taką kasę?

– Przyjmijmy, że wygrałem na loterii szczepionkowej. Tam było do zgarnięcia milion, więc podzieliłem go na pół – powiedziałem, dodając, aby nie drażyła spraw, które teraz nie mają już znaczenia. Liczyło się tylko to, że została zebrana cała potrzebna kwota.

– Słodka bajeczka, ale ja jej nie kupuję. Wiem też, że, nawet gdybym cię przypalała, to prawdy mi nie powiesz.

– To zależy, jak mocno byś przypalała.

– Zaraz ci pokażę – zapowiedziała i nim zdążyłem zareagować, siedziała już na moich kolanach, obsypując moją twarz pocałunkami.

– Na takie przypalanie, to nie byłem przygotowany – wyszeptalem, szukając wargami, jej rozchyłonych ust.

– Spokojnie, ja jestem przygotowana – zapewniła Marta, całując mnie coraz zachłanniej. Ta deklaracja zmroziła mnie jak strumień ciepłego azotu. Wizja naszych nagich ciał i jej śmiech na widok mojego tatuażu skutecznie spacyfikowała chęć do dalszych igraszek. Choć miałem na nie wielką ochotę, to strach przed upokorzeniem był silniejszy.

– Coś nie tak? – zapytała, zauważając obojętność, z jaką zacząłem odwzajemniać pocałunki.

– Bardzo bym chciał, ale nie mogę – wyznałem, czując, jak oblewa mnie rumieniec zawstydenia.

– Masz już kogoś innego?

– Nie – zaprzeczyłem, zamierzając dodać, że ona była moją ostatnią prawdziwą dziewczyną, z którą łączyło mnie coś znacznie głębszego i trwalszego, niż przygodny seks, ale na to zabrakło mi odwagi.

– Chyba nie złapałeś jakiegos świństwa od lasek z Tindera? – to pytanie było po pierwsze niczym grom z jasnego nieba, a po drugie jak cios poniżej pasa.

– Co? – wykrztusiłem.

– Olo, nie rób z siebie świętoszka, przecież nie jest tajemnicą, że połowa facetów w twoim wieku, którzy nie są w stałych związkach, szuka tam uciechy. A skoro tak, to i coś innego mniej przyjemnego czasami się znajduje.

– Zawsze uważam – zapewniłem, po raz kolejny oblewając się rumieńcem.

– Teraz, to już nic nie rozumiem – stwierdziła Marta, marszcząc brwi i kręcąc głową.

„Ty cymbale! Laska chce iść z tobą do łóżka, więc nie spierdol tego, bo inaczej, poczuje się tak, jakbyś wymierzył jej policzek” – ostrzeżenie, które usłyszałem w głowie, było głośniejsze niż Dzwon Zygmunta.

– Muszę wziąć prysznic, bo miałem intensywny dzień – skłamałem. Ulga, jaka odmalowała się na twarzy Marty, sprawiła mi jednak więcej bólu niż radości.

– W takim razie weźmiemy go wspólnie, tylko przyniosę ci ręcznik – oznajmiła i zeskakując mi z kolan, wybiegła z kuchni. Odgłos jej bosych stóp na ceramicznych płytkach pobudził mnie niczym wyrafinowana pieszczota. Wchodząc do łazienki, moją uwagę przykuł satynowy szlafrok, w kolorze wiosennej łąki. Podarowałem go Marcie z okazji jej osiemnastych urodzin, a fakt, że cały czas go używała, sprawił mi kolejną przyjemność. Szeroki pasek, którym przewiązywała się w talii, podsunął mi znakomity pomysł, dzięki któremu, Marta nie zobaczy tego, co zrobił mi chiński chirurg.

– Po co ci to? – zapytała, wchodząc do łazienki i podając mi pachnący ręcznik. Była już zupełnie naga, a wąski pasek kędzierzawych włosów, zdobiący środek jej cipki, aż prosił się, aby go pogłaskać.

– Mogę ci coś zrobić? – poprosiłem, stając za jej plecami.

– O żadnym krępowaniu rączek nie ma mowy! – zastrzegła.

– A mogę ci zasłonić oczy?

– W drodze wyjątku – zgodziła się po chwili wahania.

Pasek był na tyle długi, że mogłem go owinąć dwa razy wokół jej głowy i swobodnie zawiązać.

– Jak się przez ciebie wywrócę, to będziesz mi płacił odszkodowanie – uprzedziła, zaczynając rozpinać guziki mojej koszuli. Ja w tym czasie zająłem się spodniami i resztą garderoby.

– Chodź, nie bój się – powiedziałem, biorąc ją za rękę i prowadząc do dużej kabiny prysznicowej, wyposażonej w specjalne krzeselko dla Łukasza, antypoślizgową podłogę i kilka poręczy. Ustawiłem odpowiednią temperaturę wody i ostrożnie, aby nie zmoczyć opaski, przesuwałem prysznicową słuchawkę po gładkiej, lekko opalanej skórze. Ciepła woda spływała z ramion na jej plecy i piersi.

– Pocałuj mnie – poprosiła Marta, przybliżając twarz. Objąłem ją mocno i namiętnie pocałowałem. Woda ze słuchawki, zaklinowanej między piersiami Marty spływała po naszych ciałach, a języki i wargi, spragnione pocałunków splatały się z sobą, odbierając nam oddech. Mój wyprężony penis, ocierał się o jej szparkę, ale nie wchodził do środka, choć ona napierała na niego.

– Zakręć wodę – wyszeptała Marta i nim to zrobiłem, ona już klęczała przede mną, szukając dłońmi mokrej i twardej męskości.

– Oprzyj się o ścianę – rozkazała, muskając palcami gładko wygoloną mosznę. Zrobiłem, co chciała, wówczas ona zsunęła napletek, a jej język rozpoczął erotyczny taniec. Delikatne koliste ruchy, rozpały coraz bardziej moje

podniecenie. Jednak prawdziwy odlot, zafundowała mi, zaciskając wargi, na główce.

– Tylko, nie przeszarżuj – poprosiłem, patrząc, jak członek coraz bardziej znika w jej ustach.

– Spokojnie mamy przed sobą całą noc – wyszeptwała, obsypując pocałunkami moje podbrzusze. Jej język wędrował coraz wyżej, aż w końcu dotarł do moich ust, które już na niego czekały. Całując ją zachłannie, obróciłem nas, niczym w tańcu. Teraz to Marta opierała się plecami o ścianę. Chcąc już w nią wejść, uniosłem ją za pośladki, a ona owinęła nogi wokół moich ud, otwierając się dla mnie. Wszedłem w nią z łagodnością, jakby był to nasz pierwszy raz. Poruszałem się wolno, przedłużając w ten sposób rozkosz.

– Usiądź – poprosiła, obejmując mnie rękami za szyję. Odchyliłem krzeselko, zamontowane pod prysznicem i nie wychodząc z niej, opadłem na siedzisko. Marta oparła stopy o podłogę i teraz to ona nadawała rytm. Trzymając jej pośladki, wbijałem się w nią coraz mocniej i głębiej.

– Olo, zaraz dojdę – wyjęczała, a rysujący się na jej twarzy wyraz ekstazy, oznaczał, że już zaczyna szczytować.

– Dojdz, maleńka, dojdz – zachęcałem, jeszcze bardziej, wbijając się w jej ciasną cipkę.

– A ty?! – wykrzyknęła, odchylając się do tyłu.

– Ja później. Przecież mamy przed sobą całą noc – przypomniałem, z fascynacją obserwując, jak przez jej ciało przebiega dreszcz spełnienia. Dopiero kilka minut później wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni. Wiszący na bezchmurnym niebie księżyc zalewał pokój srebrzystym światłem. Kładąc Martę na łóżku, nie mogłem oderwać oczu od jej mokrego ciała. Gdy przejechałem palcem po wąskim pasemku, dzielącym łono na pół, zadrżała, rozchyliła uda i pozwoliła, aby pozostałe palce, także poczuły jej wilgoć i ciepło.

– Chodź, chcę jeszcze raz na tobie – poprosiła, gdy znów była gotowa. Położyłem się posłusznie, a ona z gracją amazonki zaczęła mnie ujeżdżać. W pewnej chwili przestała, sięgnęła pod poduszkę i wyjęła prezerwatywę.

– Zostaw ja sama – oświadczyła, gdy poczuła, że próbuję odebrać jej szeleszczące opakowanie. Nim jednak założyła gumkę na członka, wzięła go do buzi i pieściła przez chwilę.

– A teraz zobaczysz, co to znaczy ostra jazda – przestrzegła, nabijając się na mnie z siłą, która odebrała mi oddech. Zaciskając dłonie na moich ramionach, galopowała z zapamiętaniem. Tym razem doszliśmy niemal równocześnie, tłumiąc krzyk w namiętym pocałunku. Po wszystkim czułem się wyczerpany, spełniony i szczęśliwy. Pod zamkniętymi powiekami widziałem obrazy z naszej wspólnej przeszłości i zaczynałem mieć nadzieję, że to, co kiedyś nas łączyło, odrodzi się, jak Feniks z popiołów. Moje marzenia przerwał jednak krzyk Marty. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że trzymając w dłoniach pasek od szlafroka, wpatruje się w moje krocze.

– Co to jest? – wskazała palcem na tatuaż.

„No to kurwa, sprawa się rypla” – zakląłem w duchu, intensywnie myśląc, jak wytłumaczyć, dlaczego wytatuowałem sobie nad fiutem szóste przykazanie.

– Tatuaż – odparłem zgodnie z prawdą.

– Do cholery przecież widzę, że to tatuaż, a nie witraż przedstawiający *Ostatnią Wieczerzę* – rzuciła, wpatrując się w świecący na różowo napis z niedowierzaniem, graniczącym z przerażeniem.

– A możesz mi łaskawie powiedzieć, co ci odbiło, żeby sobie coś takiego zrobić? – poprosiła, tonem, z którego sarkazm kapał jak woda z sopli podczas roztopów. Choć miałem szczerą ochotę wyznać Marcie całą prawdę, wiedziałem, że to nie wchodzi w grę. Może kiedyś, jeśli w ogóle będzie jakieś kiedyś, ale nie teraz. Musiałem jednak coś powiedzieć, bo milczenie jeszcze bardziej pogarszało moje, i tak kiepskie, położenie.

– Przyznaję, odbiło mi.

– Odbiło to za mało powiedziane – prychnęła, kręcąc z niedowierzaniem głową, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

– Wiesz, że barwniki fluorescencyjne, używane do świecących tatuaży są rakotwórcze – dodała po chwili. Wiedziałem, że tak jest, ale wiedzę tę zdobyłem, gdy zacząłem zgłębiać temat tego, co na polecenie Blanki, zrobił mi chiński chirurg. Dlatego skłamałem, mówiąc Marcie, że nie miałem o tym pojęcia.

– A ten cytat to sam wybierałeś? – tym razem w głosie Marty było słycać rozbawienie.

– Niestety na wybór tekstu nie miałem wpływu – oznajmiłem i przyciągnąłem ją do siebie.

– Jak chcesz mnie jeszcze raz przelecieć, to musisz iść umyć tego świeżącego pytona – zachichotała, gryząc płatek mojego ucha.

– W sumie to może i bym chciał – potwierdziłem, wolno podnosząc się z łóżka.

– Tylko szybko, bo ja też mam zamiar nadgonić stracony czas – ponagliła mnie. Idąc do łazienki, rozmyślałem nad jej słowami.

„Czy to możliwe, aby przez pięć lat z nikim tego nie robiła?” – zastanawiałem się, mydląc męskość, która powoli zaczynała budzić się do współżycia. Kiedy wróciłem do sypialni, Marta leżała na brzuchu, podpierając dłońmi brodę i wpatrywała się w pełną tarczę księżycy.

– Dzisiaj jest wyjątkowo duży – zauważyłem.

– Mówisz o nim – przeniosła wzrok na mojego kutasa – czy o tamtym – ponownie spojrzała na księżyc.

– O obu – odparłem, przeczesując palcami jej długie ognistorude włosy.

– Nawet mu z tym do twarzy – zakpiła, chwytając penisa w obie dłonie i muskając jego główkę językiem.

– Czy mówiąc, że zamierzasz nadrobić stracony czas, chciałaś mi powiedzieć, że z nikim...

– Tak, dobrze zrozumiałaś. Od naszego rozstania nie poszłam do łóżka z żadnym innym facetem – potwierdziła, nie pozwalając dokończyć pytania.

Jej wyznanie nie mieściło mi się w głowie. Czy to możliwe, aby zdrowa, normalna, młoda kobieta nie chciała od czasu do czasu poczuć rozkoszy płynącej z orgazmu?

– Tylko nie myśl sobie, że przez te kilka lat żyłam jak mniszka – oznajmiła i ze śmiechem przetoczyła się na drugi koniec łóżka. Widziałem, że jej dłonie szukają czegoś w nocnej szafce, a gdy po chwili znowu była przy mnie, zrozumiałem, co miała na myśli.

– To jest Olo – oznajmiła, kładąc mi na dłoni średniej wielkości wibrator w cielistym kolorze – a to Rico – dodała, wskazując na niewielką figurkę przypominającą pingwina, którego głowa na czubku była ścięta.

– Jeszcze nikt, nigdy nie nazwał moim imieniem wibratora – roześmiałem się, naciskając przycisk u podstawy urządzenia, które natychmiast ożyło i zaczęło wibrować.

– Tę zabawkę znam, ale co z seksem ma wspólnego pingwin? – zapytałem.

– Połóż się wygodnie, kochanie, a zaraz się przekonasz.

– No nie wiem, czy to dobry pomysł – mruknąłem, ale posłusznie wykonałem polecenie. Marta w tym czasie nachyliła się nad moim torssem, włączyła figurkę, która zaczęła wydawać odgłosy, podobne do miniaturowego kompresora, a następnie przyłożyła ją główką do mojego sutka. Poczułem przyjemne ssanie i natychmiast domyśliłem się, do czego służy zabaweczka.

– A dlaczego nazwałaś go Rico.

– Bo on sprawia, że eksploduję. Z nim orgazm lechtackowy osiągam w pół minuty i nawet twój język nie jest w stanie go przebić.

– To się dopiero okaże – rzuciłem i przewracając ją na plecy, zanurkowałem twarzą między jej uda. Wciąż była śliska, jednak gdy po doliczeniu do trzydziestu nie doszła, musiałem przyznać pingwinowi palmę pierwszeństwa, ale nie zaprzestałem pieszczot. Chcąc dać jej jeszcze więcej przyjemności, sięgnąłem po wibrator, ustawiłem największe obroty i wsunąłem mojego imiennika w jej gorącą piczkę. Marta jęknęła rozkosznie, wbiła mi paznokcie w plecy i kilkanaście sekund później ponownie szczytowała, zostawiając na moim ciele krwawe ślady.

– Sprawdziłeś się, Olo – wysapała, próbując uspokoić oddech.

– Mówisz o nim – pokazałem na wciąż pulsujący wibrator, leżący na mojej dłoni – czy o mnie?

– O was obu – odpowiedziała ze śmiechem, tarmosząc mnie za włosy.

– Na dzisiaj wystarczy, bo więcej nie dam rady – westchnęła, wtulając się we mnie.

– Co ja tutaj widzę! – obudził nas wesoly głos Łukasza. Przyjaciel ubrany jedynie w czerwone bokserki patrzył na nas przez uchylone drzwi. Marta oprzytomniała w jednej chwili. Najpierw na jej twarzy zobaczyłem zaskoczenie, potem zmieszanie, a w następnej sekundzie wściekłość.

– Wynoś się – syknęła, przyciągając koldrę pod samą brodę.

– Pozwólcie jeszcze popatrzyć, taki sielankowy widok, prawie jak z harlequina.

– Powiedziałam, że masz spieprzać – powtórzyła Marta i niewiele myśląc, cisnęła w brata poduszką. On jednak zdążył już odjechać.

– Jak chcecie, to zrobię wam kawę i śniadanie do łóżka – zaproponował.

– Gnojek – prychnęła Marta i owijając się kołdrą, pobiegła zamknąć drzwi.

– Czyli będziemy mieli stosunkowo udany poranek – wymruczałem, wyciągając do niej rękę.

– Lepiej się ubieraj, bo jesteś taki sam jak on – burknęła i rzucając mi ubrania podeszła do szafy. Gdy pięć minut później weszliśmy do kuchni, kawa rzeczywiście czekała już na stole.

– A miało być jeszcze śniadanie i to do łóżka – przypomniałem.

– Masz ręce, masz nogi, to sobie zrób – odparł Łukasz, opychając się tostem z serem i szynką. Korzystając z jego rady, również przygotowałem dla siebie posiłek.

– W pierwszej chwili jak was zobaczyłem w tym łóżku, to sobie pomyślałem, że Marta wyrwała na imprezie jakiegoś leszcza, a potem przywlekła go na chatę. Dopiero później poznałem twój kudłaty łeb.

– Łukasz, przestań! – rozkazała Marta, zaciskając dłonie w pięści.

– Dobrze, siostrzyczko – zgodził się – i staruszkom też nic nie powiem – dodał z szelmowskim uśmiechem.

Po śniadaniu zadzwoniłem do Michała, prosząc go o pomoc w sprawie corsy. Kumpel obiecał, że około południa, podeszła mechanika z nowym akumulatorem. Miałem więc pretekst, aby spędzić z Martą kolejne dwie godziny. Oczywiście o zaciągnięciu jej do łóżka, nawet nie chciała słyszeć, mimo iż w mieszkaniu byliśmy sami, bo Łukasz pojechał na trening. Siedzieliśmy w salonie i oglądaliśmy program, w którym kursanci przygotowujący się do egzaminu na prawo jazdy, pokazywali widzom swoje mocne i słabe strony. Przy czym tych drugich było niestety więcej. Obserwując ich poczynania za kierownicą, pomyślałem, że gdyby Blanka wystąpiła w takim programie, to jego oglądalność wystrzeliłaby jak inflacja w Wenezueli.

– To jak było z tą kasą? – zapytała w pewnej chwili Marta. Fakt, że kolejny już raz próbowała wydusić ze mnie informację, oznaczał, że nie daje jej to spokoju.

– Ukradłem – odpowiedziałem, postanawiając najpierw nazwać swój czyn, a dopiero potem wyjaśnić jak tego dokonałem.

– Jak masz mi zamiar sprzedawać takie bajeczki, to chyba już nie chcę wiedzieć – weszła mi w słowo. Wtedy zrozumiałem, że w obecnej sytuacji prawda nie ma szans na dojsie do głosu.

– Ale ja nie ściemniam – spróbowałem jeszcze zawalczyć, ale spojrzenie Marty pozbawiło mnie złudzeń.

– Znam cię i wiem, do czego jesteś zdolny, a do czego nie – te słowa były z kolei jak gwóźdź do trumny.

„Musisz stary wymyślić takie kłamstwo, które będzie lekkostrawne i nie wywoła sensacji żołądkowych” – pomyślałem, przyglądając się, jak kursantka Kasia parkuje elkę w kontenerze na śmieci. Atmosfera między mną a Martą stała się niezręczna. Ona oczekiwała prawdy, a gdy ją usłyszała, uznała, że sobie z niej żartuję. Na szczęście telefon od Michała, był prawdziwym wybawieniem.

Mechanik, który przyjechał zobaczyć corsę, wymienił akumulator, a auto natychmiast odpaliło. Marta zapłaciła, podziękowała i wciąż lekko obrażona odjechała, zostawiając mnie z przyjemnymi wspomnieniami minionej nocy. Wsiadając do samochodu, usłyszałem dźwięk przychodzącego SMS-a. Pewien, że to wiadomość od Marty, szybko sięgnąłem po smartfon, ale widząc, że to tylko moja szefowa, postanowiła przypomnieć o swoim istnieniu, poczułem ukłucie zawodu.

Jak tam twój tatuaż? Wciąż robi furorę? – przeczytałem wiadomość z dalekiego Meksyku.

Tak i mam dla ciebie kilka klientek, które chcą coś podobnego – odpisałem Blance, dodając, że ona też mogłaby sobie wytatuować cipkę. Miałem już wysłać SMS, gdy postanowiłem jeszcze bardziej podnieść jej ciśnienie.

Myszę, że coś w stylu: „Lubię w windzie”, będzie pasowało – dopisałem i dopiero wtedy wysłałem odpowiedź. Tak jak się spodziewałem, Blanka nie zareagowała.

– Co, zatkało kakao? – mruknąłem, spoglądając na ekran smartfona.

Przez kolejne dni jedyny kontakt z Martą był przez wiadomości i kilka rozmów telefonicznych. Ona dziwnym trafem, zawsze musiała zostać w pracy po godzinach.

„A może jednak ona jest pieczarą?” – pomyślałem, gdy wymówiła się od kolejnej propozycji spotkania. Ja też miałem sporo zajęć, bo osobiste odwiedzanie wydawnictw, którym chciałem zaproponować książkę o Blance, okazało się prawdziwą orką na ugorze, lub rzeźbieniem w stolcu, jak czasami mama mówiła o próbie wyedukowania swoich uczniów. W każdym wydawnictwie najpierw musiałem zjednać do siebie recepcjonistkę, sekretarkę lub asystentkę. Tytuły, choć różne oznaczały zazwyczaj to samo. Taka panienka, bez względu na swój wiek, uważała się za strażnika, broniącego dostępu do innych pracowników. Gdy mówiłem, że przychodzę z propozycją wydawniczą, zawsze padały te same słowa: »prosimy przesłać tekst e-mailem, dołączyć streszczenie, opis bohaterów, biogram i cierpliwie czekać na odpowiedź. Jeśli w ciągu sześciu miesięcy nie skontaktujemy się z panem, to znaczy, że nie jesteśmy zainteresowani«. Moje próby przekonania, że książka jest naprawdę świetna, ciekawa i w ogóle zajebista, sprowadzała na mnie jedynie kpiące spojrzenia mówiące: »Takich autorów z bożej łaski, to zgłaszają się do nas tysiące«. Dopiero gdy w trzecim z wydawnictw, zupełnie niechcący wymuskiło mi się, kto jest bohaterką książki, niska, mocno puszysta brunetka, około czterdziestki, siedząca za ladą z szaro-różowego lastriko, mającego imitować prawdziwy marmur z Alp Apuańskich, okazała zainteresowanie.

– Naprawdę, napisał pan książkę o Blance Lipiec?

– Tak – potwierdziłem i czując, że panienka zaczyna mięknąć jak karton na deszczu, dorzuciłem od niechcenia, że jestem jej kierowcą. To musiało dać foczce do myślenia, bo leniwym ruchem, podniosła słuchawkę szarego telefonu i różowymi paznokciami wystukała trzy cyfry.

– Panie dyrektorze, jest tu pewien młody człowiek – zaczęła i w kilku zdaniach przedstawiła moją sprawę. Przez kolejną chwilę słuchała, kiwając rytmicznie głową, jak tandetny piesek za tylną szybą samochodu.

– Dobrze przekazać – zapewniła rozmówcę i odłożyła słuchawkę.

„Jak się uda, to masz u mnie lala dużą kawę” – pomyślałem, wpatrując się w nią z wyczekiwaniem.

– Proszę usiąść i poczekać, pan dyrektor do spraw wydawniczych, zgodził się z panem porozmawiać – zakomunikowała, wskazując dwa szare fotele pod ścianą. Moje oczekiwanie na możliwość stanięcia przed obliczem faceta, odpowiedzialnego za kwestie wydawnicze trwało zaledwie kilka minut, ale mi czas ten dłużył się jak podróz pociągiem ze Świnoujścia do Przemyśla. Gdy w końcu zobaczyłem gościa, wstąpiła we mnie druga nadzieja. Mężczyzna był lekko po trzydziestce, nosił się z luzem typowym dla firm, które dress code uważały za korporacyjny kicz. Sprane jeansy, flanelowa koszula w zielono-niebieską kratę bardziej upodabniały go do pracownika magazynu, lub budowlanego brygadzysty, a nie jednego z bardziej poważanych wydawnictw w kraju. Całości dopełniały czerwone trampki z białymi sznurowadłami.

– Dzień dobry, nazywam się Jarosław Rogalski – powiedział, wyciągając dłoń na powitanie.

– Cholera, dlaczego to imię mnie prześladowuje?” – pomyślałem, ściskając podaną dłoń i również się przedstawiłem.

– Zapraszam do siebie, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać – zaproponował, ruszając korytarzem, prowadzącym w głąb biura. Jeśli spodziewałem się, że biuro dyrektora będzie niczym lokalna biblioteka, zawierająca wszystkie pozycje wydane przez wydawnictwo, to mocno się pomyliłem. Nie było tam żadnych regałów z książkami, a pomieszczenie bardziej przypominało domowy salon, niż firmowy gabinet. Przy klubowych fotelach o stonowanym brązowym kolorze, stał okrągły stolik. Pod przeciwległą ścianą sofa, która sądząc po siedzisku, musiała być używana do spania, albo do innych rzeczy „też na S”. Obok sofy ustawiono szafkę z ekspresem do kawy i jedynie niewielkie biurko pod oknem, sugerowało, że w tym pokoju się pracuje.

– Kawę, herbatę, wodę? – zapytał gospodarz, prosząc, abym usiadł tam, gdzie uważam, że będzie mi wygodnie. Takie traktowanie mile mnie zaskoczyło. Wybrałem kawę i zająłem miejsce na fotelu przy stoliku.

– Rozumiem, że wydruk ma pan przy sobie? – dyrektor z miejsca przeszedł do konkretów.

– Tak – potwierdziłem, zaskoczony rzeczowym przebiegiem spotkania.

– No dobrze, proszę pokazać tę puszkę Pandory – mruknął, stawiając przede mną kubek z kawą i zajmując miejsce po przeciwnej stronie stolika.

– A skąd pan wie, że to będzie puszka Pandory? – zapytałem, rozbawiony tym porównaniem.

– Nie wiem, ale mam szczerą nadzieję, że tak właśnie będzie – odparł, wyciągając dłoń po liczący ponad dwieście stron wydruk. Położył zbindowany maszynopis na kolanach, a następnie z szybkością liczarki do banknotów zaczął przewracać strony. W pierwszej chwili pomyślałem, że on tylko kartkuje trud mojej kilkumiesięcznej pracy i poczułem się zlekceważony. Dopiero widząc jego skupione spojrzenie, zrozumiałem, że facet potrafi czytać z prędkością dźwięku. Nim wypitem kawę, pan Jarosław był już po lekturze.

– Powiem tak – zaczął i przez chwilę poszukiwał odpowiednich słów, a gdy już je znalazł, oznajmił zadowolony z tego, co właśnie wymyślił.

– *Teksańska masakra piłą mechaniczną* jest przy pana tekście jak przygody Muminków – stwierdził. Jego ocena niczym jeden ze słynnych energetyków, dodała mi skrzydeł.

– Lecz niestety nie jesteśmy zainteresowani – kontynuował, sprowadzając mnie brutalnie na ziemię.

– Ale powiedział pan, że to jest dobre – wyjąkałem.

– Nie powiedziałem, że dobre, tylko mocne, a to zasadnicza różnica. Będę z panem zupełnie szczerzy. Pod względem literackim, nie jest to kandydat do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Jednak w kategoriach rozrywkowych ma wszystko, co taka książka mieć powinna. Ciekawa warstwa językowa, wyraźni bohaterowie, a właściwie bohaterka – uściślił – dynamiczna akcja – wymieniał, a ja nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego skoro książka ma tyle zalet, nie chcą jej wydać.

– Między nami mówiąc, wróżę tej publikacji, o ile się ukaże, duży sukces rynkowy. Tak na oko, jakieś kilkaset tysięcy sprzedanych egzemplarzy...

– W takim razie w czym tkwi problem? – zapytałem, przerywając beczelnie potok komplementów.

– Problem tkwi w tym, że gdy tylko książka ukaże się na rynku, a nawet sama jej zapowiedź, to prawnicy pani Lipiec rzucą się na nas jak psy na dziada w ciasnej ulicy – wyjaśnił w tak obrazowy sposób, że żaden dodatkowy komentarz nie był już potrzebny.

– Gdybym był tuż przed emeryturą, to zaryzykowałbym, ale jestem dopiero na półmetku życia zawodowego i chciałbym jeszcze wydać kilkaset innych książek, a nie tylko tę jedną – podsumował, oddając mi maszynopis.

– Rozumiem – bąknąłem, chowając puszkę Pandory do plecaka.

– A jak pan myśli, czy inne wydawnictwa podejmą ryzyko? – zapytałem, wstając z fotela.

– Proszę próbować, choć muszę panu uczciwie powiedzieć, że od pewnego czasu opisywanie celebrytów staje się coraz bardziej skomplikowane. Wszystkie te gwiazdy, gwiazdeczki i gwiazdunie od razu zaczynają wrzeszczeć o prawie do prywatności, ochronie dóbr osobistych i innych podobnych pierdołach. Dziwnym trafem nie pamiętają, że same pokazują swoje życie wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Jednak najgorsze jest to, że na wydawnictwa i autorów nasyłają zastępy świętych adwokatów. Dlatego większość wydawnictw poszukuje czegoś w stylu kapiszonów, a pan ma, w tym plecaku, jeśli nie granat bojowy, to na pewno porządną petardę. Mimo to proszę się nie poddawać – zachęcił, klepiąc mnie przyjaźnie po ramieniu.

Niestety rzeczywistość okazała się taka, jak przewidywał dyrektor w czerwonych trampkach. Choć informacja o tym, kto jest bohaterką książki, działała jak cudowna karta magnetyczna, otwierająca wszystkie drzwi, to gdy tylko osoby decyzyjne zapoznały się z fragmentem tekstu, rozkładały ręce, twierdząc, że mają już zamknięte plany wydawnicze, albo, że książka nie wpisuje się w ich profil wydawniczy.

Po pięciu dniach spędzonych na odwiedzinach kolejnych dużych, średnich, a nawet małych wydawnictw, byłem zmuszony uznać swoją porażkę. Jednocześnie nie mogłem uwierzyć, że oni wszyscy bali się małej Blanki, jak szeregowi posłowie swojego Prezesa. Również małego. Mój wisielczy nastrój dostrzegła nawet Marta, która korzystając z wolnego popołudnia oraz faktu, że moi rodzice wyjechali na pogrzeb kuzyna ojca, którego widziałem raz czy dwa razy w życiu wpadła do mnie na kawę, ciasto i bzykanko. Kawę serwowałem ja, ciasto przyniosła ona, a do łóżka poszliśmy razem.

– Zaczynam się do tego przyzwyczajać – wyszeptęła, gdy po wspólnym szybkim prysznicu, bo moja łazienka była dostosowana wyłącznie do celów higienicznych, wylądowaliśmy pod kołdrą.

– Do tego, że znowu uprawiamy seks? – zapytałem, trochę skonsternowany jej słowami.

– Nie, baranie, do twojego tatuażu nad futem – oznajmiła, przejeżdżając ostrym paznokciem po moim podbrzuszu, a następnie zacisnęła palce na sztywnym członku i wolnymi ruchami sprawiła, że urosł jeszcze bardziej.

– Olo, zapuść coś romantycznego, bo o ile mnie słuch nie myli, to ktoś za ścianą słucha ojca Tadeusza – poprosiła i zsuwając się niżej, wspomogła swoje dłonie, gorącymi ustami.

„Mówisz i masz” – pomyślałem, sięgając po leżącego obok poduszki pilota. Jednak zamiast pościelowy puściłem hit z imprezy Łukasza, który nie był żadną nowością, ale kawalkiem z czasów, gdy mnie nawet w planach nie było. W jednej chwili cały pokój i kilka sąsiednich mieszkań wypełniły skoczne dźwięki instrumentów elektronicznych. Następnie dołączyła perkusja, a na końcu śpiew Jacka Skubikowskiego, śpiewającego o lizaku, którego trzeba wziąć do buzi.

– Romantyczne, jak nielegalne składowisko opon – usłyszałem zagłuszony przez słowa refrenu głos Marty, która zamiast tak, jak radził wokalista ssać mojego lizaka, zaczęła wzbogacać utwór, robiąc chórek. Gdy piosenka dobiegła końca, usłyszeliśmy mniej przyjemny przebój. Ktoś dobijał się do mieszkania, używając dzwonka i pomagając sobie pięściami, a kto wie, może nawet nogami.

– No to się doigrałeś – zachichotała Marta.

– Kogo tam diabli niosą – wymruczałem, wygrzebując się z pościeli.

– Chyba nie masz zamiaru otworzyć w takim stanie? – rzuciła na wpół rozbawiona, a na wpół przerażona.

– Chodzi ci o to, że mi stoi, czy, że jestem goły?

– Sama nie wiem co gorsze – powiedziała, robiąc palcem kółko na czole. Idąc do drzwi, głowiłem się, który z sąsiadów znalazł w sobie takie pokłady odwagi, aby w ten bezczelny sposób zaatakować moją prywatność.

„Już ja ci pokażę, gdzie świstak ma norę” – postanowiłem, przypominając sobie przysłowie znalezione w sieci, które podobno było popularne w niektórych stanach USA.

– Już chwileczkę! – krzyknąłem, zdejmując łańcuch i przekręcając klucz. Uchylając drzwi, miałem zamiar rzucić wiązankę w stylu: „A co to do kurwy nędzy ma być?”, ale widząc, kto stoi na korytarzu, poczułem dziwną suchość w gardle i nieprzyjemne śwędzenie w kroku.

– Dzwoniłam do ciebie, ale nie odbierasz, dzwonka też nie słyszysz, więc postanowiłam zapukać – wyjaśniła Ola, pytając, czy może wejść.

– Raczej załomotać – warknąłem, zastanawiając się, co siostra tutaj robi. Przecież Blanka na swoim Instagramie zapowiedziała, że wraca za cztery dni.

– O! Cześć Olka! wchodzi śmiało – usłyszałem Martę, która ubrana w mój żółty szlafrok pojawiła się za moimi plecami.

„Gdybyś wiedziała, co ona mi zrobiła, to nie byłabyś taka gościnna” – pomyślałem, uciekając do łazienki. Obecność Marty musiała Olę zaskoczyć równie mocno, jak mnie jej przylot z dalekiego Meksyku. Wciągając skarpetki z Pikachu, zachodziłem w głowę, dlaczego Ola do mnie przyszła. Przecież zdawała sobie sprawę, że czeka ją porządny braterski opierdole. A mimo to, postanowiła zaryzykować. Musiała więc mieć ważny powód. Tyle, że obecność Marty uniemożliwiała szczerą rodzinną rozmowę, a nie mogłem powiedzieć swojej dziewczynie, bo znów zacząłem tak o niej myśleć, aby sobie poszła. Gdy ubrany wszedłem do kuchni, dziewczyny siedziały przy stole i paplały jak dwie psiapsiółki, które nie widziały się od długich trzech dni.

– Zrobiłam ci kawę – Marta wskazała na stojący obok ekspresu kubek. Podziękowałem, oparłem się o blat i przysłuchiwałem, jak bliźniaczka opowiada o urokach Meksyku.

„Ja ci kurwa zafunduję Meksyk” – przysiągłem w myślach, patrząc na siostrę w sposób, w jaki patrzy się na najgorszego z wrogów. Widok jej uśmiechniętej, radosnej gęby odnowił wszystkie urazy, a doznane upokorzenie stało się jeszcze większe.

– No dobra, to ja będę leciała, wpadłam, abys wiedział, że już jestem – oznajmiła Ola, wstając od stołu. Odprowadzając bliźniaczkę do drzwi, zastanawiałem się, czy jej słowa zawierały zakodowaną wiadomość z prośbą o spotkanie. W to, że odwiedziła mnie bez powodu, nie wierzyłem.

– Taka Olka to ma fajnie. Jeździ po świecie, poznaje nowe kraje – rozmarzyła się Marta, gdy zostaliśmy sami.

„A na dodatek ma zajebistą dziewczynę” – dodałem w myślach i odstawiając kubki po kawie do zmywarki, poszedłem do pokoju zrobić porządek z łóżkiem. Marta nie wykazywała woli na dalsze igraszki, a i mnie jakoś przeszła ochota. Wizyta siostry nie dawała mi spokoju. Ściągając łóżko żółtą narzutą, próbowałem rozkminić, dlaczego wróciła z Meksyku i to jak wskazywała jej opowieść sama.

– Co to jest? – pytanie Marty, zakłóciło działanie moich zwojów mózgowych. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem niemiecką gazetę, którą zabrałem z kawalerki Pawła.

– Gazeta – odparłem, wracając do wygładzania narzuty.

– No przecież widzę, że gazeta, a nie twoja praca magisterska – rzuciła zirytowana moją odpowiedzią. Przytyk do dzieła mającego zwieńczyć pięć długich i ciężkich lat studiowania uświadomił mi, że dwa dni temu miałem wysłać swojej promotorce bibliografię.

– Niemiecka gazeta sprzed jakichś dziesięciu lat – uściśliłem, sądząc, że tak precyzyjna odpowiedź zadowoli moją wymagającą dziewczynę.

– Jak chcesz, to poczytaj – dodałem, przypominając sobie, że Marta zdawała z niemieckiego maturę.

– Poczytam, bo zanim ty doprowadzisz swoje królewskie łóżce do perfekcji, mogłabym się zanudzić.

– Po prostu nie lubię, jak na narzucie są fałdki.

– Taki chorobliwy pedantyzm można podobno leczyć – zauważyła z ironią, na co w odpowiedzi pokazałem jej język i wygładziłem dwa ostatnie zagniecenia.

– I co tam takiego ciekawego wyczytałaś? – rzuciłem sarkastycznym tonem, siadając na parapecie.

– Właśnie czytam ciekawy artykuł o pożarze w nielegalnym burdelu na przedmieściach Hamburga, w którym zginęły trzy osoby.

– Co takiego? – wykrztusiłem, czując, że zaczyna mi brakować powietrza.

– No przecież wyraźnie mówię, że artykuł jest o nielegalnym domu uciech, który ktoś podpalił, w wyniku czego zginęło dwóch mężczyzn i jedna kobieta – powtórzyła Marta, nieco szerzej opisując całe zajście.

„O kurwa, przecież taki kosmiczny zbieg okoliczności jest niemożliwy” – pomyślałem i nagle wszystko zaczęło się układać w logiczną całość.

– Sorry Marta, ale właśnie sobie przypominałem, że muszę załatwić jedną bardzo ważną sprawę – oznajmiłem.

– To mam sobie iść? – uniosła pytająco brwi.

– Skądże, zostań, zrób mi, to znaczy nam kolację, a ja wrócę najwyżej za godzinę lub dwie – zapowiedziałem, wybiegając z pokoju.

– Między godziną a dwoma jest spora rozbieżność – usłyszałem za sobą głos Marty, ale nie miałem czasu, aby jej odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pędząc do samochodu, przeklinałem swoją głupotę. Przecież już podczas przeszukiwania kawalerki uznałem, że ta gazeta ma znaczenie, skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, aby ją ukryć, a mimo to położyłem ją na szafce z książkami i zapomniałem o jej istnieniu.

„Jak to dobrze, że Marta zna niemiecki” – pomyślałem i używając klaksonu, przebijałem się mozolnie przez zakorkowaną Warszawę. Choć przy jego pomocy zaimprovizowałem większość popularnych melodii na czele z *hejnałem mariackim*, to efekty były mizerne. Pozostali użytkownicy ruchu drogowego, ignorowali mnie, a kilku pokazało mi nawet środkowy palec. Ostatecznie pod apartamentowiec siostry dotarłem w trochę ponad czterdzieści minut, ale tylko dlatego, że gdy mogłem, jechałem, jakbym wiózł rodzącą do szpitala.

– Odniosłem wrażenie, że chciałaś ze mną pogadać – rzuciłem, gdy Ola podniosła słuchawkę domofonu.

– Tak – potwierdziła – jednak spodziewałam się ciebie trochę później, bo strój, w jakim wystąpiła Marta, sugerował, że w czymś wam przeszkodziłam – dodała z lekką ironią.

– W niczym, czego nie można byłoby powtórzyć.

– Naprawdę? A wyglądało to zupełnie inaczej – drążyła Ola, czym podnosiła moje ciśnienie skuteczniej niż trzy energetyki, wypite jeden po drugim.

– Wpuścisz mnie, czy będziemy sobie tak rozmawiali na odległość? – Zamiast odpowiedzi usłyszałem ciche brzęczenie elektroamka. Wszedłem do środka i mijając windę, ruszyłem po schodach. Naskoczyłem na nią, gdy tylko otworzyła drzwi.

– Wiesz, siostra, że najpierw powinienem ci spuścić...

– Wiem, wiem – przerwała bliźniaczka, nie pozwalając do końca wyartykułować tego, co chciałem i powinienem jej zrobić.

– Ale zanim zaczniesz się mścić, pozwól, że coś ci wyjaśnię...

– A, co tu jest, kurwa, do wyjaśniania! Okaleczyliście mnie na całe życie, nie wspominając, że bawiliście się przy tym, jak arabskie księżniczki w nowojorskich sklepach – wrzasnąłem, nie przebierając w słowach.

– Sam jesteś sobie winien – oświadczyła siostra, przechodząc do kontrataku – gdybyś nie szantażował Blanki, nie byłoby tego całego cyrku – przypomniała. Z tym argumentem trudno było walczyć, dlatego nawet nie zamierzałem tłumaczyć swoich pobudek, o których zresztą Olka doskonale wiedziała.

Dobra, masz rację – przyznałem – ale dlaczego ty postanowiłaś być przeciwko mnie?

– Nie byłam i nie jestem przeciwko tobie – oświadczenie siostry rozśmieszyło mnie bardziej niż osioł ze Shreka, odkrywający, że Fiona też jest ogrem.

– Przecież byłaś w Sopocie i nie zrobiłaś absolutnie nic, aby mi pomóc – wykrzyczałem jej w twarz.

– Wystarczy, że uratowałam ci jaja, które Blanka rzeczywiście chciała ci obciąć!

– A, to przepraszam i bardzo dziękuję – drwiłem, zastanawiając się jaką grubość mają ściany w budynku. Jeśli deweloper ciął koszty, gdzie tylko się dało, to szansa, że naszą kłótnię usłyszysz całe piętro, ocenilem na osiemdziesiąt procent.

– Olek, zamiast rozgrzebywać to, co było, skup się lepiej na tym, co będzie – poradziła bliźniaczka, ścisząc głos.

– A co ma jeszcze być?

– Jeśli, wydając te swoje głodne kawalki, chcesz szaszkodzić Blance, to musisz wiedzieć, że ona cię zniszczy – przestrzegła Ola, a wyraz jej twarzy i oczu nie wskazywały, aby żartowała.

– Skąd wiesz, że są jakieś, jak to powiedziałaś »głodne kawalki« i że chcę je wydać? – zapytałem, zastanawiając się, w którym wydawnictwie Blanka ma szpicla.

– Skąd wiem, to teraz nie ma znaczenia, ważne, że wiem i że chcę ci pomóc.

- Rozumiem, że ta pomoc ma polegać na zniechęceniu mnie do pokazania, kim naprawdę jest nasza szefowa?
- Jeśli już, to twoja szefowa, bo od wczoraj już nie pracuję dla Blanki – oznajmiła siostra, wprawiając mnie w konsternację. Nie zamierzałem jej jednak żałować.
- No, no, a taka wielka miłość była – zadrwiłem, uznając, że kilka lekkich słownych kuksańców, nie wyrządzi jej zbyt wielkiej krzywdy psychicznej.
- Jaka znowu miłość?
- Nie zgrywaj przykładnej hetero, bo widziałem fotki, na których migdałiłaś się z Blanką – wystrzeliłem pocisk największego kalibru, jakim obecnie dysponowałem. Co prawda w odwodzie miałem jeszcze prawdziwą bombę, w postaci niemieckiej gazety, ale ona była przeznaczona dla Blanki.
- Może gdybyś obejrzał sobie te zdjęcia w powiększeniu, to zobaczyłbyś, że to fotomontaż – oświadczyła bliźniaczka – bardzo dobry, ale wyłącznie fotomontaż – powtórzyła, chcąc tym samym podkreślić prawdziwość swoich słów i dodała, że oprócz pracy nie jej z Blanką nie łączyło.
- Dlaczego Blanka cię zwolniła?
- Sama zrezygnowałam, uznając, że czas na nowe bardziej ambitne wyzwania.
- Czyli jesteś bezrobotna?
- Tak, ale intensywnie szukam, bo kredyt za mieszkanie i samochód sam się nie spłaci.
- No tak, jak się chce samodzielności, to trzeba harować – mruknąłem, ciesząc się w myślach, że ja na razie nie mam takich zmartwień.
- Ty też powinieneś rozejrzeć się za jakąś inną robotą, bo gdy Blanka dowie się, kto chodził po wydawnictwach z maszynopisem, który jest jak puszcza Pandory, to wyleje cię na zbity pysk – ostrzegła Ola, ujawniając w ten sposób, kim był zdrajca mojego sekretu.
- To ona jeszcze nie wie? – zapytałem, posyłając siostrze zdziwione spojrzenie.
- Powiedziała jej tylko, że ktoś odwiedził kilka wydawnictw, oferując książkę o jej życiu – przyznała Ola – ale gdy w końcu znajdziesz szaleńca, który będzie chciał to wydać, to się dowie – dodała, po raz kolejny przestrzegając mnie przed próbą wydania książki.
- Spokojnie siostra, mam dla niej coś lepszego – oznajmiłem, układając w myślach plan, który nie mógł się nie udać.
- Uważaj, bo te twoje pomysły nie zawsze są dobre.
- Ten będzie – zapewniłem, ruszając do drzwi.
- A tak przy okazji, to ten twój fantazyjny tatuaż jest tymczasowy i za dwa lub trzy tygodnie pozostanie po nim jedynie wspomnienie – rzuciła rozbawiona Ola. Przystanąłem z dłonią na kłamce i spojrzałem przez ramię na bliźniaczkę.
- Blanka obstawała, aby zrobić ci trwałe, ale ja uparłam się przy zmywalnym, przekonując, że i tak będziesz miał nauczkę do końca życia – wyjaśniła.
- Dzięki siostra – rzuciłem i posyłając jej ciepły uśmiech, wyszedłem z mieszkania.
- W drodze powrotnej zadzwoniła Marta, pytając, o której mam zamiar się zjawić, bo zrobiła spaghetti.
- Kochanie robię, co mogę, ale ulice są zapchane jak paczkomaty przed gwiazdką.
- A od kiedy jestem dla ciebie kochaniem? – zdziwiła się, a ja w wyobraźni widziałem, jak mówiąc to, przewraca oczami. Rzeczywiście ostatni raz podobnych słów użyłem kilka lat temu, więc gdy teraz, tak znienacka, wyskoczyłem do niej z takim tekstem, mogła doznać lekkiego szoku.
- Co się tak dziwisz, przecież jesteśmy parą.
- Olo, nie mieszaj w nasze sprawy biskupa z Krakowa – poprosiła, a ja dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, że zupełnie niechcący użyłem słowa, określającego zaskoczenie, a równocześnie będącego nazwiskiem jednego z najbardziej znanych polskich kardynałów.
- Przepraszam, rzeczywiście nie powinienem mieszać boskiego Stanisława między nasze ziemskie sprawy – przyznałem.
- Możesz mi łaskawie powiedzieć, dokąd cię poniosło? – Marta nagle zmieniła temat.

– Musiałem zobaczyć się z Olą.
– Znacznie praktyczniej było powiedzieć, abym sobie poszła.
– Kochanie, czy ja ci wyglądam na buraka? – zapytałem.
– Jeszcze raz powiesz do mnie »kochanie«, to sam będziesz musiał zjeść cały garnek makaronu i to na sucho, bo sos zabiorę – zagroziła Marta, a ton jej głosu nie wskazywał, aby żartowała.

– Dlaczego mam tak nie mówić? Przecież kiedyś lubiłaś, jak cię tak nazywałem?
– Kiedyś tak, ale teraz sporo brakuje, by do tego wrócić – oznajmiła, wprawiając mnie w totalną i głęboką konsternację. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego z jednej strony tak ochoczo chodziła ze mną do łóżka, a z drugiej nie chciała, żebym nazywał ją per kochanie. Postanowiłem jednak nie zgłębiać tej kwestii, uznając, że myślenie niekonsekwentne, to znak rozpoznawczy większości kobiet. Oczywiście moimi przemyśleniami nie podzieliłem się z Martą, bo wtedy makaron też by zabrała, a ja byłem coraz bardziej głodny.

Kolacja okazała się wyborna, choć sos pomidorowy zupełnie nie przypominał sztandarowej włoskiej potrawy. Wyczuwałem w nim składniki, których moje kubki smakowe nie potrafiły w pierwszej chwili zidentyfikować.

– Coś nie tak? – rzuciła Marta, widząc miny, jakie robiłem podczas jedzenia.
– Trochę dziwny ten sos – oznajmiłem, wiedząc, że takim stwierdzeniem sporo ryzykuję.
– Chcesz powiedzieć, że niedobry? – zjeżyła się, czego oznaką było zmarszczenie nosa.
– Wręcz przeciwnie, ale inny od tych, jakie dotąd jadłem – wyjaśniłem.
– Może dlatego, że robiąc kolację, przy okazji posprzątałam lodówkę.
– To znaczy? – posłałem jej pytające spojrzenie, które następnie przeniósłem na prawie pusty talerz.
– To znaczy, że wrzuciłam do sosu wędzone śliwki, oliwki, ananasa i brzoskwinie z puszki, kukurydzą i groszek konserwowy – wymieniała, a ja nie mogłem wyjść z podziwu nad jej kulinarną fantazją.

– Powinnaś prowadzić swój kanał na Instagramie – poradziłem, nawijając na widelec ostatnią porcję makaronu.
– Pociągają cię influencerki?
– Nie. Tak, tylko przyszło mi do głowy – bąknąłem, czując, że tą niewinną uwagą o Instagramie, sprowadziłem na siebie kłopoty.

– A jeśli już jesteśmy przy tym temacie, to powiedz mi, czy między tobą a Blanką do czegoś doszło?
– Ja byłem... to znaczy jeszcze jestem jej kierowcą – odparłem, mając nadzieję, że dla Marty będzie to wystarczająca odpowiedź, ale niestety nie była.

– Olo, doskonale wiesz, o co pytałam. Jeśli nie chcesz, to nie musisz odpowiadać, ale zapamiętaj sobie, że jeśli znowu mamy być razem, to żadnych panienek na boku – zakomunikowała i nie czekając na moją odpowiedź, zaczęła sprzątać ze stołu.

– Ja gotowałam, ty zmywasz – oznajmiła, wskazując kilka garnków, patelnię i inne naczynia, które nie zmieściły się już do zmywarki.

– Następnym razem zaproszę cię do restauracji – obiecałem, stając obok zlewozmywaka. Podwinąłem rękawy bluzy i zabrałem się do pracy. Marta w tym czasie piłowała paznokcie i obserwowała moje zmagania z pianą, gąbką i naczyniami, a jej spojrzenie z każdą chwilą stawało się coraz bardziej krytyczne.

– Daj, sama to zrobię, bo jak widzę cię w akcji, to zaczynam żałować tych garnków – oświadczyła i zabierając mi zmywak, zabrała się do zmywania. Stojąc tuż za nią, przypominałem sobie Iwonkę z pensjonatu w Łebie, Mój kutas miał widocznie te same wspomnienia. Wytarłem więc dłonie o wiszący na relingu ręcznik i położyłem je na ramionach Marty.

– Co robisz? – wymruczała, splukując pianę z umytego rondelka. Pytanie wydało mi się zbyteczne, bo przecież już sam ton jej głosu, zdradzał, że przejrzała moje zamiary, a co więcej nie ma nic przeciwko.

– Masaż relaksacyjno-odprężający – wyszeptalem, delikatnie gładząc opaloną szyję. Następnie zsunąłem szlafrok z jej ramion i obsypałem ciepłą pachnącą skórę pocałunkami.

– Nie mogę zmywać – poskarżyła się, pokazując na lekko opuszczone rękawy szlafroka, krępujące ruchy jej rąk.
– W takim razie, musimy to zdjąć – oświadczyłem i nim zareagowała, rozwiązałem pasek. Rozchylone poły odsłoniły nagie piersi, brzuch i cipkę.

– Ale wtedy będzie mi zimno – zauważyła i jakby na potwierdzenie lekko zadrżała.

– Spokojnie, ogrzeję cię – zapowiedziałem, wyprostowując jej rękę.

Uwolniony szlafrok z cichym szelestem upadł na podłogę, a Marta wróciła do zmywania. Ja natomiast sięgnąłem po stojącą na blacie butelkę oliwy z oliwek, wylałem trochę na dłonie i zacząłem wmasowywać w jej ramiona, kark, plecy, piersi, brzuch, uda, aż dotarłem do łydek i kostek. Gdy moje dłonie masowały jej stopę, usta zasypywały pośladki pocałunkami. Marta cicho mruczała, ale nie przerywała zmywania. Uznając, że pora przejść na wyższy poziom, rozsunąłem jej nogi i dotknąłem palcami gorącej cipki. Dopiero wtedy wypuściła szklaną pokrywkę z rąk, zaparła się dłońmi o krawędź blatu i kusząco wypięła pupę. Widok był tak rozkoszny, że nie odmówiłem sobie przyjemności, dania jej kilku klapsów. Przyjęła je z głośnym jękiem, w którym zaskoczenie mieszało się z uniesieniem. Nie przestając pieścić jej piczki, drugą dłonią rozpiąłem spodnie, jednak, aby zupełnie pozbyć się ubrania, potrzebowałem dwóch rąk. Przerwałem więc intensywną palcówkę, co Marcie się nie spodobało.

– Dlaczego przestałeś? – westchnęła z wyrzutem. Zamiast odpowiedzieć, błyskawicznie założyłem gumkę i wszedłem w nią bez ostrzeżenia. Tym razem krzyk rozkoszy musiało usłyszeć pół bloku, lecz ja miałem to gdzieś. Marta najwyraźniej też, bo z każdą chwilą krzyczała coraz głośniej. Umilkła dopiero wtedy, gdy jej ciałem wstrząsnął orgazm. Ja doszedłem kilkanaście sekund później.

– Twoi sąsiedzi, na pewno zadzwonili już pod sto dwanaście, informując, że właśnie kogoś mordujesz – zachichotała, opanowując oddech.

– Wyjaśnisz panom policjantom, co tak naprawdę robiliśmy? – poprosiłem, zawiązując prezerwatywę i wyrzucając ją do kosza.

– Sam się tłumacz, jak taki z ciebie kozak – roześmiała się i zakładając szlafrok, dokończyła zmywanie naczyń.

„Takiej notatki służbowej to pewnie jeszcze nie spisywali” – pomyślałem, podchodząc do dzwoniącego na stole telefonu.

– No, co jest doktorku? – rzuciłem, odbierając połączenie od Michała.

– To jest baranie, że landryniecka twojej szefowej czeka na odbiór – oznajmił kumpel.

– A miałem taki przyjemny wieczór – westchnąłem i na samą myśl, że do czasu zakończenia pracy u Blanki będę musiał przynajmniej raz usiąść za kierownicą lexusa, zakląłem bezgłośnie.

– Rozumiem, że trochę ci go spieprzyłem, ale cóż, jestem tylko posłańcem, a jak wiesz, tych się nie zabija, nawet gdy przynoszą złe wiadomości – przypomniał Michał, prosząc, abym nazajutrz zjawił się w serwisie.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Marta, kończąc wycierać blat.

– Poza tym, że naprawili landrynkę, to nic.

– Co naprawili? – zdziwiła się, nie wiedząc, o czym bredzę.

– Nie ważne – machnąłem ręką i porywając ją na rękę, pobiegłem do swojego pokoju.

– Puszczaj idioto, bo jeszcze mi coś zrobisz! – piszcząca, okładając mnie pięściami po torsie.

– Pewnie, że zrobię, a jak się nie uciszysz, to sąsiedzi na pewno zadzwonią po niebieskich – ostrzegłem.

– Ale ja nie wiem, czy jeszcze chcę.

– Skoro nie wiesz, to zaraz sprawdzimy – mruknąłem, kładąc ją na perfekcyjnie zaścielone łóżko, a następnie zanurkowałem między jej rozchylone uda. Już po kilkunastu ruchach językiem, okazało się, że jednak ma ochotę.

– O której dzisiaj kończysz, moja pieczarko? – zapytałem, odwożąc ją następnego ranka do pracy.

– Jeszcze raz powiesz do mnie pieczarko, to dostaniesz w zęby – zagroziła, posyłając mi mordercze spojrzenie.

– Kochanie nie, pieczarko nie – przewróciłem oczami – to w końcu jak mam się do ciebie zwracać?

– Może zwyczajnie, po imieniu.

– Dobrze. Marto, o której kończysz dzisiaj pracę? – ponowiłem pytanie, stosując się do otrzymanej instrukcji.

– O szesnastej, dlaczego pytasz?

– Bo chciałem cię zaprosić na kolację – oznajmiłem uroczystym tonem.

– Na kolację mówisz, a dokąd?

– Do siebie. Dzisiaj ja przygotowuję coś smacznego.

– No, nie wiem, czy chcę. Jak sobie pomyślę, ile po twoim kucharzeniu będzie garów do zmywania, to przestaję być głodna.

– Nie dramatyzujmy, zrobię coś prostego – zapewnilem – a poza tym mamy już wprawę w zmywaniu – dodałem, puszczając do niej oczko.

– No tak, przyjdę do ciebie i będziemy zmywali – wyrecytowała, parodiując jedną z reklam, a następnie cmoknęła mnie w policzek, wysiadła i ruszyła do jednego z biurków.

„Będziemy zmywali, lepiej tego nie mogłaś ująć moja kochana pieczarko” – pomyślałem, zapalając silnik i ruszając do Janek po odbiór cukiereczka.

Lexus Blanki wyglądał tak, jakby dopiero wyjechał z salonu. Perłowy lakier koloru różowej muszli odbijał poranne promienie, budząc ogólny zachwyt wszystkich, którzy przechodzili obok samochodu.

– Trochę ci zazdroszczę – wyznał Michał, wręczając mi kluczyki oraz dokumenty.

– Tylko trochę? – zdziwiłem się. – Myślałem, że zazdrościsz mi po całości – zadrwiłem, chowając papiery do schowka po stronie pasażera.

– No dobra, zazdroszczę po całości, bo jazda tą furą to lepsze niż oglądanie Anglików na Wembley – przyznał kumpel, a biorąc pod uwagę, że piłkę nożną traktował jak jedno ze swoich dzieci, Lexus musiał go kompletnie oczarować. Na mnie auto nie robiło aż takiego wrażenia. Może dlatego, że nie przywiązywałem się do samochodów aż tak mocno, jak Michał.

– Jakbyś miał na oku coś budżetowego, to daj mi cynk – zmieniłem temat, bo perspektywa utraty pracy, a tym samym pozostania bez samochodu rysowała się w mojej wyobraźni coraz wyraźniej.

– Co masz na myśli, mówiąc budżetowego? – Michał przeszedł do konkretów.

– Coś między dwanaście, a piętnaście tysięcy – odparłem.

– Wyzwanie trudne – powiedział otwarcie – ale czasami zdarzają się okazje – dodał, widząc, jak nadzieja gaśnie w moich oczach.

– Cudów nie oczekuję, ale dobrze, gdyby był w gazie, miał sprawną klimę, elektryczne szyby...

– Olek nie rozpędzaj się – przerwał kumpel.

– No dobra, najważniejsze, żeby jeździł, przeszedł badania techniczne i miał cztery drzwi – ograniczyłem swoje wymagania do minimum. Michał jeszcze raz zapewnił, że będzie o mnie pamiętał i wrócił do serwisu. Wnętrze lexusa z miejsca przytłoczyło mnie wielkością i wyposażeniem. Mimo to zdołałem odpalić silnik i ruszyć. Mijając BMW, które kumpel miał odstawić do ubezpieczyciela, poczułem lekkie ukłucie żalu. Wątpiłem, aby w tym różowym cukiereczku czekało mnie tyle fantastycznych przygód. Przez pierwsze kilka minut musiałem przyzwyczaić się do reakcji, jakie wywoływał Lexus. Inni kierowcy spoglądali z zaciekawieniem na ten cud techniki. Z kolei panie za kierownicą bardzo często do mnie machały.

„Stary, to tylko kilka dni” – pocieszałem się w myślach, postanawiając, że do powrotu Blanki z Meksyku, ograniczę używanie lexusa do niezbędnego minimum. Tylko że nawet to niezbędne minimum uważałem za coś równie upokarzającego, jak różowy tatuaż nad moim fiutem. Wspomnienie dziury przypomniało mi myśl, jaka zaświtała w mojej głowie, gdy poprzedniego wieczoru zasypiałem, tuląc w ramionach nagą Martę. Pomyślałem wtedy, że powinienem podziękować Oli, że uświadomiła mi tymczasowość tatuażu. Im bliżej byłem centrum, tym bardziej przekonywałem się do swojego pomysłu. Niewiele myśląc, skręciłem na skrzyżowaniu i po dwudziestu minutach stałem już pod blokiem siostry. Nie wiedziałem, czy jest w domu, bo zamiast się zapowiedzieć, postanowiłem zrobić jej niespodziankę. Kiedy usłyszałem jej zaspany głos, odetchnąłem z ulgą.

– Olek! Czy coś się stało? – zapytała, zaskoczona moją wizytą.

– Wczoraj zapomniałem ci o czymś powiedzieć, ale jeśli jestem nie w porę lub masz jakiegoś gościa, to przyjadę później.

– Zawsze jesteś mile widziany – oświadczyła, zwalniając blokadę zamka. Idąc po schodach, zastanawiałem się, czy po tym, co jej powiem, wciąż będzie dla mnie taka miła. Dzwoniąc do drzwi jej mieszkania, uznałem, że później tak, ale początek może być ciężki.

– Sorry, że cię obudziłem – przeprosiłem, widząc, że Ola ma na sobie swoją ulubioną piżamę w niebieskie stworki. Jej strój gwarantował jednak, że jest sama.

– Żaden problem, właśnie miałam wstać – zapewniła.

– Muszę ci o czymś powiedzieć, tylko nie wiem, od czego zacząć – przyznałem, robiąc zakłopotaną minę.

– Najlepiej od początku – poradziła, a wyraz jej twarzy wskazywał, że spodziewa się jakiejś błahej, a może nawet milej wiadomości.

– Wiem, że to ty pomogłaś Pawłowi zdobyć klucze do mieszkania Blanki – wypaliłem, chcąc mieć za sobą najtrudniejszą część tej rozmowy. Reakcja bliźniaczki była do przewidzenia. Zbladła, a jej duże szare oczy i uniesione wysoko brwi, upodobniały ją do sowy.

– A skąd to wiesz? – zapytała tak cicho, że ledwie zrozumiałem jej słowa.

– Zrób kawę, a wszystko ci opowiem – poprosiłem, dodając, że to będzie długa rozmowa. Przez kolejne dwie godziny opowiadałem, jak udało mi się dorobić klucz do mieszkania Blanki, opisałem, gdzie były ukryte kompromitujące materiały. Jednak gdy doszedłem do momentu, kiedy na scenę wkroczył Paweł, oczy Oli zrobiły się jeszcze większe i bardziej okrągłe. Dopiero gdy zakończyłem opowieść i zapewniłem, że nie było żadnej grupy, a wszystko wymyślił Lipiec, siostra odetchnęła z ulgą.

– A Blanka nie mogła zrozumieć, jak wszedłeś w posiadanie tych materiałów – wyznała Ola – dodając, że szefowa podejrzewała nawet, iż najpierw dogadałem się z Pawłem, a później go wykończyłem.

– Ja z nim nawet słowa nie zamieniłem – zapewniłem, dopijając resztę, zimnej już, kawy. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Ola zapatrzona w wysokie okna, przez które było widać kawałek parkingu i niewielki skwer z kilkoma drewnianymi ławkami, intensywnie nad czymś myślała.

– I co teraz z tym wszystkim zrobimy? – zapytała, przerywając ciszę.

– Nic – przyznałem szczerze, bo dla mnie sprawa w pewnym sensie była zamknięta. Owszem zamierzałem zgłębić temat spalonego burdelu, a może nawet zabawić się w kapusia i donieść na Blankę odpowiednim służbom, ale tego Oli nie powiedziałem.

– Jednego możesz być pewna, Blanka nie wie nic o twoim udziale i nigdy się nie dowie – zapewniłem.

Ola chciała coś odpowiedzieć, lecz przerwał jej dzwonek domofonu.

– To chyba Bartek, wspominał, że wpadnie dzisiaj do mnie – wyjaśniła, wstając z sofy.

– To, ty idź, ubierz coś mniej obciachowego, a ja mu otworzę i przez chwilę zabawię – zaproponowałem, podchodząc do domofonu. Siostra podziękowała i zniknęła w łazience. Tak jak obiecałem, zająłem się chłopakiem siostry. Zaserwowałem mu kawę, a nawet znalazłem dietetyczne ciasteczka owsiane. Kawę chętnie przyjął, ale za ciasteczka podziękował. Kwadrans później z łazienki wyszła zrobiona na bóstwo Ola, a ja wymawiając się obowiązkami, zniknąłem im z oczu.

Parkując na miejscu, na którym przez długie lata stał zielony golf, a po nim przez kilka tygodni czarne BMW, miałem nadzieję, że żaden z sąsiadów nie zapyta, skąd mam nową furę. Na szczęście pora była dość wczesna i nie spotkałem żadnego lokatora, wykazującego zainteresowanie różowym samochodem. Już będąc w mieszkaniu, wysłałem do Blanki zdjęcie lexusa, zrobione od przodu przed serwisem Michała, aby pokazać, że jej różowy cukiereczek jest cały i piękny. Następnie zrobiłem sobie kolejną kawę i usiadłem przed laptopem. Wklepanie całego artykułu do internetowego translatora, zajęło mi prawie godzinę. Jednak czytając przetłumaczony tekst, zacząłem mieć wątpliwości, czy ten pożar był tym samym, który spowodowała Blanka. Przede wszystkim nie zgadzał się czas. Według mojej szefowej z burdelu uciekła w maju, a pożar opisywany w gazecie miał miejsce pod koniec sierpnia. Poza tym jako przyczynę podawano zwarcie instalacji elektrycznej, a nie celowe podpalenie. Rozbieżności dotyczyły także lokalizacji. Według Blanki willa stała niedaleko dworca kolejowego, a budynek z artykułu znajdował się na obrzeżach miasta.

„Tylko dlaczego Paweł przechowywał tę gazetę?” – myślałem intensywnie, tępo wpatrując się w ekran laptopa. Wylączając komputer, zacząłem podejrzewać, że Blanka wszystko zmyśliła, łącznie ze swoim pobylem w burdelu. A ja, żądny sensacji jak pudelki, pomponiki, sedesiki i nocniki, uwierzyłem w jej bajeczkę.

„Głupi baran z ciebie i tyle” – zbeształem się w myślach i widząc, że dochodzi czternasta, poszedłem odgrzać resztę potrawy z wczoraj, która choć w smaku była zajebyta, to z pewnością nie można jej było nazwać spaghetti. Przed wyjściem z domu zdążyłem jeszcze wziąć szybki prysznic i wysłać promotorce zaległą bibliografię. Kilka minut po piętnastej zbiegłem na parking i wsiadłem do różowego auta.

Gdy zaparkowałem obok biurowca, w którym pracowało moje kochanie, do szesnastej brakowało dwudziestu minut. Z nudów zacząłem więc przeglądać instrukcję użytkowania lexusa, znalezionej w schowku pod siedzeniem. Po przeczytaniu kilkunastu stron wiedziałem, dlaczego takie samochody tyle kosztują. Moją lekturę przerwało nadejście Marty, która widząc, czym po nią przyjechałem, nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Co za twarzowy kolor – kpiła i nawet informacja, że samochód kosztował tyle, ile ona zarobi przez dziesięć lat, nie zrobił na niej wrażenia. Jednak najgorsze było jej zachowanie podczas jazdy. Gdy któryś z kierowców machał do nas, ona przysyłała mu buziaka.

– Możesz przestać zachowywać się jak właścicielka tego luksusowego samochodu – poprosiłem, sądząc, że przyrównanie do Blanki uzna za jawną obelgę, obrazi się i z nadąsaną miną, ale w spokoju dojedziemy do mnie. Jednak Marta zdawała się świetnie bawić, a moje słowa wpadały jednym uchem, a wypadały drugim.

– Prosiłem, żebyś przestała – powtórzyłem, czując, jak z każdą chwilą rośnie mi ciśnienie.

– A jak nie? – rzuciła zaczepnym tonem wojowniczką z jakiegoś dzikiego plemienia.

– To wtedy wywiozę cię do Lasu Kabackiego i zerznę od tyłu – oznajmiłem tonem faceta gotowego na wszystko. Błysk, jaki zobaczyłem w oczach Marty, nie wróżył niczego dobrego. Już przygotowałem się na cios w zęby, który zapowiedziała mi rano, gdy nagle zupełnie zmieniła swoje zamiary.

– W głębie to naprawdę jesteś mocny – zadrwiła, a ja natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przypomniałem sobie słowa Blanki opisujące facetów: »Wszyscy jesteście tacy sami. W głębie to byście w pojedynkę całą ruską armię pokonali, przelecieli każdą kurwę z berlińskich burdeli i najpiękniej zatańczyli w *Tańcu z Gwiazdami*, a jak trzeba coś zrobić, to was głowa boli. Takie z was miękkie fiuty« – usłyszałem w głowie i coś w mnie pękło.

„O moja panno, tak bawić to się nie będziemy” – pomyślałem, i objeżdżając rondo, zawróciłem w kierunku kabackiego lasu.

– Gdzie jedziesz? – rzuciła zaniepokojona Marta, orientując się, że zmieniłem trasę.

– Tam, gdzie ci obiecałem – oznajmiłem.

– Jak to mówi miłościwie nam panujący prezydent, używając staropolskiego przysłowia: »nie strasz, nie strasz« – zacytowała, a dziwny uśmieszek na jej piegowanej twarzy, dowodził, że nie wierzy w moje perwersyjne obietnice. Dopiero gdy dojechaliśmy na miejsce, a ja zaparkowałem w ustronnym zakątku, zrozumiała, że nie żartowałem.

– A jak nas ktoś zobaczy? – zapytała, rozglądając się niepewnym wzrokiem po огоłoconych z liści drzewach, tonących w zapadającym zmierzchu.

– O tej porze są tu tylko dziki i wiewiórki – zapewniłem, naciskając jeden z przycisków na kierownicy. Zgodnie z tym, co napisano w instrukcji oparcia przednich siedzeń i tylnej kanapy zaczęły się rozkładać, aby stworzyć coś w rodzaju materaca. Marta czując, że jej plecy tracą oparcie, krzyknęła przestraszona. Jednak, gdy zrozumiała, co się dzieje, nie mogła wyjść z podziwu.

– O cholera, ale bajer – mruknęła, kręcąc z niedowierzaniem głową. Nie tracąc czasu na pochwały japońskiej myśli technicznej, zdjąłem kurtkę, buty i skarpety. Kiedy zacząłem ściągać koszulkę, zorientowałem się, że Marta wciąż siedzi ubrana.

– Coś się stało? Zobaczyłaś jakiegoś dzika, albo nie daj Boże wiewiórkę? – zażartowałem i chcąc się upewnić, że moje słowa nie są prorocze, zlustrowałem okolicę. Jednak w szybko gęstniejącym mroku nie dostrzegłem niczego niepokojącego.

Jeszcze nigdy nie robiłam tego w aucie – przyznała zawstydzona Marta, a delikatny rumieniec ozdobił jej piegowe policzki.

– Spokojnie, ja też nigdy nie robiłem tego z tobą w samochodzie – oznajmiłem i dopiero wtedy zrozumiałem, jak obciachowo zabrzmiały moje słowa. – Jeśli nie masz ochoty, to żaden problem – zapewniłem, na powrót ubierając

koszulkę.

– To nie tak, że nie chcę. Boję się, że ktoś może nas zobaczyć – wyznała, a rumieniec na jej policzkach, stał się o jeden ton ciemniejszy.

– Akurat to jest jedno z bezpieczniejszych miejsc do robienia takich rzeczy – rzuciłem bez zastanowienia i wtedy dotarło do mnie, że tym zdaniem pograżyłem się jeszcze bardziej. Nie chcąc ryzykować kolejnych wpadek, zgasilem górne światło, a następnie przesunąłem się bliżej Marty i objąłem ją ramieniem. Choć była spięta, pozwoliła abym ją pocałował. Nie protestowała też, gdy chwilę później położyłem ją na rozłożonych ciepłych siedzeniach. Początkowe napięcie i strach stopniowo ustępowały miejsca rozluźnieniu, które po kwadransie przerodziło się w żywiołowe zaangażowanie. Nastrojowa muzyka płynąca z kilkunastu głośników, otulała nas z każdej strony, robiąc atmosferę jeszcze bardziej romantyczną.

– Wiesz, że jesteś obłędnie seksowna? – zapytałem, wsuwając dłoń pod jej bluzkę. Pieszcząc piersi przez materiał stanika, drugą ręką rozpiąłem suwak z boku jej spódnicy. Czując, jak delikatnie uniosła biodra, zsunąłem oficjalny strój przykładowej pracownicy biurowej, odsłaniając długie, zajeźbicie zgrabne nogi. Po spódnicy przysła kolej na rajstopy, a chwilę później ten sam los spotkał koronkowe figi.

– A twoja fryzurka – pogłaskałem wąski paseczek włosów lonowych – sprawia, że dostaję obłędu – dodałem, zsuwając się między jej rozchylone uda. Marta złapała mnie za włosy i przyciągnęła do swojej cipki. Gdy koniuszkiem języka zacząłem drażnić lechtaczkę, jeszcze szerzej rozchyliła nogi, otwierając się dla mnie zupełnie, a ja zatraciłem się w niej całkowicie i bez pamięci.

– Olo, Olo, Olo – jęczała, pozwalając aby moje palce, wspólnie z językiem doprowadzały ją na krawędź, za którą była już tylko rozkosz i spełnienie.

– Zerznij mnie, tak jak obiecałeś – wyjęczała i obracając się na brzuch, wypięła kształtną, jędrną pupę. Szybkim ruchem rozdarłem opakowanie, przygotowanej zawczasu prezerwatywy, a truskawkowy aromat rozszedł się po wnętrzu auta. Ubrałem gumkę i opadłem na Martę. Choć lexus był sporych rozmiarów, to jednak brakowało mu trochę wysokości, a to wykluczało klasyczną pozycję od tyłu, jaką zapowiedziałam Marcie, gdy swoim gówniarskim zachowaniem, omal nie doprowadziła mnie do furii. Skórzana tapicerka cicho skrzypiała, biorąc na siebie ciężar naszych intensywnie pracujących ciał. Marta jęczała z przyjemności, wzdychała, a raz nawet zakłęła, co podczas seksu nigdy wcześniej się jej nie zdarzało. Skurcze jej cipki, manifestującej nadchodzący orgazm, sprawiły, że skończyliśmy niemal równocześnie. Spełniony zsunąłem się obok łapiącej oddech Marty i gładząc ją po gorących wilgotnych plecach, odpoczywałem.

– Wiesz, Olo, to było... – Marta przez chwilę szukała odpowiedniego słowa, godnego sytuacji – to było obłędne – oświadczyła, przetaczając się na plecy i poprosiła abym zapalił światło, bo nic nie widzi. Sięgnąłem dłonią do podsufitki i po chwili wokół zrobiło się jasno.

– Mówiłem ci, kochanie, że będzie fantastycznie – przypomniałem, a w następnej chwili dziewczyna, której właśnie zaserwowałem jeden z najlepszych orgazmów w jej życiu, przyłożyła mi z liścia w twarz.

– Za co? – zapytałem kompletnie zaskoczony jej reakcją, rozmasowując piekącą policzek.

– Za kochanie, ty baranie – odpowiedziała rymem rodem z Częstochowy i zaczęła ubierać kolejne części garderoby.

»Pod wargami, które całują, są zęby, które gryzą« – przypomniałem sobie aforyzm, przeczytany jakiś czas temu. Analogia do tego, co przed chwilą zaszło, była oczywista. Tyle, że Marta najpierw rączką zrobiła mi miziu, miziu po kutasie, a chwilę później strzeliła mnie w ryj.

– Musimy to kiedyś powtórzyć – mruknęła zadowolona, zapinając suwak spódnicy.

– Jeśli w tak luksusowych warunkach, to mamy jeszcze trzy dni, bo później wraca Blanka, a ona ma zasadę, że w jej samochodzie, albo ona pieprzy kogoś, albo ktoś pieprzy ją – wyrecytowałem regułę, którą dzisiaj złamałem po raz drugi, a właściwie pierwszy, bo wtedy gdy testowałem BMW z dziewczyną poznaną na Tinderze, nie miałem o niej pojęcia. Teraz natomiast była to już recydywa. Ledwie wyruszyliśmy w drogę powrotną, rozdzwonił się mój telefon.

„O różowej panterze mowa, a pantera tuż, tuż” – pomyślałem, przekształcając w głowie powiedzenie o wilku.

– Dzwoni Blanka, więc zrób mi Marto tę przyjemność i bądź cicho – poprosiłem, wiedząc, że będę musiał rozmawiać przez zestaw głośnomówiący, bo nie uśmiechało mi się dostać mandatu, za korzystanie z komórki.

– Dobrze zrobię ci tę przyjemność – zapewniła, szczególnie akcentując słowo przyjemność.

– Tu kierowca różowego cukiereczka, w czym mogę pomóc? – mój żart nie rozbawił Blanki, a raczej ją zirytował.

– Jak jeszcze raz nazwiesz tak mojego lexusa, to dam ci w zęby – ostrzegła, czym wywołała uśmiezek na twarzy Marty.

– Dobra, przestaję żartować i staję się poważny jak posąg Buddy ze Świątyni Pięciu Pagód.

– Chciałam cię tylko poinformować, że mój powrót trochę się przyspieszy – zakomunikowała Blanka, ignorując wzmiankę o mojej powadze.

– To znaczy jak bardzo? – zapytałem, tracąc nadzieję na kolejny wypad z Martą w jakieś zaciszne miejsce, niekoniecznie do Kabackiego Lasu.

– Łąduję na Okęciu jutro o dwudziestej pierwszej osiemnaście – słysząc to, zrobiłem skwaszoną minę.

– Dobra, przyjadę – zapewniłem, dodając, że właśnie testuję lexusa i z samochodem wszystko wydaje się być w porządku.

– Mam tylko nadzieję, że nie wozisz w nim jakiś tinderowych, albo co gorsza leśnych ssaków? – rzuciła groźnie, używając określenia, jakim nazywano prostytutki świadczące swoje usługi przy drogach.

– Możesz być spokojna. Wożę tylko porządne, kulturalne dziewczyny, pracujące w warszawskich korporacjach – oświadczyłem, spoglądając ciepło na Martę. Moje szczere wyznanie Blanka potraktowała jako kolejny żart, co w pewnym sensie mnie ucieszyło.

– Porządne dziewczyny z warszawskich korporacji i ty? To jak spotkanie Marsa z Wenus, a mówiąc prościej, to *mission: impossible...*

– Jak mogłaś się przekonać, jestem facetem do zadań specjalnych – przerwałem jej bezceremonialnie, a moje słowa okazały się czymś w rodzaju zdalnego knebla, który nawet na odległość potrafił odebrać głos.

– Chłopczyku, miałaś farta i tyle – prychnęła, odzyskując zdolność mówienia i zakończyła połączenie.

– Jak słyszałaś, więcej nie skorzystamy z leksusów oferowanych przez lexusa – powiedziałem, wsuwając dłoń pod spódniczkę pasażerki. Jej gładkie uda, bez rajstop, które w szale motoryzacyjnych igraszek trochę się popsęły, sprawiły, że znowu nabrałem ochoty na małe co nieco.

– Przestań – poprosiła poważnym, zamyślnym tonem, zwiastującym jakieś trudne, niewygodne dla mnie pytanie.

– Co miałaś na myśli, mówiąc że jesteś facetem do zadań specjalnych? – zapytała, gdy moja dłoń opuściła ciepłe, aksamitne udo i wylądowała na podgrzewanej, gładkiej kierownicy.

„No, to teraz kombinuj facecie do zadań specjalnych, tylko uważaj, żebyś nie przekombinował” – usłyszałem szyderczy głosik w swojej głowie.

– Nic, co można uznać za ciekawy temat do rozmowy – spróbowałem zlekceważyć swoje niedawne słowa.

– Mimo to, chętnie posłucham – nalegała, wgniatając mnie w fotel tym dawnym, twardym i nieprzychylnym spojrzeniem.

– Ale to naprawdę nic ważnego.

– Pozwól, że ja to ocenię.

– Dobra – skapitulowałem i pomijając pewne mało istotne szczegóły, zrelacjonowałem zajście z Zakopca. Gdy w swej opowieści dotarłem do momentu znokautowania krewkiego górala, ciałem Marty wstrząsnął dreszcz obrzydzenia.

– Przysięgałeś, że już nigdy, nikogo nie uderzysz – przerwała tonem, który skojarzył mi się ze sceną odkrycia zdrady małżeńskiej, jaką widziałem przez przypadek w taniej tureckiej telenoweli, oglądanej namiętnie przez matkę.

– Dziewczyno – przecież tamten facet, chciał spuścić Blance wpierdol! – przypominałem, podnosząc głos o kilka tonów.

– Odwieź mnie do domu – zażądała.

– Jak sobie życzysz – mruknąłem i pół godziny później zaparkowałem przed odnowionym wieżowcem. Jednak Marta, zamiast wysiąść, wpatrywała się w mrok rozjaśniany nielicznymi latarniami.

– Olo, nie wiem, czy ty i ja – zaczęła odważnie i nagle jakby przestraszona tym, co miała zamiar powiedzieć, równie szybko zamilkła.

– Nie wiesz, czy mamy szansę – dokończyłem za nią, domyślając się, co chciała mi oznajmić.

– Tak – przyznała, dodając, że seks to nie wszystko.

– No jasne, że nie, bo gdyby bzykaniem dało się naprawić całe zło tego świata, to kula ziemską przypominałaby jedną, wielką orgię wszystkich ras i narodów – oznajmiłem, na co Marta lekko się skrzywiła.

– Czy ty kiedykolwiek poważnie myślałeś o swojej przyszłości? – zapytała, a w następnej chwili wysiadła, zostawiając mnie sam na sam z egzystencjalnym pytaniem.

„Kobiety, kobiety” – westchnąłem w myślach i odjechałem. Przez całą drogę do domu próbowałem zrozumieć Martę, a zwłaszcza jej sceptycyzm dotyczący naszego związku. Moje przekonanie, że skoro w rozdzielającym nas przez kilka lat rowie złożyła wszystkie moje winy, a ja ochotczo je zakopałem, to teraz może być już tylko lepiej, prysnęło niczym bańka mydlana.

Wchodząc do pustego mieszkania, wyczułem w powietrzu delikatną woń perfum. Marta używała ich prawie od początku naszej znajomości. Był to mój prezent z okazji jej siedemnastych urodzin. Wtedy spryskała się nimi po raz pierwszy, a po imprezie pierwszy raz poszliśmy do łóżka i to także było dla niej nowe doświadczenie. Odpędzając wspomnienia ukryte w ledwie wyczuwalnym zapachu, skupiłem się na ważniejszych i bardziej przyziemnych sprawach. Fakt, że Blanka postanowiła zmienić termin powrotu, automatycznie wymusił wprowadzenie modyfikacji do mojego planu, którego integralną częścią było sprowadzenie toyoty Pawła do Warszawy. Spakowawszy najpotrzebniejsze rzeczy, wyruszyłem na dworzec. Musiałem dojechać pociągiem do Częstochowy, wrócić terenówką do stolicy, w dyskretny sposób powiadomić policję o tożsamości denata, który prawie od miesiąca blokował miejsce w prosektorium, a na koniec jakby nigdy nic wesoły i pachnący ulubionymi perfumami Blanki, odebrać ją z lotniska. W międzyczasie zamierzałem również pogadać z Martą, ale wróżąc z ostatnich wydarzeń, w tej materii miałem niewielkie szanse na sukces.

Częstochowa nocą wyglądała jak miasto z piosenki zespołu De Mono. Podejrzone typy w ciemnych ulicach, chowający w kieszeniach ostre noże, ciężkie kroki na nierównych chodnikach i betonowych schodach, a w tym wszystkim ja. Niewysoki chłopak z Warszawy. Na szczęście strach zawsze działał na mnie mobilizująco, więc idąc pewnie, ignorowałem śledzące mnie spojrzenia. Jeszcze w pociągu zastanawiałem się, czy po tylu tygodniach toyota wciąż będzie stała na parkingu, czy też jeździ już po Moskwie. Ku mojej niewysłowionej radości auto stało tam, gdzie je zostawiłem.

„Wielkie dzięki, Najświętsza Panienko” – pomyślałem, patrząc z wdzięcznością na oświetlone wieże jasnogórskiego klasztoru. Po wywietrzeniu wnętrza usiadłem za kierownicą, odpaliłem silnik i poczekałem, aż temperatura osiągnie pożądaną wartość. Choć terenówka miała zaledwie cztery lata, jej wyposażenie nie wykraczało poza standardowe, a o czymś takim jak podgrzewana kierownica, do której zdążyłem się już przyzwyczaić jeżdżąc beemką i lexusem, mogłem jedynie pomarzyć.

»Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma« – przypomniałem sobie kolejne z powiedzeń babci Ani, a następnie opuściłem miasto świętej wieży, gdzie jak śpiewał Muniek Staszczyk: »King całował się z papieżem«. Przed wjazdem na trasę A1 zjechałem na Orlen, bo toyota ze swoim silnikiem o pojemności dwa i pół litra do oszczędnych niestety nie należała.

„Mateuszek, kłamaczuszek” – pomyślałem, tankując benzynę po pięć dziewięćdziesiąt dziewięć, która według niedawnych słów premiera, miała kosztować nawet mniej niż pięć złotych. Podobne zdanie mieli zresztą także inni tankujący.

– A miało kosztować piąta – zaśmiał się gorzko kierowca białej furgonetki, płacący przede mną.

– Jak byłem młody, to jeden taki wśczech obiecał, że zrobi z Polski drugą Japonię – odpowiedział drwiąco kasjer, którego po zmęczonym wyrazie twarzy i fackie, że pamiętał słynne zapewnienie Lecha Wałęsy, które ja znałem tylko z opowiadań rodziców, oceniłem na pięćdziesiąt plus.

– A jak ruskie wejdą na Ukrainę, to zobaczysz pan, że taniej będzie jeździć na spirytusie – dodał mężczyzna, kasując ponad trzysta złotych.

– Wypłuj pan te słowa – rzucił klient, przykładając do terminala kartę i wstukując PIN. Mój rachunek wcale nie był o wiele niższy, co prawda kupiłem jeszcze różowego energetyka, kawę i bułę z pieczarką, która nie wiedzieć czemu skojarzyła mi się z Martą. Właśnie wjechałem na autostradę, gdy zadzwoniła Ola.

– Wiesz, że Blanka wraca już jutro? – rzuciła z takim przejęciem, jakby wiadomość mogła pretendować do hitu serwisów informacyjnych, a ona nadal była asystentką gwiazdy.

„Wyluzuj, siostra, już jesteś wolna i szczęśliwa” – pomyślałem, a głośno powiedziałem, że wiem, bo do mnie dzwoniła.

– I co zamierzasz? – w pytaniu bliźniaczki nie dosłyszałem żadnego podstępного tonu, a jedynie zwykłą ciekawość.

– Zrezygnować z intratnej i prestiżowej pracy – podtrzymałem postanowienie, o którym powiedziałem Oli, podczas naszej porannej rozmowy. Oczywiście o niespodziance, jaką właśnie przygotowywałem dla Blanki, nawet się nie zająknąłem. To musiała być totalna zaskoczką. Dlatego nie mogłem sobie pozwolić na wtajemniczenie do sprawy nawet własnej siostry. Podręczniki dla szpiegów wyraźnie przecież zaznaczały, że tajemnica jest wówczas, gdy wie o niej tylko jedna osoba.

– To z czego będziesz żył? – zapytała jak zwykle praktyczna i zapobiegliwa Ola. Czasami miałem wrażenie, że choć pochodzimy od tych samych rodziców i urodziliśmy się w odstępnie zaledwie kilku minut, to różni nas wszystko, począwszy od płci, a na podejściu do życia skończywszy.

– Z oszczędności, ostatniej pensji od Blanki, a później się zobaczy – odparłem, tonem beztróskiego lekkoducha, który o przeszłości nie pamiętał, przyszłości nie planował, a żył tylko chwilą obecną. Myślałem, że Ola rzuci jakimś moralizatorskim tekstem o samodzielności, stabilizacji i dojrzałości, ale ona tylko znacząco chrząknęła.

– Spokojnie, siostra, dam radę – zapewniłem, dodając, że Michał ma mi znaleźć jakąś furę, więc z powrotem zacznę robotę w Uberze. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o jakichś duperelach, aż Ola stwierdziła, że musi iść spać, bo rano ma rozmowę o pracę i życząc mi dobrej nocy, zakończyła połączenie.

„Może to nie taki głupi pomysł znaleźć sobie jakiś etat” – pomyślałem, włączając swoją ulubioną stację radiową. Dziwnym zbiegiem okoliczności trwała właśnie audycja o relacjach międzyludzkich, jak związki nazywał jeden z zaproszonych gości. Dla mnie to określenie brzmiało zbyt mądrze i naukowo. Jednak poza tym jednym zgrzytem, facet mówił całkiem do rzeczy. Przedstawiał postawy młodych ludzi, wyjaśniał ich przyczyny, a na koniec postawił dość odważną tezę. Jego zdaniem, większość kobiet między dwudziestym czwartym, a trzydziestym rokiem życia, które nie są w żadnych bliższych relacjach, marzy o znalezieniu stałego partnera i założeniu rodziny. Moim zdaniem gość tylko w połowie miał rację, bo nawet obserwując zaczepki na Tinderze, bardzo często widziałem profile kobiet w tym wieku, które otwarcie mówiły: »żadnych związków, żadnych dzieci, żadnej rodziny«.

„No tak, pewnie ta mniejszość nie ma konta na Tinderze” – pomyślałem, widząc na horyzoncie zabudowania stolicy. Godzinę później dotarłem do Otwocka, zaparkowałem toyotę przed blokiem, w którym Blanka miała kawalerkę i pierwszym porannym pociągiem wróciłem do Warszawy. Wsiadłem na śródmieściu i idąc tunelem w stronę centralnego, zastanawiałem się, czy najpierw powinienem zrealizować ostatnią część planu, czy pójść spać. W końcu doszedłem do wniosku, że sen nie zając, nie ucieknie.

Oficer dyżurny z komisariatu na Okrężnej wyglądał na znudzonego pracą, życiem, a nawet samym sobą. Gdy mnie zobaczył, szybkim ruchem schował do szuflady, trzymaną w dłoni komórkę.

– Tak, słucham? – odezwał się głosem, którego barwę uznałem za nijaką.

– Znalazłem to przy kontenerze, gdy poszedłem wyrzucić śmieci – zaserwowałem, przygotowaną wcześniej bajeczkę i postawiłem na ladzie czarny plecak, kupiony specjalnie na tę okazję.

– A co jest w środku? – zapytał policjant, jednak tym razem w jego głosie pojawiła się nuta podejrzliwości, której towarzyszyło podobne spojrzenie.

– Coś, co powinno policję zainteresować! – krzyknąłem i wybiegłem z budynku. Przez jakieś dwa kilometry pędziłem z maską na twarzy i kapturem na głowie. Wiedziałem, że pandemiczne obostrzenia i aura są moimi

sprzymierzeńcami. Widok faceta biegnącego w maseczce, chociaż na zewnątrz nie trzeba ich było używać, nikogo nie dziwił. Podobnie jak kaptur narzucony na głowę. Dopiero gdy upewniłem się, że nikt mnie nie goni, a w pobliżu nie ma żadnych kamer, wszedłem do przypadkowej bramy, swoją dwustronną kurtkę, przewróciłem na drugą stronę, a zamiast kaptura, na głowę wcisnąłem czapkę, kończąc w ten sposób metamorfozę, z której nie jeden wzięty stylistą byłby dumny. Tak odmieniony wyszedłem na ulicę, spacerowym tempem dotarłem do przystanku autobusowego i po dwóch godzinach oraz trzech przesiadkach wróciłem do domu. Gdy zasypiałem zadowolony z dobrze wykonanego obywatelskiego obowiązku, z radioodbiornika sąsiadki wybrzmiały właśnie pierwsze takty hejnału z Krakowa.

„Kraków, cudowne miasto” – pomyślałem, przypominając sobie mój pierwszy dalszy wyjazd z Martą, ale pamięć wyświetliła jedynie kolejny przedział, bo później zapadłem w sen.

Obudziły mnie dziwne odgłosy, dochodzące z przedpokoj. Na wół przytomny usiadłem na łóżku, szukając zaspanym wzrokiem jakiegoś przedmiotu, którym mógłbym przepędzić włamywaczy. Dopiero głos matki, proszącej ojca, aby coś wreszcie zrobił z tym wieszakiem, przypomniał mi, że mieli wrócić późnym popołudniem. Przez kolejną godzinę wysłuchiwałem wieści o tym, co słychać u kuzynów, kuzynek, wujków i ciotek, których właściwie nie znałem. Wyjątek stanowiła Agnieszka, która kilka lat temu, gdy odwiedziłem wujostwo podczas wakacji, miała ochotę właśnie ze mną przeżyć swój pierwszy raz. Na szczęście zdołałem oprzeć się jej wdzięk, choć łatwo nie było i jeszcze przez długie tygodnie po powrocie do domu, śniłem o jej nagim ciele, którego nie zakosztowałem. Jednak teraz, po tylu latach, pewnie nawet bym jej nie poznał.

– Mamuś to wszystko jest szalenie ciekawe, ale za dwie godziny przylatuje Blanka i muszę odebrać ją z lotniska – wymówiłem się od dalszego słuchania rodzinnych historii.

– Jedź, synku, jedź – powiedziała cicho, jakby z pewnym żalem, godząc się z tym, że właśnie uwielbiana przez nią Blanka L. odbiera jej słuchacza – a ja zadzwonię do Oli – dodała, sięgając po leżący na stole telefon. Wychodząc z kuchni, zaczynałem współczuć siostrze.

Tym razem moja szefowa zachowywała się tak formalnie, że aż miałem ochotę powiedzieć jej coś w stylu: „wyluzuj kobieto, patrzy na ciebie kilka tuzinów twoich fanek, a ty wyglądasz jak ponury szpieg z krainy deszczowców” – oczywiście żadne z tych słów nie przeszło przez moje gardło. Zamiast tego rzuciłem krótkie cześć i ruszyłem za nią, odebrać bagaże, których tym razem było znacznie więcej niż po powrocie z Dominikany. Na szczęście przestrzeń bagażowa lexusa, biła na głowę wszystkie kombiaki, a nawet niektóre minifurgonetki. Siadając na miejscu pasażera, Blanka pociągnęła nosem, prawie jak pies tropiący.

„Wąchaj sobie, wąchaj” – pomyślałem, uśmiechając się pod nosem. Byłem pewien, że zapach moich perfum, których dzisiaj zaaplikowałem dwa razy tyle, co zwykle, skutecznie zamaskował wszystko, co związane z Martą i naszymi igraszkami.

– Myślałam, że porządne dziewczyny, pracujące w warszawskich korporacjach stać na lepsze perfumy niż Lancôme *La Vie Est Belle* – oznajmiła nagle, posyłając mi triumfalny uśmiech.

– Skąd wiesz? – wydukałem.

– Po pierwsze sama takich kiedyś używałam, a po drugie fasola tonka, połączona z delikatnymi pralinkami i egzotyczną paczulą, utrzymuje się bardzo długo, zwłaszcza na skórze – to mówiąc, pogłaskała różowe obicie swojego fotela.

– Pewnie Martę stać na coś więcej, ale tych perfum używa od dawna.

– A więc ta korporacyjna mróweczka ma na imię Marta – wyszeptała Blanka, celowo przeciągając imię Marty, a ja pożałowałem w duchu nad własną głupotą. Podejrzywałem, że teraz przy każdej okazji będzie mi na różne sposoby przypominała to imię. Na szczęście tych okazji miało nie być już zbyt wiele.

– A jak tam w Meksyku? – zmieniłem temat.

– Trzeba było zapytać Olę – poradziła Blanka, jakby chciała uniknąć rozmowy o swoim urlopie, spędzonym na drugim końcu świata.

– Jakoś nie było okazji do pogawędek na tematy wakacyjne – przyznałem szczerze – powiedziała mi jednak, że już dla ciebie nie pracuje – dodałem, przygotowując tym samym grunt do rozmowy o swoim odejściu.

– Jej decyzja – ucięła krótko.

– Ja postanowiłem podjąć taką samą – powiedziałem.

– Spodziewałam się tego – oznajmiła. – Jednak mam prośbę, abys jeszcze przez trzy dni dotrzymywał mi towarzystwa – dodała, wyjaśniając, że tyle jej wystarczy, aby znaleźć nowego kierowcę.

– Myślałem, że jak wrzucisz ogłoszenie na insta, to od komentarzy padną im serwery – zażartowałem.

– Bardzo śmieszne – mruknęła, przewracając oczami.

– A skoro już jesteśmy przy żartach, to wiesz czym się różnią dziewczyny z Tindera od frytek? – zapytała.

– Frytki się soli – odpowiedziałem, wywołując zaskoczenie w jej niebieskich oczach. Następnie dodałem, że w pierwotnej wersji dowcip dotyczył różnicy między frytkami, a pustymi platynowymi blondynkami, powodując, że zaskoczenie zmieniło się w złość.

– Mógłbyś sobie odpuścić nawiązania do mojej osoby – rzuciła wściekle.

– A ty, nie musisz w ten sposób traktować dziewczyn z Tindera – odgryzłem się. W samochodzie zapanowało milczenie, którego nie miałem zamiaru przerywać. Jednak wibrowanie mojego smartfona zniweczyło ten plan.

– Mogę odebrać?

– Tak, ale ty płacisz mandat – zgodziła się.

– Spokojnie mam sparowanie z zestawem głośnomówiącym – oznajmiłem, odbierając połączenie od Michała.

– No co jest doktorku?

– Mam już coś dla ciebie – kumpel z miejsca przeszedł do konkretów.

– Tak szybko? – zdziwiłem się, bo wiadomości od Michała spodziewałem się nie wcześniej niż za tydzień, a może nawet dwa.

– Okazja jest. Yariska z dwa tysiące piętnastego, jeden trzy benzyna, przebieg trochę ponad dwieście tysięcy, czworo drzwi – wyliczał kumpel, a ja zastanawiałem się, ile to będzie mnie kosztowało.

– No dobra, to teraz mów ile i dlaczego tak drogo – wszedłem Michałowi w słowo, nie pozwalając dokończyć długiej listy zalet małej japonki.

– Jak dla ciebie dwadzieścia dwa tysiące.

– To mnie nie stać, bo wiesz, że mój budżet zamyka się w piętnastu i w przeciwieństwie do tego państwowego nie jest z lateksu.

– Wiem, ale możemy się umówić, że te siedem klocków oddasz mi, jak będziesz miał – zaproponował kumpel.

– To jest jakaś opcja – przyznałem, wyobrażając już sobie, jak siedzę za kierownicą yariski – ale musimy to obgadać osobiście, najlepiej przy browarze – dodałem.

– Tak, szczególnie, że jest coś, co może nie przypaść ci do gustu – oznajmił, lecz nim zdążyłem zapytać, wyjaśnił, że chodzi o kolor.

– Ale nie martw się, nie jest tak chujowy, jak różowa landryna twojej szefowej – zapewnił, parszkając śmiechem.

– Ja ci kurwa, dam chujową landrynę! – wrzasnęła Blanka, gasząc śmiech Michała.

– Halo, chyba tracisz zasięg! – krzyknął kumpel i stosując metodę zięcia, chcącego zakończyć rozmowę z teściową, przerwał połączenie.

– A już myślałem, że się w tym Meksyku zmieniłaś – westchnąłem smutno, choć w duchu zaśmiewałem się z miny Michała, jaką musiał mieć, gdy właścicielka różowego lexusa, stanęła w jego obronie niczym lwica.

– To znaczy? – Blanka spojrzała na mnie pytająco tymi swoimi dużymi, niebieskimi oczami.

– Wyjechaliśmy z lotniska godzinę temu. Przez ten czas ani razu nie zakłęłaś, a w twoim przypadku kwadrans bez siarczystej kurwy, chuja, czy pierdolenia, jest jak serial na TVN-ie bez czterech przerw reklamowych – wyjaśniłem, kończąc wypowiedź puentą, która w moim odczuciu była zabawna.

– A może ja knęł tylko wtedy, gdy mam na to ochotę i kiedy wymaga tego sytuacja?

– Ciekawa hipoteza – mruknąłem, ale bez przekonania.

– Widzę, że muszę ci to wyjaśnić w bardziej przystępny dla ciebie sposób – westchnęła Blanka, a jej głos dziwnie zawibrował.

– To znaczy? – rzuciłem.

– Powiedzmy, że teraz mam ochotę, aby ci zrobić loda – zaczęła tonem nauczycielki objaśniającej uczniom wzór na pole trójkąta.

– Nie ma takiej opcji – przerwałem, nie pozwalając rozkręcić się jej wyobraźni.

– A to dlaczego? – zapytała zaskoczona moją odmową.

– Po pierwsze, z tego co wiem, bierzesz do buzi tylko świeżo umyte – przypomniałem jej własne słowa – a ja brałem prysznic wczoraj – skłamałem – po drugie od teraz jestem porządnym facetem i nie interesują mnie...

– Porządnym facetem! – weszła mi w słowo, a jej perlisty śmiech zagłuszył Gawlińskiego, śpiewającego o Baśce, która miała fajny cyc.

– Dla ciebie zrobię wyjątek, baranku – wyszeptła, odpinając pas. Systemy bezpieczeństwa, w jakie była wyposażona landryna, natychmiast zareagowały piszczeniem.

– Zapnij się, bo pika i przestań się wygłupiać – poprosiłem.

– Gdzie masz te truskawkowe kondomy – zapytała, ignorując moją prośbę i macając moją kurtkę, wymruczała, że dla niej każda guma truskawkowa jest dobra.

– Dzisiaj nie mam, bo nic nie pisałaś, że zamierzasz zabawić się w lodziarę – rzuciłem, mając nadzieję, że trochę chamstwa, podziła na Blankę otrzeźwiająco.

– Nic nie szkodzi – bąknęła i nim się zorientowałem, jej palce majstrowały już przy moim rozporku.

– Blanka, odpuść, to przestało być zabawne – warknąłem.

– To znowu będzie, a przy okazji zobaczymy, jak się miewa mój prezencik – oznajmiła, próbując rozpiąć suwak.

– Jeszcze dobrze, ale jego różowy blask z dnia na dzień blednie – oświadczyłem i orientując się, że Blanka poradziła sobie z rozporkiem, a teraz wsuwa w niego dłoń, złapałem ją za rękę. W następnej chwili poczułem, jak auto lekko podskakuje na krawężniku, jednak na jakąkolwiek reakcję było już za późno. Kątem oka dostrzegłem ludzi uciekających sprzed maski lexusa, ale słup energetyczny nie miał zamiaru spierdalać.

– O, kurwa! – wrzasnęła Blanka, natychmiast zabierając dłonie z mojego krocza. Zasłoniła nimi twarz i rozplakała się jak mała dziewczynka.

EPILOG

Obserwując jak ogromny Boeing 787-9 z Łukaszem na pokładzie wzbija się w powietrze, mocniej przytuliłem Martę, a nasze spojrzenia powędrowały za oddalającym się w mrocznej otchłani kolosem. Jeszcze długo po tym, jak samolot zupełnie zniknął nam z oczu, staliśmy wtuleni w siebie.

– Wiesz, Olo, że jesteś wspaniałym facetem – wyszeptała Marta, przerywając milczenie, a w następnej chwili, mocno, namiętnie i zachłannie, pocałowała w usta.

„Raczej parszywym gnojkiem” – pomyślałem, przypominając sobie ostatnie kilka dni swojego życia.

– Ciekawe, czy za dwadzieścia lat będziesz miała o mnie takie samo zdanie? – zapytałem, uważając, że pytanie będzie dobrym wstępem do tego, co właśnie miałem zamiar zrobić.

– Za dwadzieścia lat mogę już być na tamtym świecie – mruknęła, uprawiając czarnowidztwo.

– Za dwadzieścia lat chciałbym, abyś była w moim świecie, kochanie – powiedziałem i nim dłoń Marty wystrzeliła w kierunku mojej twarzy, zacisnąłem w niej małe puzderko.

– Co to jest? – zapytała, spoglądając na swoje zaciśnięte palce.

– Takie mało romantyczne oświadczyzny – wyznałem.

– Oświadczyzny? – wyjąkała.

– A co w tym dziwnego? Jeśli facet kocha kobietę i chce, aby została jego żoną, urodziła mu ćwierć tuzina dzieci, to się jej oświadcza. Potem żyją długo i szczęśliwie, a czasami tylko długo, ale nam cyganka wywróżyła równiez szczęście – powiedziałem.

Marta patrzyła na mnie, lekko zagryzając dolną wargę. Robiła tak zawsze, kiedy nad czymś intensywnie myślała, czyli bardzo często.

– Wiesz, Olo jakich mężczyzn lubią kobiety? – zapytała nagle, patrząc mi głęboko w oczy. – Zabawnych i dowcipnych – ciągnęła, nie dając mi szansy dojścia do głosu.

– A wiesz, jakich nie znoszą?

– Pewnie nadętych i nudnych – wyrwałem się z odpowiedzią.

– Też – potwierdziła – ale najbardziej nie lubią błaznów – dodała.

– Czyli według ciebie jestem jak Stańczyk?

– No, właśnie nie wiem. Tak więc, nim dam ci odpowiedź w kwestii urodzenia trójki dzieci, muszę sobie odpowiedzieć na to pytanie – oświadczyła i biorąc mnie pod ramię, poprowadziła na parking.

– Słyszałeś, że przedwczoraj policja aresztowała twoją byłą szefową? – oznajmiła, gdy szliśmy w stronę mojej toyoty yaris, którą poprzedniego dnia kupiłem od Michała.

– Blankę? A co znowu narozrabiała? – zapytałem, udając zaskoczonego nowiną.

– Nie wiem, ale to podobno jakaś grubsza kryminalna sprawa – odpowiedziała, przystając jakieś trzy metry od mojego samochodu, oświetlanego mdłym blaskiem parkingowej latarni.

– Jak znam życie, to nic się Blance nie stanie, przecież jest różową panterą, a koty zawsze spadają na cztery łapy – przypomniałem.

– Jak tak na niego patrzę, to ten kolor coraz bardziej zaczyna mi się podobać – stwierdziła Marta, ignorując moją uwagę o kotach i figlarnie mrucząc kocie oczy.

– W całej Warszawie nikt nie ma tak żółciutkiego auta, jak ja – oznajmiłem z dumą i pieśczośliwie pogładziłem zimną maskę małej japonki.

– I tu się mylisz, kochanie – zakomunikowała moja przyszła żona, zaskakując mnie nie tyle słowną pieśczoślą, ale faktem, że moje auto nie jest tak wyjątkowe, jak do tej pory sądziłem.

– Zordon ma żółtego daihatsu YRV – dodała.

– To jakiś twój kolega z pracy? – zapytałem i jak na prawdziwego dżentelmena przystało, otworzyłem jej drzwi mojego słoneczka.

POLECAMY RÓWNIEŻ

Tomasz Wandzel

- *Chłopiec z Kresów – historia prawdziwa*
- *Hycel*
- *Dom w chmurach*
- *Blanka L – Sława, pieniądze i seks*
- *Kłamstwa i sekrety – historia Róży Wittelsbach*
- *Chwila prawdy – niewiarygodna historia Krystyny Górskiej*
- *Chłopiec, który przeżył Auschwitz – historia prawdziwa*
- *Grzeczna dziewczynka*
- *Żółty długopis*
- *Córka zakonnika*
- *Zwłoki przy molo.*

Komisarz Andrzej Papaj

- *Dotrzeć do prawdy, tom 1*
- *Uciec od prawdy, tom 2.*

Róża Wielopolska

- *Czyste zło, tom 1*
- *Święte zło, tom 2.*

Sopockie tango

- *Sopockie tango, tom 1*
- *Ostatnie tango w Sopocie, tom 2.*